

# Wesele na Capri. Nowele włoskie



PAUL HEYSE

## Wesele na Capri. Nowele włoskie

TŁUM. BERTOLD MERWIN, FRANCISZEK MIRANDOLA

### L'Arrabbiata

Słońce nie wzeszło jeszcze. Ponad Wezuwiuszem<sup>1</sup> wisiała mgła, ciągnąca się szeroką smugą w kierunku Neapolu<sup>2</sup> i otulająca małe miasteczka nadmorskie. Morze milczało. Mimo to przystań pod wysokim sorrentyńskim<sup>3</sup> wybrzeżem skalnym, w ciasnej zatoce położona, zaczynała się już roić ludźmi. Rybacy wraz z żonami holowali do brzegu na linach łodzie pełne sieci, wyrzuconych w morze na połów nocny. Inni sposobili barki do drogi, opatrywali żagle oraz znosili wiosła i reje z wielkich, w skałę wykutych, kratami zamykanych magazynów, gdzie przybory żeglarskie chowano na noc. Nikt nie próżnował, bo nawet starcy, niewypływający już na morze, włączyli się w długi łańcuch tych, którzy wyciągali z wody ogromne włoki<sup>4</sup>, a tu i ówdzie na płaskim dachu stała staruszka z wrzecionem albo babunia zajęta była wnukami, podczas gdy córka pomagała mężowi.

— Patrz, Rachelo, to nasz *padre curato!*<sup>5</sup> — powiedziała jedna ze staruszek małej dziesięcioletce, stojącej obok niej z wrzecionem w dłoni. — Właśnie wsiada do łodzi. Antonino zawiezie go na Capri<sup>6</sup>. *Maria santissima!*<sup>7</sup>, jakże zaspaną ma minę czcigodny *padre!*<sup>8</sup>. — Posłała ręką pozdrowienie księdzu małego wzrostu, a wesołego oblicza, który rozsiadł się właśnie w barce, podkasując sutannę i układając ją potem starannie na drewnianej ławie. Ludzie, zajęci na wybrzeżu, przestali na moment pracować, by przyjrzeć się odjazdowi księdza, który słał na wszystkie strony ukłony i uśmiechy.

— Po cóż on jedzie na Capri, babuniu? — spytało dziecko. — Czy oni tam nie mają plebana, że muszą sobie od nas pożyczać?

— Nie bądźże głupia! — odparła starowina. — Mają dość ślicznych kościołów i księży, a nawet mają pustelnika, jakiego nam brak. To sprawa inna. Uważasz, pewna dostojna *signora!*<sup>9</sup> mieszkała tu długi czas w Sorrento, a tak była chora, że *padre* musiał często chodzić do niej z wiatykiem<sup>10</sup>, bo nieraz obawiano się, że nie przeżyje nocy. Otóż Najświętsza Paniienka uzdrowiła ją, tak że stała się na nowo świeża i żwawa i mogła się codziennie kąpać w morzu. Gdy wyjeżdżała stąd na Capri, podarowała całą kupę dukatów<sup>11</sup> kościołowi i biednym i nie chciała się ruszyć, póki jej *padre* nie przyobiecał, że będzie jeździł do niej, ile razy zechce się spowiadać. Ceni go niesłychanie i czci, a my możemy czuć się szczęśliwi, posiadając plebana, który mógłby być arcybiskupem i o którego dobijają się wszyscy

Morze, Praca

Ksiądz, Choroba

<sup>1</sup>Wezuwiusz — wulkan na terenie Włoch, na Półwyspie Apenińskim, nad Zatoką Neapolitańską. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Neapol — miasto w płd. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Sorrento — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>włok — sieć do połowu ryb dennych. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*padre curato* (wł.) — ksiądz proboszcz. [przypis redakcyjny]

<sup>6</sup>Capri — włoska wyspa na Morzu Tyrreńskim w Zatoce Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Maria santissima* (wł.) — Matko Najświętsza. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup>*padre* (wł.) — ojciec, tu: ksiądz. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wiatyk — w Kościele katolickim komunii udzielana umierającemu. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>dukat — złota moneta, używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

wielcy panowie i panie. Niechże go strzeże Madonna! — Powiedziawszy to, posłała pozdrowienia w kierunku barki, odbijającej właśnie od brzegu.

— Czy będziemy mieć pogodę, mój synu? — spytał mały księżulek przewoźnika, spoglądając podejrzliwie ku Neapolowi.

— Słońce jeszcze nie weszło — odrzekł chłopak — ale da sobie radę z tą odrobiną mgły, myślę.

— Ano, to ruszajmy, by przybyć przed upałem.

Antonino chwycił długie wiosło, chcąc zepchnąć barkę na głąb, ale nagle zatrzymał się i spojrzał w górę, ku skalistej, stromej drodze, wiodącej z miasteczka Sorrento do przystani.

Na drodze ukazała się dziewczyna, skacząca żwawo z kamienia na kamień i powiewająca chustką. Pod pachą niosła zawiniątko, a odzież jej była dość uboga. Mimo to dostojnym, dzikim nieco gestem odrzucała głowę wstecz, a czarne warkocze, otaczające jej czoło, tworzyły coś w rodzaju diademu.

— Na cóż to jeszcze czekamy? — spytał *padre*.

— Nadchodzi jeszcze ktoś, kto pragnie dostać się na Capri, oczywiście, jeśli pozwolicie, *padre*. Nie będziemy przez to płynęli dłużej, bo to tylko młoda dziewczynina, lat niespełna osiemnastu.

W tej chwili pośród murów, brzeżących drogę, wyszła dziewczyna.

— Laurella? — zdziwił się *padre*. — Cóż ona ma do roboty na Capri?

Antonino wzruszył ramionami, a dziewczyna zbliżyła się szybko, patrząc wprost przed siebie.

— Dzień dobry, *l'Arrabbiata*<sup>12</sup>! Jak się masz? — krzyknęło kilku młodych rybaków. Byliby pewnie dodali jeszcze niejedno, gdyby nie obecność księdza, gdyż zuchwała mina i milczenie, z jakim dziewczyna przyjęła pozdrowienia, drażniły swawolników.

— Dzień dobry, Laurello! — zawołał również i *padre*. — Jak się masz? Czy chcesz także jechać na Capri?

— Jeżeli wolno, *padre*! — odrzekła.

— Spytaj Antonina! On jest właścicielem łodzi, a mienia swego jest każdy panem, podobnie jak panem nas wszystkich jest Bóg.

— Masz pół karlina<sup>13</sup>! — powiedziała Laurella do młodego rybaka. — Czy wystarczy na opłatę?

— Przyda ci się bardziej niż mnie! — mruknął chłopak, odsuwając kosze z pomarańczami i robiąc miejsce. Wiózł owoce na sprzedaż, gdyż skalista wyspa Capri nie rodzi tyle, by wystarczyło dla licznych przybyszów z całego świata.

— Nie chcę jechać darmo! — odparła, a spod czarnych brwi strzeliły błyskawice.

— Dajże spokój, dziecko! — rzekł proboszcz. — To dzielny chłopak i nie chce się bogacić tą odrobiną ubóstwa twego. No, wsiadaj — podał jej rękę — i siądź tu koło mnie. Widzisz, podesłał ci swój kaftan, by ci miękcej było. Mnie tego nie zrobił. Ach, młodzi zawsze tacy, mają więcej starania o jedną młodą dziewczynę niż o dziesięciu księży. No, no, nie tłumacz się, Tonino. Bóg tak już wszystko urządził, by swój ciągnął do swego.

Laurella wsiadła tymczasem i zajęła miejsce na ławie bez słowa, odsunawszy przedtem na bok kaftan Antonina. Młody rybak nie zabrał go, mruknął tylko coś przez zęby. Potem oparł wiosło silnie o tamę przystani i mała barka wybiegła chyżo<sup>14</sup> na wody zatoki.

— Co masz w tym zawiniątku? — spytał proboszcz, podczas gdy łódka pruła fale morza, złączące się pierwszymi promieniami słońca.

— Jedwab, przędzę i bochenek chleba, *padre* — odparła. — Mam sprzedać jedwab pewnej kobiecie na Capri, która robi wstążki, a przędzę drugiej.

— Czyś sama przędła?

— Tak, księżę proboszczu.

— O ile pamiętam, umiesz także robić wstążki.

— Tak, umiem. Ale matka moja ma się znowu gorzej, nie mogę często wychodzić z domu, a na własny warsztat tkacki nas nie stać.

<sup>12</sup>*arrabbiata* (wł.) — gniewna, wściekła. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*karlino* (wł. *carlino*) — moneta używana w Neapolu od końca XIII do początku XIV wieku, następnie przywrócona w wieku XVIII i XIX. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*chyżo* — szybko. [przypis edytorski]

— Gorzej? Och! Przecież nie leżała w łóżku, kiedyś był u was w Święta Wielkanocne.  
— Wiosna to zawsze najgorszy dla niej czas. Od kiedyś mieli wielkie burze i trzęsienie ziemi, leży i cierpi bardzo.

— Módl się, drogie dziecko, żarliwie i proś Najświętszej Paniienki o wstawiennictwo. A bądź dobra i uczciwa, by twe modły zostały wysłuchane.

Nastąpiła pauza, po czym ksiądz powiedział:

— Gdyś zbliżała się do wybrzeża, wołali do ciebie rybacy: „Jak się masz *l'Arrabbiata*?”. Czemuż to zowią cię tym imieniem? Nie jest ono odpowiednie dla chrześcijanki, która winna być łagodna i pokorna.

Brunatna twarz dziewczyny oblała się rumieńcem, a oczy jej rozbłysły.

— Drwią sobie ze mnie, bo nie tańczę, nie śpiewam i nie paplam bezustannie jak inne. Niechby mnie zostawili w spokoju, bom im nic nie winna.

— Mogłabyś jednak być uprzejmiejsza dla ludzi. Niech tam sobie tańczą i śpiewają ci, którym życie lżej płynie, ale dać każdemu dobre słowo to przystoi nawet temu, kto jest smutny.

Spuściła oczy i silniej jeszcze ściągnęła brwi, jakby chciała pod nimi skryć czarne swe oczy. Przez chwilę płynęły w milczeniu. Słońce błyszczało wspaniale ponad górami, krater Wezuwiusza kreślił się ostrym konturem ponad zwałem mgły, otulającym jeszcze jego stopy, a domy Sorrento, rozsiane po równi, połyskiwały bielą na tle zieleni sadów pomarańczowych.

— Czy nie masz wieści, Laurello — spytał ksiądz nagle — od owego malarza z Neapolu, który starał się o twoją rękę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przybył swego czasu umyślnie, by cię portretować. Czemużes mu odmówiła?

— Na cóż by mu był mój portret? Jest dużo piękniejszych ode mnie dziewcząt. Zresztą, któż wie, co by z tym portretem wyrabiał! Matka mówiła, że są tacy, co w ten sposób czarują, szkodzą duszy człowieka, a nawet uśmiercają.

— Nie wierz w takie grzeszne rzeczy! — rzekł poważnym głosem ksiądz. — Wszakżeś jest w ręku Boga, bez woli którego włos ci z głowy nie spadnie. Czyż człowiek z portretem w ręku mógłby być silniejszy niż Bóg? Zresztą wiedziałaś dobrze, że ci sprzyja. Inaczej nie starałby się przecież o ciebie.

Milczała.

— Czemużes mu odmówiła? Był to dzielny człowiek i piękny mężczyzna, a przy tym mógł ciebie i matkę twą znacznie lepiej i łatwiej wyżywić, niżli ty przy pomocy przedzenia i snucia jedwabiu.

— Jesteśmy biedne — zawołała porywczo — a matka chora od dawna, byłybyśmy mu przeto ciężarem. Nie nadaję się zresztą na *signorę*. Wstydzilby się mnie na pewno wobec swoich przyjaciół.

— Mów sobie, co chcesz, a ja twierdzę, że był to człowiek, co się zowie. Chciał się też przenieść do Sorrento. Nieprędko zjawi się ktoś taki, wprost z nieba zesłany, który by wam chciał przyjść z pomocą.

— Nie chcę męża, nie pójdę za mąż nigdy! — powiedziała z uporem i zapatrzyła się w dal.

— Czyś złożyła ślub lub chcesz wstąpić do klasztoru? — spytał.

Zaprzeczyła głową.

— Ludzie mają tedy rację, biorąc ci za złe twój upór, chociaż zważ cię zgoła niepięknie. Pamiętaj, że nie sama jesteś na świecie, a zaciętrzewienie twe zatruwa życie matce i czyni jej chorobę jeszcze dotkliwszą. Jakież możesz mieć powody, by odrzucać dłoń szlachetną, która pragnie wesprzeć ciebie samą i matkę? Odpowiedz, Laurello.

— Mam powód — rzekła cicho, z wahaniem — ale wyznać tego nie mogę.

— Nie możesz wyznać? Mnie nawet, swemu spowiednikowi, w którego życzliwość chyba wierzysz? A może mi nie ufasz?

Skinęła twierdząco.

— Ulżyj swemu sercu, dziecko! — rzekł ksiądz. — Jeśli słuszność po twojej stronie, pierwszy ci ją przyznam. Ale jesteś młoda i niewiele wiesz o świecie, a w późniejszym wieku mogłabyś żałować, żeś lekkomyślnie odrzuciła swe szczęście.

Portret

Kondycja ludzka, Pozycja społeczna

Spojrzała przelotnie, lęklonie na młodego przewoźnika, który siedząc u steru, z czapką nasuniętą na oczy, wiosłował wytrwale. Spojrzenie jego utkwione było w morze, a wyraz twarzy świadczył, że zatopiony jest we własnych myślach. Ksiądz podchwycił to spojrzenie i przychylił bliżej ucha.

— Nie znaliście, *padre*, ojca mego! — szepnęła, a oczy jej błysły ponuro.

— Twego ojca? Wszakże zmarł, o ile wiem, kiedy miałś niespełna dziesięć lat. Cóż ma wspólnego twój ojciec, którego dusza przebywa zapewne w niebie, z twoim uporem i zapamiętałością?

— Nie znaliście go, *padre*, i nie wiecie, że właśnie on jest przyczyną choroby mojej matki.

— Czyż być może?

— Bił ją, poniewierał, deptał nogami. Pamiętam owe noce, kiedy wracał do domu oszalały. Matka milczała zawsze i czyniła, co chciał. On zaś bił ją tak, że serce mi omal nie pękło. Nakrywałam głowę kołdrą i udawałam, że śpię, ale płakałam strasznie. Gdy ją zbił i rzucił o ziemię, zmieniał się nagle, podnosił i całował z taką dzikością, że krzyczała z obawy, iż ją zadusi. Zabroniła mi mówić o tym, ale przejścia te do tego stopnia podkopały jej zdrowie, że, mimo iż ojciec od lat całych nie żyje, matka dotąd nie może odzyskać sił. Gdyby zmarła, wiedziałabym, kto ją zamordował.

Mały księżunio potrząsał głową, niepewny, co ma rzec swej penitentce<sup>15</sup>. Po chwili powiedział:

— Przebacz mu, jak przebaczyła matka twoja. Nie przywódź sobie, Laurello, ciągle na myśl tych smutnych obrazów. Nadejdą dla ciebie lepsze czasy i zapomnisz o przeszłości.

— Nigdy tego nie zapomnę! — zawołała, drgnąwszy gwałtownie. — Oto powód, czcigodny *padre*, dlaczego chcę pozostać dziewicą i nie podlegać nikomu, kto by mną poniewierał, by potem całować. Dziś mogę się obronić przed każdym, który by mnie chciał bić i całować, ale biedna moja matka nie mogła bronić się przed biciem ani pocałunkami, bo go kochała. Ja zaś nie chcę nikogo kochać do tego stopnia, bym przezeń miała zachorzeć i popaść w nieszczęście.

— Nie jesteś już dzieckiem, Laurello — powiedział ksiądz — a mówisz jak ktoś, kto zgoła nie zna spraw świata. Czyż wszyscy mężczyźni, podobnie jak twój biedny ojciec, ulegają każdej zachciance czy namiętności i źle się obchodzą ze swymi żonami? Czyż nie spotkałaś w sąsiedztwie uczciwych mężczyzn i kobiet, żyjących ze sobą zgodnie, cicho i przykładowo?

— Nikt nie wiedział — odparła — jak się ojciec mój obchodzi z matką, gdyż wołałaby raczej umrzeć niż skarżyć się i narzekać. Kochała go i dlatego znosiła wszystko. Tak się dzieje zawsze. Miłość zamyka usta, które winny by krzyczeć ratunku, miłość obezwładnia wobec zła gorszego od tego, jakiego by doznać można od wroga, i dlatego nigdy nie oddam mego serca mężczyźnie!

— Mówisz, jak mówić zwykło nieświadome życia dziecko. Serce twe nie będzie się wcale pytało o przyzwolenie, gdy nadejdzie czas miłości. Wówczas nie pomogą najsilniejsze postanowienia. — Zamilkła, a po chwili spytała: — Czyś miała powód przypuszczać, że malarz ów obchodziłby się źle z tobą?

— W oczach miał ten sam wyraz, co ojciec, gdy przeproszał matkę, obejmował ramionami i mówił słodkie słowa. Znam te oczy, tak patrzy ten, kto jest w stanie krzywdzić niewinną kobietę. Dreszcz mnie przebiegał na widok tych oczu.

Zamilkła, a ksiądz również się nie odzywał. Przychodziły mu na myśl różne piękne sentencje, jakimi by mógł zbudować dziewczynę. Ale obecność młodego przewoźnika, który pod koniec spowiedzi stał się jakiś niespokojny, zamykała mu usta.

Po dwugodzinnej jeździe znaleźli się w małej przystani Capri, a Antonio wyniósł księdza z barki i, przebrnąwszy z nim zalaną małymi falami przestrzeń wybrzeża, postawił go na suchym lądzie gestem pełnym szacunku. Laurella nie czekała, aż po nią wróci. Zakałała spódnicę, wzięła w prawą rękę drewniane saboty, w lewą zawiniątko i przepawiła się co żywo na brzeg.

— Dzisiaj zostanę dłużej na Capri — rzekł ksiądz — toteż nie czekaj na mnie, Antonino. Może nawet aż jutro powrócę. Pozdrów ode mnie matkę twą, Laurello, i powiedz,

Ojciec, Matka, Rodzina,  
Przemoc

Miłość, Kobieta,  
Męczyzna, Przemoc,  
Rodzina, Krzywda

<sup>15</sup>penitentka — w Kościele katolickim osoba przystępująca do spowiedzi. [przypis edytorski]

że jeszcze w tym tygodniu ją odwiedzę. Wrócisz pewnie jeszcze przed nocą do domu, prawda?

— Jeśli nadarzy się okazja! — odrzekła, poprawiając coś koło stanika.

— I ja też muszę dziś wracać, Laurello — powiedział Antonino tonem, jak mu się wydawało, nader obojętnym — zaczekam na ciebie aż do wieczornego *Ave*<sup>16</sup>. Jeśli nie przyjdiesz, to sobie sam pojadę.

— Jedź z nim, Laurello! — Nie powinnaś zostawiać matki samej na noc. Czy daleko idziesz?

— Na Anacapri<sup>17</sup>, do jednej z winnic.

— Ja zaś udaję się na Capri. Niech cię Bóg strzeże, dziecko, i ciebie także, chłopcze!

Laurella pocałowała księdza w rękę i rzuciła pozdrowienie tego rodzaju, że mogli się nim obaj podzielić. Ale Antonino nie brał go do siebie. Zdjął przed księdzem czapkę, na Laurellę zaś nawet nie spojrział.

Gdy się doń jednak obróciła plecami, oczy Antonina pobiegły na krótką tylko chwilę za czcigodnym proboszczem, gramolącym się z trudem po grubym żwirze i skałach w górę, natomiast zapatrzyły w dziewczynę, pnącą się po stromym zboczu, z dłonią u czoła, osłaniającą twarz przed ostrym światłem słońca. U wnijscia na drogę, ujętą w dwa równoległe mury skalne, przystanęła dla zaczerpnięcia oddechu i obejrzała się. U stóp jej leżała przystań, wkoło piętrzyły się prostopadłe skalne ściany, w dali błękitniało przecudne morze. Widok był naprawdę godny spojrzenia. Przypadek zrządził, że oczy jej, mijając barkę Antonina, zetknęły się z oczyma chłopca, zapatrzonymi w nią. Uczynili oboje gest, jakby chcieli wzajem wyrazić, że zaszła omyłka, po czym Laurella ruszyła dalej, a twarz jej miała wyraz ponurej zaciętości.

\*

Była dopiero pierwsza po południu, a już od dwu godzin Antonino siedział na ławie przed gospodą rybacką i czekał. Musiało coś tkwić uporczywie w jego myślach, bo zrywał się co pięć minut, wychodził na słońce i badał troskliwie jedną po drugiej wszystkie ścieżki, wiodące w prawo i w lewo do obu wyspiarskich miasteczek. Potem, zwracając się do gospodyni osterii<sup>18</sup>, powiedział, że pogoda wydaje mu się mocno wątpliwa. Niebo jest co prawda czyste, ale posiada, równie jak morze, barwę dobrze mu znaną. Zupełnie tak samo wyglądało przed ostatnią wielką burzą, która omal nie pochłonęła całej rodziny podróżnych Anglików. Spytał, czy to pamięta.

— Nie! — odrzekła kobieta.

— Ano to wspomnijcie o mnie, jeśli się pod wieczór okaże, że miał rację! — powiedział.

— Czy macie dużo gości? — spytała po chwili gospodyni.

— Zaczynają się zjeżdżać! — odparł. — Dotąd biedowaliśmy bardzo. Kuracjusze, a zwłaszcza ci, którzy mieli brać kąpiele morskie, kazali na siebie długo czekać tego roku.

— Wiosna się spóźniła. Czy lepszeście mieli zarobki niż my na Capri?

— Nie starczyłoby na dwie porcje makaronu tygodniowo, gdybym miał żyć tylko z tego, co daje barka. Od czasu do czasu trafi się przywieźć list do Neapolu albo powozić po morzu jakiegoś *signora*, który chce łapać ryby na wędkę, i na tym koniec. Wicie może, że wuj mój jest właścicielem wielkich sadów pomarańczowych i nazywają go bogaczem. „Tonino, powiedział mi, jak długo żyję, na niczym ci nie będzie zbywać, a i potem przyszłość twoja będzie zapewniona”. Przetrwiałem tedy wcale dobrze zimę.

— Czy wuj wasz ma dzieci?

— Nie. Jest kawalerem, a w długich podróżach za granicą zebrał sporo piastrow<sup>19</sup>. Teraz zamierza urządzić wielkie przedsiębiorstwo, rybolówcze, mnie zaś uczyni zarządcą, bym pilnował wszystkiego.

<sup>16</sup>*Ave*, właśc. *Ave Maria* (łac.) — *Zdrowaś Mario* a. *Pozdrowienie anielskie*, modlitwa za wstawiennictwem Marii, Matki Jezusa. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*Anacapri* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol, na wyspie Capri. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*osteria* — karczma, oberża, zajazd, gospoda, gościniec. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*piastr* — drobna moneta, będąca w obiegu w Egipcie, Libanie i Syrii. [przypis edytorski]

— Jesteście tedy pan całą gębą, Antonino.

Młody żeglarz wzruszył ramionami i odparł, że każdy ma swą porcję utrapienia. Potem zerwał się i, patrząc w prawo i lewo, badał stan pogody, chociaż musiał chyba wiedzieć, że burza od jednej tylko strony zwykła nadciągać.

— Przyniosłam jeszcze jedną flaszkę. Wuj waszego stać na zapłatę! — powiedziała gospodyni.

— Szklanka wystarczy! — odrzekł. — To jakieś mocne wino. Już je czuję w głowie.

— Nie wzburza ono krwi. Możecie pić do woli. Nadchodzi właśnie mój mąż, z którym musicie pogwarzyć bodaj chwilę.

W istocie zbliżał się, schodząc ze skalnych wyżyn, *padrone*<sup>20</sup> szynkowni<sup>21</sup>, w czerwonej czapce na krętych włosach, z siecią przewieszoną przez ramię. Nosił do miasta ryby, zamówione przez ową dostojną damę, u której gościł właśnie mały proboszcz sorrentyński. Ujrawszy młodego żeglarza, przesłał mu ręką serdeczne powitanie, potem usiadł obok niego na ławie i zaczął pytać i opowiadać. Właśnie gospodyni przyniosła drugą butelkę prawdziwego, niefalszowanego wina kapryjskiego, gdy nagle zaskrzypiał od lewej strony piasek wybrzeża i ukazała się Laurella, idąca z Anacapri. Skinęła lekko głową i zatrzymała się niepewna, co czynić.

Antonino wstał szybko i powiedział, że musi odjeżdżać, bo ma zawieźć do Sorrento tę dziewczynę, która przybyła rano z *padre curato*, a teraz wraca do chorej matki.

— Jeszcze bardzo daleko do wieczora! — zauważył gospodarz. — Może się i ona śmiało napić wina. Hej, żono, przynieś no jeszcze jedną szklankę.

— Dziękuję, nie pijam nigdy! — odparła Laurella, trzymając się na uboczu.

— Nalej no, żono, nalej! Robi tylko ceregiele.

— Dajcie spokój! — rzekł Antonino. — To uparte stworzenie, gdy czegoś nie chce, sam święty z nią nie poradzi! — Powiedziawszy to, pożegnał pośpiesznie gospodarzy, zbiegł na dół ku barce, odwiązał linę i stanął u brzegu, czekając na dziewczynę. Laurella pożegnała skinieniem głowy szynkarza i jego żonę, po czym zbliżyła się z wahaniem, rozglądając się na wszystkie strony, jakby miała nadzieję, że nadarzy się jeszcze jakiś trzeci uczestnik podróży. Ale przystań była niemal pusta, rybacy spali albo wyruszali na połów z wędkami i sieciami, pod drzewami domostw siedziały dzieci i kobiety, śpiąc lub przędąc, zaś cudzoziemcy, którzy przybyli rankiem, czekali z powrotem na chłodniejszą porę dnia. Dziewczyna niedługo mogła się rozglądać, bo Tonino chwycił ją w ramiona i zaniósł jak dziecko do łodzi. Potem wskoczył sam i po kilku ruchach wiosła znaleźli się na pełnym morzu.

Siadła na przodzie barki, obróciwszy się doń tak, że widział ją jeno<sup>22</sup> z profilu. Rysy jej twarzy poważniejsze były jeszcze niż zazwyczaj, czarne włosy spadały nisko na czoło, a delikatny nos i zaciśnięte usta wyrażały upór i zapamiętałość. Jechali przez czas jakiś w milczeniu, a Laurella, poczuwszy, że słońce ją pali w głowę, wyjęła z zawiniątka chleb i chustką okryła warkocze. Potem zaczęła jeść chleb. Był to jej cały obiad, a od rana nic nie miała w ustach.

Antonino nie mógł na to długo patrzeć. Wyjął z jednego z koszy, pełnych rano, dwie pomarańcze, podał jej i rzekł:

— Masz do chleba, Laurello! Nie sądzę, żem je schował umyślnie dla ciebie. Stoczyły się z kosza do łodzi, a znalazłem je, wracając z targu.

— Zjedz sam! — odparła. — Mnie dosyć chleba.

— Orzeźwią cię w tym gorącu, a zmęczyłaś się daleką drogą.

— Dostałam szklankę wody i orzeźwiłam się już.

— Jak chcesz! — powiedział i cisnął owoce do kosza.

Zapadło znowu milczenie. Morze było gładkie jak zwierciadło, a woda szumiała z lekka tylko u steru barki. Gnieźdzące się w skałach nadbrzeżnych ptaki drapieżne przemykały bezgłośnie za lupem.

— Mogłabyś te dwie pomarańcze zanieść matce, Laurello! — zaczął na nowo.

— Mamy jeszcze trochę w domu, a gdy ich zabraknie, kupię świeżych.

— Weźże, proszę cię, i zanieś z pozdrowieniem ode mnie.

<sup>20</sup>*padrone* (wł.) — właściciel. [przypis redakcyjny]

<sup>21</sup>*szynkownia* a. *szynk* (daw.) — podrzędna restauracja lub bar z alkoholem. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*jeno* (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

- Nie zna cię przecież.
- To powiedz jej, kto jestem.
- Ja cię również nie znam wcale.

Nie pierwszy to już raz zapierała się znajomości z nim. Zdarzyło się przed rokiem, właśnie wówczas, kiedy przybył do Sorrento ów malarz neapolitański, że Antonino zabawiał się pewnej niedzieli ze swymi towarzyszami grą zwaną *boccia* na placu tuż obok głównej ulicy miasta. Tam to malarz ujrzał po raz pierwszy Laurellę, idącą z dzbanem wody na głowie i niezwracającą na nikogo uwagi. Uderzony tym widokiem, stanął, zapatrzył się w nią, nie bacząc, że znajduje się w samym środku placu gry, chociaż dwoma krokami mógł wyjść poza krąg grających. Nagle potrąciła go silnie w kostkę jedna z kul, przypominając, że nie jest to miejsce odpowiednie do medytacji. Młody żeglarz, który ją rzucił, stał milcząc w tak wyzywającej postawie pośród towarzyszy, że cudzoziemiec uznał za stosowne uniknąć sprzeczeki i odszedł. O zajściu tym mówiono jednak po trochu, a przyszło ono wszystkim ponownie na pamięć, gdy malarz zaczął się jawnie starać o rękę Laurelli. Gdy pytał, czy mu odmawia z powodu owego niedorzecznego chłopaka, oświadczyła z niechęcią, że go wcale nie zna. O zajściu tym musiała jednak słyszeć i, spotkawszy Antonina, poznała go chyba z łatwością.

Siedzieli w barce jak dwoje wrogów, a obojgu biły serca gwałtownie. Dobrotliwe zazwyczaj oblicze Antonina pałało gorącym rumieńcem. Bił wiosłami w fale, tak że piana oblewała go całego, a wargi mu drżały, jakby miotał kłutwy. Ona udawała, że niczego nie dostrzega, przybrała obojętny wyraz, wychyliła się przez burtę i puszczała wodę przez palce. Potem zdjęła chustkę i poprawiła włosy, jakby sama znajdowała się w barce. Drżały jej tylko brwi i daremnie chłodziła mokrymi dłońmi palające policzki.

Znajdowali się na pełnym morzu, a wokół, jak wzrok sięgał, nie było widać żagla. Wyspę zostawili daleko za sobą, wybrzeże, skąpane w słońcu, majaczyło w oddali, w pustce, jaka ich otaczała, nie jawiła się nawet mewa. Antonino obejrzał się wokoło. Myśl jakaś opanowała go widocznie, bo zbladł nagle i opuścił wiosła: Mimo woli Laurella spojrziała nań z zaciekawieniem, ale bez śladu trwogi.

— Muszę z tym wszystkim raz skończyć — wybuchnął chłopak. — Trwa to za długo i dziwię się, żeś dotąd wytrzymał i nie szczeł marnie. Powiadasz, że mnie nie znasz? Czyżeś mi się nie dość jeszcze napatrzyła, gdym krążył wkoło ciebie, pragnąc wypowiedzieć, co mam w sercu. Zawsześ jednak robiła odpychające miny i obracałaś się do mnie plecami.

— Cóż miałam z tobą do gadania? — odparła. — Widziałam wprawdzie, że chcesz się ze mną zapoznać, ale nie miałam nigdy ochoty dostać się na języki ludzkie, i to bez żadnej podstawy. Nie chcę zostać twoją żoną i w ogóle nie chcę wcale za męża wychodzić.

— Nie chcesz? Tak sądzisz teraz może, ale to nie potrwa długo! Cóż stąd, żeś odesłała z kwitkiem malarza? Byłaś wtedy dzieckiem. Samotność da ci się jeszcze we znaki, a że jesteś szalona, weźmiesz pierwszego lepszego.

— Nikt nie zna swojej przyszłości — odparła — więc, być może, zmienię zapatrywania. Cóż to jednak może obchodzić ciebie?

— Cóż mnie to obchodzi? — krzyknął i zerwał się z ławki sterniczej tak, że łódź zachwiała się gwałtownie. — Czyż możesz tak mówić, widząc, co się ze mną dzieje? Zabiłbym każdego, komu okazałabyś więcej łaski niż mnie!

— Skądże to prawo? Czym ci się przyobiegała? Czyżem winna, że ci się przewróciło w głowie?

— O — zawołał — nie spisał tych praw po łacinie żaden adwokat i nie opatrzył ich pieczęcią, wiem jednak, że mam do ciebie tyle prawa, co do nieba, gdzie się dostanę, jeśli będę wiódł żywot uczciwy. Czy sądzisz, że będę patrzył spokojnie, jak pójdiesz z innym do ołtarza, że pozwolę, by dziewczęta, mijając mnie, wzruszały ramionami? Czy sądzisz, że zniosę tę hańbę?

— Rób, co chcesz! Nie dam się zastraszyć i zrobię również, co zechcę.

— Niedługo tak będziesz mówiła! — zawołał, drżąc na całym ciele. — Jestem na tyle mężczyzną, by nie pozwolić sobie zepsuć życia przez upartą dziewczuchę. Czy wiesz, że jesteś tu w mojej mocy i musisz uczynić, co zechcę?

Drgnęła lekko i błysnęła ku niemu oczyma.

— Zabij mnie, jeśli śmiesz! — powiedziała z wolna.

Gra, Zabawa

Przemoc



— Nie należy niczego czynić połowicznie! — odparł chrapliwym głosem. — Dość miejsca w morzu dla nas obojga! Nie ma rady, dziecko — powiedział tonem litosnym niemal i jakby przez sen — musimy się tam znaleźć oboje razem i to natychmiast! — Krzyknął przeraźliwie i chwycił ją oburącz. Ale w tejże chwili cofnął prawą rękę, gdyż uczył straszliwe ukąszenie.

— Pokaże się, czy muszę zrobić, co chcesz! — zawołała, odtrącając go od siebie. — Pokaże się, czy jestem w twojej mocy! — To rzekłszy, skoczyła z łodzi i znikła momentalnie w głębinie.

Wypłynęła zaraz na powierzchnię. Spódnica owinęła się wkoło jej ciała, włosy, rozplecione przez fale, splotywały po karku. Silnie pracowała ramionami, kierując się w stronę wybrzeża. Nagły strach obezwładnił go i odebrał zmysły. Stał w barce, pochylony naprzód, ze wzrokiem tępo w nią utkwionym, jakby patrzył na cud. Potem wstrząsnął się, pochwycił wiosła i pchnął łódź z całą siłą w jej kierunku, nie bacząc, że krew spływa ze skaleczonej ręki, barwiąc dno łodzi.

Mimo że dziewczyna płynęła szparko, za chwilę znalazł się u jej boku.

— Na Madonnę, błagam cię — zawołał — wróć do łodzi! Byłem szaleńcem. Bóg wie, co mi omroczyło zmysły. Piorun spadł z nieba, mózg mi poraził i nie wiedziałem, co czynię i mówię. Nie chcę nawet, byś mi przebaczyła, Laurello, pragnę tylko ocalić twoje życie. Wracaj do łodzi!

Płynęła, jakby nie słyszała słów jego.

— Nie dopłyniesz, bo jeszcze dwie mile do brzegu! — zawołał znowu. — Wspomnij swoją matkę. Umarłbym z przerażenia, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście.

Zmierzyła spojrzeniem odległość wybrzeża, potem, nie odpowiadając wcale, skierowała się ku barce i chwyciła się jej rękami. Wstał, by jej pomóc. Kaftan jego, leżący na ławce, zsunął się w wodę w chwili, gdy łódź, obciążona jednostronnie ciężarem wsiadającej dziewczyny, pochyliła się na bok. Laurella wspięła się zręcznie i po chwili zajęła poprzednie swe miejsce. Widząc, że jest bezpieczna, chwycił za wiosła, ona zaś wyciskała wodę z odzieży i włosów. Spojrzenie jej padło na dno łodzi i zobaczyła krew. Rzuciła szybko oczyma na jego rękę, władającą wiosłem, jakby wcale nie była skaleczona.

— Masz! — rzekła, podając mu chustkę.

Potrząsnął tylko głową i wiosłował dalej. Wstała, przystąpiła do niego i przewiązała mu rękę, w której była głęboka rana. Potem wzięła mimo oporu jedno wiosło, siadła naprzeciw i nie patrząc nań, lecz na okrwawione wiosło, dopomagała silnymi pchnięciami pędzić barkę. Oboje byli bladzi i niemi. Gdy się zbliżyli do wybrzeża, napotkali rybaków, zakładających na noc sieci. Wołali Antonina i przekomarzali się z Laurellą. Żadne jednak nie odpowiadało słowem.

Słońce stało dość wysoko jeszcze nad Procida<sup>23</sup>, kiedy dotarli do przystani. Laurella wyglądała, jak mogła, sukienkę, która niemal całkiem wyschła na morzu, i wyskoczyła na brzeg. Stara babunia, która patrzyła rano na ich odjazd, stała znowu z wrzecionem na płaskim dachu.

— Cóż ci to w rękę, Tonino? — spytała. — Jezus, Maria, w barce krew!

— To nic, *comare*<sup>24</sup> — odparł chłopak — skaleczyłem się o sterczący gwóźdź. Jutro będzie po wszystkim. Ta przekłeta krew tryska z byle przyczyny i wszystko zaraz wygląda gorzej, niż jest naprawdę.

— Przyłożę ci ziół, *comparello*<sup>25</sup> — powiedziała. — Czekać, idę już!

— Nie trudźcie się, *commare!* Rana przewiązana, a jutro śladu po niej nie będzie. Mam zdrowe ciało i wszystko goi się w okamgnieniu.

— *Addio*<sup>26</sup>! — powiedziała Laurella i zwróciła się ku ścieżce, wiodącej w górę.

— Dobranoc! — odkrzyknął, nie patrząc na nią wcale. Potem wyniósł z barki narzędzia oraz puste kosze i poszedł kamiennymi schodami ku swojej chacie.

\*

<sup>23</sup> *Procida* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol; także wyspa na Morzu Tyrreńskim. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *commare* a. *comare* (wł.) — kum, kuma. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup> *comparello* a. *compare* (wł.) — kum. [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup> *addio* (wł.) — żegnam, żegnaj. [przypis edytorski]

Nie było nikogo w dwu stancyjkach, po których się przechadzał. Przez otwarte okienka, na noc tylko okiennicami zawierane, płynął wiew rzeświejszy niż na morzu. Czuł się dobrze w samotności. Przez chwilę wpatrywał się z nabożeństwem w obrazek Matki Boskiej, otoczonej glorią gwiazd z posrebrzanego papieru, ale mu nie przyszła do głowy żadna modlitwa. O cóż miał prosić i za co dziękować, utraciwszy całą nadzieję?

Dzień stanął, zda się. Tęsknił za ciemnością, czuł bowiem wielkie znużenie, a utrata krwi była dotkliwsza, niż mu się zrazu wydawało. Ręka bolała go bardzo, toteż, usiadłszy na stołku, zdjął opatrunek. Zatomowana uciskiem krew popłynęła znowu, a wokół rany ukazała się puchlina. Obmył ją starannie i długo chłodził wodą. Wydobywszy rękę z wody, ujrzał ślady zębów Laurelli. Przyznał, że postąpiła dobrze, gdyż zachował się jak dzikie zwierzę. Postanowił odesłać chustkę nazajutrz przez Giuseppa, sam zaś nie chciał jej się pokazywać na oczy. Wyprał chustkę starannie i rozłożył na słońcu, założywszy wprzód na ranę świeży opatrunek przy pomocy lewej ręki i zębów. Potem rzucił się na łóżko i zamknął oczy.

Promień księżycy zbudził go z półsnu. Jednocześnie uczył ból w ręce. Zerwał się, chcąc uspokoić zimną wodą pulsowanie krwi, gdy nagle posłyszał szmer u drzwi. Spytał, kto to, i otwartwszy zobaczył przed sobą Laurellę.

Weszła, nie pytając o nic. Zdjęła chustkę, którą osłoniła w drodze głowę, i postawiła na stole mały koszyczek. Potem odetchnęła głęboko.

— Przychodzisz pewnie po chustkę — powiedział — ale mogłaś sobie oszczędzić trudu, bo postanowiłem zaraz jutro rano prosić Giuseppa, by ci ją odniósł.

— Nie przyszłam po chustkę! — odparła żywo. — Byłam w górach po zioła tamujące krew! Przyniosłam je. — Rzekłszy to, podniosła pokrywkę koszyczka.

— Zbyt wieleś sobie zadała trudu — powiedział zgoła bez goryczy. — Już mi lepiej, dużo lepiej! A gdyby nawet było gorzej, to słusznie by mi się to należało. Po cóżeś przyszła tutaj nocą? Może ktoś zobaczyć. Wiesz, jak ludzie plotkują, chociaż nie mają powodu.

— Nic sobie z nich nie robię! — wybuchnęła. — Dajże rękę, muszę przyłożyć zioła, bo lewą nie zdołasz tego zrobić.

— Mówię ci, że to zbyteczne.

— Pokaż tedy, bym się przekonała.

Wzięła rękę, która nie mogła się bronić, i odwiązała opaskę. Ujrawszy puchlinę, wstrząsnęła się i mimo woli krzyknęła: — Jezus, Maria!

— Trochę napuchło! — powiedział. — Ale w ciągu jednego dnia i nocy wszystko minie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przez tydzień nie będziesz mógł wiosłować.

Przyniosła miskę i na nowo przemyła ranę, czemu się poddał jak dziecko. Potem przyłożyła zioła, które złagodziły palący ból, i przewiązała ranę czystym płótnem, także przyniesionym.

Gdy wszystko było skończone, Antonino powiedział:

— Dziękuję ci. Uczyni mi łaskę, przebac to szaleństwo, jakiego się dziś dopuściłem, i zapomnij o wszystkim, com mówił i czynił. Sam nie wiem, jak się to stało. Nie dałaś nigdy powodu do tego, naprawdę nigdy. Odtąd nie doznasz z mej strony niczego, co by ci być mogło przykre.

— To ja winnam cię przeprosić! — powiedziała żywo. — Trzeba ci było wszystko wyjaśnić dokładnie i wyraźnie, nie zaś doprowadzać do wzburzenia milczeniem. W dodatku ta rana...

— Broniłaś się przed niebezpieczeństwem i przez to zresztą w ostatnim momencie odzyskałem zmysły. Jak wspomniałem, jest to drobnostka. Nie mów o przeprosaniu. Dobrze się stało. Idźże teraz spać... a zabierz sobie także swą chustkę.

Podał jej chustkę, ona jednak nie ruszyła się z miejsca. Walczyła ze sobą. Po chwili rzekła:

— Straciłeś także kaftan, a wiem, że były w nim pieniądze za sprzedane pomarańcze. Przyszło mi to na myśl, gdy wracałam do domu. Nie mogę ci ich zwrócić, gdyż nie mamy nic, a gdyby nawet były pieniądze, to potrzebne są matce. Ale mam srebrny krzyżyk, który malarz za ostatnią bytnością położył mi na stole. Nie brałam go do ręki i nie chcę go dłużej

Bieda, Kondycja ludzka,  
Pozycja społeczna, Pieniądz

chować w szkatułce. Sprzedaj go, a kilka piastrow, jakie dostaniesz, wyrówna po części stratę. Resztę postaram się zarobić nocami przedzeniem, gdy matka zaśnie.

— Nie wezmę niczego! — powiedział twardo, odsuwając błyszczący krzyżyk, który dobyła z kieszeni.

— Musisz go wziąć! — zawołała. — Długo nie będziesz mógł pracować chorą ręką. Masz, weź, ja nań patrzeć nie chcę.

— Rzuć go w morze.

— To nie jest żaden podarek. Słusznie ci się należy wynagrodzenie poniesionej straty.

— Nic mi się od ciebie nie należy. Gdybyśmy się jeszcze mieli spotkać, proszę cię, nie patrz na mnie, bo to by mi przypominało moją winę. No, a teraz dobranoc, idź już do domu.

Włożył do koszyka chustkę i krzyżyk i nakrył wieczkiem. Spojrzawszy potem w jej twarz, przeraził się. Wielkie, ciężkie lzy toczyły się po jej policzkach. Nie starała się ich nawet powstrzymać.

— *Maria santissima!* — zawołał. — Czyś chora? Drżysz na całym ciecie.

— To nic! — odrzekła. — Idę już!

Postąpiła chwiejnie ku drzwiom. Ale płacz ją obezwładnił, oparła czoło o ścianę i lkała głośno i gwałtownie. Zanim zdołał przystąpić i podtrzymać ją, obróciła się nagle i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Nie mogę znieść, byś do mnie tak mówił! — zawołała, przyciskając się doń i czepiając się go, jak konający czepia się życia. — Nie mogę odejść z taką winą na sumieniu. Bij mnie, kop, przeklinaj! Albo jeśli po tym wszystkim, com ci zrobiła, kochasz mnie jeszcze, weź mnie, zrób, co ci się podoba, uczyni mnie swą kochanką, tylko mnie nie wypędzaj od siebie!

Wybuchnęła ponownie straszliwym łkaniem.

Trzymał ją przez chwilę bez słowa w ramionach, potem zawołał:

— Czy cię jeszcze kocham? Sądzisz, że przez tę małą ranę spłynęła cała krew z mego serca? Nie czujesz, jak tętni to serce moje, pożądając ciebie? Jeśli tak mówisz, by mnie doświadczyć, lub jeśli to czynisz przez litość, to idź, a ja spróbuję i to jeszcze zapamięć. Nie sądz, że jesteś moją dłużniczką dlatego, że cierpię przez ciebie.

— Nie! — powiedziała, podnosząc głowę z jego ramienia i spoglądając mu poważnie w oczy. — Kocham cię od dawna, tylko bałam się tego uczucia i chciałam je przetrwać. Teraz stanę się inna, nie wytrzymam, by nie spojrzeć na ciebie, gdy się spotkamy na ulicy. Pocałuję cię teraz, byś mógł, czując wątpliwość, powiedzieć sobie: pocałowała mnie, a Laurella całuje tylko tego mężczyznę, którego chce mieć mężem.

Pocałowała go trzy razy, potem zaś wysunęła się z jego ramion i powiedziała:

— Bądź zdrow, ukochany mój. Połóż się teraz spać i lecz swą rękę. Nie odprowadzaj mnie, bo nie boję się nikogo prócz ciebie.

Powiedziawszy to, wymknęła się i znikła w cieniu muru, on zaś wyglądał długo jeszcze oknem na morze, ponad którym połyskiwały gwiazdy, drżąc jakby i chwiejąc się.

*Padre curato*, wychodząc następnym razem z konfesjonału, przy którym długo klęczała Laurella, uśmiechnął się i powiedział do siebie:

„Któż by pomyślał, że Bóg tak rychło ulituje się nad tym biednym i dziwnym sercem. Czyniłem sobie wyrzuty, że Bóg nie zwalczał w niej silniej demona uporu. Ale oczy nasze nie zdolają przeniknąć dróg boskich. Niechże ją Pan ma w swej opiece, a mnie pozwoli doczekać, by mnie kiedyś najstarszy syn Laurelli w zastępstwie ojca wiozł jego barką po morzu. Aj... aj... aj... *L'Arrabiata!*”.

## Hafciarka z Treviso

Już trzeci dzień padał deszcz. Drogi leśne i ogrodowe dookoła dworku wiejskiego zamieniły się w potoki. Pierwszego i drugiego dnia towarzystwo zebrane we dworze siliło się na

Łzy

Miłość, Pocałunek, Miłość  
spełniona

dobry humor, urzędowało wesołe gry i zabawy. Z chmur lały się strumienie deszczu, zaś w wielkim salonie o pięciu oknach padały żarty, huczał śmiech, fruwały dowcipy.

Lecz trzeciego dnia owładnęło nawet najwytrzymalszych przeświadczenie, że przecież niepogoda okaże się konsekwentniejsza niż postanowienie wytrwania w pogodnym humorze. Wprawdzie nikt nie ośmielił się postąpić wbrew ślubowi przedwczoraj złożonemu, by ten dopust boży znieść wspólnie; nikt zatem nie wykradł się do swego pokoju celem oddawania się w samotności kontemplacji — ale iskra zapału i humoru zgasła. Ustały wspólne gry i zabawy, rozmowy i żarty, zwłaszcza od chwili, gdy profesor, podający się za wyśmienitego meteorologa, obwieścił fatalną wiadomość: oto zamiast tęsknie wyczekiwanego znaku na barometrze „Wypogodzenie!”, dalsze opadanie słupka rtęci... Profesor wystarał się o drugi barometr i oddawał się głębokim studiom nad dziwnym faktem, że oba aparaty były zupełnie niezgodne w swych prorocत्वach. Żona jego w milczeniu malowała już szóstą lilię wodną na szarym arkuszu papieru; przy sąsiednim stoliku pani Helena ustawiała właśnie figury celem rozegrania siódmej rewanżowej partii szachowej; w kącie siedziała pani Anna obok kołyski swego dziecka; odpędzała wachlarzem muchy, natrętnie okrążające twarzyczkę niemowlęcia, i ze starego kalendarza, rozłożonego na kolanach, wyczytywała zagadki i szarady. Młody lekarz, grający w szachy z panią Heleną, chciał skorzystać z pauzy, by opowiedzieć anegdotę, jednak po kilku słowach przerwał, gdyż przypomniał sobie, że już wczoraj ją opowiedział. Mąż pani Anny, stosując filozoficzną zasadę, że wszystkie dolegliwości duchowe znosi się najłatwiej, jeżeli ciało znajduje się w położeniu poziomym, wyciągnął się jak długi na skórzanej otomanie<sup>27</sup> i przyglądał smugom dymu, unoszącym się z cygara ku sufitowi, i misternym kółeczkom, które mu się niekiedy udawało wypuszczać z ust.

Gdy wszyscy czynili przeróżne próby, by jakoś pogodzić się z losem i opanować nudę — jeden tylko z obecnych miał minę beztroską, pogodną, niemal rozradowaną. Był to człowiek średniego wieku, który od przeszło pół godziny spacerował po sali. Czasami przystawał na chwilę to obok stolika, na którym umieszczona była szachownica, to obok kołyski, w której niemowlę słodko spało. Kroczył zresztą wzdłuż sali tam i z powrotem z taką miną, jakby przebrzydła pogoda i przymusowe więzienie wcale go nie obchodziły. Widoczne było, że myślami ucieka od środowiska, w którym się właśnie znajdował, w jakąś dal, że bawi w kraju swych wspomnień lub też wybiega wyobraźnią hen, daleko w przyszłość.

— Cóż się z panem dzieje, panie Eminus? — zapytała pani Eugenia, która właśnie wróciła z gospodarczej ekskursji<sup>28</sup> do kuchni i spiżarni. — My wszyscy mamy wyraz twarzy dostosowany do dzisiejszego przebrzydłego dnia, a na twarzy pana maluje się taka pogoda, jak gdyby pan się potajemnie zaręczył lub uwolnił od bólu zęba, który męczył pana przez dwadzieścia cztery godziny. Proszę się natychmiast wypowiedzieć! Bo jeśli pan tego nie uczyni, będę przekonana, że cieszy się pan złośliwie naszą niedolą. Przyjechał pan na wieś, aby przesiadywać w pokoju i ślepczyć nad książkami. Więc może raduje pana myśl, że i nas, łaknących powietrza, łąki, lasu, słońca, ten ohydny deszcz zmusza do przebywania w czterech ścianach salonu.

— Mogę panią uspokoić, droga przyjaciółko. Tym razem nie złośliwość powoduje mój dobry humor. Również wszystkie inne hipotezy pani są, chwała Bogu, nieuzasadnione. Wszak nie miałbym pogodnej miny, gdybym po przeżyciu tylu lat na wolności zamierzał na stare lata stać się pantoflarzem. A to tym bardziej, że wszystkie tu znajdujące się pantofelki mają na szczęście już swego właściciela. Mimo fatalnych okoliczności, w jakich od dwóch dni znaleźliśmy się, jestem pogodnie usposobiony ze zgoła innego powodu. Oto dziś rano, grzebiąc w starych papierach, przypadkowo natknąłem się na

Książka

pożółkły rękopis, zawierający tak precudowną historię, że dotychczas pozostają pod jej urokiem.

— Historię? I w dodatku precudowną? — rzekła pani profesorowa. — Proszę ją natychmiast opowiedzieć! Czyż nie wprowadziliśmy na czas deszczu prawa „wymiany myśli”? A pan chciałby swoją precudowną historię dla siebie zachować? To byłaby dopiero piękna historia!

<sup>27</sup>otomana — niska kanapa z miękkim oparciem. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>ekskursja (daw.) — wycieczka, wyprawa. [przypis edytorski]

— A może się nie spodoba — rzekł Eminus. — Mnie bowiem wiele historii się nie podoba, które obecnie cieszą się powodzeniem. Powiedziałem sobie też już od dawna: masz staroświeckie gusta i nie jesteś człowiekiem postępowym. Ostatecznie, jako historyk z zawodu, nie martwię się tym zbytnio. A może właśnie źródła historyczne, z których czerpię, zozydżyły mi owe „historie”, które się obecnie pisze, a co gorsza, chwali. Bo też zbyt wielka jest przepaść między prostotą starej kroniki średniowiecznej a stereoskopijną<sup>29</sup>, fotograficzną sztucznością współczesnej noweli. Tam wszystko z gruba ciosane, materiał twardy, ciężko się poddający, tu wszystko gładkie, przystosowane, wylizane i wypoliturowane, przestylistowane, tak że często psychologiczne finezje przesłaniają zupełnie widok na ludzi, o których mowa w takiej noweli. Ja natomiast wciąż jeszcze po staremu stoję na stanowisku, że w każdej historii najważniejszą rzeczą jest — historia. Nie sama tylko forma, lecz treść, opowieść, fabuła. Lepiej czy gorzej opowiedziana, o to mniej dbam. Jeśli to, co się rzeczywiście stało lub zostało przez jakiegoś fantastę wymyślone, wywiera na mnie wrażenie, wcale mi wówczas nie zależy na stylistycznych tak zwanych subtelnościach. Ale wy, moderniści — i tu spojrział sarkastycznie na grającego w szachy i na wyciągniętego na kanapie — wolicie, jeśli wam się jakiś temat obwiesi przeróżnymi ozdóbkami, choćby nawet bez tych obwieszek był piękniejszy.

— Każdy czas ma swoje mody i swoje stroje, i ozdoby — dobiegł głos z otomany.

— Każdy czas przeżywa i opowiada historie po swojemu — doleciał głos z nad szachownicy. — Póki istniało prawo pięści, historie opowiadane przez współczesnych były, że się tak wyrażę, bardziej konkretne, od Achilleśa<sup>30</sup> po rycerza z La Manchy<sup>31</sup>. Potem życie bardziej się uduchowiło, toteż nie można go było opisywać tylko wedle zewnętrznych doznań, faktów. Nie wystarczają nam same tylko zarysy i nieco tła, odrobina światła i cienia. Chcemy widzieć pełnię barw, najlżejsze półtony. Strona uczuciowa, motywy psychologiczne nie są nam zgoła obojętne.

— Tak, tak — rzekł Eminus — wiem o tym, że hasłem obecnych opowiadaczy „historii” jest: mało ciała, dużo sentymentu. Ale ja jestem zwolennikiem niesentymentalnego średniowiecza. Toteż wolę zachować dla siebie opowieść, którą dziś z rana przeczytałem, bo nie stosuje się ona do dzisiejszej mody beletrystycznej, nie jest upstrzona i ubarwiona modnymi kolorami. Lękam się zresztą, że nasze damy gotowe się zgorszyć jej treścią, choć ja uważam ją za zupełnie moralną.

— O gorszenie dam nie ma obawy — rzekła pani Eugenia. — Znając pana wiem, że w zapewnieniu o moralności pańskiej opowieści można śmiało wierzyć.

— Tym bardziej, że nie ma między nami ani jednej panny — uzupełniła pani Helena.

— Z wyjątkiem dziewicy w kołysce — dodała pani Anna — ale spodziewam się, że ta przymknie oko i nie zgorszy się pańskim opowiadaniem.

— Wobec zapewnień szanownych pań — rzekł Eminus — mógłbym się zdobyć na odwagę odczytania mego rękopisu. Ale nie wiem, czy to, co mi się bardzo podobało, gdy w samotności odczytywałem, zyska uznanie tak subtelnych, wytrawnych ludzi jak zebrani tu towarzysze niedoli, wywołanej kapryśną aurą. Bowiem stary kronikarz, z którego bez wszelkich pretensji, tylko dla własnej przyjemności odpisałem tych kilka kartek, nie był wcale poetą jak Boccaccio<sup>32</sup> i jemu współcześni. Choć sądząc z tej historii, może byłby się nim stał.

— Dość już tych wstępów! — rzekł profesor. — Pańskiej historii w najgorszym razie przytrafić się może, że gdyby jeszcze przez czternaście dni potrwał deszcz, stałaby się dla zebranych tu poetów tematem do napisania tragedii lub też komedii i, nie ujrawszy światła kinkietów, utonąła w pyle zapomnienia w jakiejś bibliotece teatralnej.

— A więc w imię boże! — westchnął Eminus i poszedł do swego pokoju po rękopis.

Wkrótce powrócił z teką pod pachą. Wyjął z niej zeszyt i wyjaśnił, siadając obok okna:

<sup>29</sup>stereoskopijny a. stereoskopowy — dający wrażenie trójwymiarowości, plastyczny. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Achilles (mit. gr.) — heros i bohater wojny trojańskiej. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>rycerz z La Manchy — Don Kichot, bohater powieści Miguela de Cervantesa (1547–1616) *Don Kichot z La Manchy* z 1605 roku. Archetypowy błędny rycerz, broniący najsłabszych. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Boccaccio, Giovanni (1313–1375) — pisarz włoski, autor dzieła *Dekameron*; twórca nowożytniej nowelistyki. [przypis edytorski]

— Zeszyt ten zapisałem przed dwudziestu laty. Studiowałem wówczas dzieje miast lombardzkich<sup>33</sup> i przybyłem do Treviso<sup>34</sup>, by w archiwum miejskim i bibliotekach klasztornych czynić poszukiwania. Niestety w Treviso niewiele znalazłem potrzebnego mi materiału. Tylko u dominikanów<sup>35</sup> w San Nicolò<sup>36</sup> wykryłem dziwną kronikę z końca XIV stulecia, za którą byłbym chętnie poczciwym mnichom zapłacił w złocie wszelką zażadaną przez nich kwotę. Nie zgodzili się jednak na sprzedaż. Zezwolili, bym w obecności jednego z braciszków w chłodnym refektarzu<sup>37</sup> odpisał z kroniki, co uważam za potrzebne do swych studiów. W tej to kronice znalazłem

Historię o jasnej Giovannie

Rozgrywa się ona w pierwszej ćwierci XIV stulecia. Wówczas to rozgorzały gwałtowne walki między miastem Treviso a sąsiednią Vicenzą<sup>38</sup>. Przyczyny tych sporów były blahe, nikłe; polegały głównie na zazdrości wybitnych obywateli obu miast; walki miały — jak to często działo się w wiekach średnich, a zwłaszcza w miastach i państwach włoskich — tło osobiste.

Vincenza wezwała Wenecję<sup>39</sup> na pomoc. Niespodzianym atakiem opanowała najpierw zamek San Salvatore di Collalto<sup>40</sup>, a potem samo miasto Treviso, ukorzyła je i, zgarnawszy bogate łupy i pobrawszy licznych jeńców, stała się panią Treviso.

Gdy wieść o tym dotarła do Mediolanu<sup>41</sup>, przejął się nią głęboko szlachetny młodzian, Attilio Buonfigli, syn poważanego obywatela z Treviso i bratanek gonfaloniera<sup>42</sup>, Marka Buonfigliego. Bawił on od lat chłopięcych w Mediolanie, w domu pana Mateusza Viscontiego. Był paziem<sup>43</sup>, potem giermkim<sup>44</sup> tego rycerza, a wówczas gdy Vicenza opanowała Treviso, liczył lat dwadzieścia i był mistrzem w kunszcie rycerskim. Gdy się dowiedział o nieszczęściu, jakie spotkało jego miasto ojczyste, uczynił ślub, że nie zdejmie wprzód pancerza, aż pomści hańbę, zadaną ukochanej ojczyźnie. Uprosił swego pana, by go na jakiś czas zwolnił ze służby, i wraz z kilkoma doskonale uzbrojonymi i równie krewkimi przyjaciółmi opuścił bramy Mediolanu. Że zaś w służbie u rycerza Viscontiego zasłynął w całej okolicy i miał wszędy wielki mir<sup>45</sup>, przybywały doń z różnych stron rzesze żądnych awantur młodzieńców, którzy, dowiedziawszy się o jego zamierzeniach, ślubowali mu wierność jako swemu kondotierowi<sup>46</sup> i godzili się pójść z nim, dokądkolwiek i przeciw komukolwiek by ich zaprowadził.

Gdy zebrał tak liczny orszak, iż mógł spodziewać się stawić czoło nie tylko wojskom Vicenzy, lecz również i Wenecji, wysłał gońca do Treviso, aby uwiadomił gonfaloniera, a też i ojca, że tego a tego dnia zjawi się pod murami Vicenzy, by ukarać miasto. Wówczas niechby i rycerze z Treviso przybyli do Vicenzy, dołączyli się do jego wojsk i z pomocą Boga dopomogli do ugięcia karku niecnego wroga.

Tak też stało się. Przygotowania były poczynione tak roztropnie i ostrożnie, że młodemu Attiliowi udało się wespół z rodakami swymi w zażartej bitwie nad rzeczką Bacchiglione<sup>47</sup> pobić na głowę obrońców Vicenzy.

<sup>33</sup>Lombardia — kraina historyczna i region administracyjny w pln. Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Treviso — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Wenecja Euganejska. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>dominikanie — katolicki zakon męski, założony w 1216 roku. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>San Nicolò — kościół z XIII wieku, znajdujący się w Treviso. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>refektarz — jadalnia w klasztorze lub seminarium duchownym. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Vicenza — miasto i gmina w pln.-wsch. Włoszech, w regionie Wenecja Euganejska, w prowincji Vicenza. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Wenecja — miasto i gmina na północy Włoch nad Adriatykiem, stolica regionu Wenecja Euganejska. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>San Salvatore di Collalto — ufortyfikowana budowla w prowincji Treviso. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Mediolan — miasto i gmina w pln. Włoszech, stolica prowincji Mediolan i regionu Lombardia. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>gonfalonier — w średniowiecznych republikach włoskich wysoki urzędnik, sprawujący naczelną władzę w mieście. [przypis redakcyjny]

<sup>43</sup>paż — chłopiec ze szlacheckiego rodu, pełniący służbę na dworze. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>giermek — młodzieniec, pełniący służbę przy rycerzu. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>mir — tu: szacunek, poważanie. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>kondotier — dowódca oddziałów wojsk najemnych od XIV do XVI wieku w służbie miast lub dworów książęcych we Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Bacchiglione — rzeka w pln. Włoszech. [przypis edytorski]

Karta tedy się odwróciła i w mieście Treviso zapanowała taka radość i entuzjazm, jaki przed kilku miesiącami roznamiętniał umysły mieszkańców Vicenzy.

Jedno tylko mąciło pogodny nastrój. Młody zwycięzca został w bitwie ciężko ranny w szyję. Przez szereg dni życie jego wisiało na włosku. Ojciec i matka pielęgowali go w podbitym mieście, w domu należącym do jednego z najwybitniejszych obywateli, pana Tullia Scarpai. Syn pana Scarpai, Lorenzaccio, należał do najzacieklejszych wrogów Treviso. Toteż póki ranny zwycięzca bawił w domu jego rodziców, nie przestąpił progu ojcowskiej siedziby. Natomiast wcale przyjaźnie, a raczej wzrokiem pełnym miłości, darzyła Attilia, mimo że był wrogiem jej miasta ojczystego, jedyna córka Scarpai, Emilia. Gdy to zauważyli rodzice, i to zarówno Attilia jak i Emilia, doszli do przekonania, iż przez połączenie dwu tak wybitnych i tak wielkie wpływy mających rodzin można by położyć kres wieloletnim waśniom obu miast, zamienić zawiść w przyjaźń. Gdy rana Attilia poczęła się szczęśliwie goić, w pewnej godzinie poufnych zwierzeń matka przemówiła na ten temat do syna i zaproponowała połączenie się ślubem z Emilią. Attilio nie miał nic przeciw temu, bowiem serce jego było zupełnie wolne, nikim innym niezajęte, a młoda Emilia była uroczą panną. Lecz w głębi duszy przecieżyło mu, iż ma pojąć za żonę obywatelkę znienawidzonego miasta. Toteż po zaręczynach, które się solennie odbyły, trzymał się z dala od dziewczyny. Najchętniej byłby zerwał zaręczyny, gdyby się nie obawiał, że wmiecha w kielkujący posiew pokoju chwasty nowych sporów i walk.

Minęło kilka tygodni. Wreszcie chirurg oświadczył, że ozdrowieniec może bez wszelkiego niebezpieczeństwa dla zdrowia wsiąść na koń, nosić lancę<sup>48</sup> i tarczę, powinien natomiast przez pewien czas powstrzymać się od noszenia żelaznego hełmu, by nie uciskać blizny na szyi. Postanowiono zatem wrócić do Treviso. W kilka tygodni potem miała tam przybyć narzeczona z rodzicami, gdyż wyzwolone z hańbiącego poddaństwa miasto postanowiło wyprawić swemu szlachetnemu synowi i zbawcy świetne wesele. Poczciwi obywatele Treviso również i w czasie, który Attilio, złożony niemocą, spędził w Vicenzy, nie zapomnieli o nim; młodemu, umiłowanemu obywatelowi przygotowali przyjęcie, jakiego chyba najpotężniejszy książę nigdy nie zaznał.

Między дарami honorowymi, którymi miasto zamierzało uczcić Attilia, był również i sztandar. Miał go bohaterowi wręczyć w imieniu rady miejskiej własny stryj. Sztandar był arcydziełem sztuki. Drzewce z dębiny, mające dziesięć stóp długości, było ozdobione srebrnymi okuciami, wysadzone rubinami, miało ostrze pokryte szczerym złotem, tak że odwrócić trzeba było oczy, gdy jaśniało w słońcu. Z tego drzewca zwisała ciężka bandera<sup>49</sup> z brokatu srebrem tkanego, na którym wyhaftowany był złoty gryf, herbowy ptak rodziny Buonfigli, trzymający w dziobie czerwonego węża, tak misternie wijącego się, iż czynił wrażenie niemal prawdziwego gada. Nad gryfem znajdował się czerwonym jedwabiem haftowany napis łaciński: „Nie lękaj się, bowiem wyzwolę cię”.

To arcydzieło powstało w przeciągu sześciu tygodni rekonwalescencji Attilia; pochodziło ono z rąk pewnej dziewicy, której zręczność w sporządzaniu podobnych haftów ze złotych, srebrnych i jedwabnych nici była powszechnie znana i ceniona. Zwano ją Gianna la Bionda<sup>50</sup>, to jest jasna Giovanna, bowiem miała włosy jakby szczerozłote nici. A miała tak bujne, obfite pukle, iż śmiało mogłaby z nich utkać chorągiew kościelną dla Przenajświętszej Pani w kaplicy Di San Sebastiano<sup>51</sup>. Jednak ścięła te precudne włosy na znak żałoby, gdy jej narzeczony, nazwiskiem Sebastian, piękny i dzielny młodzieniec, na kilka tygodni przed wyznaczonym już terminem ślubu zmarł na ospę. Wówczas liczyła dopiero osiemnaście lat. Była odtąd celem tajnych pożądań i jawnych konkurów. Ludzie mówili: zanim jej włosy odrosną, będzie miała z pewnością drugiego narzeczonego. Gdy takie słowa słyszała, nie odpowiadała ani tak, ani nie, jeno<sup>52</sup> spokojnie haftowała dalej, jak człowiek, który nie troszczy się więcej o sądy świata. Żyła też odtąd tak, jakby wraz z ofiarowaniem swych włosów Madonnie ślubowała wieczne dziewictwo i żaden męż-

Zaręczyny, Wróg, Konflikt  
wewnętrzny

Kobieta, Poświęcenie,  
Żałoba, Piękno

<sup>48</sup>lanca — broń kawalerska, składająca się z metalowego grotu, osadzonego na długim drzewcu. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>bandera — flaga. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>bionda (wł.) — blondynka. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>kaplica Di San Sebastiano — prawdopodobnie kaplica w kościele parafialnym San Pietro di Feletto, w prowincji Treviso. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>jeno (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

czynna nie miał nigdy dotknąć pukli, które z wolna odrastały. Sądono powszechnie, że pójdzie do klasztoru, bowiem najchętniej haftowała suknie duchowne, paramenty<sup>53</sup>, kapy na ołtarze i stroniła od wszelkich zabaw publicznych, uroczystości, balów. Lecz również i pod tym względem nie ziszcila tego, co przepowiadano. Nie poszła do klasztoru, lecz po śmierci swych rodziców zamieszkała w małym domku, przylegającym do murów miasta. Roztaczał się stąd przepiękny widok na żyzne pola, przez które przepływały rzeczulki Piavesella<sup>54</sup> i Botteniga<sup>55</sup>. Tu mieszkała ze swą starą, ogłuchłą mamką przeszło dziesięć lat i nikt nie przestępował progę domku, chyba czasem jakaś sąsiadka lub wytworna dama z miasta, przychodząca zamówić haft. Niekiedy widziano też pewnego księdza, jak ujmował za kołatkę wiszącą u drzwi. Wówczas wzywała mamkę do izby, w której przyjmowała odwiedziny; w ten sposób zapobiegała wszelkim obmowom i plotkom. Chociaż igłę z ręki wypuszczała tylko w dni świąteczne i w ogóle niewiele dbała o swój zewnętrzny wygląd, jednak zachowała taką piękność, iż gdy spacerując ze swą starą piastunką w niedzielę w pobliskim gaju spozrzała czarnymi oczyma, obramionymi jasnymi rzęsami, każdy, na kogo wzrok jej padł, przystawał jakby oczarowany i długo się za nią oglądał. Toteż wciąż jeszcze czyniono jej wielce zaszczytne propozycje, by poślubiła zamożnych i poważnych kandydatów. Lecz wszystkim udzielała jednakiej odpowiedzi: życie, które obecnie prowadzi, zbyt jest jej miłe, by je chciała zamienić na inny sposób bytowania.

Liczyła już trzydziesty drugi rok życia, gdy wybuchła wojna między Treviso a Vincenzą. Jako wierna córka ojczyzno miasta odczuwała boleśnie niedolę i klęski zadane mu przez Vincenzę, zaś z wielkim przejęciem i radością powitała wyzwolenie, dokonane silnym ramieniem młodego rodaka. Nigdy go na oczy nie widziała, lecz uważała wprost za zesłańca niebios. Nigdy radośniej nie podjęła się roboty i nigdy pracowniej i misterniej jej nie wykonała jak wówczas, gdy rada miejska powierzyła jej wyhaftowanie sztandaru, który wręczyć miano bohaterowi podczas triumfalnego wjazdu do miasta; a gdy dzień ów nadszedł i wszyscy, którzy nie byli złożeni ciężką niemocą, wylegli na ulice, zajmując miejsca w bramach, oknach, ba, nawet na dachach, by Attilia Buonfigliego powitać okrzykami radości i miłości, obsypać kwiatami — również i jasna Gianna nie została w domu. Postarała się o miejsce na ozdobionej dywanami trybunie przed gmachem rady miejskiej, by z bliska przypatrzeć się bohaterowi; przybrała się w swój najlepszy strój: gorset ze srebrnego połyskującego jedwabiu, zdobiony bogato w niebieskie aksamitne ornamenty, spódnicę wełnianą jasnyniebieską; pukle włosów, stosownie do ówczesnego zwyczaju, miała przetykane licznymi wstążkami. Toteż gdy na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości u boku jednej ze swych sąsiadek szła ulicami miasta w stronę trybuny, budziła powszechny podziw. Wkrótce jednak uwaga tłumu skierowała się w stronę bramy wjazdowej, kędy<sup>56</sup> przybyć miał bohater. Część rady miejskiej udała się konno poza mury, by tam, w odległości pół mili od miasta, powitać bohatera i towarzyszyć mu podczas triumfalnego wjazdu. Gonfalonier wraz z resztą radców oczekiwał u bramy gmachu rady, przyozdobionego drogocennymi dywanami. Droga, wiodąca od drzwi gmachu rady miejskiej poprzez rynek do portalu katedry, wysłana była czerwonym sukniem.

Kto zdoła opisać prawdziwie cudowny, uroczysty widok, gdy wreszcie na czele świetnego orszaku Attilio na wspaniałym koniu wjechał na rynek, w stalowym pancerzu, z mieczem zwisającym u skórzanego pasa. Nie nosił hełmu, toteż widać było ciemne kędzierzawe pukle długich włosów. Po lewej stronie szyi czerwieniła się szeroka blizna. Twarz miał wciąż jeszcze bladą, utrudzoną, znaczoną stygmatem przeżytych cierpień. Lecz od czasu do czasu pojawiał się na tej twarzy lekki rumieniec, gdy rozglądając się wokół widział siwe głowy, pochylające się z szacunkiem przed jego zwycięską młodością, lub matki podnoszące w górę swe dzieci, by lepiej mogły dojrzeć wybawcę miasta.

Z wszystkich okien i dachów padał deszcz kwiatów, tak że postać Attilia czasem zniknęła jakby przesłonięta różnobarwnym welonem. Rumak jego, przywykły w walce do innych zwrotów, ruszał uszami i prycał, zaś wśród odgłosu dzwonów i radosnych okrzyków ludu rżał i wyrwał się z taką mocą, że Attilio musiał użyć wszystkich sił, by go utrzymać w karbach.

<sup>53</sup>paramenty — szaty kościelne, przybory mszalne, ozdoby ołtarza. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Piavesella — rzeka w prowincji Treviso. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>Botteniga — rzeka, biorąca początek w okolicach Treviso. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>kędy (daw.) — którędy. [przypis edytorski]

Strój, Piękno

Rycerz, Strój

Koń



Gdy nasz bohater dotarł wreszcie pod gmach rady miejskiej, zeskoczył z konia, ukląkł przed swym stryjem, otrzymał z rąk jego sztandar i ucałował rękę, która go takim świetnym darem wyróżniła. Gdy się uniósł z klęczek i właśnie zamierzał postąpić w stronę katedry, nagle przystanął jakby tknięty na ciele i duszy paralizem; niemal trzy minuty stał znieruchomiał, aż wróciła mu świadomość, gdzie się znajduje, i że wiele tysięcy oczu jest na niego skierowanych. Ujrzał mianowicie na trybunie twarz, która jakby zjawą z niw niebiańskich spłynęła na ten padół ziemski; wielkie czarne oczy z niedającym się opisać, na poły słodkim, na poły melancholijnym wyrazem wpatrywały się w niego... Cała krew zbiegła mu do serca; zbladł, jakby strzała przeszła mu piersi, i gdyby nie drzewce sztandaru, o które się oparł, byłby po raz wtóry, tym razem wbrew woli, padł na kolana. Ludzie, znajdujący się tuż obok niego, przypisywali przybladnięcie i niemal omdlenie niezupełnie jeszcze zagojonej ranie i przemęczeniu po długiej jeździe w skwarny dzień. Nikt nie przypuszczał prawdziwej przyczyny, tym bardziej że Attilio wkrótce się opamiętał, oderwał wzrok od cudownego zjawiska i ruszył w stronę katedry.

Za nim potoczył się tłum. Wkrótce trybuny się opróżniły. Ostatnia podniosła się z miejsca, i to dopiero na wezwanie swej sąsiadki, jasna Gianna. Wypatrywała młodzieńca, póki czarna głębia portalu nie pochłonęła jego smukłej postaci, podobnie jak oko towarzyszy śladom spadającej z nieba gwiazdy. Sąsiadka pragnęła pójść do katedry, by jak wszyscy inni wziąć udział w dziękczynnym nabożeństwie. Lecz Gianna oświadczyła, iż nie czuje się dobrze, bowiem zbyt długo siedziała na słońcu, i samotnie poszła w stronę domu. Podniosła z ziemi jeden z kwiatów, którymi ulica była wokół gęsto zasłana; był to czerwony goździk, stratowany kopytem końskim. Umieściła go w domu w szklance i pomyślała, co by też znaczyło, gdyby ten stratowany goździk jeszcze raz zakwitł. Stara mamka, która z wykusza<sup>57</sup> w murze miejskim przypatrywała się triumfalnemu wjazdowi, rozplywała się nad pięknnością Attilia, sławiła jego skromność, nazywała go nieśmiertelnym bohaterem, który już w tak młodych latach zyskał pełnię chwały, zaś z pewnością imię swego miasta ojczystego uczyni w przyszłości nie mniej sławnym niż Rzym<sup>58</sup> i Florencja<sup>59</sup>. Mówiła też o jego narzeczonej, której wszystkie kobiety zazdroszczą takiego szczęścia. Kłopotowała się, czy warta jest bohatera czy też, broń Boże, ma charakter podobny do swego brata, pana Lorenzaccia, który w Treviso, zwłaszcza u kobiet, pozostawił po sobie smutną pamięć.

Na to wszystko Giovanna nie odrzekła ani słowa. Ku wielkiemu zdumieniu staruchy zasiadła, jakby to był zwykły dzień roboczy, do krosienek i nie odrywała od nich oczu, chyba tylko niekiedy, by spojrzeć na kwiat w szklance. Również i po południu, gdy w mieście świętowano i zabawiano się, gdy ludziska tłoczyli się koło karuzeli, dokoła kuglarzy, zaś wieczorem gapili się, podziwiając ognie sztuczne, Gianna samotnie siedziała w swej izdebce, a starucha łąziła po mieście i upajała się atmosferą radości i wesela. Dopiero późnym wieczorem wróciła rozpromieniona i plotła wciąż o dziwach i cudownościach zabawy ludowej, żałując niepomierne, że Gianna nie była jej świadkiem.

Hafciarka przysłuchiwała się tej relacji spokojnie, ani smutna, ani wesola, jakby ją to wszystko nie obchodziło. Twarz jej ożywiała się jedynie wówczas, gdy rzucała wzrokiem na szklankę, w której goździk ożył i zakwitł...

Po wieczery Catalina, utrudziwszy stare kości całodziennym bieganiem po mieście, poszła do kuchni i natychmiast zasnęła. Gianna przystąpiła do okna i długo przypatrywała się księżycowi, unoszącemu się nad przestronną niziną i srebrzącemu fale Bottenigi. Miasto już się uciszyło. W krzakach tuż obok okien słowik począł tak słodko i tęskliwie śpiewać, że samotnej dziewczynie łzy napłynęły do oczu. Uczuła jakąś nieprzepatą chęć wyjścia z ciasnej izdebki. Wzięła ciemny płaszcz, zgasiła światło, zeszła po kamiennych schodkach i otworzywszy bramę domu wyszła na pustą ulicę, by o chłodzie wieczora przejść się i uspokoić gorącą krew. Pograżona w myślach, zapomniała nałożyć na głowę kapuzę<sup>60</sup> płaszcza, tak iż każdy przechodzień mógł ją z łatwością poznać. I oto los zdarzył, iż właśnie tą samą drogą szedł ten, dokoła którego myśli jej krążyły przez cały dzień jak ćmy dokoła światła.

<sup>57</sup>wykusz (archit.) — część budynku kryta osobnym daszkiem. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Rzym — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Florencja — miasto w środkowych Włoszech, stolica Toskanii i prowincji Florencja. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>kapuza — dawne nakrycie głowy w formie kaptura. [przypis edytorski]

Spotkanie

Kwiaty

Zabawa

Wieczór

Attilio, zmęczony uroczystościami bardziej niż udręką zmagania bitewnych, wyostał się pod pozorem, że rana jego wymaga zabiegu lekarskiego, od biesiadnego stołu, opuścił salę bankietową, w której zebrali się najwybitniejsi przedstawiciele miasta, i niedostrzeżony przez nikogo udał się w stronę łąk podmiejskich, na których bawił się jeszcze jako dziecko. Lecz bardziej niż chęć odwiedzenia miejsca dzieciennych zabaw ośwładnęło nim pożądanie spotkania oczu, których spojrzenie tak głęboko wniknęło w jego serce. Od jednego z obywateli dowiedział się, że owa jasna piękność jest artystką, która sporządziła sztandar. Miał zamiar następnego dnia pod pozorem złożenia podzięków za pracę odwiedzić ją w jej domu. I oto gdy snuł przykre myśli o narzeczonej, gdy przeciwstawiał ją owemu cudnemu zjawisku, które rankiem pod terasą<sup>61</sup> omal nie przyprawiło go o utratę przytomności — spotkał hafciarkę w czarnym płaszczu. Tak jak gdyby go oczekiwała...

Gdy Attilio i Giovanna nagle stanęli naprzeciw siebie, nie mogli przemówić ani słowa. Jakby im dech w piersi zaparło.

Pierwszy ocknął się Attilio.

— Znam panią — rzekł składając głęboki ukłon. — Zmam panią, Giovanna la Bionda.

— I ja pana znam, Attilio Buonfigli. Czyż jest w Treviso człowiek, który by pana nie znał?

Zamilkli. Zarówno on, jak i ona skorzystali ze sposobności, by do syta z bliskości napatrzyć się sobie. Młodzieńcowi zdało się, że piękność jej w poświęceniu księżycy jest stokroć cudowniejsza niż w świetle słonecznym; zaś ona miała wrażenie, że oczy jego błyszczą teraz wspanialej niż w owej pamiętnej chwili rankiem, gdy po raz pierwszy na nią spojrział.

— Proszę wybaczyć, *madonna*<sup>62</sup>, że zbliżam się do pani tu, na ulicy, późno w noc. Zamiarem moim było odwiedzić panią w jej domu, podziękować za wielki trud, złożyć hołd sztuce, którą wykazałaś, tworząc arcydzieło kunsztu hafciarskiego. Jest pani tu sama na ulicy, czy wolno mi zatem prosić o pozwolenie, bym jej towarzyszył w drodze powrotnej do domu? Zaprawdę, rad bym wyświadczyć pani większą i poważniejszą usługę rycerską, by pani wykazać, jak jestem ci oddany.

Giovanna, która miała wielką łatwość w prowadzeniu towarzyskich rozmów, teraz w zmieszaniu nie zdołała zdobyć się na wytworniejsze słowa niżli:

— Moje mieszkanie jest stąd oddalone zaledwie o kilka kroków i zanadto skromne, iżbym się odważyć mogła pana prosić, byś przestąpił progi mego domu.

— Na Boga — odparł Attilio — gdybyś była, pani, księżną, i gdyby mi było wolno błagać o łaskę, to uważałbym to za najwyższe szczęście, jeślibym mógł wstąpić do twego domu i kilka minut wypocząć; jestem bowiem naprawdę całodziennym świętowaniem bardzo utrudzony, a kubek zimnej wody orzeźwiłby mnie wielce.

Na to odparła hafciarka, rumieniąc się silnie:

— Któż mógłby zwyczajcy w dniu wjazdu do wyzwolonego miasta odmówić kubka wody, o który tak uprzejmie prosi? Mój dom i wszystko, co zawiera, jest do usług pana, Attilio.

Otworzyła małą bramę i zasunęła z powrotem rygiel, gdyż w dni świąteczne włóczy się wielu podejrzanych ludzi i złodziejasków. Ujęła go za rękę i poprowadziła krętymi, niewidocznymi w ciemności schodkami. Otworzyła wreszcie drzwi, wiodące do pokoju, i rzekła:

— Proszę usiąść i poczekać, aż przyniosę wodę. A może pan raczyłby przyjąć szklanekę kiepskiego wina, jakie sama piję?

Potrząsnął w milczeniu głową. Przystąpił do krzesła przy oknie, na którym leżał haft właśnie rozpoczęty. Serce biło mu w piersi z wielką mocą.

Gianna poszła do kuchni, w której spoczywała mamka pogrążona w głębokim śnie, na derce<sup>63</sup>, rozścielonej wprost na kamiennych płytach podłogi. Zawsze tak sypiała w skwarne lato.

— Catalino — rzekła Gianna półgłosem — gdybyś wiedziała, kto w naszym domu bawi!

<sup>61</sup>*terasa* (daw.) — taras. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*madonna* (wł.) — tu: kobieta, moja pani. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*derka* — gruby, zniszczony koc. [przypis edytorski]

Z wielkiego dzbana kamiennego, stojącego obok pieca, zaczerpnęła kubek wody, przystanąła na chwilę, przycisnęła zimne, zwilżone wodą ręce do gorących policzków i rzekła:

— Matko Najświętsza! Ustrzeż serce me przed niewczesnymi pożądaniami!

Położyła kawałek chleba na cynowy talerz i wróciła do swego pokoju, w którym Attilio, przez cały czas siedząc u okna na krześle, wpatrywał się w oblane poświatą księżycą pola.

— Wstydzę się — rzekła — że mogę panu dać tylko wikt więzienny: chleb i wodę. Lecz jeśli pan sięgnie ręką poprzez okno, znajdzie pan tam wierzchołek drzewa figowego, rosnącego w dole między murem mego domu a wałami. Pełno na drzewie słodkich owoców.

— Gianni — odparł młodzieniec, biorąc kubek do ręki — nigdy nie pożałowałbym lepszego napoju, gdybym miał być po wieki więźniem pani.

Usiłowała się uśmiechnąć i rzekła:

— Wkrótce nuda ogarnęłaby pana, zaś tam, w świetle, u boku młodej małżonki czekają pana tysiączne rozkosze, zaszczyty wszelkiego rodzaju.

— Po cóż mi to przypominasz! — zawołał i czoło jego zachmurzyło się. — Wiedz, że te zaręczyny, po których mi obiecujesz niebo na ziemi, są dla mnie piekłem. Leżąc ciężko ranny, nie mając wówczas pełni władz umysłowych, dałem się oplątać w te sieci, a teraz czuję się jak ryba rzucona na gorący piasek. Biada mi, biada mej młodości! Dlaczego uświadomiłem sobie całe moje nieszczęście, gdy już było za późno! Dlaczego jak głupiec dałem się sprzedać i wziąłem na się te nieszczerze zobowiązania!

Zerwał się z krzesła i począł krążyć po pokoju jak młoda pantera, schwytna w sidła i zamknięta w żelaznej klatce.

Gianna, przerażona tym dziwnym, oszalamiającym zwierzeniem, głaskała białymi palcami rozkwitły kwiat w szklance.

— Attilio! — rzekła. — Pańska narzeczona jest wszak młoda, piękna, obdarzona wszelkimi cnotami. Jakże więc pan może uważać to za klęskę, że masz zostać jej mężem?

— A choćby była aniołem — zawołał, przystanąwszy obok niej — kwiat, którego dotyka twa ręka, byłby mi cenniejszym darem niż wszystkie bogactwa i cnoty mej narzeczonej! O, dlaczegoż cię ujrzałem, Gianni! Kto nigdy nie widział słońca, żyje szczęśliwie i w mrokach. Od dzisiejszego ranka, gdy me oko cię ujrzało, wiem, że na świecie żyje tylko jedna kobieta, dla pozyskania której me ciało i dusza zdobyłyby się na najwyższe wysiłki, największe ofiary — a tą kobietą jesteś ty, Gianni! I oto rad bym, by mnie wieczna noc pochłonęła! Bowiem czyż mógłbym wrócić w mroki, by nędzny, zziębnięty śnić w nich o mym słońcu?

Ujął jej obie ręce, jakby chciał szukać w nich oparcia przed zstąpieniem w mroczne czeluście.

Lecz twarz jej pozostała niema, nieporuszona. Więc puścił jej ręce i przystąpił do otwartego okna.

Przez jakiś czas panowała cisza w pokoju. Jeno słowik w krzakach zawodził swe narzmiące tęsknotą trele.

Nagle, jakby powziąwszy silne postanowienie, młodzieniec odwrócił się od okna i rzekł:

— A choćby wszystko wokół poszło na marne, nie zniosę kajdan, które mi chcą nałożyć! Jutro, wczesnym rankiem, wyślę listy do Vicenzy, zerwę zrękowiny i wyzwę każdego na pojedynek, kto ośmieli się zaprzeczyć, że Gianna la Bionda jest królową między kobietami!

— Nie uczyni pan tego, Attilio — rzekła Gianna i spokojnym wzrokiem spojrzała w niebo, unikając jego oczu. — Że tak nagle uczułeś miłość ku mnie i chcesz mi oddać swe serce, uważam za szczególną łaskę, której ja, osoba niegodna ciebie, bohaterze, póki życia, nie zapomnę. Ale twego serca przyjąć nie mogę, bowiem naraziłabym zarówno ciebie, jak i siebie na niechybną zgubę. Zważ, mój przyjacielu, jak silnie rozgorzałaby z powrotem nienawiść między obu miastami, gdybyś domowi Scarpia, a więc również i całemu miastu sprawił hańbę, odpychając narzeczoną, której nic przecież zarzucić nie możesz, chyba tylko to, że inna twarz lepiej ci się spodobała. A twarz ta może wkrótce przywiednie i pytać się będziesz: czy możliwe, że dla niej zapłonąłem taką miłością? Czyż

Konflikt wewnętrzny,  
Rozpacz

Miłość

Poświęcenie, Miłość,  
Rozum

bowiem nie widzimy często u schyłku lata, że przez jedną noc nastaje wczesna jesień, i drzewo, które wczoraj jeszcze cudownie się zieleniło, nagle staje się żółte i brzydkie? Przekroczyłam już trzydziesty pierwszy rok życia; ty, przyjacielu, jesteś w rozkwicie młodości. Ty pniesz się w górę, zaś<sup>64</sup> ja jestem już na szczycie. Więc, jako starsza, muszę być rozsądniejsza. Muszę za nas oboje mieć rozum. Toteż oświadczam ci, Attilio, z całą stanowczością: choćbym nawet się przekonała, że twa miłość jest czymś więcej niż przelotnym kaprysem, choćby wszystkie przeciwności cudem jakimś zostały usunięte, *nigdy* nie zgodziłabym się zostać twoją *żoną*, gdyby nawet twoi rodzice do mnie przyszli i dali zezwolenie na twe oświadczyły.

Dopiero po tych słowach odważyła się nań spojrzeć. Widziała, że zbladł, że z pięknych jego oczu wyziera rozpacz. Litość i miłość przenikały jej serce z taką mocą, iż byłaby zapewne odwołała wszystkie swe słowa, które wypowiedziała, gdy Attilio odezwał się:

— Dobranoc, *madonna!*

I począł iść w stronę drzwi.

— Czy gniewasz się na mnie, Attilio?

Zatrzymał się.

— Nie! Na Boga, Gianni! Pozwól mi odejść. Zaprawdę, zbyt długo tu bawiłem. Mówiłem jak szaleniec, nieświadom, że to, co ci zaproponowałem, jest może dla ciebie bez wartości. Więc idę zawstydzony i tylko moją jest winą, jeśli ten uroczysty dzień, który tak radośnie się zaczął, kończy się tak nędznie. Żegnaj, Gianni! Sztandar przez ciebie wyhaftowany, który dziś rano uważałem za najdroższy klejnot, umieszczę w kościele. Nie chcę, by widok jego przypominał mi stale rękę, która jest tak zimna i która nie chce być moją.

Złożył ukłon i poszedł do progu, gdy nagle usłyszał swe imię. Serce Gianni wreszcie przemówiło.

— Attilio — rzekła oblewając się gorącym rumieńcem — nie mogę zgodzić się, byś tak odszedł. To, co ci powiedziałam, jest moją ostateczną decyzją. Nie zmienię jej. Czynię to dla twego dobra, które jest mi droższe niż własne. Nie powiedziałam ci jednak wszystkiego. A więc przyjm do wiadomości, że odkąd przed dwunastu laty umarł mój narzeczony, nie miałam nigdy życzenia należeć do jakiegokolwiek mężczyzny, a jeśli skarb mej czci kobiecej pozostał nietknięty i czysty, to stało się to zaprawdę bez walki. Choć ja jestem biedna, nie jestem skromna. Cenię się wcale wysoko. Wiem, że mam wolną i silną duszę, która niełatwo dałaby się ugiąć przez mężczyznę, co przecież w małżeństwie zwykle się staje. Choć wielu się o mnie starało, nie spotkałam nigdy człowieka, któremu zapagnęłabym służyć, nie uważając tej służby za niewolę i poniżenie. Dopiero dziś, gdy widziałam cię, wjeżdżającego do miasta jako jego wybawca z taką skromnością — dziś dopiero powiedziałam sobie: dlaczego nie jestem już młoda, by zasłużyć na miłość tego młodzieńca? A gdy ujrzałam płomienną bliznę na twojej szyi, pomyślałam: pieszo, boso szłabym do grobu świętego, gdybym mogła zaznać tego szczęścia, by raz jedyny przycisnąć me usta do tej blizny. A gdy wracałam do domu, podniosłam z ziemi kwiat, ten oto kwiat, który zdeptało kopyto twego konia. Myślałam, że każę go sobie złożyć pod poduszkę, gdy mnie wyniosą na wieczny sen. A teraz, gdy ci to wszystko powiedziałam, Attilio, powtórz, jeśli ci serce pozwoli, te brzydkie słowa, że cofnęłam przed tobą swą zimną rękę.

Stał przed nią jak skazaniec, któremu na miejscu kaźni ogłoszono wyrok ulaskawiający.

Ona zaś wyciągnęła ku niemu swe ręce, przycisnęła jego głowę ku swej piersi, pochyliła się ku jego szyi i przycisnęła swe wargi do blizny. Potem rzekła:

— Wszystko, co czynię, mój przyjacielu, czynię w pełni świadomości. Nigdy nie będę tego żalowała, chociaż wiem, iż ludzie potępiłoby moje zachowanie, gdyby się kiedyś o nim dowiedzieli. Daruję ci jedyny klejnot, który posiadam, którego strzegłam póki życia jak oka w głowie. Oto dowiedz się, że tu, na tym progu, na którym teraz jesteś, stał twój przyszyły szwagier, pan Lorenzaccio, i błagał mnie, bym doń należała, obiecywał, że zawiezie mnie jako swą żonę do Vicenzy. To, czego odmówiłam *wrogowi* mego miasta —

<sup>64</sup>zasię a. zaś (daw.) — spójnik przeciwstawiający treści komunikowane przez połączone zdania. [przypis edytorski]

Poświęcenie, Miłość  
niespełniona, Kobieta

Ofiara, Poświęcenie, Wróg,  
Miłość, Kochanek

a bronić się musiałam przed nim tym sztyletem — to daruję tobie, *wybawicielowi* mego miasta. Nie żądam innej nagrody jak przyrzeczenia, że o mnie zapomnisz, gdy pójdziesz do ołtarza, by innej kobiecie poprzysiąc wierność. I że nie będziesz się wcale o to troszczył, co ze mną się stanie. Moim losem bowiem jest rezygnacja. Zaś szczęściem moim jest, iż mogę z własnej woli obdarować swą czią najlepszego człowieka, którego oczy moje widziały, iż mogę, zanim zima pokryje białą jasne moje włosy, przeżyć raz jeszcze późną wiosnę, tak piękną, o jakiej nigdy marzyć nie mogłam. Te oczy i te usta są twoje, Attilio, i to nietknięte ciało jest twoje, i twoim jest to serce, które, gdy opuścisz mnie, niczego więcej na tym świecie pożądać nie będzie, jeno jak serce wdowy czerpać będzie ze skarbów minionego szczęścia, aż razu pewnego przestanie bić...

Po tych słowach zaprowadziła go do krzesła, stojącego obok okna, uklękła przed nim, on zaś ujął w ręce jej głowę i nie przestawał całować jej ust, policzków, czoła. Księżyc dawno już zaszedł, a oni wciąż wynajdywali tysiączne pieszczoty. Gdy jednak zapiał pierwszy kur, Gianna wyrwała się z jego uścisków i nalegała, by poszedł. Umówili się, że co noc będzie przychodził, umówili znaki, po których ona pozna, że on stoi pod bramą domu. Pożegnał się, upojony szczęściem; nie zszedł po schodach, choć ulice były jeszcze puste, jeno, oparłszy się o drzewo figowe, zeskoczył przez okno do fosy między domem a murem miejskim, a zerwawszy kwiaty, rosnące na skraju fosy, związał je w bukiet i rzucił w górę stojącej w oknie Giovannie, gorącymi słowami zapewniając o swych uczuciach. Wreszcie, gdy się zupełnie rozwidniło, musiał odejść. W domu rodziców nikt nie zauważył jego nieobecności, więc, zakradłszy się do swej sypialni, rzucił się na łożo.

Również i następnych nocy Attilio i Gianna potrafili swe schadzki tak mądrze zakonspirować, iż nikt w mieście nie przeczuwał nawet, iż ci dwoje spędzają noce ze sobą, z wyjątkiem mamki Cataliny, która jednak była niema jak drzewo figowe, zaglądające przez okno... Bowiem Catalina żyła jeszcze tylko szczęściem Gianny, a najostrejsze tortury nie zdołałyby jej skłonić, by wyjawiała nazwisko kochanka swej wychowawicy. Jedną rzecz dręczyła ją tylko niepomiernie. Oto niezłomne postanowienie Gianny, że wszystko się skończy, w chwili gdy Attilio zamieni się pierścionkami ze swą narzeczoną, Emilią Scarpia.

— Jak to sobie właściwie wyobrażasz? — gderła. — Czy sądzisz, że spokojnie zdołasz znieść ten cios? Serce twe pęknie jak jabłko przekrojone na pół.

— Catalino — odpowiadała stale Gianna — masz może rację. Ale lepiej, że ja pójdę na marne, niż ten, którego miłuję, i miasto nasze drogie, będące macierzą moją i jego.

— Mówisz głupstwa! Jeśli cię naprawdę tak kocha, jak mówi i jak ty w to wierzysz, nie przeżyje i on tego. Więc twój upór pociągnie za sobą dwie ofiary. Zaś miasto, które ma takiego obrońcę jak Attilio, może kpić sobie z dąsów trzech miast, a cóż dopiero Vicenzy.

Takie zdania wypowiadała stara mamka, a głosiła je coraz częściej, im bardziej zbliżał się termin, w którym Attilio miał raz na zawsze rozstać się ze swą kochanką. Spodziewał się, że przecież złamie jej upór, był zdecydowany ponieść wszelkie następstwa. Jednak Gianna, ilekroć nalegał, błagał, by przecież swe postanowienie zmieniła i zgodziła się na małżeństwo, mówiła o swej minionej młodości, o niestałości mężczyzny, zaś starała się chwile schadzki tak mu osładzać i uprzyjemniać, że zapominał w nich o grozie niedalekiej przyszłości.

Tymczasem obie rodziny, Buonfigli i Scarpia, czyniły gorliwe przygotowania do wesela. W dziewięć tygodni po uroczystym wjeździe Attilia do Treviso odbył się niemniej świetny wjazd Emilii Scarpia w otoczeniu szesnastu druhen, towarzyszących karocy narzeczonej na białych stępakach<sup>65</sup> i w przepysznych strojach. Dwie, tylko osoby w tym świetnym orszaku, otaczającym młodą i piękną pannę, czuły ból i żal. Narzeczonej i pan Lorenzaccio, przyszyły jego szwagier, zgrzytający zębami na myśl, że obok swego młodszego rywala staje się drugorzędną figurą. I trzecie jeszcze serce zamknięte było dla radości dnia, serce Gianny; wiedziała bowiem, że najbliższa noc jest ostatnią nocą jej szczęścia. Nie postarała się, jak podczas pierwszej uroczystości, o miejsce na trybunie, lecz została w domu, gdy Attilio u boku swej narzeczonej przejeżdżał ulicami miasta i znowu deszcz kwiatów padał na jego głowę. Również i po południu, gdy lud zdążył na łąkę podmiej-

Seks, Kochanek, Kwiaty

Wesele, Rozpacz, Wróg

<sup>65</sup>stępak — koń używany w zaprzęgu; koń idący stępa. [przypis edytorski]

ską, na której miał się odbyć turniej, siedziała w domu, pogrążona w głębokich myślach, a rześiste łzy spływały po jej policzkach.

— O biedne moje serce! — wzdychała. — Oto czas nadszedł, w którym masz okazać, iż jesteś dość silne, aby znieść utratę szczęścia, a oto jesteś takie słabe, iż stapiasz się w nieustannych łzach. Podjęło się serce moje czegoś, czego nie może wykonać! Nie wiedziało wówczas, że miłość jest jak wino, którego tym bardziej się łaknie, im więcej się go pije. I oto puchar mego szczęścia napelnia się trucizną, która powoli serce moje zatruje, a żaden lekarz na świecie ani wszyscy święci nie znają ratunku!

Wtem weszła do pokoju Catalina i poczęła ją nakłaniać, by się ubrała i wyszła. Jeśli bowiem, mówiła, ma się z nim na wieki rozstać, niechby go raz jeszcze ujrzała w pełni kraszy rycerskiej, w chwili gdy w rycerskim boju okaże swe piękno i siłę i zatriumfuje nad wszystkimi współzawodnikami. W skrytości bowiem pocziwa mamka spodziewała się wciąż jeszcze, że stanie się jakiś cud, a może w ostatniej chwili Gianna zmieni swą decyzję. Więc poczęła ubierać swą wychowankę, która była zupełnie bierna i pozwalała ze sobą robić, co się staruszce podobało. Po czym zaprowadziła ją na łąkę, na której było już mnóstwo ludzi. Właśnie rozlegały się na obszernym polu dźwięki trąb, zwiastujące początek zabawy. Stojąc w tłumie, Gianna widziała na trybunie między ojcem a stryjem Attilia młodą narzeczoną, słyszała przeróżne zdania o niej wypowiedane. Nagle zbladła jak płótno.

Bo oto wjeżdżał w szranki<sup>66</sup> Attilio w rycerskiej zbroi. Tylko w miejsce żelaznej obręczy dokoła szyi, którą Francuzi zwą *barbière*<sup>67</sup>, miał lekki skórzany szal, przytwierdzony do hełmu. Przyłbica nie była spuszczone, toteż wszyscy widzieli bladą jego twarz i smutek na niej; dziwowano się temu, boć przecie był bezsprzecznie mistrzem kunsztu rycerskiego, a ponadto szczęśliwym narzeczoną.

Podjechał do trybuny, na której siedziała Emilia, i pochylił przed nią głowę. Wtedy ona przypięła mu do hełmu szarfę na znak, że jest jej rycerzem. Wówczas zabrzmiały trąby, a z drugiej strony nadjechał pan Lorenzaccio ze spuszczone przyłbicą. Jednak wszyscy poznali go po zbroi i herbowych znakach i życzyli mu, by jak najprędzej, zepchnięty z konia silnym ramieniem szwagra, uznać musiał przewagę chluby Treviso. Lecz inaczej los zrządził. Bowiem zaledwo heroldowie<sup>68</sup> dali znak i trębacz zagrali fanfara<sup>69</sup>, obaj jeźdźcy najechali na siebie i zmierzli się lancami. Słychać było odgłos stalowych ostrzy, uderzających o tarcze i pancerze. Nagle zapanowała cisza. Z przerażeniem ujrano, że Attilio, jeszcze w strzemionach, pochyła się na siodle w tył, zaś z szyi jego, osłoniętej tylko cienką powłoką skózaną, tryska strumień krwi. Lorenzaccio odsłonił przyłbicę, jakby chciał dokładniej przypatrzeć się, czy dzieło zemsty dokonane. Po czym ostrogami popędził konia i, nie kłaniając się nikomu, wyjechał poza szranki.

Tymczasem podbiegli giermkowie Attilia, zdjęli go z siodła i ułożyli na ziemi. W tłumie rozległy się głosy bólu i rozpacz; lud cisnął się poprzez szranki na pole turnieju; siedzący na trybunie opuścili pospiesznie swe miejsca; heroldowie z wielkim trudem zdołali odpędzić napierające masy od umierającego i stworzyć tyle wolnej przestrzeni, by rodzice, krewni i narzeczoną mogli doń się zbliżyć.

Attilio leżał cicho, z zamkniętymi oczyma. Gdy jedni zawodzili, inni złorzeczyli Lorenzaccioni, inni znowu wołali, by sprowadzić lekarza i księdza — Attilio leżał nieruchomo, z ust jego bladych nie popłynęło słowo skargi, iż tak rychło i niespodzianie przyjdzie mu pożegnać się ze światem. A może wydało mu się to wyzwoleniem od znieawidzonych ślubów, które miał nazajutrz złożyć...

Nagle w tłumie rozległy się okrzyki zadziwienia. Bo oto jasna Giovanna, blada jak upiór, lecz z godnością, jakby właśnie ukoronowana została cierniową koroną cierpienia i wywyższona ponad wszystkie kobiety, przedostała się poprzez zbite masy ludu i przystąpiła do Attilia.

<sup>66</sup>szranki — ogrodzony plac, na którym odbywały się średniowieczne turnieje. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>barbière (fr.) — rodzaj obręczy, dosłownie: uchwyt miski do golenia. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>herold — średniowieczny urzędnik, ogłaszający w imieniu władcy ważne zarządzenia lub wydarzenia. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>fanfara — tu: krótka melodia, grana jako sygnał rozpoczęcia uroczystości. [przypis edytorski]

Serce

Rycerz, Strój

Rycerz, Walka, Zemsta

Śmierć

— Odejdź stąd — rzekła, pokazując palcem narzeczoną — ten umierający należy do mnie. Jak w życiu ciałem i duszą byłam jego oblubienicą, tak i teraz, gdy umiera, chcę być przy nim, a żadna obca kobieta nie ma prawa do ostatnich jego tchnień!

Uklękkła, podniosła głowę Attilia i złożyła ją na swym łonie. Krew posączyła się na jej suknię.

— Attilio — szepnęła — czy poznajesz mnie?

Otworzył oczy i westchnął:

— O Gianni moja, umieram... Los nie życzył sobie, bym innej ślubował wierność, która tobie jedynie się należy. Umieram, żono moja. Ucałuj mnie po raz ostatni... Niech w twych ramionach wydam ostatnie tchnienie...

Pochyliła się ku jego ustom, a gdy dotknęła warg, opadła głowa jego na jej łono. Gianna padła zemdlna obok zwłok.

Wokół litość oładnęła wszystkimi z taką mocą, iż nikt, nawet Scarpio wie, nie śmieli przeszkodzić pożegnaniu pary kochanków.

Złożono zwłoki na nosze i zanieśiono doczesne szczątki bohatera do domu Gianny.

Tej samej nocy Emilia wraz z matką odjechały do Vicenzy; pan Tullio Scarpia pozostał w domu pana Buonfigliego, by wziąć udział w pogrzebie Attilia; biedny starzec cierpiał podwójnie: z powodu nieszczęścia swej córki i haniebnego postępcu swego syna.

Gdy trzeciego dnia składano do grobu Attilia w kaplicy Madonny degli Angeli<sup>70</sup>, widziano za trumną przed wszystkimi krewnymi wysoką postać Giovanny, w welonie wdowim i czarnej sukni. Gdy przerzuciła na plecy welon żałobny, by ucałować czoło zmarłego, lud ujrzał dziwo, które w trzech dniach zaszło. Oto złote jej włosy w ciągu tych kilku dni stały się srebrne; twarz jej zżółkła i zmarszczyła się jak twarz staruszki.

Sądono, że nie przeżyje swego oblubieńca. A jednak żyła jeszcze przez trzy lata. Nie zdjęła przez cały ten czas żałobnego stroju; nigdzie się nie pokazywała. Pilnie pracowała w domu. Ślubowała bowiem wyhaftować dla kaplicy Madonny degli Angeli wielką chorągiew; był na niej wyrysowany Archanioł Michał<sup>71</sup> w białej zbroi, zabijający smoka. Mówiono, że pancierz Archanioła wyhaftowała z własnych włosów. Chorągiew tę ustawiono w kaplicy obok grobowca Attilia i obok owego sztandaru, który wyswobodziciel miasta otrzymał w dniu swego wjazdu triumfalnego.

Wkrótce potem złożono również i hafciarkę z grobie, zgodnie z ostatnim życzeniem, obok kochanka.

Przez długie lata pielgrzymowali ludzie do kaplicy, podziwiali misterne hafty obu chorągwi i opowiadali sobie o historii Gianny la Biondy, która dla swego kochanka wszystko poświęciła, nawet swą cześć kobiecą. A przecież, gdyby była milczała, cześć jej wobec świata byłaby nieskażona...

Eminus zamilkł, złożył manuskrypt do teki.

W salonie zapanowała cisza; słychać było tylko poszum wiatru i padające krople deszczu.

Wreszcie odezwał się młody doktor:

— Historia ta ma złoty ton szkoły weneckiej. Tych barw malarze współcześni nie umieją wcale używać. Choć zdaje mi się, że kopista niejedno w starej kronice domalował.

— Kopista! — zawołał profesor. — Widzę, że nie znasz Eminusa. Zażartował sobie z nas. Postawił obraz, malowany pełnymi barwami, obok naszych wyblakłych, nikłych kolorów. Założę się, że kronika z San Nicolò jest o wiele młodsza niż osławiony *Osjan* Macphersona<sup>72</sup>!

Eminus nie zwracał wcale uwagi na te słowa.

— Co sądzi pani o moralności tej historii? — zapytał panią Eugenię.

<sup>70</sup>kaplica Madonny degli Angeli — prawdopodobnie chodzi o kościół Maria Regina Degli Angeli Custodi w prowincji Treviso. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Archanioł Michał (rel.) — jeden z archaniołów w judaizmie, chrześcijaństwie i islamie, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>Macpherson, James (1736–1796) — poeta szkocki, wydał w r. 1765 *Pieśni Osjana*, podając je jako swój przekład na angielski z języka gaelickiego (celtyckiego). W rzeczywistości były to jego własne utwory. [przypis redakcyjny]

Namyślała się przez krótką chwilę i odparła:

— Nie wiem, czy takie dziwne zdarzenie można uważać za wzór godny naśladowania. A zresztą: każdy czas ma swoje obyczaje i każdy lud ma swoiste cechy charakteru. Wyznaję, że namiętna miłość, niespodziewająca się wierności, do mnie nie przemawia. Dopiero tragiczne zakończenie pańskiej opowieści pogodziło mnie z niesamowitym jej początkiem. A jednak: gdyby ta jasna Giovanna była moją siostrą, nie zastanawiałabym się ani przez chwilę, lecz szłabym z nią ręką w rękę za trumną Attilia.

— Lepszego świadectwa moralności nie mogła pani jej wystawić. Toteż proszę pozwolić, że ucałuję rączkę pani.

## Samotni

Gwałtowne burze, nadciągające ze strony południowej, miały przez dni kilka morzem, budząc do żywszego krążenia soki drzew figowych, porastających skaliste brzegi Sorrento<sup>73</sup>, oraz skrapiając ziemię deszczem i żyźniąc ją wilgocią. Ten i ów powiadał o pomrukach, idących z głębi Wezuwiusza<sup>74</sup>, i prorokował rychły wybuch. Czasem drżały w posadach domy, a nocą słychać było donośne uderzanie o siebie sprzętów i brzęk naczyń blisko stojących przy sobie w szafach. Gdy jednak ostatniego dnia kwietnia słońce pokonało na koniec niepogodę, okazało się, że miasteczka doliny sorrentyńskiej, otoczone winnicami i pomarańczowymi sadami, nie poniosły żadnego szwanku<sup>75</sup>, że nie rozwarły się skały, by je pochłonać, a wysoki brzeg skalny nie dopuścił piętrzących się fal morza, usiłujących porwać ze sobą w głąb wszystko, czego od setek lat dokonała tu praca człowieka.

Po południu tego właśnie dnia, w niedzielę, wydostał się z jednego z domostw, zatrzymany w nim wbrew własnej woli przez burzę, pewien poeta niemiecki, którego nazwisko jest tu sprawą obojętną. Po całych dniach wyglądał oknem na morze, otulając płaszczem kolana przed chłodem płynącym od kamiennej posadzki. Siedział w kapeluszu i spijał szklankę wina po szklance, nie mogąc się rozgrzać. W Neapolu<sup>76</sup> zostawił mały zapas książek, wzięty w drogę, a w domu gospodarza nie było drukowanej kartki poza kalendarzem i mszałem<sup>77</sup>. Nieraz twierdził, że w samotności nigdy nie doznaje nudy, teraz jednak Muzy<sup>78</sup> głuche się stały na jego tęskne wołanie o przybycie do towarzystwa, wiatr pochłonął jego głos, a zimno przygłuszyło wszelkie myśli oprócz pożądanego, by się na koniec zjawilo słońce.

Przenikło wreszcie przez oponę chmur, a więzien spędził połowę tego błogosławionego dnia na sumiennym wygrzewaniu się w jego promieniach, siedząc na otwartej werandzie. Po obiedzie wkroczył na stromą ścieżkę skalną, a wszystkie zmrożone dotąd uczucia odzyskały moc poprzednią. Nigdy dotąd nie widział, by wiosenne słońce było tak wielkie, złociste i zwycięskie, nigdy też nie przenikał go tak do samej głębi rzeźwy powiew morza. W ciągu jednej nocy liście figowca wyrosły na długość palca. Przez pół dnia słońce okryło krzewy tam opodal białym kwieciami. Znęcony zapachem, wędrowiec pochylał się ku ziemi, a wszędzie znajdował ciemne zagony fiołków. W powietrzu uwijały się roje motyli nie starszych od tego dnia, a wszystkie ścieżki wokół pełne były ludzi, idących pieszo lub przejeżdżających małymi wózekkami. Urok podnosiły dzwony kościołów i kaplic, odległych o cztery godziny drogi, pokrzyki chłopców, dążących na kiermasz w Sant Agata<sup>79</sup>,

Burza, Morze, Natura

Poeta

Wiosna, Słońce

<sup>73</sup>Sorrento — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Wezuwiusz — wulkan na terenie Włoch, na Półwyspie Apenińskim, nad Zatoką Neapolitańską. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>szwank (daw.) — krzywda, ujma, szkoda. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Neapol — miasto w płd. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>mszał (rel.) — księga liturgii katolickiej, zawierająca teksty mszy i przepisy jej odprawiania. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>muzy (mit. gr.) — w mitologii greckiej boginie sztuki i nauki. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Sant Agata — prawdopodobnie chodzi o wieś Sant'Agata sui Due Golfi w okolicy Sorrento, obecnie wchodzącą w skład gminy Massa Lubrense. [przypis edytorski]



wsi usadowionej na grzbiecie góry, oraz przewlekłe *ritornelli*<sup>80</sup> kobiet, które, ujawszy się za ręce, szły na nieszpory<sup>81</sup> lub siedziały na oblanym słońcem dachach i patrzyły w morze.

Szedł pod górę drogą dość wygodną, wznoszącą się łagodnie, coraz to smutniejszy w miarę oddalania się od świątecznego rozgwaru, nie mogąc ujawnić w żaden sposób swej wdzięczności za pełnię otaczających go cudów. Rad by był przystanąć tam oto na urwisku i zanucić temu krajobrazowi jakąś pieśń bez słów, będącą echem wszystkich odgłosów wiosennych wokół. Miał jednak powód nie ufać, że głos jego będzie godnym heroldem uczuć, i z zazdrością pomyślał o pewnym tenorze, którym się nieraz zachwycił w Rzymie. O, gdybyż dal ową napęlić takim śpiewem! Krocząc poprzez tę rozśpiewaną, tętniącą rozkoszą przyrodę, uczył się biedny, milczący jak złodziej, bezdźwięczny niby kij we własnej dłoni niesiony.

— I czemuż to wszyscy sławią poezję jako najwyższą sztukę? — zawołał ze złością. — Czyż może ona wyzwolić duszę od niezmiernego brzemienia takich wrażeń? Gdyby wezwano największych, jacy żyli, władców melodyjnego słowa, zamilkliby wobec tego bezmiaru podobnie jak ja, biedny epigon. Czymże wyrażą, choćby w przybliżeniu, owo światło, ów eter, morze i woń, płynąca z tych gajów pomarańczowych? Najniklejszy nawet spośród artystów, a więc tancerz, prześcignąłby ich tu niezawodnie. Ową dążność wszystkiego ku niebu może wypowiedzieć przynajmniej gestem i ruchem, całą swą osobą, od czubka głowy do koniuszków palców, dając wyraz upojeniu. A malarz! Jakże może uszczęśliwić najbardziej naiwnego malarza oddanie tego krajobrazu, jeśli tylko umie utrwalić na papierze linię tej góry i klasztoru na jej zboczu, las poza nią, granice morza i złamane wiatrem drzewo na pierwszym planie. Jeśli zaś jest mistrzem i potrafi uchwycić ową jaśń, rozedrganą na żółtej ścianie skalnej, barwę głębin morskiej jeszcze spienionej, miotanej falami, które wyglądają jak strzępy srebrnolitej materii, mgłę ponad Wezuwiuszem i białe wieżycy pośród zieleni drzew kasztanowych... ach, gotów bym go zamordować z zazdrości!

Dziwnie wzburzony, siadł na kamieniu przydrożnym i spojrzał wokół ponuro. Zasznużył poniekąd na to, by stracić pogodę ducha przez uświadomienie sobie własnego niedołęstwa. Wyszedł zuchwały i pewny, że spotka długo niewidzianą Muzę. Wziął ze sobą zeszyt i z napięciem wielkim czekał na motyw liryczny, mogący się wyłonić spoza pierwszej skały, lasu czy parkanu ogrodu. Ożywiało go nierozumne, pełne pychy pragnienie dania jakiegoś dowodu swego mizernego istnienia w momencie, gdy wszystko wokół bujnie się rozrastało. Wszyscyśmy zapewne przekonali się, że wielkie dzieło odnawiania się przyrody wprawia nas w stan bezcelowego niepokoju, w którym zamierzamy rzeczy niesłychane, a nie jesteśmy zdolni do niczego i jakby obumarli, podczas kiedy wokół wszystko rozkwita. Owa gorączka wiosenna rzadko przemienia się, niestety, w czyn, najczęściej zaś sprowadza tylko wyczerpanie i rezygnację.

Poeta zrezygnował niebawem, nie pozbywszy się jednak wrogięgo usposobienia względem innych śmiertelnych, lepiej, zdaniem jego, uposażonych.

— Oto wylażą — mruczał — ze swych nor i zapaskudzają cały kraj swymi sztalugami i parasolami, siadając do zastawionego obficie stołu przyrody. Starczy im sięgnąć, a mają pełne ręce. Po nasyceniu zmysłów zabierają niby kielich, z którego pili, dane sobie w podarku szkice i obrazy, budzące wspomnienia i nastroje, ile razy tego zapragną. Mają słusność, że podróżują na Południe, czeka ich tu bowiem obfita uczta. Ale my, ale ja?

Czyż mnie tu zwabiły złośliwe bóstwa celem tym większego upokorzenia? Czyż nie dość, że spaliłem w Rzymie<sup>82</sup> wszystkie moje wiersze ku czci fraskatanki<sup>83</sup>, zobaczywszy jej portret na wystawie? Czymże byłby Petrarka<sup>84</sup> wobec płótna, na którym taki Tycjan<sup>85</sup>

<sup>80</sup>*ritornello* (wł.) — refren, śpiew. [przypis redakcyjny]

<sup>81</sup>*nieszpory* (rel.) — śpiewane nabożeństwo wieczorne. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Rzym — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*fraskatanka* — prawdopodobnie chodzi o pochodzący z XIX w. portret autorstwa Luigiego Rubia (1797/1808?–1882), zatytułowany *Theodora la Frascatana*. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Petrarca, Francesco* (1304–1374) — jeden z pierwszych poetów pochodzących z Italii, piszący zarówno po włosku, jak i po łacinie. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Tycjan, właśc. *Tiziano Vecelli* lub *Vecellio* (1488/1490?–1576) — włoski malarz renesansowy. [przypis edytorski]

utrwaliliby rysy *donny*<sup>86</sup> Laury<sup>87</sup>? Poetyzować można było, zanim się ludzie nauczyli malować. Bo czymże jest poezja, jak nie ustawicznym powtarzaniem, że słowa to nędzarze, niegodni tknąć rąbka szat matki-natury? Na Północy, gdzie nie ma barw ni kształtów, poezja może uchodzić jeszcze za królową, tutaj atoli<sup>88</sup> jest nędzarką!

Snując ten bluźnierczy monolog, patrzył na pociemniałe od kwadransa morze, po którym lyskały jasne, promienne smugi. Nie przyszło mu na myśl, że najtęższy malarz musiałby na ten widok odrzucić z rozpaczą pędzel, przeważna bowiem część niezrównanego uroku mieściła się właśnie w ciągłej zmianie i grze tonów, w żywym, nieustannym ruchu barwnych elementów. Czyż mamy zwalczać i inne, przesadne zarzuty, jakimi zaślepiony obrzucał swoją Muzę? Zbyteczne, wiemy bowiem, że mamy do czynienia z jednym ze szczepu wrażliwców, którym po to tylko, zda się, dane zostało słowo, by sobie samym nieustannie przeczyli. Być może doczekamy jeszcze, że wieczorem owego dnia skruchy i desperacji, w którym rad by się był znaleźć o tysiąc mil stąd, uroczyście odwoła wszystko i nie zamieniliby się za nic z samym św. Łukaszem<sup>89</sup>.

To jednak, co się okazało po lewej stronie na załamie drogi, nie mogło co prawda stłumić jego rozpacz, przeciwnie, rozplómić ją musiało dopiero na dobre.

— Ach — zawołał z pasją — gdybyż choć zarys, choć kilkadziesiąt linii. Jakże uroczo wygląda na swym osiołku! Jedną nogę przełożyła w poprzek przez grzbiet zwierzęcia ruchem pewnym i zdecydowanym, druga zaś, spuszczone, dotyka niemal ziemi końcami palców. Łokieć prawej ręki oparła na kolanie, dłoń u podbródka igra z łańcuszkiem, opasującym szyję, a twarz zwrócona ku morzu. Cóż za masa czarnych włosów na karku! Coś błyska wśród nich czerwono, czyż to koralowa ozdoba? Nie, to świeży kwiat granatu. Wiatr szarpie luźnie zawiązaną chustkę na szyi, ciemną karnacją błyszczą policzki, ciemniej jeszcze jarzą się oczy! O, czemuż nie mogę zbliżyć się i poprosić, by stała tak z pół godziny. Uzyskałbym bodaj słaby odblask jej uroczej postaci, a byłby to na zawsze skarb godny zazdrości. Wróciwszy do ludzi z próżnymi rękami, muszę im dopiero opisywać, jak piękne było wszystko, a oni spytają niezawodnie: „Któż to malował?” — Nie! Nie sposób pochwycić wdzięku tego spokoju, uroku tego ruchu, pełni tej młodzieńczej śmiałości, tych przepięknych rysów. Postać jej faluje wraz z krokiem wierzchowca, a maleńka nóżka chwieje się rytmicznie... Chodźciez tu, wszyscy władcy pędzla, i zaczarujcie mi to.

Wstał i czekał na nadjeżdżającą, która, nie troszcząc się o nieznanego wędrowca, trwała dalej w tej samej pozycji, czasem tylko ruchem cugli popędzając wierzchowca. Minęła go, ale przesunęła się samym skrajem drogi, tak że w odpowiedzi na pozdrowienie, jakie jej rzucił, dostało mu się skinienie głowy, którą widział z tyłu. Zwoje włosów uniosły się na moment, ukazując przepyszny kark.

Przedziwny spokój owiewał całą jej postać. Jadąc dalej, najmniejszym gestem czy miną nie dała poznać, że spotkanie wywarło na niej jakieś wrażenie czy pobudziło ciekawość, co jest rzeczą zupełnie naturalną, gdy na odludnej drodze górskiej młody człowiek spotyka się z piękną kobietą. Czy była dziewczyną czy mężatką, nie mógł odgadnąć ani z ubioru, ani zachowania. Minęła jej pierwsza młodość, ale chociaż nie miała w spokojnych rysach dziewczęcego zaciekawienia, wyrazu kokieterii ani także nic odstręczającego, to jednak świeżość i czystość oblicza była taka, jakiej nie spotyka się często u zamężnych kobiet w tych okolicach. Odziana była na poły po miejsku, miała tylko jedwabną spódniczkę, krótszą nieco, i głęboko wycięty stanik. Zakasała rękawy, sięgające do połowy ramienia, na głowę wdziała chustkę, chroniącą od słońca, a duży kapelusz zwiślał u siodła.

Już miała zniknąć na zakręcie drogi, gdy wędrowiec, powziąwszy postanowienie, ruszył za nią spieszenie. Doścignął ją niebawem, ale osioł kroczył dalej brzegiem uparcie, tak że pomiędzy kapeluszem jadącej a stromą ścianą skalną zostawało bardzo mało miejsca. Dziewczyna nie zwróciła ku idącemu głowy mimo rozmowy, jaką z nią teraz wszczął. Głos miała głęboki, mówiła złym dialektem neapolitańskim. Odpowiadała krótko, ale bez chęci pozbycia się pytającego ani też zatrzymania go przy sobie przekornymi słowami.

<sup>86</sup> *donna* (wł.) — pani, kobieta. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Laura* — ukochana Petrarcki, której poświęcony jest tom *Canzoniere (Sonety do Laury)*. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *atoli* (daw.) — spójnik wyrażający przeciwieństwo. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *św. Łukasz* a. *Łukasz Ewangelista* (rel.) — towarzysz i współpracownik Pawła Apostoła, autor trzeciej Ewangelii. [przypis edytorski]

Kobieta, Spotkanie, Sztuka,  
Piękno

Strój

— Jedziesz pewnie z Sorrento, piękna samotniczko? — spytał.  
 — Nie. Z Mety<sup>90</sup>.  
 — Byłaś z pewnością w odwiedzinach u znajomych, panienko?  
 — Wracam z kościoła, panie.  
 — Pewnie na kiermasz w Sant Agata?  
 — Nie.  
 — Wszakże droga tam wiedzie?  
 — Nie, panie.  
 — Bądźże tedy łaskawa wskazać mi właściwą drogę.  
 — Musi pan zawrócić — odparła, nie odwracając się i teraz ku niemu — i zboczyć w lewo pierwszą napotkaną ścieżką, a potem iść gościńcem.  
 — Nie myślę wracać i wolę nie być na kiermaszu. Raczej będę szedł kawalek przy tobie, panienko, jeśli pozwolisz.  
 — Jak pan chce, droga nie dla mnie samej została zbudowana.  
 — Bardzo bym był rad, gdybyś raczyła ku mnie zwrócić buzię, panienko!  
 Uczyniła to spokojnie, a rysy jej nie poruszyły się wcale.  
 — O cóż idzie? — spytała. — Co mi pan chcesz pokazać?  
 — Przeciwnie, to ty, panienko, masz mi coś do pokazania.  
 — Ja?  
 — Jesteś piękna. Pokaż mi swoje oczy.  
 — Morze piękniejsze ode mnie i patrz pan lepiej na nie niż w moje oczy, które panu nic nie mogą powiedzieć.  
 — Morze? Widzę je ciągle z werandy mego mieszkania.  
 — Ja nie. Toteż korzystam ze sposobności... — to rzekłszy, odwróciła głowę.  
 — Przecież wszędzie z gór widać morze — zauważył.  
 — Młyn mojego brata stoi w głębokim wąwozie, skały sterczą ze wszystkich stron, a krzewy zasłaniają do reszty widok.  
 — Mieszkaś u brata, piękna panienko?  
 — Tak, panie.  
 — Niedługo to pewnie potrwa, chyba chłopcy w Mecie nie mieliby oczu.  
 — Niech sobie i mają, cóż mnie obchodzą ich spojrzenia. Szczęśliwsza się czuję u brata niż wszystkie kobiety na całej równi sorrentyńskiej, aż po sam Neapol.  
 — Nie znałaś nigdy przykrości ze strony bratowej?  
 — Nie ma żony i nie będzie miał nigdy. Żyjemy sobie oboje i prócz opieki Madonny niczego nam więcej nie trzeba.  
 — Czyś pewna, panienko, że tak będzie zawsze i że mu nie wpadnie w oko żadna dziewczyna?  
 — Tak pewna jestem, jak tego, że żyję! Ale czemuż to pana tak interesuje?  
 Uderzyła osłą dłonią po karku, aż wstrząsnął uszami.  
 — Czemu brat nie udał się z tobą razem do Mety? — spytał Niemiec, chociaż go brat dziewczyny zgoła nie obchodził.  
 — Nie opuszcza młyna, chyba gdy idzie spowiadać się w góry, do Deserto<sup>91</sup>.  
 — Czy chory?  
 — Nie chce poza mną znać nikogo. Nawet widok morza sprawia mu przykrość, od kiedy... Ale cóż to, czy pan jesteś *prete*<sup>92</sup> czy agentem policji neapolitańskiej?  
 Roześmiał się szczerze.  
 — Ni to, ni to! — odparł. — Sama jednak, panienko, zmuszasz mnie do pytań! Gdybyś ku mnie zwróciła buzię, zapomniałbym zaraz o gadaniu. Tak jednak muszę się pocieszać słuchaniem twego głosu.  
 Zmierzyła go poważnym spojrzeniem i spytała:  
 — Czemuż się pan tego ciągle domaga? Czyś pan malarz?  
 Umilkł na moment, uczuwszy dawną zawiść do malarzy, którym jedynie przysługuje prawo podziwiania piękna. Trudno jednak mieć im za złe to, co związane jest z zawodem.

Kłamstwo

<sup>90</sup>*Meta* — gmina na Półwyspie Sorrentyńskim. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Deserto* — wzgórze w okolicy Sant'Agata w pobliżu Sorrento, na którego szczycie znajduje się klasztor. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*prete* (wł.) — ksiądz. [przypis redakcyjny]

Szczęśliwcy podróżują sobie swobodnie po całym świecie, a sztuka daje im prawo zagłębiać się w oblicze i tej nawet cudnej dziewczyny. Jakże miał jednak rzecz wyjaśnić, skoro pewnie nie wie nic o szlachetnym bractwie poetów.

„Użyję sobie raz i ja!” — pomyślał i odrzekł zuchwale: — Tak. Jestem malarzem i jeśli pozwolisz, panienko... Ale jakże panience na imię?

— Teresa!

— Jeśli pozwolisz, piękna Tereso, udamy się oboje razem do młyna i tam naszkicuję twój portret.

Prośbę tę wyraził lekkomyślnie i bez wahania, zapragnąwszy ujrzeć brata i zobaczyć osiedle samotnego rodzeństwa. Pomyślał, że w decydującym momencie znajdzie się na pewno jakiś wybieg. Wszakże kłamał jeno<sup>93</sup> z konieczności. Czyż nie był do tego naprawdę zmuszony koniecznością patrzenia dalej w oczy Teresy?

Namyślała się chwilę, potem zaś rzekła:

— Jeśliś pan malarz, to proszę zrobić mój portret dla brata. Gdy umrę, będzie mnie miał przed oczyma jak za życia. Patrz pan, ten szeroki potok, wypływający z czeluści i rzucający się w poprzek drogi do przepaści, pędzi nasz młyn. Musimy skrócić w prawo wzdłuż jego brzegu. Wezbrał bardzo po deszczu i nie sposób dojść wąską ścieżką w samym wąwozie. Zaczekaj pan, wsadzę pana na osła i przeprowadzę.

— Przeprowadzisz go pieszo? Za nic, piękna Tereso!

— Innej rady nie ma i musisz pan zostać. Choćbyś pan chciał iść bosy jak ja, nie znasz koryta i upadałbyś za każdym krokiem.

Wstrzymała wierzchowca i zsunęła się zeń zgrabnie. On stał niepewny i zakłopotany tym, że ją oszukuje, ona zaś zdjęła trzewiki i pończochy z pięknych nówek i, patrząc nań, spokojnie ujęła cugle<sup>94</sup> osła.

— Zgoda! — zawołał ze śmiechem. — Śmiesznie i niezbyt po rycersku będę wyglądał, co prawda, pozwalając się trudzić panience!

Wsiadł i zbliżyli się do wody, Teresa szła przodem, wiodąc osła, którego trzęzł<sup>95</sup> okręciła sobie wokoło ramienia. Zanim wkroczyła w nurt, rzuciła jeszcze długie spojrzenie na morze, potem zaś, skręcając w prawo, ruszyła śmiało, nic sobie nie robiąc z prądu, toczącego wielkie głazy i wypełniającego cały wąwóz. Po pełnej jasności i ciepła dnia ogarnął ich tu nagle mrok i chłód, a krzewy zwieszały się po obu stronach, dotykając ich niemal. Niemiec jechał na osle, stąpającym ostrożnie z kamienia na kamień, woda pryskała mu wyżej kolan, a on spoziierał w górę, gdzie na wysokości jakichś stu kroków widniał wmurowany w skalę w dość niebezpiecznym położeniu młyn, równie szary jak otaczające go ściany kamienne. Z powodu niedzieli koło nie obracało się i nie dolatywał żaden odgłos prócz szumu potoku i krzyku jastrzębia, który polatywał nad wodą, chłodząc sobie pierś unoszącym się z niej oparem. Teresa kroczyła teraz po drugim brzegu tuż przy skale, a ścieżka czasem ukazywała się pod jej stopami, to znów znikwała pod wodą. Milczała. Trudno by się było zresztą porozumieć w tym huk, wzmożonym jeszcze rezonansem odbitych ech. Dopiero w pobliżu domu rozstały się nieco ściany skalne, ścieżka podniosła się nad wodę, a jeździec, ujrawszy suchy grunt pod stopami osła, zeskoczył, zadowolony w skrytości serca, że przynajmniej nikt trzeci nie widział całej tej dziwacznej przeprawy.

Młyn był jak wymarły. Stojąc przy nim, przybysz mógł go wziąć za dekorację teatralną. Zamknięte okiennice, brunatne drzwi bez klamki, jak by ich nigdy nie otwierano, i cień pod okapem dachu, wszystko to mogło być równie dobrze wymalowane. Dziewczyna otworzyła tymczasem bramę wykutej w skale tajni i wpuściła szarego przyjaciela do wnętrza. Potem pchnęła lekko drzwi domu i, poprzedzając cudzoziemca, przekroczyła próg.

Jednym spojrzeniem objął wnętrze. Pośrodku była obszerna izba, zajmująca całą szerokość domu, z ogniskiem pod ścianą, prostym stołem, stołkami i szafą ścienną, zawierającą naczynia. Po prawej widniała zwrócona ku skale komora z łóżkiem, po lewej zaś właściwa młynarka z mnóstwem worów, kamieni, kół i dźwigni. Otwarte były również drzwi w tylnej ścianie, a przybysz ujrzał dość obszerną łąkę, na której leżała jedna tyl-

Portret

Woda, Rzeka

Dom, Wieś

<sup>93</sup>jeno (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>cugle — pasy, służące do kierowania zwierzęciem. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>trzęzła (daw.) — uzda. [przypis edytorski]

ko smuga promieni słonecznych. Łąka obejmowała kilka morgów<sup>96</sup>, wzniesiona znacznie ponad łożysko potoku, nadawałaby się pod uprawę, gdyby nie wysokie pionowe ściany skalne, które sprawiały, że powietrze było tu za chłodne i słońce nie przenikało do tego miejsca. Toteż nie było ani kwiatów, ani warzyw, a nad wodą pasła się tylko koza. W jednym punkcie, gdzie przez wyłom w skałach padał snop promieni, stały niby cud pośrodku łąki dwa drzewa pomarańczowe, niezbyt obfite w owoce, ale świeże i powabne.

— Brata nie ma w domu, Tereso! — zauważył Niemiec.

Spojrzała na łąkę i odparła:

— Oto tam jest, u krańca wąwozu. Woda naruszyła mur tamy. Narzuca na kamienie wał ziemi, by nie dopuścić do zalania łąki. Pamięta o wszystkim i wszystko umie. Choćby kto tysiąc lat szukał, nie znajdzie mądrzejszego odeń człowieka!

— Czemuż się marnuje w samotności?

— Bo tak chce.

— Biedaczko! Czyż tuś wyrosła i nie widziała więcej słońca niż te dwa drzewa pomarańczowe? Wątpię o tym. Policzki twe, panienko, zbyt smagłe, by miały pociemnieć podczas wędrówek do kościoła.

— Dopiero przed niespełna czterema laty przybyliśmy tu — odparła — a Tomasso kupił młyn. Przedtem, gdy zajmował się w Neapolu rybactwem, nie miał pojęcia, jak wygląda koło młyńskie i jak się obracają kamienie. Ale zaraz pierwszego dnia puścił młyn w ruch, stary młynarz bowiem właśnie zmarł, i uczynił to z taką łatwością, jak gdyby niczym innym nie zajmował się od dzieciństwa. Nie ma na królewskim dworze człowieka mądrzejszego od Tomassa!

Przybysz słuchał, nie mógł jednak dostrzec twarzy pracującego na skraju łąki Tomassa, który nie spojrzał nawet ku młynowi. Widział tylko jego wyniosłą postać, czarne kręte włosy, szary kapelusz i ciemny kaftan, luźnie zwisający z ramion.

— Cóż go zniechęciło do miasta, morza i pięknego zawodu? — spytał stojącej obok siostry.

Udała, że nie słyszy, i rzekła:

— Wie pan co? Zaczynaj pan zaraz mój portret, by był gotów, zanim brat wróci. Spytamy, kogo przedstawia, a jeśli pozna, da panu zań, ile zechcesz, bo wcale nie jesteśmy biedni. W Neapolu brat miał pod sobą siedmiu rybaków, wyjeżdżał na morze trzema barkami i mógł kupić posiadłość ziemską zamiast tego młyna. Cóż mu jednak po pieniądzach, gdy go serce boli. Siadaj pan! Przestanę gadać, bo na papier należy przenieść w spokoju usta, oczy i wszystko.

Biedny nasz znajomy w niemałym znalazł się kłopotcie.

— Trochę tu ciemno! — zauważył, a serce mu zabiło.

— Idźmy tedy na łąkę.

— Tam znowu za jasno, Tereso. Wiesz dobrze, jak trudno znaleźć właściwe oświetlenie.

— Mam radę! — zawołała żywo, otwierając okiennice. — W izbie teraz w sam raz jasno i gdybym umiała, zaraz bym pana jak najdokładniej odmalowała na ścianie.

— Ano to zaczynajmy! — powiedział zuchwale.

Przysunęła dwa stołki do okna, przez które widać było całe koryto potoku i czeluść skalną, a on dobił papier, przeznaczony na dar Muzy poetyckiej<sup>97</sup>, wziął w rękę ołówek i poprosił, by usiadła.

Ciemny rumieniec oblał smagłe policzki dziewczęcia, gdy uczuła na sobie jego bystre spojrzenie. Oczy o czarnych, długich rzęsach, niby skrzydłach orła, patrzyły nieruchomo na świat, czasem przesłaniała je tylko mgła natężenia. Poprosił, by się poruszała swobodnie, gdyż to nie zaszkodzi portretowi. Nie mogąc się powstrzymać, dotknął jej włosów, poprawiając niby fryzurę.

— Tereso! — szepnęła.

— Co? — spytała.

— Nic!

Niepodobieństwem było rzec coś czulego lub oklepanego wobec spojrzenia jej wiel-

Portret

Portret, Kłamstwo

<sup>96</sup>morga a. mórąg — dawna miara powierzchni gruntu. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>muza poetycka (mit. gr.) — znane są cztery muzy, związane z poezją: Kalliope (poezja epicka), Erato (poezja miłosna), Euterpe (poezja liryczna) i Polihymnia (poezja chóralna). [przypis edytorski]

kich oczu. Czoło miała silnie zarysowane, szerokie i równe, a brwi spokojne i sklepiste. Postanowił udawać przez pół godziny, że rysuje gorliwie, rozkoszować się jej widokiem, potem zaś podrzeć papier, zwalić wszystko na złe światło i brak usposobienia, a w końcu odejść.

Obrał spokojnie pozycję i zaczął, w tej jednak chwili spostrzegł na ścianie przeciwległej komory portret mężczyzny w czarnych ramach i to dało mu pożądany pretekst przerwania.

— Śliczny masz, widzę, Tereso, portret brata! — powiedział i wstał, by go obejrzeć. — Któż go malował? Zaiste jest to doskonała rzecz! Cóż za łagodne, a płomienne, rysy. Coraz to większą odczuwam ochotę poznania go.

— Nigdy pan nie poznasz człowieka, którego ten portret wyobraża! — powiedziała z wahaniem.

— To nie brat?

— To jego przyjaciel. Zmarł za młodu, a wielu go oplakiwało.

— Przykro pani mówić o tym, przebac, Tereso, natrętne pytanie.

Usiadł znowu przy oknie. Rumieniec znikł z jej twarzy, a oczy przygasły. Po pauzie, podczas której słychać było tylko szum z głębi parowu, zaczęła sama:

— Słusznie pan powiedział, że był łagodny i płomienny zarazem. Mogło go oszukać dziecko, a skoczyłby w krater Wezuwiusza na żądanie osób kochanych. Mężczyźni są, jak powiada Tomasso, źli, on jeden był dobry. Kto go ujrzał, odczuwał, że nie ma na świecie czystszej duszy. Czyż dziwne, że Tomasso nie znosi morza, które mu pochłonęło takiego przyjaciela? Serce jego rozdarło od dnia, kiedy ruszył wraz z nim na połów, a wrócił sam. Nikt mu za złe nie miał, że posmutniał i znienawidził swoje rzemiosło.

— Czy zmarły był rybakiem jak brat?

— Był śpiewakiem. Rodzice jego żyją dotąd. Będąc chłopcem, zachwycał już wszystkich śpiewem w kościołach. Bogaty stryj, mający na plaży restaurację, oddał go na naukę do pewnego mistrza i Nino miał niebawem wstąpić do opery. Wyobraź pan sobie, że przyszedł on do mego brata w przeddzień pierwszego występu, kiedy cały Neapol o nim tylko mówił. Przybył wieczorem, byli zaś z dawna zaprzyjaźnieni.

„Toma — powiedział — możebyśmy się przejechali po morzu?”

„Nie mam czasu, Nino — odparł brat — muszę zapuścić sieci, wezmę tylko pomocnika Beppa”.

„Daj mu spokój! — namawiał. — Ja ci pomogę. Przekonasz się, że niczego nie zapomniałem przez czas ślęczenia nad nutami”.

— Pojechali. Widzę ich dotąd. Nino siadł u steru, a Tomasso wiosłował. Włosy biednego Nina pałały poświatą zachodu, oczy zaś wpatrywały się w nasz dom. Obraz ten mam nieustannie przed sobą. Zaledwie słońce zaszło, usłyszałam uderzenia wiosł, wybiegłam, ale Tomasso był sam, wiosłował jak szalony i krzyczał:

„Dobry wieczór, Tereso! Przynoszę ci pozdrowienie od Nina, który śpi na dnie morza!” — Więcej nie rzekł nic.

— Straszne to, szkoda pełnego nadziei młodzieńca! Jakże się to mogło stać? Wszakże było ich dwóch i mieli łódź.

— Ściągnęła go w głąb ciężka sieć. Kółek, którym była przytwierdzona do burty, ułamał się nagle, oni zaś rzucili się, by przytrzymać tonącą sieć. Nino zaplątał się w nią, łódź przewróciła się, a gdy Tomasso wypłynął na wierzch, ujrzał pustą barkę, obok zaś na fali słomiany kapeluszek przyjaciela ze wstążką, którą go przybrałam poprzedniego dnia.

— Biedny Nino!

— Nie żałuj go pan! — zawołała. — Poszedł prosto do rajy i śpiewa swym słodkim głosem Madonnie. Żałuj raczej brata mego, bo cała jego radość życia zatoneła w głębinie i żaden nurek jej nie wydostanie. Od tego dnia biedny Tomasso nie uśmiechnął się ani razu. Zanim poszedł w góry, spalił łodzie i sieci, a ludzie, patrzący na to, mówili: „Dobrze czyni!”. Wiedzieli bowiem wszyscy, że był mu bratem.

Umilkła i zapatrzyła się w głąb czeluści, ręce złożywszy na kolanach. On zaś zatopił się w dziwne losy chłopca, które ją tak wzruszały, nie myśląc o rysowaniu. Nie odczuwała już, widać, goryczy nieszczęścia, tylko miała przed oczyma duszy czysty obraz młodzieńca i słyszała jego słodki głos.

Muzyka, Przyjaźń

Morze, Śmierć

Tym bardziej przeraził się przybysz, widząc, jak jej spokojne rysy ogarnia wyraz dzikiej namiętności. Niby łabędź na widok węża zerwała się z sykiem ze stołka. Drżała na całym ciecie, piersi jej falowały, pobladłe wargi rozwarły się kurczowo.

— Cóż to, Tereso? Co się stało? — spytał.

Daremnie usiłowała wyrzec słowo. Spojrzał w punkt krańcowy wąwozu, w którym utkwiała oczy, ale doznał jeszcze większego zdumienia, gdyż to, co zobaczył, nie było zgoła straszne. Mokrą i na poły jeszcze zalaną ścieżką kroczyła osoba w swoim rodzaju nie mniej pociągająca niż Teresa. Była to młoda, jasnowłosa, czarno ubrana kobieta; szła ostrożnie, stąpając po wodzie ku młynowi. W lewej ręce niosła trzewiki i pończochy, prawą podgięła bufiastą spódnicę ruchem, co prawda, trochę zuchwalszym, niż to przedtem uczyniła Teresa. Kapelusz słomkowy z polatującymi na wietrze czarnymi wstążkami zsunął się jej na kark, odsłaniając twarz z dala już połyskującą bielą i rumieńcem. Oczy śledziła pilnie zakręty ścieżki.

— Kto jest ta kobieta, Tereso, i czemu tak się zmieniłaś na jej widok? — spytał cudzoziemiec.

— Cóż on uczyni? — mruknęła do siebie, nie zważając nań. — Jeszcze piękniejsza niż przedtem! To fatalne! Cóż znaczy ta czern? A może stary zmarł? Święta Madonno!

Najdalsze myśli mknęły jej snadź<sup>98</sup> przez głowę, bo mówiła do siebie, zapomniawszy zupełnie o gościu:

— Niech przyjdzie! Dobrze! Znamy ją i nie boimy się!

Przypomniawszy sobie, że nie jest sama, dorzuciła żywo:

— Musi się pan schować w młynie! Nie może pan tu zostać. Ona mnie nienawidzi i oczerniłaby niezawodnie, zobaczywszy tu kogoś obcego. Wstańże pan, na miłość boską, i bądź cicho, by nie usłyszała. Nie potrwa to długo, jak sądzę.

— Jeśli zawadzam, Tereso — powiedział — to odejdę drugim końcem wąwozu.

— Zmylisz pan na pewno drogę, a idąc tędy musisz spotkać tę czarownicę.

— Namyśl się dobrze, Tereso! — zauważył. — Cóż by się stało, gdyby brat wszedł do młyna i zastał obcego człowieka?

— Brat zna mnie! — odparła dumnie.

— Jeszcze słowo! Któż ona jest? Czego się obawiasz?

— Najgorszego. Ale znam Tomassa. Jest to żona stryja Nina. Gdy woda wyrzuciła jego zwłoki pod Pozzuoli<sup>99</sup>, tylko jej oczy pozostały suche. Niech jej Bóg przebaczy, ja nie mogę! Znienawidziła mnie, bowiem wielu uznało mnie za piękniejszą. Chce mi porwać brata podstępem. Ale Tomasso zna ją, zresztą któż by nas mógł rozłączyć? Proszę, wejdź pan tu i zachowuj się cicho. Potem powiem bratu, czemu to uczyniłam.

Wepchnęła go i zamknęła szczelnie drzwi. Słyszał, jak wybiegła spieszenie na łąkę. Więzienia opanowało w pierwszej chwili przygnębienie i obawa, wkrótce jednak niezwykłość przygody wzięła górę i zaczął sobie układać, co uczyni w danym wypadku. Przy tym rozglądał się, obserwując różne nieznanne sobie przyrządy, prymitywny mechanizm koła, wielkie sita, skrzynie i różnej wielkości kamienie młyńskie, oparte o ściany. W kącie stało łóżko Tomassa, na kołdrze leżała książka do nabożeństwa, nad wezgłowiem wisiała kropielnica<sup>100</sup>. Światło słońca dostawało się tu tylko przez luki w osadzie koła, ukazując jego szprychy oraz przeciwległy brzeg parowu. Za chwilę spostrzegł otwór w ścianie od strony izby, której część mógł ogarnąć spojrzeniem. Tu zajął stanowisko, oczekując z rosnącym coraz zaciekawieniem dalszego toku sprawy.

Niebawem rodzeństwo wróciło z łąki, a więzien zauważył bliźniacze podobieństwo brata do Teresy. Mięśnie jego twarzy grały pod wpływem hamowanego wzburzenia, a z oczu błyskało ponuro. Nie zauważył, zda się, że kaftan spadł mu z pleców. Stał długo przy stole, skrzyżowawszy ramiona, i kiwał czasem głową, okoloną gęstą czarną czupryną, słuchając siostry, która szeptała mu coś gwałtownie w miejscowym narzeczu, niezrozumiałym dla cudzoziemca. Ale myśli jego zdawały się bujać daleko. Czasem drgnęła mu dolna szczęka, milczał jednak ciągle. Miał około trzydziestu lat, a obcy, uwięziony w młynie, dziwował się jego pięknej postaci.

<sup>98</sup>snadź (daw.) — zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>Pozzuoli — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>kropielnica — naczynie na wodę święconą przy wejściu do kościoła. [przypis edytorski]

Rozległo się pukanie z zewnątrz. Teresa odskoczyła od brata i, usiadłszy na stolku przy ognisku, ujęła w rękę kołowrotek. Zdawało się, że pracuje już co najmniej godzinę, gdy na zawołanie Tomassa, który nie zmienił postawy, drzwi się otworzyły. Twarz jej była teraz chłodna i spokojna.

Jasnowłosa kobieta weszła z niejakim wahaniem, pozdrowiła obecnych i zaczęła, zakłopotana, poprawiać coś koło ubrania. Potem otrząsnęła ze spódnicy krople wody, postawiła na ziemi trzewiki i wsunęła je na nagie stopy. Poruszenia jej były miękkie, pełne uroku, na poły jakby świadome, naturalne i wdzięczne. Twarz, rozgrzana drogą, pałała gorącym rumieńcem, a czarna suknia podkreślała wyraźniej jeszcze delikatną karnację ciała i matowy ton jasnych włosów, niezwykłych na Południu. Była nieco niższa od Teresy, pełniejsza i bardziej gibka, a ruchy miała żywsze. Ciemne oczy paliły się żarem neapolitańskiego nieba.

— Dzień dobry, Tereso! Jak się masz, Tomasso? — powiedziała.

— To ty, Łucjo — odrzekła dziewczyna. — Cóż cię sprowadza z Neapolu do naszej samotni?

— Proszę, usiądź, witamy cię, Łucjo! — rzekł brat, nie ruszając się z miejsca.

Posłuszna zaproszeniu, usiadła przy oknie i dalej poprawiała odzież.

— Miałam interes w Carrotta<sup>101</sup> — ozwała się po chwili, zdejmując słomkowy kapelusz i odgarniając włosy z czoła — toteż postanowiłam przed odjazdem odwiedzić cię, Tereso. Droga do was bardzo uciążliwa, a długo trwała niepogoda.

— Młyn szedł za to doskonale! — zauważyła Teresa krótko.

Łucja rozejrzała się po izbie, a spojrzenie jej musnęło twarz Tomassa, który z pozorną obojętnością malował kredą po stole kreski jedną przy drugiej. Wszyscy troje wiedzieli, że muszą paść słowa decydujące, ale każde czekało, by ktoś inny zaczął pierwszy.

— Przynies Łucji szklankę wina! — powiedział wreszcie Tomasso, nie patrząc na siostrę, która przędła gorączkowo.

Przybyła zawahała się, potem zaś rzekła:

— Nie trzeba wina, zaraz muszę iść. Wieczór się zbliża, a w przystani Carrotty czeka na mnie barka, którą chcę dostać się przed nocą do Neapolu. Jakże długośmy się nie widzieli! Czemuż nie zjawisz się kiedy u mnie, Tereso? Ciężko być musi przetrwać zimę w tym wąwozie.

— Nie ciężka mi jest najmroźniejsza zima, gdy jestem przy bracie. Cóż mam do roboty w Neapolu, nie mam tam przecież nikogo.

Zamilkli znowu. W końcu Tomasso rzekł spokojnie, zwracając się do siostry:

— Czyś zrobiła w stajni porządek przed nocą?

Zadrzała z lekka, wiedząc, co to znaczy. Spojrzawszy na brata poznała z jego powagi, że chce, by wyszła, odstawiła więc kołowrotek i po chwili hałaśliwie krzątała się u drzwi stajni, by usunąć podejrzenie, że podsłuchuje.

Stojący w ukryciu przybysz uczył silne bicie serca, gdy znalazł się sam na sam z tą parą. Po części tylko znał przeszłość obojga, ale wiedział dość, by przeczuwać, że nastąpi scena ważna. Spoglądał raz po raz na mężczyznę i siedzącą u okna piękną kobietę i odczuwał całą przykrość sytuacji. Miały paść słowa nieprzeznaczone dla uszu osoby trzeciej. Przeleciało mu przez myśl, by się wycofać w najdalszy kąt komory młyńskiej, ale kroki zdradziłyby go niechybnie, musiał więc zostać na miejscu.

Milczenie trwało jeszcze przez jakiś czas, potem rzekła Łucja:

— Siostra twa, Tomasso, nienawidzi mnie! Cóż jej uczyniłam złego?

Wzruszył ramionami.

— Nie mogę się czasem uspokoić — mówiła dalej — myśląc, że to właśnie z jej winy tak odsunąłeś się od nas. Nie chce, by ktoś rzekł do ciebie słowo, chce cię mieć wyłącznie dla siebie.

— Tak nie jest, Łucjo! — rzekł oschle. — Miałem własne powody, opuszczając Neapol.

— Wiem, Toma, wiem. Najmniejsze dziecko zrozumie, że po tym nieszczęściu utraciłeś wszelką chęć do rybołówstwa. Ale minęłoby to pewnie, gdyby nie Teresa, która cię

<sup>101</sup> *Carrotta* — niezidentyfikowane miejsce, prawdopodobnie już nieistniejące lub będące owocem fantazji autora, w okolicy Sorrento. Być może chodzi o okolice Sorrento w znaczeniu uogólnionym: Carotto to część składowa historycznej gminy Piano di Sorrento. [przypis edytorski]



namówiła, byś się zamknął w tej pustce i dziczy. Wszakże wszystkim nam los się daje we znaki, a musimy żyć pośród ludzi. Nieszczęścia zsyła niebo, nie należy przeto<sup>102</sup> trwać w zapamiętałości i nienawidzić ludzi, którzy niczemu nie są przecież winni.

— Czy nie są winni, to jeszcze kwestia! — zauważył.

Spojrzała nań przenikliwie.

— Nie rozumiem cię, Toma! — powiedziała. — Wielu rzeczy od wyjazdu twego nie rozumiem. Czemużeś nie odpisał ani razu na moje listy, przesyłane przez parobka Angela. Mówił, że ci doręczył oba do rąk własnych, inaczej mogłabym była mniemać, że je przejęła Teresa.

— Listy? Spaliłem je.

— I cóż mi teraz odpowiesz?

— Łucjo, nie przeczytałem ani słowa.

Zadrżała, on zaś ciągnął dalej:

— Angelo zawiadomił mnie o śmierci twego męża. Zmartwiłem się tym, bo był to prawdziwy *galantuomo*<sup>103</sup>, i niesprawiedliwość, jakiej się względem niego dopuściłem, ciąży mi teraz podwójnie. Jesteś młoda i piękna, Łucjo, znajdziesz przeto niebawem innego, młodszego. Bądź z nim szczęśliwa!

Rzekłszy to, rzucił krede, założył ręce w tył i zaczął chodzić po izbie, a ona śledziła jego ruchy z niespokojnym napięciem. Wreszcie spytała:

— Czy Teresa wie, że jestem wdową?

— Poznała to teraz dopiero po twojej żałobnej sukni. W ciągu czteroletniego pobytu tutaj nie wymówiliśmy waszego nazwiska.

— Nie czytałeś listów, więc nie wiesz, że mąż mój zapisał ci trzysta piastrów<sup>104</sup>. Ale musisz je osobiście odebrać w sądzie w Neapolu, gdzie są złożone w depozycie.

— Niechże sobie tam leżą do sądnego dnia! — odparł bez namysłu. — A może wolisz rozdać je ubogim? Nie pójdę po nie, choćbym był w przykrzejszych warunkach niżli te, w jakich się, Bogu dzięki, znajduję. Nie wezmę pieniędzy od twego męża, Łucjo, choćby mi przyszło umrzeć z głodu.

— Cóż mówisz, Tomasso! — rzekła cichym, smutnym głosem. — Jakże sobie mam to tłumaczyć? Wszakże inaczej rozmawialiśmy dawniej z sobą!

— Tym gorzej, że tak było!

Wstała z krzesła i przystąpiła doń, usiłując lękliwie spojrzeć mu w oczy. Ale patrzył uporczywie w stół, przy którym stanął ponownie, jak by chciał zasłonić się czymś przed tą pełną ponętą kobietą. Założyła ręce pod wydatnymi piersiami, a Niemiec dostrzegł ze swego punktu obserwacyjnego błękitne żyłki na krągłych ramionach i cienkie palce, drgające nerwowo u bijącego mocno serca.

— Cóż ci uczyniłam złego, Toma? — spytała ledwo dosłyszalnie. — Jeśli mnie ktoś przed tobą oczernił, to powiedz otwarcie, ja zaś położę dłoń na hostii i przysięgnę, że nie poczuwam się do żadnej winy. Żyłam z mężem jakby żywcem pogrzebiona, od kiedyś wyjechał, a nie ma człowieka, który by śmiał powiedzieć, że gospodyni „Syreny” obdarzyła go choćby spojrzaniem czy uśmiechem.

— To jest twoja rzecz i była rzeczą twego męża! Po cóż to mówisz mnie?

Łzy napełniły jej oczy na te twarde słowa, a Tomasso uczuł, choć nie patrzył na nią, że cios ten dotknął ją boleśnie. Pomilczawszy chwilę, powiedział:

— Na cóż się zda przywdziewać maskę i mówić wykrętne słowa? Pomówmy otwarcie. Przybyłaś tu, Łucjo, by mi powiedzieć, że jesteś wolna i nic nas już nie dzieli. Ja zaś powiadam ci, że dzieli nas ktoś, i skazani jesteśmy na dozgonne pokutowanie za grzechy nasze i wieczystą rozłąkę.

Mimo że mówił stanowczo, uczuła nieco otuchy.

— Za grzechy nasze? — spytała żywo. — Cóż sobie możemy wyrzucić? Czyż miłość nasza dała nam coś oprócz łez i wzdychania z oddali? Czyż nie pierwszy byłby to nasz pocałunek, gdybym ci się teraz rzuciła na szyję? Wiem jednak, kto nas dzieli, oto siostra twoja, Tomasso!

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

<sup>102</sup>*przeto* (daw.) — zatem, dlatego. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*galantuomo* (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, dzentelmen. [przypis redakcyjny]

<sup>104</sup>*piastr* — drobna moneta, będąca w obiegu w Egipcie, Libanie i Syrii. [przypis edytorski]

List

Wdowa

Pieniądz

Grzech, Kara

Miłość niespełniona

— Nie, nie ona! — zawołał. — Nie pytaj o nic i nie sądź, byś mogła wroga naszego usunąć kiedykolwiek z drogi. Nie jest to człowiek żywy! Wracaj do Neapolu, Łucjo, i nie przychodź tu już. Nie chcę i nie wolno mi się z tobą spotykać.

Przystąpiła do stołu tak porywczo, że musiał na nią spojrzeć. Na twarzy jej malowała się rozpacz i namiętność.

— Nie odejdę, dopóki się nie dowiem wszystkiego! — zawołała. — Mąż mój zmarł, Nino dawno leży w grobie, siostra twa będzie panią w naszym domu. Za pierwszym złym słowem do niej powiedzianym możesz mnie wygnać precz. Powiedziałeś i czuję to, że sercaś mi swego nie odebrał, powiedz tedy, kto nas jeszcze może dzielić, Tomasso?

Zadrżał stół, o który oparty był młody człowiek.

— Powiem ci, kiedy chcesz! — jęknął głucho. — Nino nas dzieli!

— Kłamiesz! Chcesz odwrócić moją uwagę od Teresy, bym jej nie odpłaciła za zło, jakiegom od niej doznała. Pożałujesz tego, żeś się mną tylko bawił, a potem porzucił. I ona odpokutuje owo niezgodne z rozsądkiem chowanie cię, niby skarbu, wyłącznie dla siebie w tej dzicy. Odchodzę!

— Przysięgam na mękę Pańską, Łucjo, nie kłamie! — zawołał. — Prawda, że siostra moja przebaczyć ci nie może, ale powtarzam z całą stanowczością, że Nino nas dzieli. Nie wie tego nikt, nie przeczuwa tego nawet Teresa. Umarłaby niechybnie, gdyby się dowiedziała!

— A gdybym ja się dowiedziała?

— Wówczas przestałabyś myśleć o nikczemnym Tomassie i nie wkroczyłabyś już nigdy na ścieżkę, wiodącą do młyna!

Ukryła twarz w dłoniach.

— Mylisz się! — odparła. — To stać się nie może nigdy. Łudzisz się, jakoby coś stało pomiędzy nami, a ja rozwieję to urojenie jak dym. Jeśli nie powiesz, nie zaznam pokoju ni w dzień, ni w nocy, a nim rok minie, dowiesz się, żeś mnie wtrącił w grób.

Zadrżał i wydało się, że toczy walkę ostateczną. Potem spojrział tępo, rozpacznie, długo obejmował wzrokiem jej rysy, potem zaś rzekł:

— Musi się skończyć!... Nie chcę po raz drugi widzieć cię u siebie i przeżywać straszliwej męki rezygnacji. Przysięgnij mi, Łucjo, na zbawienie duszy, że nie powtórzysz nikomu moich słów. Niech nawet podczas spowiedzi przedzgonnej nie dowie się tego kapłan. Nie idzie mi o to, że przepadłbym bez ratunku, gdyby się rozniosło, ale nie przeżyłaby tej wieści Teresa. Przysięgnij!

Podniosła rękę i rzekła:

— Na zbawienie duszy przysięgam ci, Tomasso, że oprócz mnie i ciebie nie będzie wiedział nikt w świecie.

Westchnął głęboko, siadł ciężko na krześle, oparł ramiona na kolanach i zapatrzył się w podłogę.

— Łucjo — rzekł półgłosem — powiedziałem prawdę! Nino dzieli nas teraz, choć nie żyje, podobnie jak dzielił nas wówczas. Był czysty i niewinny jak Abel, a ja mu byłem Kainem<sup>105</sup>. Kain skrył się w pustkowiu, czy teraz rozumiesz?

Milczała.

— Masz słuszność! — ciągnął dalej. — Któż to zdoła pojąć? Jawią się chwile, kiedy piekło nabiera nad nami takiej władzy, że, zda się, obcy duch, zły duch tłumi wszelkie lepsze porywy, a rozpętuje szatańskie zakusy. Czyż myśmy to sprawcami czynów naszych, dokonanych w takich momentach? Tego nie wie i kapłan, tego nie wie nikt z ludzi!

O, jakże go kochałem! Zamordowałbym każdego, kto by mi szepnął bodaj jedno złe słowo o nim. Śpiew jego rozpraszał wszelkie moje troski, obecność jego rozjaśniała mi dom. Nie sposób miłować gorącej syna czy brata, byłem zeń dumny. Gdy w Neapolu zaczęto mówić o jego talencie, zwierzałem się naiwnie ludziom, że to „nasz Nino”, że mnie z nim łączy przyjaźń od dziecka, a wydawało mi się, jakobym mu talent śpiewacki sam wyłowił z toni i podarował. A jakże się wobec mnie zachowywał? Był już słynny, uczęszczał do książąt i hrabiów, znał wykwintne, piękne kobiety, zazdroszczące sobie wzajem jego spojrzenia, a mimo to często przychodził do naszego domu, przestawał najchętniej

Wyrzuty sumienia, Wina,  
Śmierć, Tajemnica

Przysięga

<sup>105</sup>Abel i Kain (rel.) — biblijni bracia, bohaterowie *Księgi Rodzaju*; Kain zamordował Abla. [przypis edytorski]

ze mną, raz zaś, spotkawszy mnie idącego z siecią na ramieniu, porzucił znajomego, z którym rozmawiał, i odprowadził mnie kawał drogi. Nikt nadeń serdeczniejszy nie był, nikt bardziej wolny od fałszu czy grzechu. Mógł mieć wszystkie kobiety w Neapolu, a nie uważał ich za wartę jednej figi. Wyśmiewałem się nawet często z niego, nie wiedząc jeszcze, kto mu kochać przeszkadza.

Jedną mi tylko wyrządził krzywdę, oto, że mnie zawiódł do domu swego stryja, gdy zacny ten człek przeniósł się z Kapui<sup>106</sup> do Neapolu i kupił „Syrenę”. Wszakże przybył on głównie, by radować się powodzeniem Nina, którego losu był twórcą, ale czemuż przywiózł ze sobą ciebie, Łucjo? Tej samej chwili straciłem mego Nina, Bóg jeden wie, nie z jego winy. Czyż mógł mu jednak ktoś prócz mnie i ciebie czynić zarzut z tego, że stoi na straży czci swego dobroczyńcy?

Nigdy mi nie miał za złe różnych moich miłostek. Sam będąc niewinny jak archanioł Rafael<sup>107</sup>, wiedział, że nie wszyscy są tacy, i nie zamierzał zmieniać ludzi. Spostrzegł, że się kochamy, Łucjo, ale nie wspomniał o tym ani razu, unicestwiał tylko wszystkie nasze podstępny i fortele. Wrzałem nań gniewem i poprzysięgałem nieraz, że zerwę z człowiekiem strzegącym twego progu pilniej niż sam wuj, niż brat lub kochanek. Nie kochał cię i nie kierowała nim zazdrość. Na jego widok gryzłem z wściekłości wargi, ale szał mój koł dźwięk jego głosu.

Zdawało się, czytał me myśli i po wiele razy przedstawiał, jak dobry jest wuj i co dlań uczynił. Patrzył przy tym tak, jak by chciał powiedzieć: „Toma, niepodobna ci skrzywdzić człowieka, któremu przyjaciel twój zawdzięcza wszystko, a który dla ciebie jest tak dobry i tak ci ufa”.

Rozumiałem go, ale gdym cię ujrzał, nikły wszystkie skrupuły i dobre postanowienia, a sumienie me stawało się martwe jak drzewo objęte strumieniem gorącej lawy. Żyłem tak przez rok, ja, którym nigdy nie mógł czekać na nic przez dni kilka. Pewnego razu mąż twój wyjechał na Ischię<sup>108</sup>, my odetchnęliśmy oboje, ale Nino zamieszkał zaraz w „Syrenie”, podając za powód, że musi pisać nuty, a w jego pokoju panuje hałas. Wówczas już opanowały mnie ponure myśli. Chciałem mu wsypać do wina pewien środek, otrzymany od znajomego, który miał usypiać na całą dobę. Potem jednak zawahałem się, gdyż mogła to być trucizna lub mogło to zaszkodzić jego głosowi. Zaniechałem tedy wszystkiego, ale został we mnie kolec i unikałem go tak, jakby to on właśnie nastawał na moje życie.

Zbliżał się dzień jego pierwszego występu w operze. Wiesz dobrze, Łucjo, żeśmy ułożyli, iż wymknę się po pierwszym akcie i przybędę, ty zaś będziesz udawać chorą, by nie iść z mężem do teatru. Inaczej nie ruszyłbym się z miejsca przed ostatnią nutą jego śpiewu. Ale przejęty byłem cały tym, co mnie czeka.

W wigilię występu przyszedł do mnie wieczorem i namówił, byśmy ruszyli na morze. Nie wiem, diabeł czy anioł objawił mu nasze zamiary, dość, że teraz właśnie rozmówił się ze mną otwarcie. Wyparłem się wszystkiego. „Toma! — zawołał. — Jeśli mi nie przyrzekniesz po przyjacielsku zaniechać schadzki, to będzie źle ze mną. Zaśpiewam jak kruk i zostanę wygwizdany. Stracę wszystko. Bracie, żądam tego od ciebie! Mógłbym ostrzec wuja, ale dowiedziawszy się, co zamierza jego żona, zerwałby z nią niezwłocznie; a przyjaźń nasza przepadłaby także. Przyrzeknij mi uczynić tę ofiarę, której chyba wart jestem?”. Milczałem uparcie, patrząc na sieci, i nie słuchałem dalszych jego słów. Miałem twój obraz przed sobą, a krew tętniła w mych skroniach.

W godzinę potem przybiłem sam w barce do brzegu...

Ostatnie słowa zabrzmiały głucho i bezdźwięcznie. Tomasso siedział z twarzą opuszczoną na kolana. Łucja pobladła śmiertelnie, oboje trwali bez ruchu, w izbie mrok zapadał, a z zewnątrz dochodził poprzez szum potoku śpiew Teresy, nucącej *ritornello*. Dawała w ten sposób znać bratu, by nie przedłużał nad miarę jej czekania. Głos ten zbudził go z zadumy. Wstał i pochylił się przez stół do kobiety.

— Łucjo — rzekł chrapliwie — nie skłamałem wówczas. Ściągnęła go w głąb sieć, w którą zaplątał nogi. Nie ja to przewróciłem barkę. Siedziałem u steru, gdy wpadł w wo-

<sup>106</sup> *Kapua* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Caserta. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *archanioł Rafael* (rel.) — w tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej jeden z najwyższych rangą aniołów. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *Ischia* — wyspa na Morzu Tyrreńskim. [przypis edytorski]

dę. Skostniałem jak lód, patrząc na fale, zamykające się nad jego głową, widziałem bańki powietrza, wylatujące na powierzchnię i świadczące, że jeszcze oddycha tam, w toni. Nagle ukazała się ręka jego, sięgająca po dłoń przyjaciela. Dzieliła ją ode mnie tylko długość barki. Na palcu dostrzegłem srebrny pierścionek. Starczyło podać wiosło, a byłby ocalony, Łucjo! Czemuż nie chciałem, czemuż nie mogłem się na to zdobyć! Wszakżem miał wiosło na kolanach, jeden ruch, a ręka z pierścionkiem pochwyciłaby je. Niestety, demon władający mym sercem obezwładnił me mięśnie i ściał mi krew w żyłach. Siedziałem skamieniały, czułem zawrót głowy, chciałem krzyczeć i wpatrywałem się w tę dłoń, która opadała coraz to bardziej, zanurzała się po pierścionek, po końce palców i wreszcie znikła.

Wówczas dopiero zawrzało we mnie piekło. Wrzasnąłem dziko i skoczyłem w głąb tak, że lódz się wyrzuciła. Dałem nurka raz i drugi, ale nie znalazłem go, mimo że często dobywałem z dna drobne monety. Po daremnych wysiłkach dopłynąłem zrozpaczony do barki. Ale miara cierpień nie była jeszcze pełna. Wróciłem do domu bez niego, a Teresa na wieść hiobową padła bez zmysłów i zdawało się, że życie z niej uciecze. Pierścionek na palcu Nina był jej własnością. Zaręczyli się w przeddzień tragicznej przygody, o czym nie wiedziałem.

Padł z powrotem na krzesło i oczy skierował na powałę<sup>109</sup>. Dyszał chrapliwie jak człowiek śpiący głęboko, a Łucja przesuwała dłonią po twarzy, ścierając krople zimnego potu. To, co posłyszała, wyszlachetniło jej miękkie, zmysłowe rysy. Była teraz piękniejsza jeszcze, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wreszcie Tomasso ocknął się.

— Jeszcześ tu, Łucjo? — zawołał. — Czegóż chcesz ode mnie? Czyż nie widzisz ręki z pierścionkiem, która wychyla się z fal i dzieli nas? Gdybyś mi przed ołtarzem podała dłoń ze złotą obrączką, włosy by mi powstały na głowie, straciłbym zmysły, ręka twa wydałaby mi się ręką Nina, a diabeł wypędziłby mnie z kościoła. Idź do domu, Łucjo, zapomnij o wszystkim, dotrzyмай przysięgi i pomódl się czasem za biednego Tomasso.

Wstał i podszedł do kominka. Cudzoziemiec widział, jak dygoce.

— Czyż to nie minie? — szepnęła po chwili kobieta.

Nie odwracając się do niej, potrząsnął głową i zaprzeczył ruchem ręki. Wówczas ona powiedziała z cicha:

— Niech cię Bóg strzeże, Tomasso! Niech Madonna użyczy ci pociechy i spuści sen ukojny na oczy twoje. Niech również uciszy mnie, która nie przestanę płakać po tobie. Dziękuję ci, żeś mi wszystko powiedział, inaczej bowiem nie przeżyłabym naszej dozgonnej rozłąki. Dziękuję ci, że mnie kochasz. Nie przestań mnie kochać, Tomasso, bo jest to wszystko, co posiadam!

Nie spojrział już na nią, nie widział jej łez, płynących cicho, ni gestu pożegnania i gwałtownego zwrócenia się ku wyjściu. Zostawiła drzwi otwarte, a gdy siostra wpadła niezwłocznie, zastała go stojącego przy kominku.

— Toma! — krzyknęła, lkając i śmiejąc się jednocześnie, i zarzuciła mu ramiona na szyję. — Zerwałeś z nią! Mój jesteś! Nic nas nie rozłączy!

Spostrzegła, że jest śmiertelnie blady, i to ją przeraziło.

— Tyle cię to kosztowało, Toma? — zawołała. — Nie! Nie, tegoś nie powinien być jednak uczynić dla mnie! Zawołaj ją! Posłyszysz cię jeszcze. Niech wraca, a gdy przybędzie, powiedz...

— Cicho bądź, dziecko! — rzekł stanowczo, siląc się na uśmiech, choć oczy smutnie patrzyły na Teresę. — Wszystko skończone! Wierz mi, nie ponoszę żadnej dla ciebie ofiary. Gdybyś nie była przeżyła owej katastrofy sprzed czterech lat, powiedziałbym Łucji to samo co dziś. Niedługo zapadnie noc. Zobaczę jeszcze, jaki jest stan potoku w wąwozie. Przed spaniem zobaczymy się jeszcze, droga moja Tereso, a jutro zaświta nam nowy dzień.

Pocałował ją w czoło i wyszedł drzwiami ku łące.

Dopiero w dobrą chwilę potem cudzoziemiec odważył się wyjść z ukrycia. Teresa zadrżała na jego widok, zapomniała bowiem zupełnie o jego obecności.

— Wszystkoś pan słyszał? — powiedziała z powagą. — Nie będę o nic pytała. Tomasso nie chciał, bym była świadkiem rozmowy, to mi wystarcza. Czyż jest taki drugi brat na świecie? Losu mojego może mi każdy pozazdrościć! O mój Tomasso!

<sup>109</sup>powala — drewniany strop. [przypis edytorski]

Skinął głową i podał jej rękę.

— Dobranoc, Tereso! — rzekł. — Nie potrzebuję chyba prosić, byś nie wspomniała bratu, że słyszałem jego rozmowę z Łucją. Byłoby mu przykro, że obcy człowiek dowiedział się tego, co zataił przed własną siostrą.

— Nie dowie się nigdy! — przyrzekła uroczyście. — Czyż mogłabym zasmucać takiego jak on brata? Wszakże dałabym zań życie!

Musiał się odwrócić, by nie zdradzić, jak bolesne było mu to bezgraniczne oddanie i ufność do człowieka, przez którego straciła najdroższą sobie istotę. Chciał jej wyrazić współczucie, ale zamilkł, albowiem domagała się powinszowania szczęsnego losu. Ujrzał na jej palcu pierścionek, a na ścianie portret zmarłego i pomyślał: „Tomasso musi patrzeć na to codziennie, żyć i cierpieć niesłychanie, wiedząc, że siostra go kocha”.

— Tereso! — rzekł. — Niech Bóg darzy cię pokojem, któryś wywalczyła. Bądź zdrowa! Unoszę twój portret, inny niż sądziłem, ale nierównie trwalszy.

Niewiele rozmawiali w drodze powrotnej, którą odbył znowu na ośle. Cudzoziemiec znalazł się wreszcie na dole, a gdy dziewczyna odeszła, stał jeszcze długo, chłodząc palące czoło w rzeźwym oparzu potoku. Noc zstąpiła, ale nie mógł się zmusić do powrotu. Krocząc spadzistymi percami<sup>110</sup> skalnymi, ujrzał na wiszarze<sup>111</sup>, pionowo sterczącym nad morzem, męską postać o rozwianych włosach. Samotny człowiek patrzył w dal w kierunku Carrotty, a po morzu płynęła w stronę Neapolu mała barka o wydętych wiatrem żaglach. Cudzoziemcowi wydało się, że poznaje owego samotnika i że wie, kto siedzi w łódce, zawrócił z miejsca i udał się tam, gdzie mieszkają ludzie szczęśliwi. Objawiła mu się Muza, której przez cały dzień wyglądał daremnie, ale oblicze jej było surowe, tragiczne i, patrząc na nie, długo nie mógł zasnąć.

## Wesele na Capri

Już zbyt długo rozkoszowaliśmy się wiosną neapolitańską. Należało wreszcie pożegnać Neapol<sup>112</sup>, jeśli mieliśmy jeszcze zastać naszych przyjaciół w Rzymie<sup>113</sup>. Nie mogliśmy się jednak zdobyć na rozpoczęcie podróży na Północ, nie zwiedziwszy choćby w przelocie naszego ukochanego Capri<sup>114</sup>.

Było to w dzień Zielonych Świąt<sup>115</sup>. Okolica kąpała się w promieniach złotego słońca, gdy w Santa Lucia<sup>116</sup> wstępowaliśmy na mały parowiec. Mieliliśmy wrażenie, jak gdyby powietrze, otaczające ten cudny brzeg, nigdy nie było czystsze, miasteczka wzdłuż zatoki aż po Sorrento<sup>117</sup>, wyzierające spośród bladej zieleni ogrodów oliwnych i pomarańczowych, nigdy nie wyglądały jaśniej i świąteczniej. A cóż dopiero nasza wyspa, tonąca w fioletowych oparach... *È una magia!*<sup>118</sup> — powiedział kapitan okrętu, który przecież widok ten podziwiał po raz tysięczny.

Toteż podróżni pierwszej klasy niedługo pozostawiali na ławkach pod wielkim płóciennym dachem. Jeden na drugim udawali się na przedni pokład, a nawet stary Szkot z dwiema rudymi córkami, który podczas najpiękniejszych przejazdów stale zatopiony był w lekturze książki podróźnej, zamknął ją i poszukał sobie na burcie miejsca, by raz przecież bez opieki swego *Murraya*<sup>119</sup> rozkoszować się cudami nieba i ziemi.

Wyspa, Wiosna, Natura,  
Morze

Podróż

<sup>110</sup>*perc* — stroma ścieżka górską. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*wiszar* (daw.) — skała, urwisko. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*Neapol* — miasto w pld. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*Rzym* — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*Capri* — włoska wyspa na Morzu Tyrreńskim w Zatoce Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*Zielone Świąta* a. *Zielone Świątki* — potoczna nazwa święta Zesłania Ducha Świętego; święto ruchome (maj, czerwiec). [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Santa Lucia* a. *Borgo Santa Lucia* — historyczna dzielnica Neapolu. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Sorrento* — miejscowość i gmina w regionie Kampania, w prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*È una magia!* (wł.) — Prawdziwy cud! [przypis redakcyjny]

<sup>119</sup>*Murray, John* (1808–1892) — historyczny wydawca pierwszych przewodników turystycznych. [przypis edytorski]

Właśnie wstałem, by pójść za tym przykładem, gdy moja żona zwróciła uwagę na dziwną parę: starszą damę i młodzieńca, niezwracających na swe otoczenie najmniejszej uwagi, zagłębionych we własne sprawy tak dalece, iż nie raczyli zaszczyścić ani jednym spojrzaniem wspaniałości dokoła nich się ścielących.

Otyła, niska dama siedziała skulona, pochyliwszy podbródek na pierś; otulona była fałdzistym, staroświeckim płaszczem jedwabnym, na kolanach miała małą torebkę podróżną, a siedziała tak znieruchomiła, iż można by ją uważać za śpiącą, gdyby od czasu do czasu cichym westchnieniem i jękiem nie zdradzała, że wcale nie śpi i bardzo dobrze słyszy, co do niej mówi półgłosem młody jej towarzysz. Spod jej wielkiego słomkowego kapelusza można było dojrzeć tylko część szerokiej starej twarzy, broniącej się uporczywie przed promieniami słońca, jak sowa, która się zabląkała w jasny dzień. Młody człowiek u jej boku był bardzo przystojny, miał świeżą twarz, okoloną ciemnym włosiem; miał na sobie nowiutkie, zgrabne letnie ubranie, na głowie czarny kapelusz. Już na pierwsze wejście zyskiwał sympatię dobroduszością, z jaką się odnosił do starej damy. Jednakże słowa jego zdawały się nie robić na niej najmniejszego wrażenia.

Właśnie mijaliśmy ich, gdy przypadkowo w tejsze chwili stara dama się podniosła. Przyjrzała się nam uważnie i uczyniła ruch jak podczas niespodziewanego spotkania z dobrymi znajomymi. I ja też miałem wrażenie, że skądś znam tych ludzi. Moja żona szepnęła mi nazwisko, podszedłem do starszej pani, która z pewnym zakłopotaniem postąpiła o krok, i przywitałem się.

— Znamy się wprawdzie tylko z widzenia — rzekła moja żona — jesteśmy jednak rodakami i spotykamy się na obczyźnie, pozwoli więc pani, że zapytam, czy nie moglibyśmy być w czymś pomocni. Mam wrażenie, że pani nie czuje się dobrze. Czy mogłabym służyć pani wodą kolońską lub...

— Jest pani bardzo łaskawa — odpowiedziała stara dama — ale to, co mi serce uciska, nie da się uleczyć wzmacniającymi kroplami. Jeśli pani chce wiedzieć, dlaczego się czuję źle... proszę jego zapytać, on jest winien, że matka jego na stare lata przeżywa tak wielkie zmartwienie. Przysłowie mówi prawdę: najczęściej cierpi się od własnych dzieci; gdy są małe, męczą nam ciało, gdy są duże — serce. Pozwalam sobie przedstawić mego jedyne go syna, artystę malarza z zawodu. Żałuję, że wśród tak smutnych okoliczności...

— Ależ, mamol!... — prosił młodzieniec, którego twarz po uszy poczerwieniała.

— Dlaczego nie miałabym powiedzieć? — zaczęła matka, westchnąwszy przedtem. — Przecież chcesz po kilku dniach to rozgłosić; musisz się zatem zgodzić, że ludzie będą swoje zdanie wypowiadali. Szanowna pani raczy przyjąć do wiadomości, że udajemy się właśnie na oględziny. Gdyby mój poczciwy mąż żył jeszcze, nie byłby się nigdy zgodził, ale biedna, samotna wdowa... a krewnych, których by chłopak musiał respektować, nie mam... jest pełnoletni, ma już dwadzieścia trzy lata... i odważył się, proszę sobie wyobrazić, napisać swej matce: „Jeżeli nie dasz pozwolenia, mateczko, bym poślubił Angiolinę, zastrzelę się”. A że jest gwałtowny... tak, jesteś gwałtowny, choć doprawdy byłeś poza tym zawsze dobrym synem; wie pan, nie chciał objąć ojcowskiego interesu, mój mąż miał mianowicie, o ile panu może wiadomo, wielki browar, potem go sprzedałam... tak, jest tytu malarza w Monachium<sup>120</sup>, cóż dziwnego, że młody człowiek dał się uwieść... wesołe życie... włóczęga... modelki... słowem, nie mogłam przeszkodzić, a ma też talent, jak to powiedział ten z „Wiadomości”, gdy wystawił pierwszy obraz na wystawie. Lecz czyż nie mógłby, jak tytu innych, spokojnie malować obrazy w Monachium i wreszcie poślubić uczciwą dziewczynę, a nie taką... taką...

Nie dopowiedziała. Spostrzegła, że syn nachmurzył twarz, gotów oburzyć się na każde drastyczniejsze określenie swej wybranej.

— No tak, Poldku, nie powiem nic. Angiolina jest — powiedzmy — wcieleniem cnoty i piękna, a że nie wniesie ani grosza, to mnie też mało obchodzi. Mamy, Bogu dzięki, tyle, że nie potrzebujemy się oglądać za pieniędzmi. Ale tak całkiem obca osoba, nierozumiejąca ani słowa prócz języka włoskiego, dziewczyna, która się nie zna na gospodarstwie, chce wciąż leżeć na słońcu, w najlepszym razie tańczyć lub śpiewać, a te tutejsze dziewczęta mają ponoć, za przeproszeniem, na sobie tyle robactwa...

<sup>120</sup>Monachium — miasto w południowych Niemczech, stolica kraju związkowego Bawaria. [przypis edytorski]

— Ile razy mam ci, mamo, powtarzać — przerwał syn — że wyobrażasz ją sobie całkiem fałszywie!

I, zwracając się do nas, dodał:

— Ja sam jestem temu winien. Mama myśli, że wszystkie Włoszki przez cały dzień stukają kastanietami<sup>121</sup> i tańczą tarantelę<sup>122</sup>. Pierwszy obraz, który sprzedałem, przedstawiał taką scenę. Ale gdy poznasz moją Angiolinę, mamo...

— Piękne poznanie! Co miałybyśmy sobie do powiedzenia? Że ma piękną buzię, to już widziałam w twym szkicowniku, zaś rodziny jej nie pragnę wcale poznać. Powiedziałeś przecież sam, że zaszczytu by nam nie przysporzyli ci ludzie, gdyby nas kiedyś chcieli odwiedzić w Monachium. O, nasza rodzina... przecież pani szanowna wie, jak mój nieboszczyk mąż był szanowany, mój ojciec był nadwornym furierem<sup>123</sup>, a jego królewska wysokość, książę Leopold<sup>124</sup>, był ojcem chrzestnym mego syna. Mógłby zrobić najlepszą partię, a wprowadza mi w dom taką półcygankę i matka musi się fatygować do panny narzeczonej, matka, która nie znosi podróży koleją i której na wodzie robi się bardzo mdło...

— Morze jest przecież spokojne i gładkie jak lustro, mamo. Jeszcze tylko dwie godziny, a zapomnisz o podróży. A gdy potem zobaczysz, jak piękna jest twa przyszła synowa i jak się ucieszy, że przybywasz...

— Myślę, że najwięcej się będzie cieszyła twoim upominkiem. Sama tego zażądała (przy czym otworzyła torebkę podrózną i wyjęła małą kasetkę). Proszę zobaczyć, czy nie piękna ta bransoletka? Taką z rubinami chciała mieć; o, te Włoszki... na klejnoty są łase jak sroki... a mój Poldek... naturalnie natychmiast kupił u najdroższego jubilera w Rzymie. Nie o pieniądze mi chodzi, proszę mi wierzyć, ale dla takiej... takiej...

Syn potrząsnął gwałtownie głową i począł w wielkim wzburzeniu chodzić ze mną po pokładzie; zaś moja żona przysiadła się do zasmuconej matki, by ją w utrapieniu pocieszać.

— Proszę mi wierzyć — począł syn — mama jest najlepszą osobą na świecie, tylko jest kobietą starej daty, a z Monachium nigdy się nie wychyliła, chyba raz w życiu, gdy wyjechała nad jezioro Achen<sup>125</sup>. Napisałem jej, by do mnie do Rzymu przyjechała — pojechałem tam po nią, potem chciałem ją zawieźć na Capri, by sobie obejrzała wprzód synową, zanim da swe błogosławieństwo — wstrząsnęło nią to wszystko... Daleka podróż, to że się nagle zaręczyłem... i... „z taką” (chciał uśmiechnąć się, lecz mu się to nie udawało). Wie pan, zdaje mi się, że już wybrała dla mnie inną narzeczoną, jakąś złotą rybkę z koła znajomych. Ale ja pójdę tylko za głosem serca; skończyłbym z tą sztuką, gdybym się dał ożenić tak po filistersku<sup>126</sup>! Pojmuje pan to, a zresztą, jeśli mamie tylko o to chodzi, bym był szczęśliwy...

— A jest pan o tym zupełnie przekonany?

— O, co się tego tyczy — rzucił spojrzenie pełne rozmarzenia w stronę syreniej wyspy<sup>127</sup>, której sylweta rysowała się przepiękną linią na kryształowo czystym niebie — zobaczy ją pan sam i będzie mógł z nią mówić, czego niestety mamusia nie potrafi. Miałem dwa miesiące czasu, by ją poznać... Czy sądzi pan, że byłem tak lekkomyślny i wierzyłem tylko oczom, które zresztą nigdy czegoś podobnie pięknego nie widziały? Nie, szukałem co dzień sposobności, by prowadzić z nią długie rozmowy. Za domem jej rodziców jest ogród, koło niego prowadzi dróżka, tu poprzez mur gawędziliśmy ze sobą godzinami; wie pan, wszystko odbyło się aż przesadnie cnotliwie; dała mi tylko jednego całusa, gdyśmy się zaręczyli; bo o takich amarach jak u nas w górach, z całusami i schadzkami, tu z Włoszkami nie ma mowy. One nie dowierzają swej gorącej krwi i lękają się, że gdy dadzą mały paluszek, nie będą mogły cofnąć całej ręki. Chociaż więc, jak by to powiedzieć, nic z tego nie miałem, mogłem nabrać gruntownego przekonania podczas naszych rozmów o jej silnym charakterze i łagodnym usposobieniu.

<sup>121</sup>kastaniety — drewniany instrument perkusyjny, wydający klekoczące dźwięki. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>tarantela — neapolitański taniec ludowy. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>furier (daw.) — dostawca; podoficer odpowiedzialny za zakwaterowanie wojska i dostarczanie żywności. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>Arnulf, Leopold a. Leopold Bawarski (1846–1930) — książę Bawarii. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>Achensee — największe jezioro w Tyrolu, na zachodzie Austrii. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>filisterski — od: filister, człowiek ograniczony i zakłamanym moralnie. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>syrenia wyspa (mit. gr.) — to właśnie na Capri wracający spod Troi grecki heros, Odyseusz, spotyka syreny. [przypis edytorski]

Pozycja społeczna, Pogarda

Klejnot

Zaręczyny, Miłość, Artysta,  
Starość

Kobieta, Piękno

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu, gdyż wypowiedział to tak dobrodusznie, jak gdyby był doświadczonym znawcą ludzi i wypowiadał swą kapryjską dziewczynę z jej najtajniejszych myśli.

— Charakter? — powiedziałem. — Tęgo nie brak jej rodaczkom, jeśli nazwiemy pełnymi charakteru dziewczęta, które wiedzą, czego chcą, i zdążają wprost do zamierzonego celu. O łagodnym usposobieniu dziewcząt z Capri slysze natomiast po raz pierwszy, a pańska Angiolina musi być naprawdę perłą, jeśli ją Bóg tą właściwością, chociaż skromnie, wyposażył.

Znów poczerwieniał na twarzy, lecz raczej ze zmartwienia z powodu mych wątpliwości niż z zakłopotania.

— Wiem, że ludzie mają uprzedzenie do dziewcząt tutejszych, a zwłaszcza tych z wyspy. A to dlatego, że są dumne i nie rzucają się od razu na szyję każdemu, kto chce z nimi poromansować; okrzyczano je jako istoty zimne, spekulujące na korzystne zamążpójście. Tak, ale widzi pan, moja Angiolina nie miała potrzeby przez dwa miesiące trzymać mnie z dala od siebie, zanim mi powiedziała „tak”, gdyż od razu, na początku, powiedziałem jej, że mam poważne zamiary. Ale ona chciała najpierw zbadać, czy doprawdy jesteście do siebie dopasowani, lękała się, by tam w naszych Niemczech nie zamarzła, jeśli nasze serca nie gorzały jednakim żarem — nie, ona ma bardzo wiele łagodności w swym usposobieniu, a przy tym jest cudnym tworem przyrody, pełnym harmonii. Pan się uśmiecha? Pan pewnie sądzi, że nie jest to wielką zaletą, jeśli brak komu wykształcenia? Tak, ja przynajmniej nie czułbym się szczęśliwszy, gdyby znała datę urodzenia Karola Wielkiego<sup>128</sup> i wiedziała, że Monachium nie jest stolicą Turcji. O, gdy ona na kogo spojrzy swymi błyszczącymi oczyma... ale poczekaj pan, pokażę panu jej portret, który namalowałem w dzień naszych zaręczyn. Właśnie mija trzeci tydzień. Następnego dnia wyjechałem, by spotkać się z mamą, niestety, wszystko przeciągnęło się tak długo i nie slyszałem o niej przez cały ten czas. Pisanie listów, wie pan, jest słabą stroną dziewcząt na Capri; wolą one ustne załatwianie spraw. Lecz tym większa będzie radość i niespodzianka, gdy dziś w południe przekrocze z mamą jej próg.

Skierował się ku ławce, na której pozostawił pakunek podróży. Nie miałem jednak ujrzeć wybranej serca pana Leopolda. Gdyż podczas naszej rozmowy wygląd morza bardzo się zmienił, powierzchnię sfałdowały długie, głębokie pęknięcia, poprzez które przedzierał się wśród silnych wstrząsów dziób okrętu, zaś ruchy śruby miały kadłubem okrętowym to w jedną, to w drugą stronę krótkimi, silnymi pchnięciami.

Słońce świeciło jak przedtem, a wiatr, który tak mocno wzburzył morze, chłodził przyjemnie w spiekotę południa. — Przestało być jednak przyjemnością, w tej miotanej tam i z powrotem lupinie, przecinać „świętą słońcą falę”. Dokoła widzieliśmy twarze blednące, głowy wychylające się poprzez burzę, młode małżeństwa, które po raz pierwszy od siebie odskakiwały, by w pojedynkę ulec przypadłościom morskiej choroby. *Mare di sotto!*<sup>129</sup> — powiedział przechodzący obok nas kapitan, gdy pod dziobem rozwarła się głęboka przepaść, by się po chwili zawrzeć.

Nic więc dziwnego, że nasza rodaczka była pierwszą, która uległa skutkom wzburzonej fali. Już na Jeziorze Starnberskim<sup>130</sup> — oświadczyła — czuła się zawsze fatalnie. Toteż nie trzeba jej było wcale namawiać, by ze swym Poldkiem poszła do kajuty, aby być z dala od „okropnego” widoku pokrytych pianą przepaścistych fal. Syna natomiast szczęśliwa choroba morska. Zakochani nie lękają się ognia ni wody...

Gdy jednak zatrzymaliśmy się w Sorrento, gdzie jedni pasażerowie wysiedli, a nowi przybyli, ujrzeliśmy ku wielkiemu zdumieniu naszego młodego rodaka z mamą, wyłaniających się z kajuty; stara miała śmiertelnie bladą twarz i rozwichrzone włosy, na twarzy syna malowała się rozpacz. Dowiedzieliśmy się, że stan mamy stał się tak groźny, iż na pewno umarłaby, gdyby odbywała dalej podróż. Pozostanie tu, w Sorrento, i nogą więcej nie wstąpi na taki piekielny statek. Jeśli dziewczynie zależy na tym, by swą teściową poznać jeszcze za życia, niech tu przyjedzie; i tak zbyt dużo zrobiono jej zaszczytu, gdy się tak daleko wyjechało i to dla „takiej”, która nawet pacierza nie potrafiłaby powiedzieć po

Morze, Wiatr, Burza

Choroba

<sup>128</sup> *Karol Wielki* (742/747?–814) — król Franków i Longobardów, cesarz rzymski. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *Mare di sotto!* (wl.) — dosł: przepastne morze; tu tyle co: piekielne. [przypis redakcyjny]

<sup>130</sup> *Jezioro Starnberskie* a. *Starnberger See* — jezioro w Niemczech, w kraju związkowym Bawaria, w regionie Monachium. [przypis edytorski]



niemiecku. Uspokajaliśmy zirytowaną damę pocieszeniem, że wszystko zmieni się jeszcze na dobre; w każdym zaś razie najrozsądniej jest oczekiwać dalszego biegu wypadków tu, w Sorrento, w wygodnym hotelu „Vittoria”. Pożegnaliśmy się więc, przy czym syn szepnął, że spodziewa się, po rychłym powrocie mamy do zdrowia, jeszcze dziś wieczór barką pojechać na Capri; liczy na naszą pomoc w nakłonieniu dziewczyny i jej rodziców do wyjazdu do Sorrento.

*Mare di sotto!* Również i my mieliśmy się przekonać o złośliwości tego morza. Gdy po upływie dwóch godzin przybyliśmy do Capri, nie myśleliśmy zaprawdę o zaznajomieniu się z pięknymi dziewczętami, tylko o łóżku, na którym moglibyśmy wypocząć po wścieklej burzy. Znaleźliśmy też pokój w hotelu „Quisisana”, a po godzinie przyszlismy tak dalece do siebie, że stroniliśmy wprawdzie od nakrytego stołu w jadalni, ale byliśmy już dość pokrzepieni, by odbyć spacer po ulicach i uliczkach starego miasteczka.

Oto nasze stare Capri, przez tyle lat niewidziane; wąskie, brudne uliczki, ciemne spelunki, przed którymi siedziały kobiety z kądzielami<sup>131</sup> i mężczyźni z narzędziami rzemieślniczymi; chmara zdziczałych chłopaków, żebrzących i wyprawiających przed podróżnymi harce; a ponad tymi stworami ludzkimi, tym brudem i zaniedbaniem, strome, srebrzystoszare ściany skalne; w ich szparach i wklęsłościach rosły od wieków najszlachetniejsze krzewy, mirty, wawrzyny, oleandry. Tak, nie można by tego usprawiedliwić, gdyby się wróciło na Północ, nie napoiwszy serca i zmysłów tym widokiem wiecznego piękna!

Wyszliśmy właśnie z wąskiej uliczki na rynek, by wrócić do hotelu, gdy ujrzeliśmy gęstą ciżbę, tłoczącą się z przeciwnej strony, gromadę dzieci, skaczących z krzykiem i wśród śpiewów przed czwórką muzykantów, z których jeden grał na skrzypcach, drugi na klarynie, a dwaj na gitarze. Za muzykantami, zdradzającymi swymi czerwonymi twarzami i niepewnym krokiem, że wypróżnili już dla uczczenia dnia niejedną szklankę kapryjskiego wina, szła para nowożeńców, najdziwaczniejsza para, jaką sobie można wyobrazić.

Młoda mężatka! — jeden z widzów objaśnił nas, że przed godziną odbył się ślub, obecnie zaś wszyscy sąsiedzi i przyjaciele odprowadzają nowożeńców do domu i składają życzenia — młoda kobietka była prawdziwym dzieckiem kapryjskim; twarz jak rzeźbiony obrazek Madonny, czarne, gładko przyczesane włosy, przepiękne szare oczy pod długimi rzęsami, blade policzki lekko zaróżowione, cudowne wargi barwy granatu. Doprawdy, niezwykła piękność i osóбка o rzadko spotykanym uroku. Figurka ta tkwiła w jasnoniebieskiej sukience z lekkiej wełny, tak iż rozkoszna ta postać sprawiała wrażenie wędrującego drzewka bzu. Na czole błyszczwały kwiaty pomarańczy pod tiulowym welonem, ręce były przysłonięte rękawiczkami z jasnoniebieskiego jedwabiu, małe nóżki przybrane w pantofelki atlasowe tej samej barwy.

Obok tej księżniczki z bajki, po której wcale nie można było poznać, jak się czuje podczas tego triumfalnego pochodu, kroczył wielce dziwaczny małżonek: chudy, niepokazny *giovinotto*<sup>132</sup> o żółtawej twarzy, głupawo się uśmiechający i usiłujący przez podnoszenie brwi nadać sobie wyraz powagi. Nowe czarne ubranie zwisało niedbale na jego niezgrabnym ciele, czerwona chustka powiewała dokoła chudej szyi, wysoki cylinder szklął się w słońcu. Prócz kwiatu pomarańczy w klapie surduta miał w lewej ręce bukiet, który co chwila zbliżał do nosa. Prawą ręką, przybraną w cytrynowożółte rękawiczki, podtrzymywał dwa bladoniebieskie paluszki swej młodej małżonki, jak by ją chciał przedstawić zgromadzonej publiczności. „Patrzcie, najpiękniejsza dziewczyna na Capri, a ja jestem czarodziejem, który ją wam wszystkim sprzątnął przed nosa!”

Szczęśliwego zdobywcę witano z uszanowaniem. Ani śladu kpin, ani jednej uwagi na niedobraną parę lub ubolewania, że tak piękna istota otrzymała tak śmiesznego towarzysza życia. Uprzejmy Kapryjczyk, który nam przedtem powiedział, że właśnie odbył się ślub tych dwojga, widocznie również nie wątpił, iż związek ten był zawarty w niebie.

— Jest to wielkie szczęście dla dziewczyny — tłumaczył nam — że, mając zaledwie siedemnaście lat, wychodzi tak świetnie za mąż. Jest ona córką handlarza owoców, który z ciężką biedą się utrzymuje; wniosła do małżeństwa tylko odrobinę młodości i piękności. Mąż jej, *signor*<sup>133</sup> Aristide, wziął ją, by się tak wyrazić, *senza camicia*<sup>134</sup>; dopiero

<sup>131</sup>kądziel — pęk włókna, przygotowany do przedzenia. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*giovinotto* (wł.) — młodzieniaszek. [przypis redakcyjny]

<sup>133</sup>*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*senza camicia* (wł.) — bez koszuli. [przypis redakcyjny]

Miasto, Natura, Wyspa

Wesele, Muzyka, Zabawa

Kondycja ludzka, Pozycja społeczna, Pieniądz, Bieda

przed czternastu dniami wrócił z Rio de Janeiro<sup>135</sup>, gdzie prowadzi handel owocami południowymi, pomarańczami, oliwkami i figami; w ciągu kilku lat stał się bogaty, bardzo bogaty i nie brakło mu niczego — prócz żony. Nie miał jednak ochoty szukać sobie żony za morzem. Chciał mieć rodaczkę i zaraz pierwszego dnia po swym powrocie spotkał swą obecną żonę, którą znał jeszcze jako dziecko; spieszył się, gdyż nie może na długo oddalać się od swego interesu. Następnego dnia załatwił się ze wszystkim; pojutrze parka wsiądzie na statek, by odjechać do nowej ojczyzny. Wszyscy młodzieńcy zazdroszczą mu wyboru, a wszystkie dziewczęta jej, gdyż ma on lekką rękę, a łańcuszek dokoła jej szyi i broszka, i trzy pierścienie, które błyszczą na jedwabnej rękawiczce — wszystko to jej podarował.

Oczywiście, strześliśmy się wyznać, że młoda kobieta mimo wszystko nie wydaje nam się godną zazdrości. Jednak piękny mieliśmy widok, patrząc, jak kroczyła, witana z wszech stron, gdzieniegdzie obrzucana kwiatami i *confetti*<sup>136</sup>. Przed nią huczące dźwięki muzyki — kilka dziewcząt, idących w pochodzie, potrząsało w takt tamburynami<sup>137</sup> — za nią rojowisko gości weselnych, a nad nią szafirowy baldachim kapryjskiego nieba. A choć jej twarzyczka nie promieniała pełnią szczęśliwości, zasmucona doprawdy nie była! Południowe Włoszki nie są istotami sentymentalnymi, a ta mała siedemnastolatka wiedziała zapewne zbyt dobrze, czemu zawdzięcza, że *senza camicia* znalazła tak łatwo męża.

Przez chwilę pomyślałem, by się wywiedzieć czegoś o narzeczonej naszego młodego rodaka. Lecz zapomniałem go zapytać o nazwisko jej rodziców i o adres, a trudno byłoby przecież obejść wszystkie Angioliny na wyspie.

Powróciliśmy więc do hotelu, zjedliśmy obiad i wózkami kazaliśmy się zawieźć wspólną drogą, biegnącą wysoko nad morzem, do Anacapri<sup>138</sup>, by tu aż do zachodu słońca rozkoszować się zachwycającym widokiem Ischii<sup>139</sup>, Neapolu, Wezuwiusza<sup>140</sup> i wybrzeża aż do Punta di Sorrento<sup>141</sup>. Tu, w górach, mieszkają wytworniejsi ludzie niż w miasteczku, przepelnionym podróżnymi, gdzie wszyscy, młodzi i starzy, polują na bezbronnych *forestierów*<sup>142</sup>. Mieliśmy też w ogrodzie, do którego weszliśmy znęceniu cudnym widokiem, dowody wielkiej gościnności: właścicielka sadu podała nam talerz pomarańcz, córki jej obdarowały nas kwiatami, odmawiając stanowczo przyjęcia zapłaty.

Gdy wieczorem siedzieliśmy samotnie na tarasie ogrodowym naszego hotelu, spoglądając, jak na niebie ukazują się gwiazdy, i rozkoszując się zapachem pomarańcz, unoszonym przez wiatr idący od morza — nagle żona moja powiada:

— Jak by to było pięknie, gdyby cicha noc nieco się ożywiła, gdyby na tarasie zabrzmiały dźwięki gitary i tamburyna, a kilka pięknych, młodych par zatańczyło tarantelę... Wiesz, nigdy jeszcze nie miałam sposobności zobaczyć prawdziwej taranteli. To, co się widzi na balu maskowym lub w teatrze, jest przecież tylko karykaturą.

— Wątpię — odpowiedziałem z uśmiechem — czy by oryginał bardziej ci się podobał. Przed laty często widziałem tarantelę; nie brakło dzikości, natomiast brak było gracji i piękna. Najstarsze baby i najotyłsi mężczyźni skakali dokoła izby z pokrzywionymi nogami jak oszalałe żaby. Może jednak dziś będzie inaczej.

Zwróciliśmy się do gospodyni, siedzącej z córkami w ogrodzie pod drzewem i również rozkoszującej się ciszą nocy. Potrząsnęła głową. Innym razem nie byłoby nic łatwiejszego, jak zamówić z pół tuzina chłopców i dziewcząt i kazać im zatańczyć. Lecz dziś wszyscy są na weselu, a jeśli chcemy zobaczyć, jak się tańczy tarantelę, musimy się tam udać.

— Jesteśmy obcy. Jakże moglibyśmy...

— O, będzie to zaszczytem dla *signora* Aristide i jego młodej żony. Annetta państwa zaprowadzi. Z pewnością nie pożałujecie tego.

Wesele, Zabawa, Muzyka

Morze, Góry, Wyspa,  
Natura, Piękno, Podróż

Zabawa, Muzyka, Taniec

<sup>135</sup>Rio de Janeiro — jedno z największych miast Brazylii, w momencie publikacji zbioru nowel stolica tego kraju. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*confetti* a. *konfetti* — kolorowe krążki papieru, rozsypywane podczas zabawy. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*tamburyn* — bębenek z obręczą, na której umieszczone są brzęczące blaszki. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*Anacapri* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol, na wyspie Capri. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*Ischia* — wyspa na Morzu Tyrreńskim. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*Wezuwiusz* — wulkan na terenie Włoch, na Półwyspie Apenińskim, nad Zatoką Neapolitańską. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*Punta di Sorrento* a. *Punta Campanella* — przylądek i morski obszar chroniony w regionie Kampania. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*forestier* (z wł.) — cudzoziemiec. [przypis redakcyjny]

Zawołała starą służącą, która w pobliżu podlewała grządki jarzyn, i po chwili ruszyliśmy w drogę do domu weselnego.

Był on ukryty wśród ciemnych uliczek, w których ostre zapachy smażonych w oliwie ryb, cebuli i chleba świętojańskiego<sup>143</sup> mieszały się z bardziej podejrzanyymi wyziewami. Z dała można było poznać nasz cel. Z otwartych, jasno oświetlonych okien dolatywały namiętne dźwięki brzęczących tamburynów, chrobotających skrzypiec i przytupujących nóg.

Wąskie kamienne schody na zewnątrz domu prowadziły na pierwsze piętro. Na dole znajdował się sklep, w którym młoda narzeczona pomagała rodzicom w sprzedaży jarzyn i owoców, aż ją los wyznaczył, by po drugiej stronie oceanu prowadziła ojcowski interes, ale na wielką skalę.

O tej porze sklep był oczywista zamknięty; weselisko odbywało się na piętrze, w izbie pozbawionej wszelkich ozdób. Na brudnych, szarych ścianach nie wisiały nawet litografie<sup>144</sup> Garibaldiego<sup>145</sup>, Wiktora Emanuela<sup>146</sup> lub oleodruk<sup>147</sup> Matki Boskiej.

Z trudem przedostaliśmy się przez gromadę dzieci, stojących pod domem i na schodach i magiczną siłą przykutych do jasnych okien i porywającej muzyki tanecznej. Na górnych stopniach schodów stali młodzi chłopcy, należący do towarzystwa weselnego; prawie każdy miał kwiat w klapie surduta, niemal wszyscy palili długie czarne cygara i nucili melodię tańca, który właśnie muzyka grała. Gdy nas ujrzeli, natychmiast się rozstąpili uprzejmie i jeden z nich głośno krzyknął, po czym muzyka zamilkła i goście weselni utworzyli szpaler, poprzez który młoda mężatka wyszła ku nam, serdecznie zapraszając, byśmy weszli.

Widzieliśmy ją teraz całkiem z bliska, a wydała nam się jeszcze piękniejsza i bardziej urocza; mogliśmy się do syta napatrzeć delikatności miękkiej jak aksamit skóry i blaskowi jej oczu, iskrzących się jak brylanty. Zarazem jednak zwróciła naszą uwagę kompletna oziębłość i obojętność tej młodej twarzy, zachowującej również i w rozmowie zupełne zrównoważenie i nieożywionej żadnym uśmiechem. Jej strój był nienaganny, jak by dopiero co wyjęty z szafy, na sukience nie znać było ani jednego zgniecenia, ani jeden kwiatek z jej wianuszka ślubnego nie odpadł — w istocie *fatto a pennello*<sup>148</sup>, jak ją określił stary Kapryjczyk na rynku.

Miała jednak, mimo swych siedemnastu lat, maniery damy światowej, nie pozwoliła nam dłużej się usprawiedliwiać, że nieproszeni tu wpadliśmy, poprowadziła nas poprzez gapiących się uczestników weseliska do krzeseł przy ścianie, na których siedzieli najdosłojniejsi goście, przede wszystkim rodzice młodej mężatki — małżonek, zdaje się, nie miał już rodziców lub też zostawił ich w Ameryce — prócz tego kilku bliskich krewnych, wszyscy w niezbyt odświętnych strojach, mężczyźni w samych koszulach, z wyjątkiem młodego żonkosia. Młoda kobieta, ciotka narzeczonej, siedziała obok tego szczęśliwca, mając na łonie tłuste niemowlę, które zupełnie otwarcie karmiła piersią. Nie przeszkadzało jej w załatwianiu tych macierzyńskich czynności również i to, że narzeczona ku niej podeszła, by nas przedstawić. Przy tej niewieście posadzono moją żonę; miała więc obok siebie narzeczonego, który milczał jak zakłęty i z podniesionymi do góry brwiami wciąż się uśmiechał. Tym wymowniejsza była młoda mężateczka, obok której przyszło mi usiąść. Nie mogłem się dość nadziwić temu, z jaką zimną krwią i wprawą ta młoda istota bawiła zupełnie obcego jej człowieka, jakby królowa balu, która w kotylionie<sup>149</sup> znajomemu tancerzowi udziela ekstra tury. Oświadczyła, że uważa to za wielki zaszczyt, żeśmy przybyli na wesele. Jesteśmy zapewne Anglikami lub Francuzami. Na weselu jednej z jej koleżanek była pewna rodzina amerykańska; byli to bardzo mili ludzie, a panienki nawet zatańczyły. Tarantelę? Nie, tego tańca nam nie pokaże, zniszczyłaby swą sukienkę,

<sup>143</sup>chleb świętojański — drzewo o błyszczących liściach, rosnące w krajach śródziemnomorskich. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>litografia — odbitka graficzna, wykonana techniką druku płaskiego. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Garibaldi, Giuseppe (1807–1882) — włoski rewolucjonista, żołnierz i polityk, działacz i bojownik na rzecz zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>Wiktor II Emanuel (1820–1878) — król włoski w latach 1861–1878. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>oleodruk — reprodukcja, przypominająca obraz olejny. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>fatto a pennello (wł.) — jak z obrazka. [przypis redakcyjny]

<sup>149</sup>kotylion — ozdoba, przypinana na bal; taniec z figurami, w którym uczestniczą pary z takimi samymi ozdobami. [przypis edytorski]

a zresztą tren jej ślubnej sukni jest za długi. Może potem taniec wirowy, ale nie z mężem, który wcale nie tańczy... jest to prawdziwy *uomo positivo*<sup>150</sup>... kuzyn jej, Carlino, będzie bardzo szczęśliwy... ale przede wszystkim musi moją żonę przedstawić krawcowej.

— Krawcowej?

Tak, tej, która uszyła jej suknię. Jest zrobiona według paryskiego żurnalu; uszyła ją w osiem dni. Czy nie jest piękna? Czy nie jest jej w niej do twarzy?

Przyjęła komplementy mojej żony jako coś samo przez się zrozumiałego, wzięła nas za ręce i zaprowadziła do chudej, starszej kobiety, którą widocznie wyróżniano w tym gronie nader uprzejmym traktowaniem. Była ona prócz narzeczonej jedyną kobietą, która się wystroiła odświętnie; inne niewiasty były w codziennym stroju, a miały tylko ufryzowane włosy i były przypudrowane. Ona zaś nosiła bawełnianą suknię w wielką kratę, cudacznie skrojoną, gruby złoty łańcuch na szyi i czarny welonik na rzadkich ciemnych włosach. Mówiła mało i bardzo wyszukanie, miała przed sobą na krześle butelkę wina i szklankę i spoglądała ku nam z pobłażliwym spokojem, gdy nas *sposa*<sup>151</sup> przedstawiała.

Odtąjała dopiero wtedy, gdy moja żona powiedziała jej wiele uprzejmości na temat jej mistrzostwa w kunszcie krawieckim. Tymczasem widocznie młodzieży sprzykrzyła się pauza, spowodowana naszym przybyciem; muzyka, umieszczona w bocznej izbie obok drzwi, rozpoczęła znowu grać i poczęła się tarantela, wedle melodii *Già la luna è in mezzo al mare*<sup>152</sup>, tańczona przez kilka par, wprawdzie bez bachicznej<sup>153</sup> dzikości, ale też bez wstrętnych grymasów starych rozwydrzonych bab i chwiejących się na nogach pijaków — jak to ongi widziałem.

*Sposa* zajęła znów miejsce między moją żoną a mną, młody żonkoś mlaskał językiem i porykiwał co chwila głupawo, ojciec narzeczonej zakradł się do bocznej izby, gdzie kilku sędziwych obywateli siedziało przy winie i dymiło z krótkich fajek okropny tytoń. Scena poczynąca być już mniej zabawna i interesująca, gdy wtem muzyka umilkła, tańczący zatrzymali się, a z wszystkich kątów izby lunął w stronę młodej pary i honorowych gości deszcz kwiatów i *confetti*. Chwytałyśmy, co na nas spadało, i chcieliśmy oddać młodej pani. Ona zaś zebrała wszystko, co tylko ująć zdołały jej małe rączki w niebieskich jedwabnych rękawiczkach, i wręczyła mojej żonie; mnie włożyła do butonierki bukietik kwiatów.

Wkrótce potem, gdy tancerze rozproszyli się znów w bocznej izbie i na schodach, przystąpił do nas jakiś mały, skarłały człowieczek z ogoloną głową i skośnymi, chytrymi oczkami, trzymający w lewej ręce talerz z dwiema napełnionymi winem szklankami. Prawą dłoń położył patetycznym ruchem na piersi i począł recytować wiersz, którym nas, obcokrajowców, uszczęśliwiających swym przybyciem młodą parę, serdecznie powitał i prosił, byśmy z nim kielich wychylili.

Pięknie się ukloniwszy, podał jedną szklankę mojej żonie, zaś nadpiwszy kropelkę z drugiej, podał ją mnie; wszyscy dokoła poczęli krzyczeć: *Evviva!*<sup>154</sup>

Wszystko to odbyło się tak uroczo, wiersze, które widocznie były zaimprovizowane, brzmiały tak melodyjnie, że wpadliśmy w doskonały humor i półgłosem wypowiadaliśmy sąd nasz o tym, z jaką naturalnością i przyzwoitością ci wyspiarze obchodzą swe uroczystości. Nie było tu zupełnie dzikości i braku umiarkowania naszych chłopskich weselisk, żaden pijak nie krzyczał i nie ryczał wśród dźwięków muzyki, zaś matka narzeczonej, która siedła w kącie i już się zdrzemnęła, chrapała tak cichutko, iż nikomu to nie przeszkadzało.

\*

Muzyka znowu poczęła grać i młodzież puściła się w tany powolnym, posuwistym krokiem, z widocznym upodobaniem. Wtem rozległy się na schodach pod drzwiami głośne krzyki; z ożywionych gestów zgromadzonej tam młodzieży poznać było można, że ktoś

<sup>150</sup>*uomo positivo* (wł.) — przyzwoity człowiek. [przypis redakcyjny]

<sup>151</sup>*sposa* (wł.) — panna młoda. [przypis redakcyjny]

<sup>152</sup>*Già la luna è in mezzo al mare* (wł.) — *Księżyc już na środku morza*, pierwszy wers taranteli *La Danza*, napisanej przez Gioacchina Rossiniego (1792–1868) w 1835 roku. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*bachiczny* — związany z kultem Bachusa; pijacki, dziki. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Evviva!* (wł.) — Niech żyje! [przypis redakcyjny]

Strój

Wesele

Wino, Wesele

chce się dostać na salę, zaś inni go wstrzymują. Hałas stał się tak wielki, że muzykanci przestali grać. Na progu pojawił się jakiś dryblas i krzyknął coś do narzeczonej, przy czym słowem jego, dla nas niezrozumiałym, towarzyszyły gwałtowne ruchy rąk i twarzy.

Zobaczyłem, jak na chwilę jej twarzyczka pobladła i straciła swój chłodny spokój. Po chwili jednak powstała, poszła ku drzwiom i znikła za nimi w gromadce młodych chłopców. W sali zapanowała cisza. Wszyscy w napięciu spoglądali ku drzwiom, zza których dolatywały przytłumione szepty. Potem gromadka chłopców, zalegających wejście, rozstała się, a we drzwiach pojawiła się młoda mężatka, prowadząc za rękę postać, w której ku naszemu największemu zdumieniu poznaliśmy naszego rodaka, zacnego Poldka...

Chłopiec miał teraz zupełnie inny wygląd niż rankiem, gdyśmy go poznali. Loki jego — widocznie w ciżbie zgubił kapelusz — były rozczochrane, twarz trupioblada, oczy spozierały dziko, nie rozznaczając poszczególnych przedmiotów dokoła; stwierdziliśmy bowiem, że kilkakrotnie powiódł wzrokiem w naszą stronę i nie poznał nas. Drżał na całym ciele i poruszał zaciśniętą prawą dłonią jak młotem, którym zamierzał coś rozbić. Gdy ujrzał narzeczonego, którego natychmiast można było poznać po czarnym surducie i bukieciku w butonierce, wydał okrzyk wściekłości, zazgrzytał zębami i uczynił ruch, jak by się chciał na niego rzucić. Lecz szczęśliwy żonkoś spoglądał na niego zupełnie bezmyślnie i nawet nie wstał z krzesła, gdy ujrzał swą piękną żonę, prowadzącą obcego człowieka, który zachowywał się jak desperat. A może zdawał sobie sprawę, że ma ona silną dłoń i dość zimnej krwi, by przeszkodzić wszelkiemu złu.

I rzeczywiście, młoda jego żonka, trzymając nieproszonego gościa za rękę, poprowadziła go do krawcowej, która bez zdziwienia nań spojrziała, po czym spokojnie postawiła na krzesle opróżnioną dopiero co szklankę.

— *Ecco*<sup>155</sup> — powiedziała *sposa* najspokojniejszym głosem, jakby szło tylko o przedstawienie szanownej przyjaciółce nowego gościa — oto pan Leopold, o którym pani mówiłam, a oto, panie Leopoldzie, nasza *sarta*<sup>156</sup>, pani Gigina; wytłumaczy ona panu, dlaczego nie czekałam na pana, tylko wzięłam Aristida. Nieprawdaż, Gigino, że tak mi doradzałaś i że nie zrobiłabyś sama inaczej? Mimo to możemy zostać dobrymi przyjaciółmi i nie trzeba zaraz mówić o śmierci i zabójstwach.

— O Angiolino! — zawołał oszukany z rozpaczą w głosie — dlaczegoś mi to zrobiła? Czy nie powiedziałaś, że mnie kochasz i chcesz zostać moją żoną? Nie minęły jeszcze trzy tygodnie, a teraz... gdy przybywam i chcę zabrać cię do mej matki... o wężu fałszywy! *Che perfida! Oh, donna senza fide!*<sup>157</sup> Gdybym teraz wbił nóż w twoje serce...

— *Zitto!*<sup>158</sup> — powiedziała *sarta* głębokim, szorstkim głosem. — Co za pomysł wpaść tu między weselnymi gośćmi i hałasować! Jeśli pan chce wiedzieć prawdę, tak, ja namówiłam Angiolinę, by na pana nie czekała, że mną niech się pan rozprawi, ale niech pan wierzy, że się nie boję tej rozprawy. I ja też niegdyś byłam młoda i dość piękna, choć nie tak piękna jak Angiolina, i młodzi ludzie się za mną oglądali, podróżni też, a zwłaszcza malarze. Poznałam ich dobrze i wiem: *pittori* — *burlatori*, *artisti* — *uomini tristi*<sup>159</sup>. Lecz dajmy pokój dawnym dziejom. Gdy Angiolina przyszła do mnie i powiedziała: Gigino, powiedziała, przyjechał Aristide zza morza, tam się stał wielkim bogaczem, chce się ze mną ożenić, powiedziała — a ja: *Figlia mia!*<sup>160</sup>, weź go i bądź szczęśliwa! — powiedziałam, a ona na to: Tak, ale Leopold wyjechał przed ośmiu dniami i dałam mu słowo, i co mam powiedzieć, gdy wróci? — powiedziała; a ja, gdyby to był przynajmniej *milordo*<sup>161</sup>, powiedziałam, ale to tylko malarz, a wiesz przecież: *pittori* — *burlatori*, więc nie odtrącaj szczęścia, *figlia mia*, a suknię ślubną ci uszyję, powiedziałam, choć mało jest czasu, a powiedz pan sam, panie Leopoldzie, jest pan przecież artystą i rozumie się na tym: czy nie wygląda jak laleczka w tej sukience, ludzie tam w Ameryce będą się dziwowali, jak piękne dziewczęta są na Capri i jakie piękne noszą suknie, co leżą jak ulane. Wprawdzie metr kosztował dziesięć lirów, ale *signor* Aristide może sobie na to pozwolić, a jego han-

Rozpacz, Zdrada, Smutek,  
Fałsz

Pozycja społeczna, Pieniądz,  
Artysta

<sup>155</sup>*ecco* (wł.) — proszę, oto. [przypis redakcyjny]

<sup>156</sup>*sarta* (wł.) — krawcowa. [przypis redakcyjny]

<sup>157</sup>*Che perfida! Oh, donna senza fide!* (wł.) — Obludnico! Och, niewierna! [przypis redakcyjny]

<sup>158</sup>*Zitto!* (wł.) — Milcz! [przypis redakcyjny]

<sup>159</sup>*pittori* — *burlatori*, *artisti* — *uomini tristi* (wł.) — malarze — figlarze, artyści — ludzie smutni. [przypis redakcyjny]

<sup>160</sup>*Figlia mia* (wł.) — Cóрко moja. [przypis redakcyjny]

<sup>161</sup>*milordo* — zitalianizowana wersja angielskiego tytułu grzesznościowego *milord*. [przypis edytorski]

del owocami przynosi w każdym razie więcej niż pańskie bazgroty na płótnie. Angiolina byłaby wariatką, gdyby na pana czekała.

Ta doskonała mowa, wypowiedziana tak głośno, iż niemal wszyscy w izbie mogli ją słyszeć, cieszyła się widocznie wielkim uznaniem. Młode i stare głowy przytakiwały, piękna niewierna również, zaś szczęśliwiec, który malarzowi sprzątnął sprzed nosa dziewczynę, mlasnął językiem i podszedł do wymownej obrończyni, by przypić do niej szklankę wina.

Natomiast odparty konkurent zachowywał się w sposób godny pożałowania; wszyscy spoglądali na niego tak groźnie, jakby on był tym, który wyrządził krzywdę dziewczynie. Wreszcie przystąpił do niego narzeczony, jak gdyby mu chciał oświadczyć, że mu wybacza i zezwala na honorowy odwrót. Widziałem, że blada twarz poczciwego chłopaka powlokła się purpurą, otworzył usta i podniósł zaciśniętą pięść; wiedziałem, że pociągnęłoby to za sobą nieobliczalne następstwa, toteż postanowiłem wdać się w tę sprawę osobiście; stanąłem za nim i położyłem mu rękę na ramieniu.

Obejrzał się rozwścieczony, myśląc zapewne, że ktoś z wrogimi zamiarami doń się dobiera. Gdy mnie poznał, momentalnie ustąpiło jego wzburzenie; spuścił oczy z takim zakłopotaniem i wstydem, iż mi się żal zrobiło chłopaka.

— Opamiętaj się, młody przyjacielu — powiedziałem — musisz się zdobyć na tyle rozsądku, by się nie ośmieszyć. Żeś się w tej przepięknej istocie po uszy zakochał, nikt ci nie bierze za złe. Nawet pod tym cudnym niebem trzeba by długo szukać, by znaleźć podobnie doskonały okaz piękności kobiecej. Ale właśnie dlatego młody malarz powinien się czuć szczęśliwy, iż trafem losu nie został mężem tego cudnego zwierzątka. Przypomina pan sobie, że nie bardzo dowierzałem, gdy pan chwalił łagodność usposobienia i uczuciowość swej bogdanki<sup>162</sup>. Mnie, doświadczonemu znawcy ludzi i Włoch, proszę wierzyć: w całej jej rozkosznej postaci tkwi tyle uczuciowości, ile w kamiennym posągu nad drzwiami kościelnymi. Charakter? Tak, ma ona ma pewno solidny, praktyczny charakter, bardzo dobrze przystosowany do pobytu w Ameryce. Uszczęśliwi swego Aristida w tym stopniu, w jakim on na to zasługuje, zaś pana unieszczęśliwiłaby z całą pewnością. Nie byłaby panu nigdy niewierna; mimo iż jest kobietą z Południa, ma na to zbyt mało temperamentu. Ale czy ta cnotliwość wystarczylaby, by panu przez całe życie wynagrodzić wszystko, bez czego pan u boku takiej syreny musiałby się obywać... Chodź pan! Wyglądz czoło, okaż spokojną twarz i nie bierz tego wszystkiego tak tragicznie. Pokaż, że potrafisz zrozumieć śmieszność sytuacji.

Wzburzony młodzieniec słuchał z początku moich słów w pewnym osłupieniu. Z wolna jednak w niespokojnych jego oczach poczęło się malować zrozumienie faktycznego stanu i gorączkowe drgawki, które wprzód zniekształcały jego twarz, ustąpiły. Gdy skończyłem, potrząsnął najpierw kilka razy głową, spojrzął potem na utraconą dziewczynę i zwycięskiego rywala, wreszcie wybuchnął głośnym śmiechem, w którym było oczywiście wiele śmiechu przez łzy... Bądź co bądź przyjąłem ten śmiech z większą przyjemnością niż poprzednie zgrzytanie zębami. Podał mi rękę, uściśnął ją mocno i rzekł:

— Dziękuję panu, ma pan zupełną rację. Byłem osłem, kompletnym osłem. Na ostatek byłbym został jeszcze czymś gorszym. A przyzna pan...

Nie dopowiedział rozpoczętego zdania do końca, gdyż w tej chwili poznał pomiędzy obecnymi moją żonę. Poczerwieniał, lecz prędko się opanował, przystąpił uprzejmie i zapytał o zdrowie, tak jak by nic szczególnego nie zaszło. Zapytała o matkę... Chwała Bogu, mama czuje się dobrze, jest w Sorrento i z pewnością bardzo się ucieszy, gdy jutro zobaczy swego syna — bez „takiej”, uzupełniłem w duchu. Po tych słowach poczciwy chłopak zwrócił się grzecznie do swych niedoszłych teściów, którzy byli jedynymi zakłopotanymi w całym towarzystwie.

Lecz *sposa* pospieszyła z pomocą swym rodzicom. Ujęła uprzejmie Poldka za rękę i poprowadziła go do swego męża, który grzecznie się uklonił i ze szlachetnością zwycięzcy podał rękę pokonanemu. We troje przysiedli na krzesłach i poczęli serdecznie i wesoło się zabawiać, przy czym „ten trzeci” wciąż dziwnie się uśmiechał, a mała kobietka nieustannie szczebiotała i podsycala rozmowę.

<sup>162</sup>*bogdanka* (daw.) — ukochana. [przypis edytorski]

Po pewnym czasie wystąpił znowu skarłaty człeczek, improwizator, podszedł z dwiema napełnionymi winem szklankami do nowego gościa honorowego, wypowiedział wierszyk, którego osnową tym razem była sztuka i piękno przyrody, zakończył go pięknym zwrotem ku uczczeniu młodego malarza i podał mu szklankę. Uczczony podniósł się, spojrzął swymi pięknymi, wyzywającymi oczyma dokoła i zawołał doskonałą włoszczyzną:

— Niech żyją nowożeńcy, szanowny młody małżonek i najpiękniejsza, najwierniejsza małżonka. Wychylam ten kielich za ich szczęście i zdrowie!

Wychylił kielich jednym haustem i rzucił go na ziemię, tak że rozprysł się w drobne kawałki. W tej chwili muzyka zagrała lekkiego walczyka. Okrzyczany jako *burlatore*<sup>163</sup>, a tak szpetnie okpiony młodzieniec ujął wpół młodą mężatkę i puścił się z nią w tan. Przepiękny był to widok, gdy bładoniebieska figurynka przytulała się do jasnego letniego surduta zgrabnego młodzieńca; każdy z widzów musiał przyznać, że niełatwo można by znaleźć przystojniejszą parę. Widocznie myśl ta zdołała dotrzeć nawet do mózgu narzeczonego. Zmarszczył wąskie, niskie czoło i zapomniał palcami wywijać w ślad za taktem melodii, co stałe podczas muzyki czynił. Potem jednak spoglądał zupełnie spokojnie jak wszyscy *beati possidentes*<sup>164</sup>; ukontentowanie ich zwiększa tylko zazdrość okazywana przez tych, którzy odeszli z kwitkiem.

Żadna para nie przyłączyła się do tańczących; dziewczęta stały obok swych chłopców i poruszały się tylko, lekko uderzając do wtóru w tamburyny; w coraz szybszym tempie wygrywali melodię muzykanci, coraz zawrotniej leciała dokoła sali para tancerzy, z wianuszką narzeczonej ulatywały kwiaty, szpilki przytrzymujące welon poczęły wylatywać... *Basta! basta!*<sup>165</sup> — słyszano jej błagalny głos, ale bezlitośnie szalał z nią tancerz, wirując do utraty tchu dokoła sali, aż wreszcie spoconym muzykantom zabrakło sił i wśród najgwałtowniejszego *fortissimo*<sup>166</sup> nagle zamilkli. Szalencie przystanął tuż obok krzesła męża, spojrzął nań kpiąco, krzyknął ochryplym głosem: — Oto masz skarb, którego ci z całego serca życzę! — pchnął oszołomioną kobietę w stronę prawowitego właściciela, zaśmiał się raz jeszcze głośno i, torując sobie drogę przez ciżbę osłupiałej młodzieży, wypadł z izby weselnej — i znikł.

\*

Zrozumiałe, że po tych dziwnych zdarzeniach nasze dramatyczne zainteresowanie wyczerpało się; skorzystaliśmy też z pierwszej sposobności, by niepostrzeżenie opuścić towarzystwo, które z największym spokojem zabrało się z powrotem do tańca i picia.

Żona moja nalegała, abym przed pójściem na spoczynek dowiedział się, co porabia nasz młody rodak. Lękała się, by w samotności nie zrobił sobie coś złego, gdy wobec tyłu świadków musiał się tak nadludzko opanowywać. Wiedziałem, w jakim hotelu miał zamieszkać. Tam też dowiedziałem się, że wpadł do swego pokoju, zażądał butelki wina i nieco chleba i zamknął się.

Mogliśmy więc być na razie o niego spokojni.

Gdy rankiem następnego dnia znowu zasięgnąłem informacji, powiedział mi kelner, że *poveretto*<sup>167</sup> — jak go nazwał — przed godziną wynajął barkę i odpłynął do Sorrento.

Mieliśmy przed sobą jeszcze pół dnia, chcieliśmy bowiem powrócić do Neapolu parowcem, odchodzącym w południe. Wyzyskaliśmy też ten czas jak najlepiej, zwiedzając w przecudny poranek czerwcowy willę Tyberiusza<sup>168</sup> w górach, wśród skał, i wałęsając się po małej przystani. Jednak mimo zachwyty nad wspaniałościami, które wchłaniały oczy nasze, wracała wciąż uporczywie myśl o przeżyciach wczorajszej nocy; u żony mojej przeważała litość nad rozczarowaniem biedaka, który zdaniem jej byłby przecież wykrzesał iskrę uczucia z małej zimnokrwistej rusalki; ja natomiast myślałem nie bez satysfakcji, z jaką rozkoszą pocziwa mama odetchnie, gdy się dowie, że zaoszczędzono jej znajomości z „taką”...

<sup>163</sup>*burlatore* (wl.) — figlarz. [przypis redakcyjny]

<sup>164</sup>*beati possidentes* (łac.) — szczęśliwi posiadacze. [przypis redakcyjny]

<sup>165</sup>*Basta! basta!* (wl.) — Dostyc! dosyc! [przypis redakcyjny]

<sup>166</sup>*fortissimo* (muz., wl.) — bardzo głośno, bardzo mocno. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*poveretto* (wl.) — biedak. [przypis redakcyjny]

<sup>168</sup>Tyberiusz (42 p.n.e.–37 n.e.) — cesarz rzymski. Villa Iovis to jedna z dwunastu willi cesarza Tyberiusza na Capri. [przypis edytorski]

Szczupła, czternastoletnia dziewczynka zносиła nam w południe nasze kufarki podróżne do przystani, trzymając je lekko na głowie, przy czym czarne kosmyki włosów opadały jej na czoło i oczy.

Była przejęta, jak zapewne wszyscy na Capri i Anacapri, dramatem ubiegłego wieczoru i choć powiedzieliśmy jej, iż byliśmy świadkami tego, co zaszło, czuła nieprzeparty przymus opowiedzenia nam całej historii, oczywiście z bardzo charakterystycznymi dodatkami i upiększeniami. Można tu było przekonać się, jaką siłę twórczą ma wyobraźnia ludu. Lecz najbardziej nas zdziwiła trzeźwość sądu, ujawniająca się już w tej czternastoletniej główce.

— Prawda — mówiła — pan Leopold jest piękny, a Aristide brzydki. Lecz ten był lepszą partią. Zresztą *sor*<sup>169</sup> Leopoldo jest tylko malarzem, a ponadto heretykiem, luteraninem... więc musiało do tego przyjść... *s'è scumbinato*<sup>170</sup>... zresztą pierwszy narzeczony znalazł się jak prawdziwy *galantuomo*<sup>171</sup>. *Si figuri, signora*<sup>172</sup>, posłał dziś rano Angiolinie jako dar ślubny wspaniałą bransoletę z prawdziwego złota, z trzema wielkimi rubinami, wartości co najmniej czterystu lirów, a może pięciuset, powiedziała Gigina, *sarta*, a ta się na tym rozumie. Tak, był on doprawdy *cara persona*<sup>173</sup>, pan Leopoldo, szkoda, że mu się to przytrafiło, lecz nie mogło być inaczej, tak chciało przeznaczenie...

— Czysta filozofia turecka! — powiedziała moja żona. — W Złotym Rogu<sup>174</sup> nie można być mniej sentymentalnym i uczuciowym niż tu, w tej wspaniałej zatoce, w której urodził się Tasso<sup>175</sup>. Biedny Poldek! Zapłacił drogo za naukę!

— Nie żałuj go zbyt — odpowiedziałem. — Taniej mu to wypadło, niż gdyby swej pięknej lalce osobiście włożył bransoletę na śliczną rączkę i poprowadził do swej matki w charakterze synowej. Przypisuję mu tyle zdrowego rozsądku, że już po czternastu dniach odetchnie z ulgą, jak człowiek, który wyratował się z niebezpieczeństwa, zagrażającego życiu, i powie sobie: Chwała Bogu! *S'è scumbinato!*...

## Wiedźma z korsa

Było to w marcu. Zapadał mrok; natłok powozów i piechurów, przepelniających przez kilka godzin korso<sup>176</sup> w każde popołudnie, począł się rozpraszać. Wracając z dalekiej wędrówki srodze zmęczony i zdążyłem do mieszkania, położonego w pobliżu Piazza del Popolo<sup>177</sup>. Wtem szybkie moje kroki wstrzymała nagle dobrze mi znana przydługa postać w piaskowym paltocie i szerokim szarym kapeluszu. Stał bez ruchu ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami na chodniku, jak falochron, dokoła którego tłum przechodniów przewijał się w lewo i w prawo. Oczywiście, nie obeszło się bez pomruków, syków i pomstowań. Lecz mało to obchodziło samotnika. Miał wzrok utkwiony bez przerwy w okna na drugim piętrze domu naprzeciw, gdzie jednak nie widać było ani światła, ani żywej istoty, ani nawet żadnych ozdób artystycznych. Był to narożny dom przy Via de'Pontefici<sup>178</sup>, jedna z owych bezbarwnych, niczym się niewyróżniających klatek dla ludzi, w które obfituje ta historyczna ulica.

Wyznaję, iż mimo wyczerpania ogarnęła mnie wielka chęć dowiedzenia się, co mego przyjaciela przykuło do tego miejsca i zamieniło jak gdyby w słup soli. Zaznajomiłem się z nim zaledwo przed kilku tygodniami; zdołał jednak w tym krótkim czasie zyskać moją sympatię. Był to człowiek w wysokim stopniu posiadający ową cudowną mieszaninę kultury światowej z niemal dziecięcą naiwnością, którą napotkać można u ludzi o wysokim locie wyobraźni, kiedy z ciasnych kręgów prześnionej młodości wydostają się na szerokie

<sup>169</sup>*sor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*s'è scumbinato* (wł.) — rozbiło się. [przypis redakcyjny]

<sup>171</sup>*galantuomo* (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, dżentelmen. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*Si figuri, signora* (wł.) — Niech pani sobie wyobrazi. [przypis redakcyjny]

<sup>173</sup>*cara persona* (wł.) — droga osoba, dobry człowiek. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>Złoty Róg — wąska, głęboko wcięta zatoka Bosforu w Turcji. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Tasso, Torquato (1544–1595) — włoski poeta renesansowy, urodzony w Sorrento. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*corso* a. *Via del Corso* — historyczna ulica rzymska, łącząca piazza Venezia i piazza del Popolo. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>Piazza del Popolo — jeden z najbardziej znanych placów w płn. części Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>Via de'Pontefici a. *Via dei Pontefici* — historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

Plotka, Rozum, Pozycja społeczna

Miasto, Samotnik, Tajemnica



rozłogi<sup>179</sup> życia. Ten najmłodszy syn pastora holsztyńskiego<sup>180</sup> dopiero w dwudziestym roku życia zadecydował o swym przyszłym losie, wyrzekając się nagle studiów teologicznych i udając się mimo przeszkód i niedostatku na praktykę do budowniczego. Gdy jego uzdolnienia przerosły zakres wiedzy budowniczego, dopomogli bogaci dobrodziejcy jego ojca, tak że mógł rozpocząć studia w berlińskiej<sup>181</sup> akademii. Otrzymał tam stypendium i w dwudziestym czwartym roku życia wyostał się na południowe stoki Alp<sup>182</sup>. Tyle wiedziałem z jego własnych zwierzeń; obecnie pracował w Petersburgu<sup>183</sup>, miał więcej zleceń, niż mógł wykonać, toteż, nie chcąc się dać strawić niezmordowanej pracy, wyrwał się na pewien czas, by zimę spędzić po części w Neapolu<sup>184</sup>, po części w Rzymie<sup>185</sup>.

Zatrzymałem się i czekałem, czy sam nie otrząśnie się z zamyślenia, w jakie popadł. Nie było jednak tak ciemno, iżbym nie mógł dokładnie dostrzec każdego rysu jego twarzy. Nie można jej było nazwać piękną według utartych pojęć; była nieco przydługa i chuda; wystające kości, skóra blada, bezkrwista. Lecz gdy mówił, oczy skrzyły się ogniem, a gdy szerokie usta poczynają się uśmiechać, gładka, pozbawiona brody twarz promieniała młodzieńczym urokiem, niemal dziewczęcym powabem, który potęgował jeszcze lekki rumieniec. Gęste, długie włosy zwisały na kark. Jasny ich połysk ustępował już gdzieś bezbarwnej siwiźnie.

Stał tak przede mną, profilem skierowany wciąż w tę samą stronę; wyraz jego twarzy nie zdradzał wcale, co marzycielską duszę przykuwało do tego miejsca.

Przystąpiłem wreszcie do niego i cicho wyszeptalem jego nazwisko. Ujrzałem, że jakby prąd elektryczny przeszył długą postać od stóp do głowy; jak gdyby niespodzianie huknęło nad uchem lunatyka... Lecz wkrótce opanował się zupełnie; tylko przed oczyma jego snuły się jeszcze mgły, a dokoła ust błąkał się uśmiech pokrywający nieudolnie lekkie zakłopotanie.

— Ach, to pan! — powiedział. — Cieszę się, że pana widzę. Zdaje się, że zbyt długo stałem tu na zawadzie rzymskim brukotłukom<sup>186</sup>. Są jednak dni i nastroje... proszę, niech pan pójdzie... — wziął mnie pod ramię. — Będę panu towarzyszył... nie zawsze jest dobrze być samotnym... a może pan ma jakie inne zamiary?

Powiedziałem mu, iż zmierzałem do domu, aby się pokrzepić szklanką wina i pomarańczą, gdyż jest jeszcze zbyt wcześnie na kolację.

— Jeśli nie ma pan żadnych innych planów — powiedział szybko — bardzo proszę towarzyszyć mi kilka kroków w stronę bramy. Tam w pierwszej lepszej osterii<sup>187</sup> znajdzie pan i wino, i owoce, a przy tym będziemy się rozkoszowali boską aurą wiosenną. Cięży mi coś na piersi... Zdaje mi się, że udusiłbym się między czterema ścianami... A jeśli pan się zdobędzie na odrobinę cierpliwości, znalazłbym może tyle odwagi, by panu opowiedzieć starą historię, która z niezwykłą żywością, niemal upiornie, dziś wyłoniła się w mej pamięci i męczy mnie...

Zdjął kapelusze i przecierał wąską, niezwykle białą ręką czoło, na którym perlily się krople potu i zwisały zlepione kosmyki jasnych włosów. Przy czym próbował się znowu uśmiechnąć.

Szedłem milcząc obok niego. Przeszliśmy przez Porta del Popolo<sup>188</sup> na stary fłamiński gościniec<sup>189</sup>, ożywiony ruchem zaprzęgów i gromad wieśniaczych. Po prawej i lewej stronie dolatywały echa rozgwaru w szynkowniach<sup>190</sup>. Z prastarego domu, który ongi<sup>191</sup> był

Miasto, Wspomnienia,  
Melancholia, Cierpienie,  
Smutek

<sup>179</sup>rozłóg — rozległy obszar, błonia, stepy. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>Holsztyn — historyczna kraina w północnych Niemczech. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>Berlin — największe miasto i stolica Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>Alpy — najwyższy łańcuch górski Europy, ciągnący się od Savony do Wiednia. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>Petersburg — miasto w Rosji, położone w delcie Newy nad Zatoką Fińską. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>Neapol — miasto w pld. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>Rzym — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>brukotłuk (daw.) — osoba włócząca się bez celu po ulicach. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>osteria — karczma, oberża, zajazd, gospoda, gościniec. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>Porta del Popolo a. Porta Flaminia — historyczna brama miejska w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>fłamiński gościniec — Via Flaminia, droga rzymska, prowadząca z Rzymu do Ariminum (Rimini). [przypis edytorski]

<sup>190</sup>szynkownia a. szynk (daw.) — karczma, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>ongi (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

pałacem, przenikały dźwięki ręcznej harmonijki, na której wygrywano walca. W przestronnej, ciemnej izbie, oświetlonej tylko ogniem, płonącym na piecu, tańczono, a jakaś gruba kobieta kręciła się wokół z wyrostkiem; krzyki i śmiechy towarzyszyły zabawnym podskakiwaniom chłopaka; nie mieliśmy ochoty tu wstępować.

— Widzi pan — rzekł mój przyjaciel — to już nie stary Rzym. Przed dwudziestu laty ujrzelibyśmy *saltarello*<sup>192</sup>. Dzisiaj konduktor tramwaju konnego huczy na swej trąbce. Pójdźmy na drugą stronę. Tam ciszej; zapewne znajdziemy kąt, gdzie co najwyżej szum Tybru<sup>193</sup> przypomina, że „wszystko płynie”.

\*

Było jeszcze jasno, powietrze srebrzyste i prócz Wenus<sup>194</sup> żadna gwiazda nie pojawiła się na niebie. Widzieliśmy delikatne linie Monte Mario<sup>195</sup> i pinie willi Mellini<sup>196</sup> ponad murami, okrążającymi gościniec; dziwne: nagle ustąpiło moje zmęczenie. Najchętniej byłbym powędrował aż do Ponte Molle<sup>197</sup>, gdzie miałem ulubiony kącik w skromnej gospodzie. Gdy jednak powiedziałem o tym memu towarzyszowi, potrząsnął głową i zatrzymał się nagle u wejścia do ogrodu pewnej szynkowni.

— To było tu! — powiedział. — Tu przed dwudziestu pięciu laty wypilem pierwszą szklankę rzymskiego wina. Zdawało mi się, że nie odnajdę tego miejsca. Ząb czasu wygryzł tylko głowy herbowym zwierzętom na filarach, podtrzymujących bramę. A wewnątrz... patrz pan, ocieniona drożyna, wiodąca ku rzece... i *loggia*<sup>198</sup>... i mały wodotrysk przed nią... Może znajdziemy nawet poczciwego Domenicuccia, który wówczas był młodym szynkarzem i młodym żonkosiem. Ach, nie, ludzie kruszeją łatwiej niż martwe glazy. Rudy drab, który samotnej parce tam stawia na stół flaszkę wina, należy do nowej generacji.

Wstąpiliśmy i zasiedli na ławce, stojącej nieco wyżej, tak iż między domem a pozabwionym jeszcze liści żywopłotem mogliśmy dojrzeć w oddali kopułę Św. Piotra<sup>199</sup> niby fioletowosiny dzwon. Powietrze stawało się coraz przejrzystsze; dokoła nas zapadała coraz głębsza cisza. Tylko poniżej nad Tybrem chłopięcy głos śpiewał namiętną pieśń, a nietoperze latały tak blisko nas, iż zdawało się, że słyszeć można szum ich skrzydeł.

Rudy gospodarz przyniósł nam wina. Cicho uderzyły o siebie kieliszki.

— Za wspomnienie naszej młodości! — powiedział mój przyjaciel. — Ma ona tak lekki sen, iż wystarczy cicho stuknąć, a budzi się. Niech pan wybaczy, jeśli wydam się panu nieco sentymentalny. Lecz taki dzień wspomnień... i znów na tym samym miejscu... a był to właśnie taki sam wieczór... Czy słyszy pan, jak dziwnie brzmi ten głos dziecięcy tam z oddali? Wcale nie miękko i słodko. Naturalnie, jest to bowiem przesąd, że miłość jest najslodszy z wszystkich, co przeżywa biedny śmiertelnik. A jeśli zaznajemy wreszcie czegoś słodkiego — jakże gorzki zwykle bywa posmak!

Wychylił kielich jednym haustem, jakby chciał ten posmak splukać.

— Wino jest cierpkie — rzekł. — Sprawia, że staję się znowu twardym mężczyzną. Poprzednio, gdy mnie pan spotkał pośrodku korsa, czy nie uważał mnie pan za człowieka na poły zwiariowanego? Musiałem zebrać wszystkie siły, by nie zdradzić przekłętęgo drżenia, które opanowało każdy mój nerw. Takie osłabienie pochodzi jeszcze z owych czasów. To, co mnie wówczas spotkało, rozluźniło jakiś punkt w moich, poza tym solidnych, fundamentach. Gdy mnie teraz coś wewnętrznie przejmuje, chwieje się cała budowla.

Nie wiem, czy kto inny byłby się prędzej od tego uwolnił. A może wstrząsnęło to tak moim życiem, bo wówczas dopiero co ozdrowiałem. A zresztą nie była to zwykła *perniciosa*<sup>200</sup>, na którą my, ludzie z Północy, tak ciężko zapadamy. Klimat znosiłem wcale

<sup>192</sup>*saltarello* (wł.) — żywy taniec z podskokami. [przypis redakcyjny]

<sup>193</sup>*Tyber* — rzeka w środkowej części Włoch. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*Wenera* a. *Wenus* (mit. rzym.) — w mitologii rzymskiej bogini miłości, tu: planeta Wenus. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>*Monte Mario* — jedno z rzymskich wzgórz. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>*willi Mellini* — piętnastowieczna willa rzymska. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>*Ponte Molle* a. *Ponte Milvio* — jeden z najstarszych mostów rzymskich. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>*loggia* (wł.) — portyk albo galeria, otwarta z jednej lub kilku stron. [przypis redakcyjny]

<sup>199</sup>*Św. Piotr* a. *Bazylika Świętego Piotra na Watykanie* — rzymskokatolicka bazylika na Wzgórzu Watykańskim. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>*perniciosa* (wł.) — febra malaryczna. [przypis redakcyjny]

Przemijanie

Miłość niespełniona,  
Melancholia, Młodość,  
Tęsknota, Wspomnienia

Miasto, Praca, Podróż

dobrze. Spędziłem w Pompejach<sup>201</sup> trzy miesiące w nędznej izdebce, kiepsko się odżywiając, a pracując bez przerwy. Kilka pięknych tygodni jesieni chciałem spędzić w Neapolu i nad wybrzeżem, zanim się miałem udać do Rzymu. Lecz nie mogłem się wyrwać z tej zaspanej dziury. Po głowie snuły mi się przeróżne pomysły, które zaspokajać mogłem *con amore*<sup>202</sup> w tych upiornych rumowiskach, czyniłem pomiary, rysowałem szkice, robiłem zestawienia, i to od świtu po chwilę, w których ostatni promień słońca gasł nad Wezuwiuszem<sup>203</sup>. Tak żyłem bez opamiętania przez całą zimę, jakby oczarowany.

Byłbym prawdopodobnie prześnił tak i całe lato; Rzym przestał mnie nęcić, wydawał mi się zbyt młody; lecz moja sakiewka<sup>204</sup> przemówiła mi wreszcie do rozsądku. Miałem jeszcze tyle tylko, by zapłacić *vetturina*<sup>205</sup>, który mnie w bardzo mieszanym towarzystwie odwiózł do Rzymu — księża i aktorki; różnie się działo w wozie, a podziwki z jego wnętrza brzmiały nie zawsze bardzo pobożnie. Siedziałem jednak na kozle obok woźnicy i nie troszczyłem się zbyt o to, co się działo za moimi plecami. Smutek rozstania z ukochanym miastem umarłych rozwiął wkrótce wspaniały krajobraz, który wówczas trzeba było przez pełne trzy dni podziwiać, by się dostać do Rzymu.

Wreszcie... pewnego niezapomnianego popołudnia... wjechaliśmy do Rzymu przez Porta San Giovanni<sup>206</sup>. Jakie uczucia mną włądały, drogi przyjacielu, gdy kopyta koni dudniły po bruku wiecznego miasta — tego chyba panu nie potrzebuję opisywać. Wszystkie te nazwiska, które wymieniał woźnica, wieże, pałace, na które wskazywał biczyskiem, znałem przecież z mych studiów, a jednak wszystko wydało mi się bajkowe, nieznane dotychczas. Jak gdyby się ktoś zakochał w kobiecie, mając tylko miniaturowy jej portret i listy — a wreszcie ujrzał ją i usłyszał jej głos. Byłem tak przepojony radością i ciekawością, iż wcale nie obejrzałem pokoju, gdy wóz zatrzymał się przed skromnym, trzeciorzędym zajazdem. Powierzyłem spiesźnie kelnerowi swe niewielkie zawiniątko i pospieszyłem przede wszystkim przejść się po forum, by niejako wziąć w posiadanie to poświęcone miejsce.

Powędrowałem ku Kapitolowi<sup>207</sup>, a następnie wijącą się drogą w dół i spoglądałem na zwaliska kolumn, pałace cesarskie i Koloseum<sup>208</sup> z taką rozkoszą, jakiej zaznałem tylko raz w życiu jako młody chłopak. Wówczas w południe przed wieczorem wigilijnym zajrzałem przez dziurkę od klucza do pokoju z choinką, co, oczywista, było surowo zakazane. Stało tam już drzewko, a pod nim leżały podarunki dla mnie. Gdy się stamtąd oddalałem, biło mi serce. Lękałem się, że naprawdę ziści się to, czym mi matka groziła: oto wieczorem wszystko zniknie... Lecz gdy wieczorem wszystko zastałem, i to w jeszcze piękniejszym stanie, niż mi się w południe wydawało, wykrzyknąłem głośno ze szczęścia.

Oczywista, nie krzyczałem, gdy po raz pierwszy ujrzałem cudowną muszlę Koloseum, która wówczas miała bardziej uroczyisty wygląd, gdyż wtedy jeszcze archeologowie, niemający respektu dla tajemnic malarskich, nie zabrali się do fundamentów budowli. Siedziałem przeszło godzinę u stóp krucyfiksu i pławiłem się w niewypowiedzianej rozkoszy.

Wreszcie zauważyłem, że święto to krzywdzi część cielesną mego „ja”. Od śniadania nie miałem nic w ustach, nasz woźnica nie godził się na dłuższe popasy i pocieszał, że w Rzymie zjemy dobry obiad. Zapadał już mrok; postanowiłem więc wrócić do domu, a po drodze wstąpić do *trattorii*<sup>209</sup>. Gdy przechodziłem jedną z ulic, które prowadzą do Forum<sup>210</sup>, ujrzałem na drzwiach jakiegoś domu kartkę: „Umeblowany gabinet do wynajęcia”. Na trzecim piętrze. Tym lepiej. Z góry ściele się widok na to czarowne pole ruin.

<sup>201</sup> *Pompeje* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol, niedaleko ruin starożytnych Pompejów (stanowisko archeologiczne). [przypis edytorski]

<sup>202</sup> *con amore* (wł.) — z upodobaniem. [przypis redakcyjny]

<sup>203</sup> *Wezuwiusz* — wulkan na terenie Włoch, na Półwyspie Apenińskim, nad Zatoką Neapolitańską. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> *sakiewka* (daw.) — woreczek na pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>205</sup> *vetturino* (wł.) — woźnica. [przypis redakcyjny]

<sup>206</sup> *Porta San Giovanni* — historyczna brama rzymska. [przypis edytorski]

<sup>207</sup> *Kapitol* — historyczne wzgórze rzymskie. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *Koloseum* — właśc. amfiteatr Flawiuszów, starożytny amfiteatr w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *trattoria* (wł.) — gospoda. [przypis redakcyjny]

<sup>210</sup> *Forum* — Forum Romanum, najstarszy plac miejski w Rzymie. [przypis edytorski]

Poszedłem więc na trzecie piętro i stwierdziłem, że wszystko tu piękniejsze ponad oczekiwanie. Wprawdzie pokój był ciasny, wyposażony tylko w najkonieczniejsze umeblowanie — lecz jakaż cudna panorama, gdy się wychyliło głowę przez okno! Nie należało się więc dłużej zastanawiać, bogowie okazali mi swą łaskę, a to tym bardziej, iż bez większych kosztów mogłem się dostać do tego rajskiego schroniska; czynsz bowiem nie był o wiele wyższy niż w Pompejach, a gospodyni, akuszerka<sup>211</sup> z zawodu, żądała tylko zapłaty za tydzień z góry.

Zawstydzilem się, gdy sięgnąwszy do kieszeni, wydobyłem tylko jednego talara<sup>212</sup>. Widząc moje zakłopotanie, kobieta okazała gotowość zrzeczenia się przedpłaty. Lecz, by sobie zapewnić kwaterę, zostawiłem jej zegarek jako zastaw i oświadczyłem, że jeszcze dziś wieczorem przyślę swój kuferek i zamieszkać w izdebce, gdyż koniecznie chciałem już następnego ranka ujrzeć u swych stóp pałac cesarskie. Pospiesznie zeskakiwałem ze schodów, jak gdyby poczciwa pani Rubicondi była piękną dziewczyną, która właśnie przyjęła me oświadczenia.

Teraz najważniejszą rzeczą było odszukać bankiera, u którego miałem podjąć resztę mych pieniędzy. Znałem jego adres, Via delle Vite<sup>213</sup>, jakiś tam numer domu, wiedziałem, że jest to jedna z bocznych ulic korsa. Trudno jednak było odcyfrować nazwy ulic wobec coraz bardziej gęstniejącego mroku. Przystąpił do mnie chłopak o dość podejrzanym wyglądem, acz uprzejmym zachowaniu się; zapytał, czego szukam. Wziąłem go za kuplera<sup>214</sup>; w Neapolu wciąż się im musiałem opędzać; odprawiłem go więc w krótkich słowach. Gdy jednak znowu bezradnie przystanąłem na pobliskim rogu ulicy, powtórzył skromnie swe pytanie; wreszcie mu powiedziałem, dokąd zmierzam. Szedł przede mną, a po stu krokach skierował się na Via delle Vite, po czym z czapką w ręku przystanął przed domem, którego szukałem. Nie mogłem go odprawić bez wynagrodzenia, aczkolwiek cały talar byłby książęcym darem za tę małą przysługę. Lecz zdobyłem wszakże Rzym! Uśmiechnąłem się więc, widząc jego zdumienie wobec tak niespodziewanego zarobku, i wszedłem do domu bankiera. Przybyłem tuż przed zamknięciem banku i podjąłem skromną sumkę, która miała mi wystarczyć do końca pobytu w Rzymie. Miałem jednak małe wymagania i umiałem swój płaszcz żebraczy układać w najozdobniejsze fałdy. Więc, wielce zadowolony, schowałem banknoty do szkiecownika, ten zaś do kieszeni mego płaszcza i opuściłem dom bankierski.

Uderzyło mnie, że znowu pod domem zastałem chłopaka. Przypisywałem to jego wdzięczności, postanowiłem jednak pozbyć się go, gdyż nie podobała mi się jego usługa, a zarazem lisia mina; powiedziałem mu więc, że go więcej nie potrzebuję, gdyż sam trafię do domu. Na to uklonił się uniżenie i zniknął.

Teraz należało znaleźć *trattorię*, gdyż w zajeździe, w którym znajdował się mój kuferek, nie mogłem się spodziewać kolacji. Kroczyłem więc wzdłuż korsa, oglądając się na prawo i lewo, lecz rzęsiście oświetlone lokale, do których przez okna zaglądałem, wydały mi się zbyt luksusowe. Powietrze było cudowne, niebo błękitniało nad obeliskami na Piazza del Popolo. Więc szedłem dalej i wreszcie znalazłem to, czego szukałem: w tej samej oberży, w której teraz siedzimy, dobre jedzenie i doskonałe wino, o wiele ognistsze niż podejrzana lura, napełniająca dziś nasze szklanki.

Ogród był ożywiony, światła migotały zza krzewów i żywopłotu, piękne oczy rzymskie iskrzyły się. Młoda para, gospodarująca w oberży, biegła pracować tam i z powrotem i siliła się zadowolić swych gości; a ponad tym cudnym życiem unosiła się tak jak i teraz ciemna głowa Świętego Piotra, promieniując swą magiczną wzniosłością.

Popadłem jak zwykle w nastrój marzycielski, w którym zgodnie się zmieszały: pobożne nastroje mej młodości na plebanii i pogańska żądza życia mych późniejszych lat. Nie zauważyłem też, że ogród stawał się coraz cichszy, pustszy, ciemniejszy, aż wreszcie ostatni goście powstali i odeszli. Wówczas wezwałem gospodarza, zapłaciłem skromną kwotę za posiłek i wino i opuściłem ogród, by przecież spędzić noc w mej oberży.

<sup>211</sup> *akuszerka* (daw.) — położna. [przypis edytorski]

<sup>212</sup> *taler* — moneta srebrna, używana w Europie od końca XV wieku. [przypis edytorski]

<sup>213</sup> *Via delle Vite* — historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

<sup>214</sup> *kupler* (daw.) — stręczyciel. [przypis edytorski]

Gdy wyszedłem na ulicę, zauważyłem naprzeciwko pod szarym murem ciemny cień, znieruchomiały jak sztyldwach<sup>215</sup>. Gdy się skierowałem w prawo, w stronę bramy, poruszył się również i cień i szedł krok w krok za mną. Gdy się zatrzymywałem i spoglądałem w tył, i on momentalnie przystawał. Lecz spotykałem kilku spóźnionych przechodniów, a w rękę miałem laskę, którą już raz musiałem się obronić podczas samotnej wędrówki do Camaldoli<sup>216</sup>.

Dotarłem wreszcie do bramy i uczułem się zupełnie bezpieczny. Pogoda się zmieniła, gwiazdy na niebie stały się niewidoczne, nadciągało *scirocco*<sup>217</sup>. Przeszedłem przez zupełnie pusty plac i zatrzymałem się przy obelisku, by długo spoglądać ku Pincio<sup>218</sup>, w którego drzewach począł szumieć wiatr. Miałem ochotę tam się udać, lecz przecież zdecydowałem się na powrót do oberży.

Nagle... właśnie dostałem się na korso... słyszę kroki za sobą, szybkie a ciche, jakby ktoś biegł w pończochach. I zanim zdołałem się obejrzeć, ktoś mnie napada z tyłu, otaczają mnie dwa ramiona, przygniatając mi piersi jakby żelaznymi obcęgi, jedna ręka szarpie mój płaszcz, dopada kieszeni i wyrywa szkiecownik — potem pchnięcie naprzód, tak że biegnę kilka kroków i — zbój znika z mych oczu w ciemnościach korsa. Zaledwie dwie sekundy trwał napad. Szybko otrząsnąłem się z przerażenia, z włoskim zakłębieniem na ustach podniosłem w górę laskę i pobiegłem za łotrem.

Moje poczciwe, długie nogi nie sprawiły mi zawodu. Obok San Giovanni<sup>219</sup> dopadłem opryszka. Moja laska przejechała mu się po plecach, tak że mu czapka z głowy spadła. Był to ów usłużny chłopak, który mnie zaprowadził na Via delle Vite i widocznie zmiarkował, jakiego to rodzaju interes skierowuje mnie do domu bankiera. *Birbante!*<sup>220</sup> — zawołałem i potrząsałem nim z całej siły. Lecz on z kocią zwinnością, paraliżującą moje ruchy, chwycił mnie popod<sup>221</sup> ramionami i otoczył mnie swoimi, pierś o pierś, chichocząc przy tym ochryple. Mocowaliśmy się przez chwilę, zaś ja na próżno sililem się zrobić użytek z laski, jedynej broni, jaką posiadałem. Krzyczałem, ile tylko głosu dobyć mogłem z uciskanej piersi: „Pomocy! Zbójcy! Mordercy!” — lecz znikąd echa, ulica jak wymarła. Wtedy wpełznął mnie na stopnie jakichś schodów. Potoczyliśmy się, silnie do siebie przywarci, przy czym ja znalazłem się na wierzchu. Nic mi to nie pomogło. Po chwili uczułem silne pchnięcie w lewą łopatkę, unieruchamiające moje lewe ramię. Musiałem puścić łotra, który błyskawicznie się spode mnie wywinął i z głośnym śmiechem znikł za najbliższym zakrętem drogi.

Wtedy dopiero zauważyłem, że sytuacja przedstawia się wcale poważnie. Mogłem się jeszcze podnieść i domacać laski, która leżała obok na bruku. Gdy jednak dotknąłem łopatki, uczułem coś twardego, tkwiącego w ciele, i ciepłą wilgoć, rozchodzącą się po koszuli. Byłem zbyt słaby, by wyciągnąć nóż z rany, zaczynałem tracić przytomność. Jak we śnie powlokłem się kilkadziesiąt kroków, od czasu do czasu głucho wołając o pomoc. Wreszcie straciłem przytomność i runąłem przed jakimś domem.

\*

Proszę wybaczyć, że nudzę pana szczegółami tej tak bardzo zwykłej zbójckiej historii. Gdy bowiem o tym teraz myślę, uprzytomniam sobie wszystko, jak by się to wczoraj stało. Mam wrażenie, jak bym znowu czuł zapach chłopca, woń wina i sera — nosy mają, jak wiadomo, dobrą pamięć — od nowa budzi się we mnie poczucie złości, lęku i wstrętu, które odczuwałem podczas walki. Zdaję sobie też sprawę, jak rozkosznie było popaść w omdlenie i że w tej chwili snuła mi się po głowie tylko jedna myśl: jaka szkoda, że moje pompejańskie badania nie ujrzą światła dnia...

Co się potem ze mną stało, dowiedziałem się o wiele później. Obudziłem się tylko na jedną chwilę, gdy nóż wyciągano z mej łopatki, widziałem szereg obcych postaci wokół

<sup>215</sup>*sztyldwach* (daw.) — żołnierz na warcie. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*Camaldoli* — Via Camaldoli, historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*scirocco* (wł.) — suchy, gorący wiatr wschodni i południowy. [przypis redakcyjny]

<sup>218</sup>*Pincio* — historyczne wzgórze rzymskie. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*San Giovanni* — prawdopodobnie Bazylika św. Jana na Lateranie, katedra biskupa Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*Birbante!* (wł.) — Łotrze! [przypis redakcyjny]

<sup>221</sup>*popod* (daw.) — pod. [przypis edytorski]

mnie i słyszałem głuche głosy jak daleki poszum morza. Potem znowu noc zasnęła moją świadomością.

Dziwne to było, gdy obudziłem się wczesnym rankiem, pokrzepiony nieco głębokim snem. Leżałem na szerokim łóżku, którego firanki były odchylone i odczuwałem nie tyle ból w zranionej łopatce, ile raczej ucisk w nogach, którego przyczyny zrazu nie mogłem odgadnąć. Gdy nieco uporządkowałem myśli, ujrzałem ku największemu zdumieniu obok mego łóżka kobietę, siedzącą na krześle. Właściwie górna część jej ciała była pochylona nad łóżkiem, tak iż głowa spoczywała na moich nogach. Nie poruszała się i miała oczy zamknięte. Mogłem ją spokojnie obserwować; nawet w nędznym stanie, w jakim się znajdowałem, uświadomiłem sobie wielkie piękno jej głowy. Twarz o czystych rzymskich rysach, profil jak na kamei<sup>222</sup>, prosty nos, o greckiej czystości konturu. Czoła nie mogłem dojrzeć, gdyż pokrywały je rozpuszczone czarne włosy, widziałem szeroki, piękny policzek i wąskie usta, niezbyt czerwone, obecnie we śnie uśmiechające się figlarnie. Nie wolno mi też zapominać o uchu, którego zgrabnie uformowana muszla wyglądała spośród włosów. Postać była otulona szkarłatnym szlafrokiem, przepasanym czarnym sznurem, przetykanym złotymi nićmi. Nie wydawała się zbyt wysoka, o ile można było dostrzec przy świetle lampki, stojącej na krześle obok łóżka. Powoli podnosiła się silna pierś, a nozdrza lekko drżały. Musiało być niedawno po świcie, przez dwa na poły przesłonięte okna padał szary blask w wielką izbę; nie było słycać głosu ani w domu, ani na ulicy.

Trwało to pewien czas, zanim sobie uświadomiłem, że nie śnię. Starłem się nie wykonać ani jednego ruchu, by nie zbudzić śpiącej, której nie mogłem się dość napatrzeć. Nagle w pobliskim kościele poczęły gwałtownie dzwonić dzwony i w tej chwili postać u mych nóg otworzyła oczy, spostrzegła mój utkwiony w siebie wzrok i podniosła się. Mój skołatany jeszcze mózg silił się, by znaleźć słowo, w którym należałoby się zwrócić do cudnego zjawiska. Lecz jeszcze zanim je znalazłem, położyła palec na usta, które mi się teraz wydały poważne i energiczne, po czym podeszła do stolika, ma którym ujrzałem wielką misę i różne flaszki i chustki.

Zanurzyła wielki okład w misie i, podeszłszy ku mnie, zmieniła okład z lodem. Wiele dałbym, gdybym mógł dotknąć jej ręki i przycisnąć do ust. Lecz ruch, którym próbowałem to uczynić, wywołał taki ból, że opadłem z powrotem na poduszki i tylko zdołałem wyszeptać: *Grazie!*<sup>223</sup> — po czym znowu straciłem przytomność.

W ciągu dnia odzyskałem przytomność tylko na kwadrans, gdy zmieniano mi opatrunek. Widziałem małego człowieka o krótkich siwych włosach, czarnych mądrych oczach i wielkim nosie, krzątającego się koło mnie; obok stała piękna kobieta i trzymała lampę, tak iż mogłem do syta przypatrywać się jej wspaniałej twarzy; jakaś skromnie ubrana starucha stała przy stole i podawała opatrunki; nie mówiono ani słowa, a gdy otworzyłem usta, by skierować zapytanie do mego miłosiernego samarytanina, usłyszałem energiczny głos siwego człowieka: *Zitto! Zitto!*<sup>224</sup>

Zmiana opatrunku tak mnie wyczerpała, że wkrótce znowu zamknąłem oczy, mimo że pragnąłem patrzeć w piękną twarz naprzeciw mnie. Czulem, że wiano mi w usta coś pokrzepiającego; poczęła mnie przenikać chęć do życia, budziła się we mnie nadzieja; poprzedniej nocy śniło mi się wciąż, że jestem w zaświatach, a obok mnie znajduje się niebiańska opiekunka, która przede wszystkim ma zmyć ze mnie wszystko, co przyziemne.

Tę noc przespałem bez przebudzenia się. Gdy gwar dnia mnie obudził, była w pokoju starucha, której twarz, nie wiem dlaczego, wydała mi się odrażająca. Leżałem niezbyt długo, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła nowa istota ludzka.

Dziecko, mała cztero- czy pięcioletnia dziewczynka, ubrana jak laleczka w brunatny aksamit, sukienka okolona wąskim pasczkiem futrzanym, kapelusik o ostrym kształcie, niemal frygijska czapeczka<sup>225</sup> na gęstych, czarnych włosach, opadających swobodnie na ramiona. Małe stworzenie to skoczyło na piętach na środek pokoju, zatrzymało się i spoglądało z ciekawością na obcego człowieka, leżącego w jasny dzień w łóżku. Skinąłem głową i poruszyłem ręką, by ku mnie podeszła. Lecz dziecko widocznie bało się staruchy.

<sup>222</sup>*kamea* — ozdoba kamienna z wypukłą rzeźbą jaśniejszą od tła. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*Grazie!* (wł.) — Dzięki! [przypis redakcyjny]

<sup>224</sup>*Zitto! Zitto!* (wł.) — Milcz! Milcz! [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*frygijska czapeczka* — stożkowate nakrycie głowy, wełniane lub filcowe. [przypis edytorski]

Dopiero gdy ta wyszła, dziewczynka zdobyła się na odwagę i powoli zbliżyła się do łóżka; podniosła się na palcach i spoglądała w moją twarz, jakby na rzeźbę lub coś martwego. Zachowywałem się też zupełnie cicho i rozkoszowałem się lubą figurynką i uroczą małą twarzyczką. Była ona podobna do pięknej kobiety, tak jak miniatura do popiersia marmurowego. Miała ostro zarysowane brwi, dumne usta, czoło ocienione włosami. Matka miała jednak ciemne oczy, a dziecko szafirowe.

— Jak się nazywasz? — zapytałem wreszcie cicho.

— Bicetta.

— A mama?

— *Mamma*<sup>226</sup>.

— Czy mnie lubisz, Bicetto?

Skinęła główką.

— Widzisz — powiedziałem — jestem chory; chętnie bawiłbym się z tobą, a gdybyśmy się pięknie bawili, musiałabyś mi dać na podziękowanie całuska.

Dziecko wdrapało się natychmiast na łóżko, ujęło mnie obiema rączkami za szyję i przycisnęło swą małą, miękką buzią do mego policzka.

W tej chwili otworzyły się drzwi i piękna pani weszła do pokoju. Widziałem, że chciała ofuknąć<sup>227</sup> dziewczynkę, widząc mnie tak obłożonym. Lecz zaśmiała się tylko.

— Co za pomysł, Bicetto! Daj panu spokój! Chodź, wychodzimy.

— O *signora*<sup>228</sup> — powiedziałem — proszę, niech dziecko zostanie, *é tanto carina*<sup>229</sup>, a ja... jak pani widzi... jestem już prawie uleczony. Proszę mi tylko powiedzieć...

Przystąpiła wspaniałym, królewskim krokiem, jaki się widzi u tragicznych bohaterek na scenie, do mego łóżka i zabrała dziecko.

— Cicho — powiedziała poważnym tonem. — Panu nie wolno mówić, lekarz najsurowiej zakazał. Ten mały dzikus pana zamęczy. Wychodzę na godzinę. Matka tymczasem będzie czuwała, by pan żadnych głupstw nie robił. Bądź pan rozsądny i wykonuj wszystko, co lekarz przepisał. W przeciwnym bowiem razie...

Uczyniła groźny gest, a po chwili uśmiechnęła się po przyjacielsku i skinęła na pożegnanie ręką, tkwiącą w wytwornej rękawiczce. Nosiła ciemną jedwabną suknię, uwydatniającą dobrze jej pełną postać, na sukni aksamitny płaszczyk z futrzanym obszyciem, kapelusz z czarnym piórem. O ile się na tym rozumiałem, toaleta jej była wyszukanej elegancji. Ujęła dziecko za rękę i znikła w bocznych drzwiach.

Strój

\*

Przez pewien czas byłem sam i po raz pierwszy rozejrzałem się w czterech ścianach pokoju. Widocznie pani domu odstąpiła mi własną sypialnię; łóżko było osłonięte czerwonymi jedwabnymi firankami, a poduszki przyozdobione koronkami. Wielki brązowy świecznik zwisał z sufitu, a po grubych, na poły wypalonych świecach woskowych można było poznać, że tkwią tu nie tylko dla ozdoby. Nad kominkiem lustro w szerokich złożonych ramach, sięgające pod sufit, na czarnym marmurowym gzymsie wielki zegar, którego podstawa wyobrażała Wenerę, unoszoną w emaliowanej muszli przez trzech Trytonów<sup>230</sup>; obok wieloramienne złożone kandelabry<sup>231</sup>, najpiękniejszej paryskiej roboty. Stolik rokoko w środku pokoju, obecnie zakryty misą z lodem i środkami leczniczymi, stał zapewne zwykle przed czerwoną aksamitną otomaną<sup>232</sup>, gdyż gięte i złożone nogi zgadzały się z rzeźbą otomany. Poza tym żadnych mebli nie było widać, ani kwiatów, ani obrazów z wyjątkiem jednego portretu nad sofą, wyobrażającego kardynała o mądrej, regularnej twarzy, jedną z tych postaci kapłańskich *cinquecenta*<sup>233</sup>, do których pasował

Portret

<sup>226</sup>*mamma* (wl.) — mamusia. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*ofuknąć* — odezwać się do kogoś niemilo, strofując. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>*signora* (wl.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>*é tanto carina* (wl.) — jest tak urocza. [przypis redakcyjny]

<sup>230</sup>*Tryton* (mit. gr.) — bóstwo morskie o tulowiu człowieka i rybim ogonie. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>*kandelabr* — duży świecznik. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>*otomana* — niska kanapa z miękkim oparciem. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>*cinquecento* (wl.) — XVI wiek, sztuka włoska XVI wieku. [przypis redakcyjny]

raczej pancerz i hełm niż czerwony kapeluszy i ornat<sup>234</sup>. Musiałem wciąż spoglądać w niemal groźnie we mnie utkwione oczy obrazu, które mi przypominały oczy mej miłosiernej nieznanym. Zdawało mi się, że również i w ustach znajduję podobieństwo, oczywista, tylko w tych momentach, gdy piękna pani rozkazująco je ściągała. Byłem jednak zbyt jeszcze osłabiony, by się nad tym zastanawiać.

Jedno tylko mnie uderzyło: czyż możliwe, by wstrętna starucha, która usługiwała mi podczas jej nieobecności, była matką tej wspaniałej kobiety?

Właśnie weszła, by dołożyć lodu do okładu; mogłem twarz jej oglądać po raz pierwszy z bliska i stwierdzić, że ma ona również piętno rzymskiego pochodzenia. Wydała mi się w swej suchości i zwietrzałości tak okropnie wiedźmowa, iż wkrótce zamknąłem oczy i w milczeniu, bez słowa podziękują, zezwalałem, by twarde, brutalne ręce zajmowały się pielęgnowaniem mnie.

Podawała mi filiżankę rosolu, również nie mówiąc ani słowa, miała jednak tak wrogą minę, jakby mnie chciała uraczyć pucharem trucizny. Lecz pokrzepiwszy się rosolem, zasnąłem spokojnie i obudziłem się, gdy wieczorem mały lekarz dotknął mej rany. Człowiek ten, o świdrujących oczach i sarkastycznym grymasie dokoła ust, napawał mnie zaufaniem. Był bardzo szybki i pewny w swych manipulacjach i mimo pewnej szorstkości tak delikatny dla chorego jak mamka dla niemowlęcia.

— Brawo! — mruknął. — Sądę, że pan się przecież wyłabuda<sup>235</sup> z biedy. Wczoraj lękałem się jeszcze, czy też płuca nie są zranione. Ale na szczęście nie! A teraz spokój — posłuszeństwo — żadnych irytacji — żadnych głupstw — a za trzy tygodnie...

Trzy tygodnie!... Spojrzałem na mą piękną pielęgniarkę, która znowu w swym czerwonym szlafroku, z włosami zebranymi w potężny węzeł, stanęła spokojnie obok lekarza.

— Ależ to wieczność! Proszę mnie kazać odstawić do szpitala, jeśli nie jest wskazane umieścić mnie w hotelu... trzy tygodnie... jakżebym mógł jeszcze tak długo tej szlachetnej damie...

Mały doktor spojrział na piękną panią i powiedział:

— Zostanie pan tu. W szpitalu zmarniałby pan tylko, wiem, jak się tam obchodzi z mięsem ludzkim. Co się tyczy *signory*, to wie ona, co czyni. Jeżeli pana z ulicy zabrała, to nie zechce przecież rzucić pana znowu na ulicę. Basta! Szczęść płuc! Dobranoc!

Zsunął czapkę na czoło, zarzucił płaszcz na ramiona i wybiegł.

Poświeciła mu na schody, a kiedy wróciła, postawiła lampę na stole i podeszła do mego łóżka:

— Wybij sobie pan z głowy wszelkie kaprysy — powiedziała swym głębokim, a przecież miękkim głosem. — Bóg sam pana złożył pod drzwiami domu, a ja byłabym pozbawiona pobożności i respektu dla woli bożej, gdybym panu pozwoliła odejść, zanim pan będzie zupełnie uleczony. Przedwczoraj w nocy leżałam tam, gdzie pan teraz spoczywa, nie mogłam spać, słyszałam, jak wszystkie zegary wydzwaniały godziny i jak w sercu mym pulsowała krew, jak gdybym miała pod piersią wahadło. Nie wiem, co mi było; znienawidziłam nagle życie, znudziło mi się i myślałam: jeśli to tak dalej pójdzie latami całymi... wreszcie będziesz siwa i stara jak matka... uh! Raczej od razu do klasztoru, gdzie nudy są policzone jako dobry uczynek! Wreszcie... gdy mi było coraz duszniej, gdy zauważyłam, że na dworze poczyna wiać *scirocco*, wyskoczyłam z łóżka i chciałam otworzyć okno, by wpuścić nieco świeżego powietrza. Wtem słyszę na dole wołanie o pomoc, jęki i niesamowite szmery; otwieram szybko okno, wychylam się, jak tylko mogę, i widzę na stopniach pod progiem ciemną masę; kilkakrotnie wołam, kto leży — nie otrzymuję odpowiedzi. Pomyślałam: zapewne masz wyświadczyć przysługę ludzkiej istocie i dlatego nie mogłaś spać, a życie ci się uprzykrzyło. Wpadłam do pokoju, w którym śpi matka. Zeszła ze mną na dół; obudziliśmy krawca Girolamo, który jest zarazem dozorcą domu — i gdyśmy otworzyli bramę, a pańskie ciało, oparte o drzwi, zważyło się w dom — Matko Boża! — jak się przestraszyłam, widząc pana w wielkiej kałuży krwi! Poznałam od razu, że pan jest obcokrajowcem, nie znalazłam jednak ani wizytówki, ani paszportu, by odstawić pana do własnego mieszkania. Girolamo radził, by odnieść pana do San Giovanni<sup>236</sup>, do szpitala. Ale niedobrze się o tym szpitalu wyrażają, a zresztą... żal mi

<sup>234</sup>ornat (rel.) — szata, używana przez księdza w czasie mszy. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>wylabudać się (daw.) — wydostać się, wyzwolić się. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>San Giovanni — historyczny szpital rzymski. [przypis edytorski]



było pana, jak byś był bratem lub starym znajomym. Powiedziałam: Faj, Girolamo, do San Giovanni, gdzie dopiero przed tygodniem *don*<sup>237</sup> Giuseppe zmarł na febrę? Raczej pozostawiłabym go tu we krwi, powiedziałam i rozkazałam pana przenieść do naszego mieszkania. A policja? — zapytał Girolamo. A jeśli jutro odnajdą ślady krwi i zapytają, co nas obchodzi Anglik, żeśmy go ukryli w domu? A może to jest zły człowiek, którego zupełnie słusznie tu napadli i rozprawili się z nim? Tymczasem podniosłam głowę pana do góry. Patrzcie, powiedziałam, czy tak wygląda złoczyńca? — a miał pan wtedy tak niewinny wyraz twarzy jak dziecię u piersi matki. Wstyďte się, Girolamo! Zróbcie, jak każe. Gdyby plotkowano, pošlijcie plotkarzy do mnie, a policja — tej się boję tyle...

Matka pociągnęła mnie za rękaw. Jesteś szalona, Gemmo, powiedziała. Czy chcesz się nabawić kłopotu z jakimś umierającym człowiekiem? A gdzie go złożymy? Nie mamy zbywającego łóżka. — O, powiedziałam, oddam chętnie własne łóżko. Nie mogłam spać i głos z nieba obudził mnie wśród nocy. A jeśli wy macie kamienne serca, nie potrzebuję was wcale; jestem dość silna i sama go zaniosę. Po tych słowach ujęłam pana pod ramiona, a że byłam oburzona ich małodusznością, miałam więcej siły niż zwykle. Lecz oboje przyskoczyli i we trójkę dźwignęliśmy pana i powoli wnieśli ma schody, bo doprawdy nie jest pan lekki jak piórko... (przy czym głośno się zaśmiała, a ja zawtórowałam również śmiechem). Był pan nieprzytomny i jęczał wciąż, gdyż przekłety nóż tkwił jeszcze w łopatce. Potem Girolamo pobiegł szybko do doktora Susiny i otrzymał pan opatrunek, potem matka przyniosła lód z San Giovanni, a krawiec jeszcze w nocy wyszorował schody i bruk gorącą wodą i posypał piaskiem plamy krwi, które nie chciały zniknąć. Tak sobie pana zdobyłam i zanim pan jak ptak nie potrafi zlecieć ze schodów, po których przywlekliśmy pana jakby kamiennego bożka, nie wydam pana. A teraz proszę spać, zbyt długo gawędziliśmy.

Skinęła mi uprzejmie głową i chciała odejść. Chwyciłam ją jednak za rękaw i trzymałam mocno.

— Pani Gemmo — powiedziałem — jest pani aniołem. Gdybym krew, którą owej nocy straciłem, był przelał dla pani, nie żałowałbym tego. Obiecuję we wszystkim być posłuszny i tak długo być ciężarem, aż mi pani sama nie wskaże drzwi. Ale, błagam, proszę o jakiś kącik, gdzie przeschadzałbym mniej niż tu. Gdy bowiem pomyślę, że to łóżko... a gdzież pani układa się do snu?

— To moja rzecz! — powiedziała i uśmiechnęła się lekko. Na razie nie potrzebuję łóżka. Utrzymujemy na przemian straż w nocy, matka i ja. Czy wyglądam tak, jakbym zmizerniała, opiekując się panem?

Stała przede mną, promieniejąc pięknem i młodością. Chwyciłam jej rękę i drżąc przycisnąłem do niej moje wargi. Lekko uderzyła mnie po policzku i wcisnęła z powrotem w poduszkę.

Zostałem sam.

Wszystko to wyczerpało mnie; sen jednak nie przychodził. Po raz pierwszy zastanawiałem się nad moją sytuacją. Zrabowane pieniądze były całym moim majątkiem, nie mogłem spodziewać się w najbliższych miesiącach żadnych innych funduszy; mój ojciec musiał pracować dla sześciu córek; było bardzo wątpliwe, czy ministerstwo zbytnio się wzruszy zbójceją historią. Oczywiście, dopóki korzystałem z gościnności tej wspaniałej damy, nie potrzebowałem się o nic troszczyć. Ciężko mi jednak, że mam przyjmować wszystkie te dobrodziejstwa jakby żebrak uliczny. Robiła wrażenie bardzo bogatej; widziałem na jej palcach pierścienie, których by się nie powstydzila żadna księżna. Służby atoli nie było widać. Tylko rankami przychodziła obca osoba, jak się potem dowiedziałem, żona krawca, która sprzątała mieszkanie, zaś mąż jej wychodził co dzień na targ, by zaopatrzyć kuchnię w żywność. Ale z czego żyli? Czy był tu mąż, czy też opuścił ten padół i tę piękną kobietę? W tym wypadku nie mogłem przecież bezinteresownie przyjmować wszystkich ofiar i kosztów, jakiełożono, i bez wyrazu podzięki opuścić tego domu. Lecz brakło mi pieniędzy, nawet by dla Bicetty kupić lalkę. Przeżywałem formalnie mękę, gdy wyczuwałem jedwab koldry, pod którą spoczywałem.

Miałem wprawdzie w Rzymie przyjaciela, lecz był to taki sam biedak jak ja. Kolega szkolny i syn sąsiada, przedwcześnie dojrzały chłopak o genialnych porywach, o którym

<sup>237</sup> *don* — tytuł grzecznościowy, używany we Włoszech. [przypis edytorski]

już od dwóch lat nic nie słyszałem; wiedziałem tylko, że dostał się do Rzymu w jakiś niezwykły sposób. Jak się tu przez dwa lata zdołał utrzymać? O obrazach, które by malował i sprzedawał, nigdy nie słyszałem; doniosłem mu z Pompei o swym przybyciu i otrzymałem od niego kartkę, na której było wypisane jedno, ale serdeczne, słowo: „Witam!”.

Pojmie pan, iż nie byłem takim optymistą, by to źdźbło uważać za belkę. Był to zresztą jedyny stały punkt w mych rozważaniach, gdyż poza tym wszystko rozpływało się we mgle.

Troski te pogorszyły mój stan zdrowia. Następnego dnia opadła mnie znów gorączka; byłem zupełnie nieprzytomny. Rzadko tylko w mych fantastycznych przywidzeniach gorzały piękne czarne oczy, które się nade mną pochylały, gdy mi prześcielano łóżko lub podawano nieco posiłku. Nie cierpiałem wówczas zbyt; przeciwnie, zdawało mi się, że nigdy w życiu nie było mi lepiej niż wtedy, gdy czułem rękę mej pielęgniarki na czole, kiedy zgarniała poplątane włosy lub obejmowała mnie za szyję, by mnie unieść i podać mi łyżkę lekarstwa.

Rana goiła się bardzo dobrze. Moja zdrowa krew miała silne pierwiastki żywotne. Siódmego dnia byłem znów zupełnie przytomny, a mały lekarz, zdejmując bandaż, zawołał: *Bravo, figlio mio! Ma bravo davvero!*<sup>238</sup> Nie zapomnę nigdy uszczęśliwionej miny pani Gemmy, gdy to usłyszała — miała wyraz dumy, tak jakby chwalono jej własne dzieło, a przy tym malowało się na jej twarzy takie wzruszenie, że miałem ochotę rzucić się jej na szyję lub paść do kolan. Wciąż jednak nakazywano mi największą ostrożność. Następnego dnia pozwolono mi spędzić jedną godzinę poza łóżkiem; moja pielęgniarka zaprowadziła mnie jakby w triumfie ku otomanie, zaś mała Bicetta ujęła moją rękę i swym słodkim głosem zadawała mnóstwo dziecinnych pytań.

Siedziałem więc pod portretem czerwonego kardynała i rozglądałem się po pokoju, jak bym go po raz pierwszy widział. Owładnęło mną takie osłabienie, iż począłem płakać. Opanowałem się rychło, gdy poczułem ramionka dziecka, które, wdrapawszy się na otomanę, mocno się do mnie przytuliło. Przycisnąłem dziecko do piersi i całowałem je. Nie śmiałem spojrzeć w stronę matki, stojącej tuż obok. Lękałem się własnej słabości. Ona jednak uśmiechnęła się, skrzyczała dziecko i zabrała je ze sobą, by jej towarzyszyło w codziennej przechadzce. — Panu należy się spokój — powiedziała.

Spokoju jednakże nie zaznałem. Ledwie zostałem sam, podszedłem ku oknu, by patrzeć na piękną parę; matka z córką, wyszedłszy z domu, przeszły na stronę słoneczną i tam zatrzymały się na chwilę, by spojrzeć ku mojemu oknu. Zdaje się, że pani przeczuła, iż nie pozostaną na otomanie. Skarciła mnie wzrokiem, zaś dziecko rzuciło rączką całusa. Potem poszły korsem w stronę Piazza Colonna<sup>239</sup>.

Widziałem, że przechodnie zatrzymywali się i oglądali za nimi. Kilku młodych stałych bywalców korsa ukloniło się; Gemma odpowiadała lekkim skinieniem głowy. Z okien wychylały się nieuczestane głowy kobiece i ręce, uzbrojone w lornetki, zapewne, by przyglądać się jej toalecie. Obserwowałem to nie bez pewnej satysfakcji, jak gdyby podziwiano coś należącego do mnie. Wkrótce jednak straciłem z oczu Gemmę z dzieckiem. Odszedłem od okna w nagłym poczuciu zawstydenia i zakłopotania. Jeśliby mnie z dołu lub z naprzeciwka dojrzano!... Skądże ja tu się wziąłem, w mieszkaniu tej królewskiej kobiety? Co o tym pomyślą ci, którzy na ulicy łakną choćby przelotnego jej spojrzenia? Była z pewnością wdową. Tym bardziej nie wolno mi było jej kompromitować.

Kolona się pode mną ugięła, gdy wlokłem się z powrotem ku otomanie; nie mogłem się jednak oprzeć pokusie zajrzenia do następnego pokoju. Miał on wygląd jadalni, w której od miesiący nie nakrywano do stołu. Żywe, złocone tapety, niebieskie firanki, mały kredens, z pozostawionymi w nieładzie naczyniami, ściany bez obrazów, na kominiku wielki, pokryty kurzem, bukiet sztucznych kwiatów w połamanej, niezgrabnej, posklejanej wazie alabastrowej. Obok stała opleciona słomianką butelka wina, na talerzu resztki śniadania — typowy nieład włoskiego gospodarstwa. Po prawej stronie były drzwi. Ośmieliłem się otworzyć je i ujrzałem wielką, pozbawioną okna izbę, otrzymującą nikiel światło z oszklonych drzwi, prowadzących na korytarz. Wiało tu pustką i zaniedbaniem jak za kulisami małej sceny, wyobrażającej książęcy salon. Musiałem się dopiero przyzwyczaić do panującego tu półmroku, by rozróżnić pod ścianą wielkie niezaścielone

Matka, Córka

Dom, Gospodyni, Brud

<sup>238</sup> *Bravo, figlio mio! Ma bravo davvero!* (wł.) — Zuch z ciebie, mój synu, prawdziwy zuch! [przypis redakcyjny]

<sup>239</sup> *Piazza Colonna* — historyczny plac rzymski. [przypis edytorski]

łóżko, pośrodku izby okrągły stół bez obrusa, dokoła którego stało parę starych wyplatanych krzesel. Kilka szaf, nędzna umywalnia, w kącie mały obrazek święty, nad którym płonęła czerwona lampka — oto wszystko.

Posmutniałem nagle, nie zdając sobie sprawy, dlaczego. Widziałem wiele włoskich domów i wiedziałem, że nieraz najwspanialsze kobiety, które w pięknych powozach ukazują najnowsze paryskie toalety, w domu zadowolają się otoczeniem mniej niż skromnym. Co kraj, to obyczaj. Na Południu żyje się na ulicy i dla ulicy. Dlatego więc miałem za złe swej wielkodusznej wybawicielce i miłościwej siostrze, że nie miała talentów gospodyni?

Od matki, której strój zdradzał kompletne zaniedbanie, nie mogła zaprawdę odziedziczyć zmysłu porządku domowego. Widziałem przez oszklone okno, jak starucha krzątała się przy kuchni. Wszystko, co z tego pieca pochodziło, zdawało się podejrzane. Czarny kocur włóczył się za staruchą, a w mej, trawionej jeszcze gorączką, wyobraźni rodziły się przeróżne myśli. Wróciłem do mego pokoju, wyciągnąłem się na otomanie i poczęłem marzyć.

Po pewnym czasie wróciła moja pielęgniarka; jedno jej spojrzenie, jedno słowo z jej ust wystarczyło, by unicestwić niesmak, jakiego doznałem podczas oględzin mieszkania. Sprawiał to nie tylko cud jej piękności, jak pan zapewne sądzi; więcej jeszcze działał urok niemal dziecięcej niewinności, dobroci i miłosierdzia, które objawiała nie tylko wobec mnie. Przez cały dzień niemal była w ruchu kołatka u drzwi i słychać było skamlące, drżące głosy żebraków, które po pewnym czasie nie robią wrażenia nawet na ludziach o miękkim sercu. Starucha, gdy tylko mogła, odpędzała natrętów cierpkimi słowami. Córce jednak nie wolno było tego słyszeć, gdyż wówczas dawała w dwójnasób. Tylko na ulicy, ilekroć z okna za nią patrzyłem, nie zatrzymywała się przy żebrakach. I to mi się też u niej podobało.

Czyż było coś, co by mi się nie podobało? Nawet jej oczywiste błędy. Chyba tylko to, że czasem za najmniejsze wykroczenie lajała dziecko gwałtownie, a nawet biła, by jednak po chwili je wycalować i obdarować wszystkim, czego tylko mała zażądała. Kleczyła wówczas godzinami z małą istotką na kamiennej podłodze, zwykle przed piecem w drugim pokoju, gdzie był kącik dla lalek, i miała tyle inwencji w urządzaniu zabaw dla dziecka, że nie przestawało ono chichotać i śmiać się. Nagle podnosiła się, twarz jej stawała się poważna, młoda kobieta jak gdyby nosiła się z jakimiś poważnymi zamiarami; kilka razy przechadzała się wzdłuż i wszerz po pokoju i stawała wreszcie przed lustrem, by przymierzyć nową mantylkę<sup>240</sup> lub jakąś ozdóbkę do włosów, przy czym wcale ją to nie obchodziło, że stałem w progach i pożerałem ją wzrokiem.

Wkrótce nabrałem przekonania, że nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co zwiemy wykształceniem. Od biedy umiała czytać i pisać, jednak nigdy nie widziałem, by czytała lub pisała. Ani jednej książki nie było w mieszkaniu; na stole stały wprawdzie przybory do pisania z perłowej masy, bogato złożone, ale kałamarz był czysty, nigdy w nim widocznie nie było kropli atramentu. A jednak, mimo iż żadnych robót nie wykonywała, zaś starucha troszczyła się o suknie i bieliznę zarówno jej, jak i Bicetty, nigdy nie odczuwała nudów. Gdyż ów nocny napad bezprzedmiotowego zniechęcenia, o którym mi opowiadała i który zwała *noia*<sup>241</sup>, pochodził raczej z serca niż z głowy. Odkąd nie potrzebowałem więcej stałej opieki, spędzała dni jak przed tą nocą, w której dostałem się do jej domu. Godzinami całymi, zwłaszcza w popołudnia, gdy ulicą przeciągały długie szeregi powozów, siedziała koło okna lub wychylała się zeń, owinąwszy czarne włosy w chusteczkę, i przyjmowała hołdy przechodniów, nie zdradzając żadnym ruchem ni miną, czy jej na tym cokolwiek zależy, by *senatus populusque Romanus*<sup>242</sup> uważał ją za najpiękniejszą kobietę w obrębie siedmiu wzgórz. Gdy się ściemniało, zapalała trójramienną lampę stojącą na stole przed otomaną, a ponadto woskowe świece w kandelabrze na kominku i krążyła po obu pokojach tam i z powrotem, czasem rzucając ponure spojrzenie w lustro, jakby poprzez własny obraz coś dostrzegała lub szukała. O szóstej siadała do obiadu. Widocznie tylko dla mnie zdecydowała się jeść w salonie, a nie w ciemnej izbie. Sama jadła niewiele, nie piła nigdy wina, żywiła się głównie jarzynami i pomarańczami. Dziecko przekarmiano pieczywem; starucha nie tknęła nigdy pokarmu w pokoju; sądząc po wrogich spojrzeniach, jakimi

Dobro, Żebrek

Matka, Dziecko

<sup>240</sup>*mantylka* (daw.) — koronkowy szal lub krótka pelerynka. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>*noia* (wł.) — nuda, udręka. [przypis redakcyjny]

<sup>242</sup>*senatus populusque Romanus* (łac.) — senat i lud rzymski. [przypis redakcyjny]

mnie obrzucała, można by myśleć, że moja obecność pozbawia ją chęci jedzenia; ja zaś nie miałem pewności, czy też do podanych mi potraw nie wsączono kilka kropel trucizny.

Gdy kończyliśmy obiad, siadałem w mym kąciku na otomanie, a Bicetta oblegała mnie i zmuszała, bym prawą ręką — lewa była unieruchomiona — rysował jej przeróżne rzeczy. Pani Gemma przypatrywała się uważnie. Starałem się dać im pojęcie, jak wygląda moja ojczyzna i jak się tam żyje. Musiałem im narysować mój dom rodzicielski, którego ostrokanciasty dach wydawał im się wielce osobliwy. Potem mówiłem im o ojcu, matce i sześciu moich siostrach, i ich imionach, które z trudnością tylko umiały wymawiać, jak też zresztą i moje imię Eryk zmieniły na Arrigo. Dziecko było niewyczerpane w stawianiu pytań, które często były przemyślnie i zabawne. W małej główce tliła się widocznie iskierka, którą trzeba by nieco rozdmuchać, by kiedyś rozwinęła się w piękny płomień. Lecz prymitywny umysł jej matki wcale się w tym kierunku nie wysiłał. Była ona jak cząstka przyrody, w swym ograniczeniu przepyszna i pełna uroku. Gdyż... zapewne pan wyśmiejże przesadę zakochanego, lecz to było tak doprawdy: i ja nie czułem, będąc z nią godzinami sam, ani chwili nudów, mimo iż już po krótkim czasie przestałem wysiłać się na utrzymywanie czegoś w rodzaju konwersacji. Miałem wrażenie, jak gdybym w zatoce Neapolu siedział naprzeciw morza lub w jednym z rzymskich pałaców, gdzie poprzez cyprysy i drzewa figowe wzrok sunie w niezmierną dal, i można tak przeżyć godziny i dni, bez innych pragnień, w pełni szczęśliwości.

Oczywista: bez innych pragnień — to nie jest odpowiednie słowo, gdy chodzi o moje uczucia wobec tej pięknej kobiety. Byłem niemal od pierwszej chwili beznadziejnie w niej zakochany, władała mną z każdym dniem coraz silniej, tak iż nie mogłem sobie wyobrazić, jak bym się bez niej mógł obejść; na myśl o tym zimny pot występował mi na czoło, a serce poczynało tłuc, jak by chciało się wyrwać z wnętrza piersi.

Szaloną tę namiętność wzmagало jeszcze jej zrównoważenie i spokój. Z jej postępowania nie można było wcale poznać, czy robiłaby różnicę między zranionym młodzieńcem a chorą kurą, którą przypadkowo wzięłaby w opiekę. Nigdy ruch kokieteryjny, nigdy wzrok wyzywający. Troszczyła się o mnie niemal z macierzyńską sumiennnością, jakbym był drogocennym naczyniem, które po rozbiciu z trudem sklejoną, a teraz trzeba obchodzić się z nim z podwójną ostrożnością. Gdy mi rozkrawała potrawę na talerzu, mieszała chłodzący napój, przepisany przez lekarza, lub rano dowiadywała się, czy spokojnie przespałem noc — zawsze była tak miła i dobra, ale też i tak zrównoważenie chłodna, iż brała mnie chętką w podziękę złożyć me serce u jej stóp, a równocześnie mógłbym wyskoczyć ze skóry z rozpaczy i męki.

Nie miałem jeszcze wówczas poważniejszych doświadczeń z kobietami. Pięknym chłopcem nigdy nie byłem, moja koścista twarz i jasne włosy, a przy tym niezbyt wytworne manieri, nie mogły się stać niebezpieczne dla kobiety, która zapewne do woli wybierała wśród *jeunesse dorée*<sup>243</sup>. Zaś w podziękę za jej niezwykłą dobroć rozpocząć z nią romans, grać rolę usychającego z miłosego żaru pasterza — na to byłem zbyt dumny i mimo zakochania zbyt rozsądny. Toteż przysięgłem, sobie, że nie przekroczę granicy wdzięcznej przyjaźni. Ba, starałem się nawet być nieuprzejmy i kapryśny, byle tylko nie popaść w śmieszne podejrzenie, że chcę ją pozyskać uprzejmością.

Lecz ani mój dobry, ani zły humor nie zdołały zmienić jej zachowania się. O ile wobec swego dziecka była gwałtowna i niepohamowana, o tyle z anielską cierpliwością znosiła wszystko, czym ją niekiedy chciałem wystawić na próbę; oczywiście to mnie tym bardziej jakąś magiczną siłą do niej przyciągało.

\*

W takim oczarowaniu przeżyłem trzy tygodnie. *Lucida intervalla*<sup>244</sup>, w których poznawałem całe swe nieszczęście, stawały się coraz dłuższe, im bardziej zbliżała się chwila, kiedy miałem wrócić do rzeczywistego życia. Gdy mi po raz pierwszy wolno było na godzinkę uwolnić lewe ramię z przepaski, byłem pełen rozpaczy, podczas gdy ona z najrozkoszniejszym wyrazem radości na twarzy składała mi gratulacje. Po co mi dwa zdrowe

<sup>243</sup>*jeunesse dorée* (fr.) — złota młodzież. [przypis redakcyjny]

<sup>244</sup>*lucidum intervallum* (łac.) — jasny przebłysk, okres chwilowej poprawy stanu pacjenta po urazie mózgu. [przypis redakcyjny]

ramiona, jeśli im nigdy nie wolno będzie objąć tej, która była ziszczeniem mych snów o szczęściu?

Dzień ten — a było to pod koniec trzeciego tygodnia — przysporzył jeszcze moc innych zmartwień.

Właśnie spożyliśmy nasz skromny obiad; siedziałem na otomanie, dziecko spało obok mnie, złożywszy główkę na moim kolanie. Pani Gemma stała w oknie i spoglądała ku chmurom. Był to duszny dzień kwietniowy. Wtem wchodzi starucha z listem i podaje go szybko córce. Czeka na odpowiedź... Nie zdradzając ciekawości, której to kobiecej cechy w ogóle nie posiadała, otworzyła kopertę i rzuciła okiem na trzy gęsto piśmem wypełnione stronicę. — Znowu ten natrętny człowiek! — powiedziała. Podała mi list i rzekła: — Spójrz pan, jacy głupcy są na świecie!

Począłem czytać i stwierdziłem zaraz po kilku wierszach, że list napisał człowiek, który — jak się tu mawia — leżał ze mną w tym samym szpitalu. Było to namiętne wyznanie miłosne, skargi na nieprzystępność, oziębłość, zlekceważenie najwierniejszych zabiegów. Wznawiał swe prośby, które jej już wielokrotnie powtarzał; siebie samego i wszystko, co posiadał, kładł do jej stóp, zapraszał, by wobec zbliżającej się cieplej pory roku zamieszkała w willi, którą dokładnie opisywał, i by się tam czuła panią całej posiadłości. Będzie ją tylko wtedy odwiedzał, gdy mu wyraźnie na to pozwoli. Jedno słowo zgody uszczęśliwi go... Wszystko to było napisane przesadnym, teatralnym stylem, poprzez który jednak przezierало prawdziwe uczucie.

List był podpisany nazwiskiem jednego ze znanych rzymskich rodów, którego bogactwo jest przysłowiowe.

Popatrzyłem na Gemmę, kładąc list na stół. W jej twarzy nie można było dojrzeć żadnej zmiany.

— Daj mi kawałek papieru! — rzekła do staruchy. Wciąż mrucząc i coś do siebie samej mówiąc, stara przyniosła jej małe eleganckie pudełko z papierem listowym, które robiło wrażenie, jakby wcale dotychczas nie było używane. Gemma spokojnie wzięła kartkę papieru, potem leżący na stole ołówek, napisała, stojąc, dwa słowa i podała mi kartkę.

— Było na niej: *No! Mai!*<sup>245</sup> — a pod tym wielkie G.

Uśmiechnęła się, gdy w milczeniu zwracałem jej kartkę. — Nieprawdaż, umiem pisać piękne listy! — powiedziała. Potem włożyła list do koperty, napisała wielkimi, nieco niewprawnymi literami pełny adres hrabiego i wysła, by wręczyć pismo posłańcowi.

Starucha poszła za nią. Wkrótce potem usłyszałem jej ochrypy głos; potokiem wyzwick dawała ujście swej wściekłości, którą przy mnie musiała z trudem hamować. Nie wiele z tego rozumiałem; kobiety były w trzecim pokoju, słyszałem jednak, że stara wciąż sama gada. Córka tylko rzadko się odzywała.

Nareszcie wzburzona starucha zdawała się uspokajać. Przebrzmiały ostatnie przenikliwe, dyszące, chrapliwe dźwięki. Pani Gemma wróciła w swej zwykłej spokojnej postawie, tylko policzki jej płonęły.

— Miała pani zmartwienie? — ośmieliłem się zapytać. — Krótki list pani nie podobał się matce?

— Biedna stara! — powiedziała na poły litościwie, na poły lekceważąco. — Różnymi się poglądami.

Dziecko obudziło się i pobiegło do matki, która je wzięła w ramiona i mocno uściśnęła. Potem nagle opuściła je z powrotem na podłogę, podeszła do okna i otworzyła je.

— Jak gorąco! — rzekła odgarniając włosy z czoła. — Będzie burza.

— Proszę wziąć wachlarz, tam... — powiedziałem.

— Jaki wachlarz?

Zaraz pierwszego dnia spostrzegłem na gzymsie kominka wąską ozdobną szkatułkę, spoczywającą między dwoma świecznikami; zdawało mi się, że szkatułka kryje wachlarz. Wstałem, by go jej podać. Gdy się ku niej zwróciłem, usłyszałem nagle głośny śmiech. Wszystkie ślady irytacji zniknęły; była wielkim dzieckiem, któremu każdy żart sprawia olbrzymią radość.

List, Miłość

Kłótnia

<sup>245</sup>*No! Mai!* (wł.) — Nie! Nigdy! [przypis redakcyjny]

— Tak, tak! — zawołała — ten wachlarz chłodzi, ale w zbyt wielkim stopniu. Otwórz pan pudełko, *signor*<sup>246</sup> Arrigo, a przyzna mi pan rację.

Zdumiony, otworzyłem i zamiast wachlarza ujrzałem wąski nóż długości dłoni, z krótką, grubą rączką; ostrze było nie szersze niż mały palec, a jaśniało na nim kilka rdzawych plam.

— Czy pan nie poznaje tego noża? — zawołała, wciąż się śmiejąc, a zęby jej błyskały w świeżych, czerwonych ustach. — Zdaje mi się, że pan dobrze się zaznajomił z tym wachlarzem; wiesz przecież, jaką jest niebezpieczną zabawką. Połóż pan ten nóż z powrotem do pudełka; zimno mi się robi, gdy sobie przypominam, jak biedna krew pańska jakby mała fontanna trysnęła, gdy doktor Susina wyciągnął ten nóż z łopatki pana. Przechowuję go, bo tam na kominku najmniej może komu szkodzić. Proszę, niech mi go pan usunie z oczu.

— Gemmo! — wyjąkałem — jestem mu wdzięczny, gdyż bez jego pośrednictwa nigdy nie byłbym pani poznał. Zaprawdę, nóż ten powinien był lepiej spełnić swą powinność. O jeden cal głębiej, a byłbym pozbył się mąk, które mnie teraz...

Nie mogłem na szczęście dokończyć, byłbym na pewno powiedział wiele głupstw. Wszedł lekarz, zbadał puls, nałożył lekki bandaż, który wciąż jeszcze musiałem nosić, i oświadczył, że jeśli noc minie spokojnie, będzie mi jutro wolno odbyć pierwszą przejażdżkę. Nie mogłem zdobyć się na to, by mu okazać rozradowaną minę, czego się zapewne spodziewał. Również i Gemma była zamyślona. Gdy lekarz się oddalił, włożyła kapelusik na głowę, ubrała Bicettę i wyszła do San Carlo<sup>247</sup>, gdzie miało się odbyć jakieś uroczyste nabożeństwo.

Szła prawie codziennie do jednego z kościołów, zawsze w towarzystwie dziecka. Lecz jej pobożność nie była bigoterią; było to na poły przyzwyczajenie, na poły dziecięce uczucie upodobania w świecie ponadzmysłowym, niewytłumaczalnym. Jeszcze chętniej, przyznała mi się, szła do teatru. Już od szeregu tygodni nie była w teatrze. Z kimże miałabym pójść? — powiedziała. Nie śmiałem zapytać, z kim przedtem chodziła. Mąż jej umarł pewnie już dawno, gdyż nie nosiła żaloby. Chętnie byłbym wybadał doktora, lecz nigdy nie pozostawałem z nim sam na sam.

Wiara

\*

Tu przerwał i siedział przez chwilę bez ruchu naprzeciw mnie, z głową pochyloną na piersi. Ściemniło się tymczasem, tak że mimo bliskości nie mogłem dokładnie rozróżnić rysów jego twarzy. Gospodarz podszedł do naszego stołu i zapytał, czy sobie czego życzymy i czy ma przynieść światło. Odpowiedziałem, że nam niczego nie potrzeba. Nawet to *intermezzo*<sup>248</sup> nie zdołało wyrwać mego przyjaciela z głębokiego zamyślenia. Dopiero gdy nas doleciał pogłos dalekich dzwonów — dźwięki pogrzebowe, jak się wkrótce przekonałem — przyszedł znowu do siebie. I on też zmiarkował, co te dźwięki znaczą.

— Wybacz pan — rzekł. — Wydaję się panu zapewne dziwny, opowiadając tak wyczerpująco tę starą, smutną historię. Proszę jeszcze o odrobinę cierpliwości, zbliżam się do końca opowieści. Aby pojąć, jak się to wszystko skończyło, musi pan być wtajemniczony we wszystkie te pozornie nieważne szczegóły, przy czym również nie jest obojętny ówczesny stan mej biednej duszy... Ale pan nic nie pije... Proszę nalać... ja... widzi pan... to śmieszne... moja ręka drży, jak gdyby mnie wczoraj spotkały wszystkie te ciosy. Chcę winem dodać sobie kurażu<sup>249</sup>, by opowiedzieć do końca.

Wychylił od razu szklankę, którą napeliłem.

— Gdzieśmy się zatrzymali? — powiedział. — Prawda, przy mojej pierwszej przejażdżce. Co za rozkoszny był to dzień, drogi przyjacielu! Pogoda była boska, jaka być tylko może w Rzymie w dzień wiosenny po nocnej burzy; władało mną uczucie ozdrowienia,

Wino

Miasto, Historia

<sup>246</sup>*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>*San Carlo* — historyczny kościół San Carlo alle Quattro Fontane (św. Karola przy Czterech Fontannach) w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>*intermezzo* (wł.) — komiczna wstawka, wykonywana w antraktach opery włoskiej; tu: niespodziewany przerywnik. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>*kuraż* (daw.) — odwaga. [przypis edytorski]

uczucie czyniące człowieka przystępnym dla wszystkiego, co dobre; u boku miałem ukochaną kobietę w uroczym stroju, która mnie powoli sprowadzała po schodach i łajała, gdy się niezbyt silnie na niej opierałem; przede mną biegło rozkoszne dziecko; we wszystkich drzwiach pojawiali się ludzie i przypatrywali, jak *signor* Arrigo po raz pierwszy udaje się na przejażdżkę. Zmartwiło mnie tylko, gdy krawiec pomagał mi wsiąść do powozu, że z kieszeni nie mogłem wyjąć garści złota i po książęcu wynagrodzić jego wierności i trudu. Poczciwy ten człowiek, zdaje się, wcale nie spodziewał się tego. Poufale skinął za nami ręką, gdy ruszył z miejsca wygodny powóz, w którym na szerokich poduszkach zasiadłem z Gemmą, mając ma ławce naprzeciw Bicettę z największą i najładniejszą jej lalką.

Wywieraliśmy widocznie wrażenie na najbliższym otoczeniu, na korsie ludzie przystawali i oglądali się za nami. Gemma powiedziała woźnicy, by skierował się w ulicę koło San Giovanni. Pojechaliśmy wzdłuż Ripetty<sup>250</sup>, do mostu, obok Castel Sant'Angelo<sup>251</sup>, do Świętego Piotra. Jeśli pan zważy, że widziałem to wszystko po raz pierwszy i w jakim towarzystwie się znajdowałem, pojmie pan mój bajeczny nastrój. Nie mówiliśmy wiele ze sobą. Moja ręka spoczywała obok jej dłoni, a w zachwycie nad wspaniałością otoczenia kilka razy ośmieliłem się tę drogą dłoń ująć i ucisnąć. Twarz jej pozostawała niezmieniona. Dla niej przecież cudna sceneria nie była obca; w ogóle nie miała żadnego zrozumienia dla sztuki, a tym mniej dla wspomnień historycznych. Tylko gdy jej przy Zamku Anioła opowiadałem o Cellinim<sup>252</sup>, o tym, jak ze szczytu tej gigantycznej baszty bronił swymi armatami Rzymu, jak potem w tymże zamku jako jeniec papieski miał możliwość rozmyślać nad niewdzięcznością świata, wreszcie w jak zuchwały sposób uciekł — objawiła zainteresowanie dla tego awanturniczego człowieka i musiałem obiecać, że przeczytam jej książkę, w której to wszystko jest opisane.

Tak przybyliśmy na plac Św. Piotra<sup>253</sup>. Kazałem zatrzymać konie u wejścia między kolumnami; moje serce biło mocno, gdy ujrzałem ten cud budownictwa i ten jedyny na świecie plac. Gdybym nie był tak bardzo strzeżony, byłbym zapewne nie oparł się pokusie i szedł z powozu. Musiałem jednak tym razem zrezygnować z tego.

Wtem, gdyśmy właśnie ruszyli w stronę Porta Angelica<sup>254</sup> — Boże! Ktoś występuje spośród kolumnady, badawczym wzrokiem obejmuje nasz wóz i spostrzegłszy, kto się w nim znajduje, cofa się pośpiesznie między kolumny, jak lis, który wyściubił nos z nory... — Kurt! — zawolałem. — Kurt, to ja! — Nie ma odpowiedzi... Zjawa wyłoniła się tak szybko i z taką błyskawiczną szybkością znikła, iż zdawało mi się, jakoby uległ złudzeniu.

Musiałem towarzysze powiedzieć, kogo wzywałem. Przy tym wciąż zaprzętała mnie myśl, dlaczego ten dziwny człowiek tak szybko usunął mi się z oczu. Bądź co bądź, był jednak w Rzymie i dziś jeszcze mogłem go uwiadomić o swym pobycie, gdyż znałem jego adres. Nie czyniłem tego dotychczas, by w cudowny sen, w który byłem omotany, nie wnikał żaden głos z zewnątrz. Teraz jednak był wielki czas, by odwołać się do jego przyjaźni.

Wyznałem też po raz pierwszy mej przyjaciółce, w jakim położeniu się znajduję, że jestem zdany na pomoc mego posła i mego przyjaciela, i że poza tym jestem biedakiem, któremu dopiero przyszłość ma zgotować lepsze warunki bytu. Wysłuchała tego z widoczną obojętnością.

— Ach cóż! — powiedziała wreszcie. — Nie mówmy o pieniądzach! Aniołowie w niebie nie mają w kieszeni ani grosza, a są bardzo rozradowani. Spójrz pan, jak tu pięknie!

Jechaliśmy długim gościńcem między Monte Mario a Tybrem; po obu stronach rosły różnobarwne kwiaty, z ogrodów uśmiechała się cudowna wiosna, niebo miało niezmierną jasność i głębię, moje biedne serce ulatywało jak ptak, po raz pierwszy używający skrzydeł, między niebem a ziemią i wracało wciąż z powrotem do pięknej kobiety, której zawdzięczałem, że wolno mi było się tym wszystkim rozkoszować. Bicetta zapragnęła

Spotkanie, Przyjaźń

Bieda, Pieniądz

Miasto, Wiosna, Kwiaty

<sup>250</sup>Ripetta — Via di Ripetta, historyczna ulica rzymska. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>Castel Sant'Angelo — Zamek Świętego Anioła a. Mauzoleum Hadriana; grobowiec cesarza Hadriana i jego rodziny, znajdujący się w Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>Cellini, Benvenuto (1500–1571) — rzeźbiarz, złotnik, pisarz i medalier florencki. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>plac Św. Piotra — historyczny plac, znajdujący się przed bazyliką św. Piotra w Watykanie. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>Porta Angelica — historyczna brama rzymska. [przypis edytorski]

gwałtownie kwiatów. Wysiadłem z nią i zerwałem mnóstwo sasanek i fiołków. Przy tym wciąż spoglądałem ku Gemmie, która spokojnie siedziała w powozie, poważnie przed się patrząc, sama piękna jak kwiat. Potem wróciliśmy przez Ponte Molle.

Przejażdżka trwała półtorej godziny. Gdy powóz zatrzymał się przed naszym domem, uczulem się przecież wyczerpany. Jakby opity powietrzem i słońcem, szedłem po schodach, podpierany przez mą przyjaciółkę. Gdy się wreszcie dostałem do mieszkania i zostałem z nią sam — dziecko jak jaszczurka wywinęło się zwinnie i znikło w drugiej izbie — opuściły mnie siły. Zatoczyłem się i zaledwo postąpiłem parę kroków, miałem wrażenie, że padam. Podtrzymała mnie swymi silnymi ramionami i w chwili słabości i zmieszania — nie wiem, jak się to stało — moja głowa zbliżyła się do jej włosów, moje usta dotknęły jej policzków — i po chwili byłem u jej stóp.

— Wybaczenia! — wyjąkałem. — Jestem jak szalony... wiosenne powietrze... szczęście, że przecież żyję... o, gdyby pani wiedziała, co w mym wnętrzu się dzieje...

Stała przede mną spokojnie i patrzyła na mnie; nie powiem, by wzrok jej był zimny i odręczający.

— Jest pan dzieciakiem! Wiem o tym od dawna... Wszak wyznawał mi to pan dość często, jeszcze wówczas, gdy pan leżał w gorączce, a potem wzrokiem i wzdychaniami. Lecz niech pan wstanie i będzie rozsądny. Gdyby matka pana tak zastała...

— Wiedziała pani o tym — zawołałem — wiedziała i nie gniewała się? A teraz, Gemmo, teraz, gdy to pani powiadam na kolanach... czy to możliwe? Lubi mnie pani choć trochę... nie odręca mnie pani? Nie odpowiada mi pani okrutnym: *No! Mai!*, mimo że jestem nędzarzem, biednym inwalidą, a nie wytwornym panem, mogącym ci skarby do stóp rzucić?

Pochyliła się ku mnie z uśmiechem.

— Arrigo — rzekła — jesteś wielkim głuptaskiem. Czy mnie nie znasz? Żyłeś tu u mnie przez trzy tygodnie i nie wiesz... Lecz wstań! I bądź cicho. To są zupełnie niepotrzebne słowa, które cię tylko męczą. Chodź! Nie wolno nam robić głupstw.

Podniosła mnie swymi silnymi ramionami.

— Gemmo! — zawołałem w zachwycie. Moje dłonie otoczyły jej ciało, już odczuwałem ciepło jej warg na moich ustach, gdy wtem otwarły się drzwi i obok nas stał lekarz.

— Brawo! — zawołał, ironicznie się uśmiechając. — Brawo, synu! Chciałem tylko zobaczyć, jak panu posłużyło świeże powietrze, i znajduję, że mnie pan więcej nie potrzebuje. Jest pan rzeński jak ryba, tylko nieco rozgorączkowany. Ale na to nie ma w żadnej aptece lekarstwa.

Stałem przed nim w wielkim zakłopotaniu. Gemma nie straciła ani na chwilę równowagi.

— Proszę go jeszcze nie wypuszczać ze swej opieki, doktorze — powiedziała. — Fantazjuje wciąż jeszcze i trzeba bardzo uważać, by nie robił szaleństw. Właśnie potraktował mnie jak obrazek święty i padł przede mną na kolana.

Mały doktor nie rzekł ani słowa, zacisnął wargi i zbliżył się do mnie, by mi zbadać puls. Potem coś zamruczał, dał głową znak Gemmie i wyszedł z nią do drugiego pokoju; przed wyjściem wymownym spojrzaniem ciemnych oczu wezwała mnie do zachowania spokoju.

Słyszałem ich cicho ze sobą rozmawiających; po pięciu minutach weszli z powrotem do pokoju.

— Brzydki doktor nie pozwala, by pan dłużej pozostawał pod moją opieką — rzekła uśmiechając się. — Sądzi, że pan musi znowu stanąć o własnych siłach, powietrze tu w domu nie jest dla pana zdrowe, nudy są najlepszym lekarstwem dla rekonwalescenta. Przez trzy tygodnie musi sobie pan dać radę beze mnie. Co pan na to, *signor Arrigo*?

— On nie ma tu nic do powiedzenia, musi słuchać — wtrącił mały doktor. — Chodź pan! Spakuj swe manatki i pożegnaj się. Ja sam pana wytransportuję i nie ustąpię, aż pana gdzieś dobrze umieścę. *Poffare il mondo!*<sup>255</sup> Tego by jeszcze brakowało, bym pana za włosy wyciągał ze Styksu<sup>256</sup> po to tylko, byś pan z powrotem się w otchłań rzucił!

Musiałem ustąpić wobec przemocy. Moje zawiniątko, które w pierwszych dniach

<sup>255</sup> *Poffare il mondo!* (wł.) — Nigdy w świecie! [przypis redakcyjny]

<sup>256</sup> *Styks* (mit. gr.) — główna rzeka Hadesu, przez którą przepływały się dusze zmarłych. [przypis edytorski]



tutejszego pobytu sprowadzono z oberży, rzucono w dość wielkim nieładzie do kufra, położono na nie moje szkicowniki i przybory malarskie — i nie upłynęło pół godziny, a wszystko było załatwione. Doktor stał obok mnie i ostro się we mnie wpatrywał. Gdy zajechała dorożka, Bicetta rzuciła mi się na szyję i dusiła mnie swymi pieściami, wciąż wołając: — Niech on nie odchodzi! Niech wkrótce wróci i maluje obrazki dla Bicetty! — Starucha pojawiła się tylko raz na chwilę, a na twarzy jej malowała się satysfakcja, że się mnie pozbywa. Gemma zachowywała się spokojnie, a gdy na pożegnanie ucałowałem jej rękę, rzekła: — Trzy tygodnie nie są wiecznością. Bądź pan zdrow, jeśli pan chce być szczęśliwy!

Nie mogłem wypowiedzieć ani słowa, przeszedłem przez drzwi jak Adam przez wrota raj, a anioł z ognistym mieczem siadł koło mnie w dorożce w postaci doktora Susiny. Poczciwy krawiec i żona jego stali u drzwiczek dorożki. Mogłem ich tylko pocieszyć, że wkrótce o mnie usłyszą.

Na górze z okna wychylała się Gemma, mając u boku dziecko, które mi posyłało całusy. Matka skinęła tylko głową. Potem dorożka odjechała.

\*

Przed wszystkim chciałem się przekonać, czy pokój na Forum, który wynająłem przed trzema tygodniami, jeszcze jest wolny. Po drodze mało ze sobą rozmawialiśmy. Nie wypadło mi wypytywać doktora o stosunki mojej przyjaciółki. Tylko raz powiedziałem: — Co za kobieta! Co za wielkoduszna istota!

— Jest ona pewnego rodzaju aniołem w spódnicy — odpowiedział krótko. — Szkoda tylko, że jej głowa nie zawsze jest tak mocna jak serce.

Milczałem i nie pytałem o znaczenie tych słów. Byłem jak we śnie, gwar ulicy odurzał mnie, poczucie, że jestem sam w tym olbrzymim mieście, sprawiało mi ból.

Na szczęście małe mieszkanko przy Forum było wolne. Poczciwa, otyła gospodyni wyszła naprzeciw mnie z radosnym zdumieniem, była pewna, że umarłem czy też wyjechałem; co dzień nakręcała zegarek, który jej pozostawiłem jako zastaw. Wkrótce byłem zainstalowany, a mój lekarz przyboczny opuścił mnie, dawszy wprzód kilka wskazówek mej gospodyni i wzięwszy ode mnie słowo, że nie będę robił żadnych głupstw. Leżałem więc na wielkiej, twardej skórzanej kanapie i oczekiwałem posilnego rosolu, który pani Rosalia sporządzała na kuchennym piecu.

Miałem wilczy apetyt mimo wszystkich przejść duchowych i nie zostawiłem ani kropli na talerzu. Zaledwo jednak przez chwil kilka oddawałem się małej sjeście, gdy weszła gospodyni i zapowiedziała czyjeś odwiedziny.

Był to nikt inny jak Kurt, stary, poczciwy przyjaciel. Poskoczyłem ku niemu i powitałem go głośnym okrzykiem radości; był on przecież jedyną deską ratunku w mej biedzie. Zachowywał się jednak dziwnie, był małowówny, zakłopotany, mrukliwy i nie patrzył mi wcale w twarz. Podszedł do okna, wyraził podziw dla widoku, kłął na nowe wykopaliska, które szpecą Forum dla dobra kilku antykwariuszy, a gdy go zapytałem, jak mu się powodzi, rzekł:

— Jak widzisz. Nie pozbyłem się i tu czerwonego nosa, tej latarni Diogenesa<sup>257</sup>, która mi zapewne świecić będzie aż do grobu. Natomiast pozbyłem się tu czego innego: sztuki. Po kilku miesiącach pobytu w tej błogosławionej krainie doszedłem do przekonania, że mam do wyboru albo na gwoździu powiesić swoją tak zwaną sztukę, albo siebie. Jako że jestem słabym śmiertelnikiem, wybrałem oczywiście to pierwsze. W naszym stuleciu fotografii to szaleństwo chcieć zostać artystą. Muza siedzi jak pasterka gęsi na pagórku i plecie swe warkocze, czekając wciąż jeszcze, aby znowu zostać księżniczką, którą właściwie jest. Może ona jednak długo czekać, a tymczasem jeden i drugi Kurt traci cierpliwość... Każdy czas ma swe zadania. *Cinquecento* mierzyło przyrodę wedle jej piękności, nasze stulecie wedle jej jadalności i innych korzyści.

Ośmieliłem się wtrącić pytanie, czy też znalazł kawał natury, który go zaopatruje w jadło. Jestem bowiem bez wszelkich środków do życia i właśnie na niego głównie liczę...

<sup>257</sup>Diogenes z Synopy (413–323 p.n.e.) — grecki filozof, przedstawiciel szkoły cyników. Rzekomo chodził w dzień z zapaloną latarnią, mówiąc, że szuka człowieka; latarnia Diogenesa stała się symbolem niewiary w istnienie prawdziwego człowieka. [przypis edytorski]

— O! — powiedział i pogładził swą małą jasną bródkę — co się tego tyczy, bądź zupełnie spokojny. Moje starania, by przekonać świat o nonsensie zajmowania się dziś jeszcze sztuką, są intratniejszym rzemiosłem, niż gdybym zarabiał na chleb ręką Rafaela<sup>258</sup> i geniuszem Michała Anioła<sup>259</sup>. Pomagam bowiem w wysokim stopniu w krzewieniu się dyletantyzmu; dopiero gdy co trzeci człowiek będzie dyletantem, nadmiar partaczy zdławi tych kilku geniuszy, którzy jeszcze się pojawiają, i żaden dureń nie będzie więcej mówił o prawdziwej sztuce. Daję kobietom i Anglikom lekcje malowania akwarelą, za co mi doskonale płacą. Ile setek potrzebujesz?

Wszystko to powiedział ot tak sobie i ani słowem nie zapytał o moje osobiste przeżycia, mimo że musiał przecież po mym wyglądzie zauważyć, jak wiele przecierpiałem. Zapytałem go też od razu, dlaczego dziś na placu Św. Piotra tak nagle zwiął, czy nie słyszał mego wołania, czy mnie doprawdy nie poznał. Wyparł się spotkania w najbezcześniejszy sposób. Wobec tego opowiedziałem mu wszystko, co mnie spotkało w ostatnich trzech tygodniach.

Przysłuchiwał się, nie odwracając wzroku od okna. Nie zataiłem również przed nim ostatniej sceny między mną a moją przyjaciółką; zwykłem nie kryć się przed nim z niczym. Przez długi czas milczał, ja zaś opadłem znowu na kanapę i zapomniałem przez moment o nim, odtwarzając w duchu chwilę, która moją krew wprawiała w stan wrzenia.

— Ty potworze! — usłyszałem nagle. — Ty szczęśliwczu! Ty łowco gwiazd! Nawet dnia nie przeżył w Rzymie i kilkoma nędznymi kroplami krwi okupił sobie, ulubieniec bogów, to, za czym inni... Czy wiesz ty — huknął nade mną — czy wiesz, że we śnie dobrałeś się do skarbu, za którym różne zuchy latami całymi nadaremnie się ubiegały? Że zamilczę o mej skromnej osobie — czy wiesz, że kobieta, która w swej łasce raczyła się zniżyć do twej wypłowiej osoby, jest najdelikatniejszym okazem kobiecego ciała, jakie między Alpami a Sycylią<sup>260</sup> słońce oświeca, i że przypadło ci w udziale szczęście, o które na próżno silili się książęta i hrabiowie?

Chciałem mu odpowiedzieć, że sobie zupełnie dobrze zdaję sprawę, jak mało mam podstaw do takiego bajecznego szczęścia; nie dał mi jednak przyjść do słowa. Podszedł blisko, potrząsnął mną, na szczęście po zdrowej stronie, i bez przerwy zalewał mnie potokiem słów.

— Tak! — zawołał — przyznaję, że nie mój cień, tylko ja sam spotkałem was w powozie koło Świętego Piotra. Lecz myśl, że mógłbym się zbliżyć, zamienić z nią kilka słów, wytrzymać jej wzrok na sobie — ta myśl przeraziła mnie. Byłbym śmieszną figurą i do czego by to prowadziło? Siedziałeś tak szeroko rozparty, z wygodną zuchwałością jako *beatus possidens*<sup>261</sup> u jej boku, zniecierliłem cię w tej chwili, byłoby mi zupełnie niemożliwe grać rolę uradowanego. Co prawda, nie przypuszczałem, że tak daleko z nią zaszedłeś. Mówiąc między nami, nie mogłem pojąć, co się jej mogło spodobać w twym długim cielsku, tej pocziwej holsztyńskiej gębie i tej mizernej toalecie. Jakiś żartowniś, pomyślałem, dał mu w Neapolu list polecający do wiedźmy, a ona żartuje i oprowadza po Rzymie dziwaczne północne zwierzę. Nie miej mi tego za złe, Eryku; wiesz, jak ona się ceni. Połową twego królestwa nie zdołałbyś jej kupić. Ja sam — odkąd ją po raz pierwszy ujrzałem, jak pies się za nią włoczyłem, byle tylko przychwycić jedno z tych spojrzeń, którymi uszczęśliwia nawet najniklejsze stwory. A oto znajduję jegomościa, który nie jest ani Adonisem<sup>262</sup>, ani Krezusem<sup>263</sup> — bogowie! Można by się wściec, gdy się pomyśli, jak kapryśną, bezmyślną ładacnicą jest Fortuna<sup>264</sup>, rozdająca na ślepo całusy i szcutki<sup>265</sup> w nos, zarówno sprawiedliwym, jak i niesprawiedliwym.

<sup>258</sup>Rafael, właśc. *Raffaello Santi lub Raffaello Sanzio* (1483–1520) — włoski malarz i architekt. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — włoski rzeźbiarz, malarz, poeta i architekt. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>Sycylia — największa wyspa na Morzu Śródziemnym i zarazem włoski region. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>*beatus possidens* (łac.) — szczęśliwy posiadacz. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>Adonis (mit. gr.) — w mitologii greckiej piękny młodzieniec, ulubieniec Afrodyty. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>Krezus (zm. 546 p.n.e.) — ostatni król Lidii, kraju na zachodzie Azji Mniejszej; jego imię jest synonimem bogacza. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>Fortuna (mit. rzym.) — bogini, kierująca ludzkimi losami. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>szcutek (daw.) — prztyczek. [przypis edytorski]

Chwycił kapelusz i chciał wybiec: moje towarzystwo było mu widocznie niemiłe. Z trudem tylko udało mi się go powstrzymać i wepchnąć w fotel, po czym na wszystkie świętości, na naszą starą przyjaźń zaklinałem go, by się wywnętrzył i opowiedział mi wszystko, co wie.

— Jesteś niespełna rozumu — zawołał gwałtownie — jeśli chcesz o niej wiedzieć więcej, niż twe oczy widziały i twe uszy słyszały wprost od niej. Jeśli ktoś idzie w największy upał i ujrzy na drodze nadgryzioną pomarańczę, czy będzie tak głupi, by długo się rozpytywać, kto ją odrzucił? Że się zwie wiedźmą z korsa, o tym ci powie każdy dorozkarz. Gdzie się swych sztuk czarodziejskich uczyła i kto się już o tych sztukach na własnej skórze przekonał — co cię to obchodzi, ty żółtodziobie? Tak, wyznaję, mam szatańską satysfakcję, mówiąc ci, że twoja bogini jest bardzo ziemskiego pochodzenia. O ile zaś ciebie znam, dążysz do tak zwanych wyżyn. Bogobojnemu synowi pastora nie może być obojętne, czy związek jakiś jest zawarty w niebie czy w piekle. Ja zaś mógłbym przesiadywać na łonie Abrahama<sup>266</sup>, a gdybym usłyszał głos tej wiedźmy z najniższych pokładów piekła i gdyby zażądała, bym dla ochłody jej poruszał przez wieczność wachlarzem — rzuciłbym się na oślep do jej małych nóżek — nie, to złe określenie. Jej nogi nie są małe, również i jej ręce; to jest modne w naszych północnych salonach lalek. Prawdziwe córy Rzymu stąpają pewnie, a ręce ich mocno przytrzymują silnymi palcami to, co raz chwyciły. Jakże często stałem z boku, gdy wsiadała do powozu, on jej podawał ramię, a ona pięknie sklepioną stopę stawiała na stopień...

— On? Co za on?

— Ach tak, ostatni, który przed tobą budził zawiść bogów i ludzi, przepiękny, nieco zwariowany, ale niezmiernie bogaty neapolitańczyk, ponadto markiz, elegant, który trochę lepiej przy niej wyglądał niż wasza wysokość. Lecz ten teraz znikł, minęło prawie osiem tygodni. Przed nim... czyż mam ci wyrecytować całą listę? Lepiej zacznę od początku.

I zaczął mi opowiadać, czego zresztą sam już się domyślałem, że ojcem jej był ten pyszny kardynał, którego portret widziałem w sypialni. Stosunek z jej matką rozpoczął się oczywiście dawno przed otrzymaniem kapelusza kardynalskiego. Wkrótce uprzykrzył sobie gderliwą kobietę, tym bardziej iż jej piękność rychło przekwitła; umieścił ją z dzieckiem w Civitavecchia<sup>267</sup>. Tam żyła przyzwoicie, nie wolno jej tylko było wrócić do Rzymu, a kiedy nagle umarł, pozostała zupełnie bez środków do życia. Tylko portret, który stara już przedtem zdołała zabrać, przypominał dni świetności. Córka właśnie osiągnęła szesnasty rok życia, precudnie zakwitła, była okrasą małego miasta portowego. Konsul francuski, *monsieur*<sup>268</sup> Durand, liczący już pięćdziesiątkę, ale wciąż jeszcze wielki łowca kobiet, zaczął się do niej przystawiać, lecz stara sprzeciwiała się. Córka śmiała się z niego. Przestała się śmiać, gdy nędza poczęła coraz bardziej doskwierać i gdy sprzedano ostatni złoty przedmiot, który pozostał po ojcu. Wtedy... była jeszcze na pół dzieckiem... zgodziła się, by i ją sprzedano. Pocieszała się tylko tym, że kapłan pośredniczył w tym handlu, że została *madame*<sup>269</sup> Durand i że mogła swą młodą piękność ukazywać w powozie pana konsula. Serce jej wtedy jeszcze było nieme. Kiedy poczęto plotkować, czy przed czy po katastrofie, która nagle podcięła Francuzowi grunt pod nogami — nie wiadomo. Pewnego pięknego dnia pan konsul parowcem wyjechał do Marsylii<sup>270</sup>. Rozstał się ze swą młodą żoną tylko na krótki czas. Lecz po jego wyjeździe wyszły na jaw brzydkie sprawy, podejrzane interesy — wskutek czego nie mógł dłużej pozostać na zajmowanym stanowisku; przezorny i sprytny ten człowiek, widząc chmury, zbierające się nad swą głową, uciekł bez pożegnania przed rozpętaniami się burzy.

Przez jakiś czas piękna słońmiana wdówka oczekiwała jego powrotu. Gdy brak było zarówno jego, jak i wiadomości o nim, starała się pocieszyć, a nie zabrakło ludzi, którzy jej w tym ofiarowywali swe usługi. Już za jego życia — chcę powiedzieć, dopóki jej mąż

<sup>266</sup> *Abraham* (rel.) — biblijny protoplasta i patriarcha narodu izraelskiego. Łono Abrahama jest metaforą zasłużonego odpoczynku po śmierci. [przypis edytorski]

<sup>267</sup> *Civitavecchia* — gmina we Włoszech, w regionie Lacjum, w obrębie metropolii rzymskiej. [przypis edytorski]

<sup>268</sup> *monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>269</sup> *madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>270</sup> *Marsylia* — miasto w południowej Francji, nad Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

był przy niej — uważała dzielnego, młodego kapitana papieskiej żandarmerii za godniejszego swej miłości niż pana Duranda. Szczęśliwiec został pewnego dnia przeniesiony do Rzymu, właśnie podczas karnawału. Gdy razu pewnego pojawił się na reducie<sup>271</sup> w teatrze Apollo<sup>272</sup>, prowadził pod ramię nieznaną nikomu tancerkę w kostiumie czarownicy, w fantastycznej sukni czarno-czerwonej, ze złotym wężem dokoła szyi, z małymi skrzydełkami nietoperza u czerwonej czapeczki, z czarnymi włosami opadającymi swobodnie aż do bioder. Tańczyła jak demon, a śmiała się jak anioł pod półmaseczką, której nie zdejmowała przez cały wieczór. Gdy para o brzasku dnia opuszczała redutę, skradł się za nią niejeden młody człowiek, któremu czarowna wiedźma głowę zawróciła, i obserwował dom, w którym znikła.

Był to dom przy korsie, na rogu Via de'Pontefici. Następnego dnia mnóstwo gachów spośród *jeunesse dorée* spacerowało pod domem, ale wiedźma z korsa — bo tak ją od tej chwili zwano — ukazała się dopiero w godzinach popołudniowych. Że bez maski lepiej umiała wyczyniać swe sztuki czarodziejskie, to rzecz zrozumiała. Lecz prócz kapitana nikt się nie mógł pochwalić, że przekroczył próg mieszkania pani Durand.

Potem przyszło na świat dziecko, a ona zamieniła się z dzikiej wiedźmy w gospodarną, cnotliwą kobietę. Matka wkrótce przybyła za nią do Rzymu; żyli we czworo kilka miesięcy cichutko, bez zwracania na się uwagi. Wtem przyszła wiadomość, że młody pan domu został podczas wyprawy na bandytów zastrzelony, a pani Gemma po raz wtóry wdową.

Trzeba przyznać, że po ojcu swego dziecka nosiła żałobę tak zacnie, jak by tego żądać można tylko od legalnej małżonki. Ale potem! Dwudziesty rok życia... najpiękniejsza kobieta w Rzymie... nagabywana przez setki młodych i starych lowelasów, bijących się o to, by skarby Indii rzucić jej do stóp, sama zaś biedna jak mysz kościelna — nie wiem, jak by się zachowała Penelopa<sup>273</sup> w tych warunkach. Twoja ukochana... daruj, że jej już teraz dam ten oficjalny tytuł...

— Nie — przerwałem — przestań mnie dręczyć! Jestem jeszcze niezdrów... Gdybyś wiedział, co się we mnie dzieje... strącony z mego nieba... z przeczystych lazurów w brudną szarżynę płaskiej, twardej ziemi...

— Ba, ba! — mruknął — ta twarda ziemia... Dwoje takich miękkich kobiecych ramion, których by się nie powstydzila Wenus z Milo<sup>274</sup> dla uzupełnienia swych kikutów — a zresztą, Eryku, chłopcze mój, po cóż robisz tak wstrętne grymasy, gdy cię zaproszono do stołu bogów? A nawet ze stanowiska naszej staroświeckiej moralności: czy zapomniałeś, jak ludzki był Chrystus Pan wobec Samarytanki<sup>275</sup> przy studni? „Miałś siedmiu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twym mężem!...”<sup>276</sup>. Czy brzmi w tym moralne oburzenie? Czy nie mógł równie dobrze powiedzieć w tonie zarzutu: „Prowadziła pani, madame Durand, sposób życia, który mi uniemożliwia spotykać cię tu w publicznym miejscu i wdawać się z tobą w rozmowę?...”. Głuptasku, ta kobieta... zeskoczyłbym z wierzchołka wieży Świętego Piotra, gdybym się przedtem mógł przeobrazić w człowieka, który przez dwadzieścia cztery godziny zaznał jej łaski. Bo widzisz, kochany, mimo wolności, jakiej zażywa, nie jest ona łatwym łupem dla pierwszego lepszego, który jej może ofiarować tylko złoto i diamenty lub też pięknie ufryzowaną głowę Antinouse<sup>277</sup> o oślim mózgu. Siedmiu mężów samarytanki, czy ilu ich tam było, nie ma się co wstydzić; jest to pewnego rodzaju order *Pour le Mérite*<sup>278</sup>, jeśli można spacerować z wiedźmą z korsa. Oczywiście, środki jej nie pozwalają wynagradzać uczonego ojca Secchi<sup>279</sup> za zasługi około rozwoju astronomii. Że jednak posiada serce, nieprzeżarte plugawym egoizmem... mam wrażenie, że twe własne doświadczenie...

Przemiana, Wdowa, Żałoba

Kobieta demoniczna

<sup>271</sup>*reduta* (daw.) — tu: bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>*teatr Apollo* — historyczny teatr rzymski, obecnie Teatro Tordinona. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>*Penelopa* (mit. gr.) — żona Odyseusza, matka Telemacha, wzór wiernej żony. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*Wenus z Milo* — marmurowa rzeźba z okresu hellenistycznego, ideał piękna. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>*Samarytanki* — mieszkanka Samarii, krajiny historycznej między Galileją a Judeą. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*Miałś siedmiu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twym mężem!...* (rel.) — w Ewangelii św. Jana mowa jest o pięciu mężach (J 4,15). [przypis edytorski]

<sup>277</sup>*Antinous* (111–130) — grecki młodzieniec, protegowany i kochanek cesarza Hadriana, przedstawiany w rzeźbie i na monetach jako ideał młodzieńczego piękna. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>*Pour le Mérite* (fr.) — „za zasługi”, pruski order wojskowy. [przypis redakcyjny]

<sup>279</sup>*Secchi, Angelo* (1818–1878) — włoski uczonej i jezuita, zajmujący się fizyką, matematyką i astronomią. [przypis edytorski]

I tak plół bez końca, to kpiąc, to siląc się występować jako bezinteresowny przyjaciel. Wreszcie przestałem słuchać go, siedziałem odurzony przy oknie i widziałem ostatni promień słońca, znikający z dachów Koloseum; najchętniej byłbym się pogрузił w wiecznej nocy, gdyż lękałem się nowego dnia i konieczności powzięcia jakiejś decyzji.

Wszystko to, co mi powiedział, nie zdołało przytłumić mej namiętności. Byłem również daleki od jakiejś moralnej reakcji, o ile to tyczyło sądu mego o uwielbianej kobiecie. Oczywiście, być jednym z wielu, zawdzięczać kaprynowi, że mi sułtanka rzuciła chusteczkę... przeciw temu burzyło się moje poczucie męskości. Lecz zanim o tym wszystkim się dowiedziałem, myślałem sobie niejednokrotnie: ta piękna osoba, niezbyt dbała o opinię, może od czasu do czasu korzystała z wolności stanu wdowiego — lecz jeśli mi się udało pozyskać jej względy, uprowadziłbym ją z tego wulkanicznego gruntu, ją i dziecko, a może, prędzej czy później, pogodziłaby się ze skromniejszym losem w mej ojczyźnie. Oczywiście taki sen wydawał mi się zawsze chimera. Lecz jej *No!*, którym odpowiedziała hrabiemu, wzmacniało moją wiarę w cuda. A wreszcie nasza rozmowa tuż przed rozstaniem... Wszystko mogłem o niej pomyśleć, tylko nie to, że mogła być fałszywa, igrać z biednym przybyszem, gdy tyle mu okazała miłości i dobroci.

A teraz... Czyż można myśleć o uczciwym, trwałym posiadaniu, o czystych planach na przyszłość? Wszak jej mąż żył. Wiedział o tym cały Rzym... A ja, gdybym naprawdę był szaleńcem i memu bogobojnemu ojcu, mej dobrej starej matce sprowadził do domu tę obcą kobietę... pod jakim nazwiskiem... z jakimi widokami... początkujący architekt, niemający jeszcze ani jednego zamówienia... szaleństwo!

A ten zdrajca, Kurt, chodził wciąż po pokoju tam i z powrotem i mówił o niesłychanym szczęściu, jakie mnie spotkało. Jak gdyby do właściwego szczęścia nie trzeba było właściwego człowieka!

— Kurcie — powiedziałem wreszcie — nie mówmy o tym więcej. Jak się to skończy, Bóg raczy wiedzieć. To jednak jest pewne, że zazdrość nie wciśnie się w naszą starą przyjaźń. Gdybyś prócz lekkomyślnych i cynicznych uwag mógł mi dać środki, bym ten stosunek poprowadził dalej w stylu eleganckiej awantury, miałbyś rację, mówiąc, że przywiozłem ze sobą do Włoch więcej szczęścia niż rozumu. Dopóki jednak jestem biednym stypendystą pruskiego ministerstwa, któremu ponadto łotr wykradł z kieszeni ostatni grosz, nie nadaję się, by mieć za kochankę „najpiękniejszą kobietę Rzymu”. Powiedz mi więc lepiej, ile mi możesz pożyczyć pieniędzy?

Spojrzał na mnie wielkimi oczyma; widząc jednak, że mówię to serio, wzruszył ramionami, wyciągnął spod kamizelki *pugilares*<sup>280</sup> i począł na stole liczyć kupkę dukatów<sup>281</sup>.

— To na razie cały mój majątek — powiedział. — Za cztery tygodnie spadnie nowy deszcz. Do tego czasu podzielimy się po bratersku.

Przypadło na moją część tyle, iż mogłem swobodnie odetchnąć, wyswobodzony na razie z trosk o utrzymanie. Następnego ranka, gdy zapukał do moich drzwi krawiec Girolamo, by z polecenia *signory* Gemmy dowiedzieć się, jak spędziłem noc, mogłem się temu *galantuomo*<sup>282</sup> szczerze wywdziżyć. Z początku nie chciał nic przyjąć; *signora* obdarowała go już sowicie. Wreszcie poszedł sobie, bardzo ukontentowany, zaofiarowawszy mi wszelakiego rodzaju usługi.

Pospieszyłem następnie zapewnić małego doktora, że nie miał do czynienia z niewdzięcznikiem. Był on jednak przez piękną Gemmę lepiej poinstruowany lub też z twardszego materiału. Obawiałem się, że go obrażę, gdybym dłużej nalegał. Nie szczędził mi upomnień i wzywał do prowadzenia regularnego, rozsądnego trybu życia.

— Masz organizm niedźwiedzi, mój synu — powiedział rubasznie — obecnie mogę panu wyznać: nie liczyłem zupełnie, że pan wyzdrowieje. Teraz pan wyrwał się z grobu, o ile go sobie pan z powrotem nie wykopie. Rozumie mnie pan? *Giudizio, figlio mio!*<sup>283</sup> Musi pan przeżyć najbliższych kilka tygodni tak, jak gdyby pan zamieszkiwał celę w katakumbach. Daję panu dziewięćdziesiąt lat życia, jeśli pan będzie się stosownie

<sup>280</sup>*pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>*dukat* — złota lub srebrna moneta, używana w Europie od średniowiecza do początku XX wieku. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>*galantuomo* (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, dzentelmen. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*Giudizio, figlio mio!* (wł.) — Rozsądku, mój synu! [przypis redakcyjny]

zachowywał. Ale wino i kobiety, notabene<sup>284</sup> rzymskie wino i rzymskie kobiety, to dla was, niedźwiedzi z Północy, zaraza. Pan mnie zrozumiał...

Zbyt dobrze cię pojąłem, doktorze Susina. Lecz nie potrzebowałem twych kazań. Unikałem tej zarazy z tchórzostwa i nie ludziłem się, że to tchórzostwo zasługiwało na szlachetniejszą nazwę „rozsądku”.

Kurt przychodził co dzień. Był moim *cicerone*<sup>285</sup> z początku w powozie, potem pieszo, gdy mi coraz więcej przybywało sił. Dziwaczny człowiek, o którym panu innym razem opowiem. Rzym znał jak własną duszę; wśród innych okoliczności byłoby to bezcenne dać się oprowadzać takiemu doskonałemu przewodnikowi po najbardziej ukrytych zakamarkach starożytnej i średniowiecznej sztuki i po najcudowniejszych widokach. Wówczas jednak widziałem wszystko jak przez mgłę, oglądałem wszystko wielce roztargniony, wciąż jedną tylko myśl w sobie przeżuwał. O mojej aferze sercowej nie mówiliśmy ze sobą ani słowa. Jakby w cichym porozumieniu, unikaliśmy starannie ulicy, na której mogłem się spodziewać... lękać... że ją ujrzę. Nie widziałem jej też ani razu — nie, przecież raz ją ujrzałem w powozie, gdy z córeczką jechała przez Pincio. Byłem przypadkowo sam, mógłbym być zbliżyć się do niej bez wysłuchania uwag ze strony mego ducha opiekuńczego. Skryłem się jednak szybko, drżąc na całym ciele, za jakiś płot i widziałem, gdy przejeżdżała; zdawało mi się, jakby z wyrazem zdziwienia na twarzy zwróciła głowę w tę stronę. Ale jak błyskawica postać zniknęła.

Powziąłem już decyzję, co mam począć. Poznawszy nieco Rzym, chciałem wyjechać, zanim jeszcze minie trzytygodniowy termin. Rzym jednak jest tak wielki, że nawet dla pobieżnego zwiedzenia nie wystarcza tak krótki czas człowiekowi uprawiającemu sztukę. Więc zwlekałem z dnia na dzień. W głębi duszy spodziewałem się czegoś wyzwalającego, nieprzewidzianego... Zapomni o mnie, wyjedzie, z jakimś nowym przyjacielem pokpiwać będzie z mej niezaradności.

Wprawdzie co dzień otrzymywałem od niej wiadomość, często mały jakiś upominek, owoce lub fiaszeczkę słodkiego wina, ale nigdy listu. Nie była „literacko” usposobiona, a poza tym cóż miałyby mi pisać? Również i ja tylko ustnie odpowiadałem na jej pytania i przesyłki. W dzień przed upływem trzytygodniowego terminu zjawiała się zamiast krawca Girolama żona jego, a z nią — Bicetta. Gdy mnie dziecko poczęło ścisnąć, rzucać się na szyję, wycalowywać i bez końca rozkosznie paplać — było to ponad moje siły. Począłem konwulsyjnie lkać, wcisnąłem twarz w gęste włosy małej główki, aż mi się wreszcie udało opanować. Wyjąłem z zapakowanego już kufra mały naszyjnik koralowy, który w Neapolu kupiłem dla mej najmłodszej siostry, powiesiłem go na szyi Bicetty, wziąłem ją na kolana i począłem karmić łakociami, które mi jej matka przysłała, a których nie tknąłem.

— Dlaczego jesteś taki smutny? — zapytywała raz po raz.

Powiedziałem, że boli mnie rana, zaś żonie krawca poleciłem oświadczyć pani Gemmie, że w najbliższych dniach przyjadę, by się pożegnać; upał szkodzi mi — było to w połowie maja — toteż lekarz wysłał mnie w góry.

Tak sobie to obmyśliłem, by ją zwieść; miało to być pożegnanie na zawsze, gdyż wcale nie zamyślałem spędzić lata w górach. Gotówka, którą posiadałem, starczyła tylko na powrót do domu.

Następnego dnia, około dziesiątej — wieczorem miałem odjechać, miejsce w dyliżansie było już zamówione, na południe umówiłem się z Kurtem w *trattorii*, poza tym nie było nic do załatwienia prócz, ach, jak przykrej, wizyty w domu przy korsie — słyszę nagle zajeżdżającą dorożkę, przyskakuję do okna i widzę: z dorożki wysiada Gemma... Po chwili słyszę jej głęboki głos, wypowiadający moje nazwisko, gospodyni biegnie przodem, by otworzyć drzwi — jest u mnie...

\*

Miałem wrażenie, jakby podłoga na pokładzie okrętu poczęła falować; oparłem się o poręcz krzesła, zrobiwszy wprzód kilka kroków, i wyjąkałem kilka banalnych słów. Ona jednak zdawała się wcale nie spostrzegać mego zmieszania. Spokojnie rozejrzała się po izbie, skinęła mi przyjaźnie głową i powiedziała wreszcie:

<sup>284</sup>notabene — wyraz wtrącony w tekst, poprzedzający dodatkową informację. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>cicerone (wł.) — przewodnik. [przypis redakcyjny]

— Oto jestem. Chcę tylko się dowiedzieć, jakie ma pan plany, Arrigo. Doktor Susina utrzymuje, że nie mówił panu ani słowa o letnisku w górach, zgadza się jednak z tym planem. Powiedz, kiedy chcesz odjechać. Moje kufrы będą w mig spakowane, a mnie jest obojętne, dokąd pojedziemy. Na wszelki wypadek lepiej byłoby wprzód się rozpatrzyć w Albano<sup>286</sup>, Ariccia<sup>287</sup>, gdzieś, gdzie powietrze będzie dla pana najodpowiedniejsze. Potrzebuje pan wciąż jeszcze opieki i pielęgnacji; toteż będzie najlepiej, jeśli ja z panem pojedę. Nie mogę przecież Girolama co dzień wysyłać w góry, by się dowiedzieć, jak się panu spało.

Stałem przed nią jak przychwytywany złodziej. Wiedziałem jednak dobrze, że jestem stracony, jeśli natychmiast między nami nie stanie prawda jako mur ochronny.

— Gemmo — powiedziałem — zawstydz mnie pani tym nowym dowodem dobroci. A ja... nie mogę tego przemilczeć, gdy tak wielkodusznie wobec mnie postępujesz... ja chciałem panią zwieść. Nie w góry odjeżdżam, tylko na Północ, do domu, tak daleko od pani, iż żaden szal nie rzuci mnie z powrotem do twych stóp. Jestem ci tyle winien... czyż tysiącną część zdołam kiedy wypłacić... Gdyby pani była biedną, bezradną istotą...

— Chwała Bogu, że nią nie jestem! — przerwała, wciąż jeszcze spokojnym tonem, ale jej czarne oczy przybrały dziwny, niemal groźny wyraz. — Co za głupstwa pan tu mówi! Czy już żal panu, że wyznałeś mi swą miłość? Czy było to tylko pod wpływem stanu gorączkowego, a teraz chcesz możliwie najszybciej uciec do swej zimnej ojczyzny, by ostatnia iskra zagasała tam pod śniegiem?

Pozwoliłem jej mówić do końca; musiałem być rozważny, jeśli mnie nie miał porwać jej głos, jej wzrok, jej niewysłowiony urok. Zdobyłem się na możliwie największy spokój i począłem jej tłumaczyć, w jakim położeniu się znajduję. Sprzeciwia się to memu poczuciu honoru, by dłużej korzystać z jej gościnności, a to tym bardziej, iż nie mógłbym się kontentować samą jej przyjaźnią. Nie ukrywałem przed nią, iż żądałbym wszystkiego lub niczego: posiadania jej na wieki lub nagłego wyrzeczenia się na zawsze. Wiem, iż szaleństwem jest pomyśleć, że i ona tę sprawę tak serio traktuje jak ja. A przecież, gdyby była wolna...

— Wolna? — przerwała. — Czy nią nie jestem? Mój mąż opuścił mnie w ohydny sposób. A zresztą... ha, wiem, że ci już o mnie mówiono. Tak, nie byłam święta. Kto jest temu winien? Ale jakakolwiek była moja wina — z własnej woli nigdy nie zaprzedałam się żadnemu mężczyźnie. A jeśli masz na myśli markiza — ten pod moim progiem skomlał długo jak pies. Dopiero gdy się dowiedziałam, że traci z powodu mnie resztę rozumu, okazałam się łaskawsza. Było to może zbyt późno; bowiem często grozą mnie przejmowała bliskość jego, popełniał szaleństwa, zwłaszcza gdy miał dzień zazdrości. Tak, *ten* mnie kochał, a nie tylko mówił o miłości, jak pewni ludzie... Temu nie wpadłoby na myśl chyłkiem się wykraść pod pozorem, że ja „sprawy serio nie traktuję”. A wreszcie, gdy go prawie przemocą od siebie oddalałam, gdyż rodzina jego w Neapolu groziła wyrzeczeniem się go, jeśli mnie nie opuści, tak rozpacział u moich nóg, iż byłabym się zachwiała w mym postanowieniu, gdybym go była rzeczywiście kochała. Był to jednak gwałtowny, samolubny człowiek, a przy tym nudził mnie jak piękne zwierzę, z którym nie można rozmawiać. Toteż byłam rada, gdy go przestałam widywać; spodziewam się, że młodą hrabiankę, którą ma poślubić na rozkaz ojca, zdoła bardziej uszczęśliwić niż mnie. Wolna! Byłam nią. Lecz nie czułam się dobrze. Może mnie to przez jakiś czas bawić, gdy władam głupcami, a serce moje przy tym jest wolne. A jednak, widzisz, Arrigo, nawet mego męża, który był stary i zły i tylko wobec świata się ze mną dobrze obchodził — nawet jego nie byłabym zdolna zdradzić, gdybym go mogła szanować. A wtedy byłam jeszcze tak dziecinna. Teraz... w nocy, w której cię napadnięto... leżałam w łóżku i rozmyślałam nad wszystkim, co przeżyłam, i nad tym, jak źli są mężczyźni, jak brutalni i zimni mimo żaru namiętności, i co się ze mną stanie, jeśli nigdy nie spotkam mężczyzny, który by był dla mnie dobry, któremu bym nie musiała kłaść nogi na kark, lecz szanować go niemal jak ojca, kochać jak kochanka. A gdy tak myślę i modłę się do Madonny, by mi przecież objawiła swą łaskę i przysporzyła tych rozkoszy, które widywałam u dobrych, serdecznych małżeństw — słyszę na dole jęki i wołania o pomoc... Leżałeś wtedy u pro-

Miłość, Pozycja społeczna

Przecucie, Mężczyzna

<sup>286</sup> *Albano Laziale* — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Lacjum, w prowincji Rzym. [przypis edytorski]

<sup>287</sup> *Ariccia* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Lacjum, w prowincji Rzym. [przypis edytorski]

gu mych drzwi, a gdy ci po raz pierwszy spojrzałam w twarz, zrozumiałam, że Madonna wysłuchała mą prośbę i znalazłam człowieka, którego mi wolno kochać, nie pogardzając sobą...

\*

Runąłem na krzesło, kolana się pode mną ugiwały; wzrok mój utkwiony był w podłogę, czułem bowiem, że gdybym teraz spojrzał na jej piękną, poważną twarz, byłoby po mnie...

Czekała, czy coś powiem; gdy jednak zachowywałem milczenie, przybliżyła się i powiedziała tonem jeszcze spokojniejszym:

— Madonna nie sprawiła mi zawodu. Jeśli nawet teraz udajesz złego, ja wiem, że jesteś dobry, najlepszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Poznałam to choćby po tym, jak się zachowywałeś wobec dziecka... Widzisz, inni też małą pieścili, lecz chodziło im tylko o pozory i byli kontenci, gdy dziecko wysyłałam z pokoju. Ty zaś zajmowałeś się nim jak piastunka, uczyłeś je różnych rzeczy, nigdy nie objawiałeś zniecierpliwienia, brałeś je nawet w obronę przede mną. Chciałam ci się nieraz rzucić na szyję, gdy to widziałam, lecz powstrzymywałam się. Nie wiedziałam jeszcze, czy i ty mnie kochasz. Byłam nawet trochę zazdrosna, gdy z nią więcej rozmawiałeś niż ze mną. Jest ona rozsądniejsza ode mnie, zdolniejsza, mogłaby się świetnie rozwinąć, gdyby nie rosła tak dziko jak jej matka i gdyby zaznała zarówno prawdziwej miłości, jak i prawdziwej surowości. Widzisz, dlatego też nas nie opuścisz, ty zły człowieku, lecz zostaniesz przy kobiecie, która cię kocha, i przy jej dziecku, które cię potrzebuje, bo jesteś dobry. A teraz nie mów więcej tak głupich słów. Żebrak! Jak długo ja nie jestem żebraczką, nie ma mowy między nami o pieniądzach; zrozumiałeś, głuptasku?

— A potem? — wtrąciłem — potem, Gemmo?

— Potem... jesteś młody i artysta, a dość jest królów i książąt, którym będziesz budował pałace. Teraz nie masz nic innego do roboty, jak tylko nie burzyć pałacu, który wzniesiemy sobie w górach. Nie zadasz kłamu Madonnie, chociaż jesteś heretykiem. Więc? Czy pan mój siedzi wciąż jak posąg kamienny, któremu uszy na głowie wyrosły tylko dla ozdoby?

— Gemmo — powiedziałem — myśl o mnie, co chcesz, pogardzaj mną, znieawidź, ale to niemożliwe!

— *Chè, chè!*<sup>288</sup> *Ja chcę*, słyszysz? A jeśli chcę, to być musi. Dzień ten pozostawiam ci, byś załatwił swe sprawy. Dziś wieczorem przyjdiesz i powiesz mi, że się zdecydowałeś i będziesz grzeczny, i nie będziesz więcej mówił o niemożliwości. Do dziewiątej drzwi moje są otwarte. Matkę zostawimy tu w mieście, wiem, że nie lubisz jej. Lalla, żona Girolama, pojedzie z nami, a naturalnie też twoja laleczka, Bicetta. Cierpliwości! Osiem dni pod moją opieką, a nie będziesz miał tak bladych policzków. Powiedz, czy twa rana już całkiem zablizniona?

I, nie czekając odpowiedzi, rozpięła mój surdut, odchyliła koszulę, tak iż rana stała się widoczna.

— Wciąż jeszcze okropny widok! — powiedziała. — Krwawa gwiazda, która jednak nie zapowiada wojny, lecz piękny, słodki pokój. Nieprawdaż, mój przyjacielu?

Zamilkła i patrzyła wciąż na bliznę. Nagle pochyliła się ku mnie i przycisnęła swe miękkie wargi do rany, ciepło jej ust przeniknęło całe moje ciało.

— Tak! — rzekła. — Teraz rana będzie ci przypominała mnie, byś dziś wieczorem na pewno się zjawił. *Addio*<sup>289</sup>, kochanie! Jak dziecko cieszę się tobą i naszym szczęściem. Nie, nie odprowadzaj mnie. Tak lepiej. Do widzenia wieczorem!

I zanim mogłem się podźwignąć, była za drzwiami, a po chwili usłyszałem, że dorożka odjeżdża.

\*

<sup>288</sup> *Chè, chè!* (wł.) — No, no! [przypis redakcyjny]

<sup>289</sup> *addio* (wł.) — żegnaj. [przypis edytorski]



Czy może sobie pan wyobrazić, w jakim usposobieniu pozostałem? Nie, nie może pan, wszelka wyobraźnia jest na to zbyt uboga. Kto nie widział tych oczu, nie słyszał tego głosu, nie był przez sześć tygodni pod urokiem...

Dość! Nagła śmierć byłaby w tej chwili dla mnie łaską niebios, gdyż wciąż słyszałem słowa, które mi powiedziała, i ten refren; „Musisz przyjść, bo jesteś mój, bo nie zadasz kłamu Madonnie!” — i zawsze odpowiadał inny głos: „To niemożliwe, nie wolno ci przyjść, wszystko lub nic, na zawsze lub nigdy!”.

Nie wiem, co pan o tym wszystkim sądzi, czy pan mnie też nazwie, jak Kurt, tchórzliwym idealistą. Ja sam później tak o sobie myślałem. Ale cóż pan chce? Byłem synem bogobojnego pastora... Tylko łotr daje więcej, niż ma.

Walka wewnętrzna nie skończyła się jeszcze. Wybiegłem z domu, nie mogłem znieść ludzkiej twarzy, przez kilka godzin błąkałem się po mieście jak człowiek, który lekko-myślnie poprzysiągł, że dokona morderstwa, a teraz jest miotany sprzecznymi uczuciami: to wstrętem wobec zbrodni, to obawą o krzywoprzysięstwo. Gdy o zmroku wróciłem do domu, powiedziała mi gospodyni, że był tu Kurt i zapowiedział swe przyście przed wyjazdem dyliżansu. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w południe miałem się z nim spotkać. Nie jadłem przez cały dzień. Kazałem przynieść wina i duszkiem wychyliłem szklankę. Potem usiadłem, by napisać list, którego treść obmyśliłem po drodze; uważałem go za arcydzieło wymowy, szlachetności, dumy męskiej. Jeszcze raz wyjaśniłem jej, co mnie powstrzymuje od pójścia za nią — rozumie się, że ani słowem nie wspomniałem o jej przeszłości, jej reputacji. Nie mógłbym żyć z dobroci i dochodów kobiety, choćbym ją najbardziej kochał, właśnie dlatego, że ją Kocham. A potem następowały słowa pożegnania, najgorętsze zapewnienia wiecznej, niezapomnianej miłości — ach, głupiec! Płomienie na papierze. List o szczęściu, które właśnie niweczyłem, atrament zamiast krwi serdecznej — piękna zamiana! A byłem przy tym dumny ze swego włoskiego stylu!

Odczytałem właśnie list po raz wtóry i włożyłem do koperty, gdy zapukano do drzwi i bez czekania na mą zgodę wszedł nieznany mi, wysoki, czarnooki młody Włoch.

Zapytał: *signor* Arrigo? — i uklonił się zimno, sztywnie, jak gdyby przed pojedynkiem.

Powstałem, odpowiedziałem skinieniem głowy i wskazałem na krzesło.

— Nie będę dużo czasu zajmował — rzekł — co mnie do pana sprowadza, da się krótko załatwić. Duszno tu u pana, a ja — zbliżył dłoń do czoła — cierpię na kongestie<sup>290</sup>.

Podszedłem do okna, otworzyłem je na oścież. Przy tym obserwowałem dziwnego gościa. Rzadko widziałem tak piękną postać młodzieńca, twarz godną marmuru. A przecież w bladych rysach było coś, co raczej odpychało, niż przyciągało: rys zarazem zmęczenia, jak i dzikości, niesamowity, niestały błysk oczu, czasem drganie dolnej wargi jak u nerwowego, drapieżnego zwierzęcia.

Był ubrany wedle najnowszej mody, na palcu lewej ręki nosił wielką antyczną kameę, w krawacie tkwiła szpilka brylantowa. Bujne czarne włosy były w nieładzie, wicherzył je stale swymi wielkimi białymi palcami.

— Jestem markiz L. — powiedział, stojąc na środku pokoju. — Zna pan zapewne moje nazwisko, gdyż jest pan u Gemmy niejako moim spadkobiercą. Nie mam zamiaru o to się z panem i z nią prawować. Opuściłem ją, mogła robić, co jej się podobało. Nie robię też przed panem tajemnicy z tego, że rozstałem się z nią wbrew mej woli, by poślubić młodą damę, którą mi ojciec przeznaczył za żonę. Byłem zależny od ojca, groził mi wydziedziczeniem, jeśli się sprzeciwię jego woli. Byłby to niewątpliwie uczynił; mężczyźni w naszym rodzie są konsekwentni i wykonują zawsze to, co sobie postanowili. Nie pozostawało więc nic innego, jak albo Gemmę opuścić, albo zarówno siebie, jak i ją pogrążyć w ubóstwie, co uczyniłoby nas oboje nieszczęśliwymi.

Rozejrzał się po mojej skromnej izdebce, potem wyciągnął z kieszeni bardzo ozdobną papierośnicę i rzekł:

— Czy pozwoli pan, że zapalę? Jestem nieco wzburzony... Czy można panu służyć?

Podziękowałem odmownym ruchem głowy. Zapalił papierosa, który widocznie nie był kupiony u zwykłego *tabaccaro*<sup>291</sup>, oparł się o poręcz krzesła i zaczął:

<sup>290</sup>*kongestia* (daw.) — uderzenie krwi. [przypis redakcyjny]

<sup>291</sup>*tabaccaro* (wł.) — handlarz tytoniem. [przypis redakcyjny]

— Przykro mi, że może panu przeszkadzam. Jest to jednak nieodzowne. Będę się skracał, będę się skracał — powtórzył kilka razy — widzi pan, przed trzema godzinami dopiero wróciłem, mój ojciec zmarł przed pięciu dniami nagłą śmiercią, przedwczoraj wieczór go pochowałem, wczoraj rano napisałem do mej narzeczonej, że zrzekam się zaszczytu zostania jej małżonkiem, potem jednym tchem, rozstawnymi końmi popędziłem do Rzymu i natychmiast udałem się do domu przy korsie. Wbiegłem na schody; Gemma jest w domu, o tej porze nigdy nie wychodzi, matka jej otwiera drzwi i wita mnie okrzykiem radości. Pytam o Gemmę, z początku robi tajemniczą minę, potem wchodzi do mieszkania, by oznajmić o moim przybyciu, wychodzi następnie i mówi, że Gemma jest chora i nie może mnie przyjąć. Miarkuję, że coś jest nie w porządku. Nalegam, by nic przede mną nie ukrywała. Na szczęście zawsze się mnie trochę bała, toteż dowiedziałem się...

Gwałtownie odepchnął krzesło i począł krążyć po pokoju.

— Wybacz pan — ciągnął po chwili przerwy — nie przyszedłem tu, by pana obwiniać, uczynił pan to, co zrobiliby każdy na pańskim miejscu. Ale pan pojmie, że mnie to nie może zadowolić. Sytuacja się zmieniła, mogę pójść tylko za głosem serca, jestem zdecydowany znowu korzystać z mych dawnych praw. Mimo mych próśb i nalegań nie mogłem ujrzeć Gemmy. Matka jej powiedziała mi, że oczekuje ona pana dziś wieczorem. Przykro mi, że muszę panu powiedzieć nieprzyjemne rzeczy: spodziewam się, że pan ustąpi i wybije sobie z głowy dalsze stosunki z nią.

Miałem czas, by odzyskać całkowicie zimną krew.

— Mój panie — powiedziałem — rozporządza się pan czymś, co nie jest w pańskiej mocy. Gdy mowa o prawach, to znam tylko jedną osobę, która ma prawo godzić się lub odmawiać. Jeśli Gemma zamyka przed panem drzwi, co to mnie obchodzi? Uczestniczę w tym tak niewiele, że za dwadzieścia cztery godziny nie byłbym w ogóle w stanie przyjmować do wiadomości pańskich dziwacznych propozycji. Wyjeżdżam dzisiejszej nocy. Listem tym pożegnałem się z kobietą, której tyle zawdzięczam. Gdy jednak pan mówi do mnie tonem groźby, jestem zmuszony list ten osobiście oddać i panią Gemmę zapytać, czy nie potrzebuje moich usług. Jeśli mnie wówczas odprawi...

— Strzeż się pan! — przerwał, tłumiąc widocznie z trudem swój głos. — Znam upór Gemmy. Dopóki pan tu jest, nigdy pana dobrowolnie nie puści, choćby tylko dlatego, by mnie drażnić. Co się zaś potem stanie...

— Co się potem stanie — odpowiedziałem chłodno, ostro weń się wpatrując — tego ze spokojem będę oczekiwał, panie markizie. O ile znam panią Gemmę, nie ulegnie ona gwałtowi żadnego człowieka, który nie uszanuje jej wolności. Nie wiem, co sądzi o pańskim powrocie. Możliwe, że wyrze to na niej wrażenie, jeśli się dowie, że zerwałeś pan świetne małżeństwo, by do niej powrócić. W każdym razie muszę ją sam o to zapytać.

Podszedł do minie tak blisko, że poczułem na twarzy jego gorący oddech.

— Nie ośmieli się pan! — zawołał głosem, który stracił nagle wszelką dźwięczność. — Oddaj mi pan ten list, ja go sam doręczę, jedź pan, jedź z Panem Bogiem! Nie mam nic przeciw panu, mam wrażenie, że pan jest uczciwym człowiekiem, ale, na rany boskie, jeśli się pan odważy dziś wieczór przekroczyć próg Gemmy, zabiję pana jak wściekłego psa! To miałem panu do powiedzenia. *Addio!*

Ostatnie słowa wyrzekł z taką niepohamowaną złością, że byłem przez chwilę na to przygotowany, iż rzuci się na mnie i zmusi do walki. Nagle jednak cofnął się, ukłonił grzecznie, jak gdybyśmy najobojętniej ze sobą rozmawiali, i wyszedł z pokoju.

Nagle spokój mną owładnął. Teraz czułem się znów dobrze; wewnętrzne rozdwojenie, które mnie przedtem tak męczyło, ustąpiło. Wiedziałem teraz, co mam czynić. Nie mogłem bez pogardy dla samego siebie odjechać, zanim ją jeszcze raz zobaczę; a gdyby zażądała, bym dla jej ochrony pozostał, towarzyszył jej w góry, aby ją uchronić przed nagabywaniami tego gwałtownego wielbiciela — czyż mógłbym jej odmówić? Teraz nie byłem już biedakiem, którego w chwili kaprysu znalazła na ulicy i uszczęśliwiła swymi względami — teraz mnie potrzebowała, teraz mogłem bez ujmy dla mego honoru i bez przesadnej wrażliwości korzystać i nadal z jej gościnności.

Przez krótką chwilę gnębiła mnie nieprzyjemna myśl. Czy jej środki pieniężne nie pochodzą od tego, przed kim mam ją teraz bronić? Były to jednak nikłe skrupuły wobec tego, że chodziło o bezpieczeństwo jej życia i o mój własny honor.

Konflikt

Wybiła siódma godzina; głód począł mi doskwierać. Wziąłem list i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie należałoby mieć przy sobie broni na wypadek, gdyby szalenciec zechciał wykonać swą groźbę; wziąłem jednak tylko laskę, która była w chwili niebezpieczeństwa pomocnikiem nie do pogardzenia, i udałem się na miasto w poszukiwaniu *trattorii*, w której mógłbym dobrą wieczerzą powetować obiad.

Na nieszczęście, przy jedynym stoliku, który był wolny, siedział *attaché*<sup>292</sup> mojej ambasady; powitał mnie bardzo serdecznie, a kiedy się dowiedział, że mam zamiar dzisiejszej nocy opuścić Rzym, nalegał, bym nie wyjeżdżał, nie pożegnawszy się z ambasadorem. Miał on się wyrazić, iż chce mi w pewnej osobistej sprawie powierzyć zlecenie. Czulby się też urażony, jeśli bym po różnych uprzejmościach, których zaznałem od ekscelencji, nie złożył mu wizyty pożegnalnej. Jest właśnie w domu. To nie potrwa dłużej jak pół godziny.

Irytował mnie ten niemiły zbieg okoliczności, lecz o wymiganiu się nie można było myśleć. Wsiadłem więc do powozu, pojechałem na Kapitol i poprosiłem o audiencję, której mi, oczywista, natychmiast udzielono. Dziwną musiałem mieć minę podczas długiej rozmowy o starożytnej sztuce, w którą się ekscelencja ze mną wdał. Lecz wreszcie i to się skończyło, pożegnałem się, zastałem mego dorożkarza pod bramą, kazałem mu najkrótszą drogą pognać w stronę korsa.

Z wieży wydzwaniano właśnie pół do dziewiątej, gdy wjeżdżałem na korso. Gemma miała na mnie czekać do dziewiątej. Więc jeszcze się nie spóźniłem, chyba na pocztę, do dylizansu.

Wreszcie stanęliśmy przed jej domem. Wtem... właśnie otwierałem drzwiczki powozu... otwierają się drzwi domu i na progu staje... nie, chwycie się jak pijak... wysoka ciemna postać, bez kapelusza, przystaje na chwilę, spogląda w prawo i w lewo, uderza się w czoło, mruczy coś, co brzmiało jak: „*Dio mio!*” lub „*Sangue di Dio!*”<sup>293</sup>, i biegnie wprost w wąską *Via de' Pontefici*.

W pobliżu nie było latarni; lampka dorożki migotała słabo; poznałem go natychmiast. Twarz jego biała przez chwilę wpatrywała się w dorożkę, lecz widocznie niewiele go obchodziło, kto nadjechał. Widocznie pędził go strach. Przeczucie i lęk sprawiły, że mój język zdrętwiał. Dopiero, gdy był już daleko, począłem krzyczeć. Lecz nie mogłem mnie słyszeć.

Woźnicy powiedziałem, by czekał, i pędem pobiegłem po ciemnych schodach. Cały dom zdawał się uśpiony, również i u Girolama było ciemno. Wbiegam na drugie piętro, znajduję drzwi do mieszkania Gemmy na pół otwarte, przebiegam sionkę<sup>294</sup>, pukam do drzwi frontowego pokoju, w którym mieszkałem. Nie ma odpowiedzi. Otwieram drzwi, drżąc na całym ciele, a wszedłszy, rzucam pierwsze spojrzenie w stronę Gemmy, spoczywającej na otomanie w czerwonym szlafroku, z głową opartą o poręcz. Widziałem każdy rys jej twarzy, gdyż w świeczniku palił się z tuzin świec, świeciły się też lampy na kominie. Pierwsze wrażenie było: zdrzemnęła się. Gdy jednak na palcach zbliżyłem się, cicho jej imię wypowiedziałem, a teraz bardzo blisko... przyjacielu, co za okropny widok!... Tuż pod szyją, po lewej stronie, ciemna plama na sukni, z której sączy się wilgotna struga poprzez pierś, wąska purpurowa nić, wijąca się poprzez opadłą na łono rękę. Moja noga potknęła się o jakiś przedmiot, leżący na dywanie. Na wpół przytomny pochyliłem się i podniosłem... wąski, ostry nóż, który doktor Susina wyciągnął z mego barku i który obecnie znowu dostał się w me ręce, pokryty świeżą krwią.

Odrętwienie moje trwało tylko kilka sekund; pobiegłem potem przez ciemny przyległy pokój do izby, gdzie stały łóżka staruchy i Bicetty. Paliła się tam tylko lampka przed obrazem świętym w kącie; z trudem rozpoznawałem przedmioty, słyszałem jednak głęboki oddech starej kobiety, która w ubraniu leżała na łóżku, widocznie kompletnie pijana. Wielka, prawie całkiem wypróżniona butelka stała na komodzie, a wiedziałem, że co wieczora, ułożywszy dziecko do snu, upijała się do nieprzytomności. Potrząsałem nią, krzychałem, by ją obudzić. Gdy wreszcie otwarła oczy i poznała mnie, podskoczyła gwałtownie, lecz ja nie czekałem więcej, jeno zbiegłem ze schodów, począłem się dobijać do

Przechucie, Strach,  
Morderstwo, Krew,  
Zbrodnia, Zbrodniarz

<sup>292</sup>*attaché* (fr.) — dyplomata, będący specjalistą w jakiejś dziedzinie. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>*Dio mio! Sangue di Dio!* (wł.) — Boże mój! Na krew Chrystusa! [przypis redakcyjny]

<sup>294</sup>*sionka* a. *sień* — pomieszczenie prowadzące do wnętrza domu. [przypis edytorski]

drzwi Girolama i zawołałem, by pędem biegł po lekarza... panią zamordowano!... Potem znów wbiegłem na schody i pośpieszyłem do nieszczęsnej ofiary.

Pochyliłem się nad nią i próbowałem podnieść jej głowę; wyrwałem z kieszeni chustkę i przycisnąłem do krwawej plamy pod szyją. Ból przywrócił jej przytomność. Na ustach pojawił się smętny uśmiech; otworzyła powoli ciężkie powieki. Gdy mnie poznała, zamknęła oczy, a wzruszający wyraz radości pojawił się na jej twarzy; ręce jej poczęły się poruszać, jakby szukały moich rąk.

Delikatnie oparłem jej głowę o moje ramię i drugą ręką dotknąłem jej zimnych palców.

— To ty! — szepnęła, mając wciąż oczy zamknięte — teraz mi dobrze. Wiedzia-  
łam, że przyjdiesz; ale dlaczego tak późno? Gdy przedtem zapukano, myślałam, że to ty... matka spała już... sama poszłam, by otworzyć, a to był on. Dziś w południe... nie wpuściłam go, nie chciałam go nigdy więcej widzieć... między nami wszystko skończone... on jednak nie chciał o tym słyszeć. Kochanku mój, drżałam, gdy pomyślałam, że go tu zastaniesz, on jest taki niepohamowany w swej złości; wiedziałam, że jeśli się z nim nie rozmówię... nie spróbuję go powstrzymać... z pewnością zemści się na tobie... Tak! podeprzyj mnie nieco... jestem śpiąca... oczy mi się zamykają... Potwór! Bestia! Gdybyś był słyszał, jak tu szalał, groził, płakał, leżał u kolan, potem ścisnął moje ręce, aż z bólu chciałam krzyknąć... ale śmiałam się i traktowałam go jak chłopaka, którego się za karę stawia do kąta. Chciał się o tobie dowiedzieć... powiedziałam mu, że jesteś dobrym człowiekiem i moim przyjacielem, subtelniejszym niż on... powiedziałam mu, jak to się stało. Tu leży jeszcze nóż — powiedziałam — była to okrutna rana... tu w łopatce... bez pomocy Madonny nie bylibyśmy go uratowali. A on... nagle wyjął nóż z pudełka, długo go oglądał i począł się śmiać takim głosem, że mi się włosy na głowie zjeżyły. „Gemmo! — zawołał — przysięgnij mi na Madonnę, że go nigdy więcej nie zobaczysz, bo...” — przystąpił do mnie, chwycił moje ramię i począł je ścisnąć. „Przysięgnij!” — mruczał. Ujrzałam nad sobą jego twarz... białka jego oczu błysnęły, zęby zgrzytały... w tej chwili cała moja duma się obudziła... wytrzymałam jego groźny wzrok i powiedziałam: „Idź precz! wiesz, że groźbami u mnie nic nie wskórasz. Robię, co chcę... gdy się jest dla mnie łagodnym, jestem i ja łagodna... kto mnie chce zmusić...”. „Przysięgnij! — powtarzał coraz głuchszym i dzikszym głosem... — przysięgnij!...” „Nie! nigdy!” — powiedziałam głośno i zebrałam wszystkie siły, by go odtrącić... Wtem... mój Boże!...

Jej rysy nagle się zmieniły, głos zamarł, z trudem poczęła dyszeć... Zimny pot zrosił mi czoło. Zdawało mi się, że to już koniec. Dreszcz, który wstrząsał jej ciałem, ustąpił, raz jeszcze otworzyła oczy, a blade wargi uśmiechnęły się.

— Powalam cię całego krwią — szepnęła — co za głupia historia!... Ale lekarz, który cię postawił na nogi... a ja jestem jeszcze taka młoda... byłoby to tak pięknie, gdybyśmy byli szczęśliwi!... Głupi chłopaku, jakiś ty blade!... Nie, nie ma niebezpieczeństwa... Zdejm mi suknię z pleców, ciąży mi jak ołów... widzisz, prawie w tym samym miejscu... nie boli... powoli, powoli!... Teraz mi lepiej... powietrze chłodzi... jestem piękna, nieprawda?... Te barki, ta pierś... wszystko byłoby twoje... och! A teraz... Arrigo! — zawołała nagle i ucałowała mnie jedyny raz w usta — bo ja muszę umrzeć... umrzeć... umrzeć!

Pochyliłem się nad nią, głośno szlochając. Otworzyła usta. Gdy przycisnąłem do nich wargi, uczułem, że jej zęby się zacisnęły, potem głowa opadła i w ramionach trzymałem trupa.

\*

Milczał, a ja... cóż miałem powiedzieć? Siedzieliśmy przez dziesięć minut obok siebie bez słów, niebo się zachmurzyło, trudno już było dostrzec pyszną linię kopyły Świętego Piotra i smukły grzbiet Monte Mario poprzez mgłę, która się unosiła nad Tybrem. Tylko robaczek świętojański krążył dokoła nas i opadł wreszcie na brzeg mojej szklanki. Mój towarzysz zbudził się z głębokiego zamyślenia.

— Drogi przyjacielu — powiedział — nie jest to dobrze, że opowiadaniem swym przerywam spokój umarłych... Jak widzę, i pana to mocno wzruszyło. Lecz pojmie pan... nie miałem spokoju. Jest niedorzecznością przywiązywać wagę do pewnych dni, daty są przesadami, nonsensami, punktami tylko w nieskończonej linii. Lecz człowiek jest

niewolnikiem absurdów. Chodźmy! Musimy wreszcie stąd pójść. Spodziewam się, że się pan na mnie nie gniewa, iż przed panem wskresilem te stare upiory...

Uścisnąłem jego dłoń, wstaliśmy, zapłaciliśmy za wino i ruszyliśmy do domu.

— Jak pan to wszystko przeżył?... — zapytałem.

— Tak jest — odpowiedział — sam się temu dziwię. Ale gdy nie dopomoże mały kawałek wyostrojonej stali, nie do wiary, ile wytrzymać mogą nasze muskuły! Nie straciłem nawet przytomności; trzymałem ją wciąż w ramionach jak kochanek swą narzeczoną. Potem usłyszałem na schodach krzyki i hałasy. Mnóstwo ludzi wpadło do pokoju, sąsiedzi, domownicy, gawiedź, jakiś lekarz, którego z ulicy sprowadzono, w końcu policja. Wraz z nią wpadła i starucha, rzuciła się, wyjąc, na umarłą, wyrwała sobie włosy i podskoczyła wreszcie jak furia, wskazując na mnie jako na mordercę. Wiedziałem oczywiście dokładnie, jak się rzecz miała naprawdę, lecz cóż mi to pomagało, że zapewniałem o swej niewinności? Nikt nie widział markiza, wchodzącego do domu, nikt nie chciał w ogóle wierzyć, że jest w Rzymie, gdyż widziano go odjeżdżającego do Neapolu na ślub. Brutalne dłonie ujęły mnie wśród wściekłych okrzyków i gróźb i nie mogłem być nawet obecny, gdy moją umarłą kochankę składano na łóżku. Nie wolno mi było po raz ostatni ucałować jej rąk, jej czoła. Nawet nie pozwolono mi pożegnać się z dzieckiem, które podczas całego tego okropnego zdarzenia spokojnie spało.

Tęj samej nocy mnie przesłuchano. Ta sama niewiara i to samo zakłopotanie, gdy żądano, bym dał jakiś dowód mej niewinności. Tak było też i w następnych dniach. Strażnik więzienny powiedział mi, że Kurt robi rozpaczliwe wysiłki, by się do mnie dostać, że również i ambasador ujął się za mną — wszystko nadaremnie. Dopiero czwartego dnia, gdy się już oswoilem z myślą, że padnę ofiarą rzymskiej sprawiedliwości, i gdy się tylko tym pocieszałem, że nie przeżyję długo ukochanej kobiety — nagle otwarły się drzwi mej celi i wszedł wierny przyjaciel.

Padliśmy sobie w ramiona i wyplakaliśmy się. Nie byłem wcale ciekaw, co mi ma do powiedzenia, i nie pytałem też o nic; gdyśmy sobie spojrzeli w oczy, tylko to jedno mogliśmy w nich wyczytać: nie ma jej więcej między żyjącymi...

Potem zaczął mi opowiadać, że pół Rzymu uczestniczyło w jej pogrzebie, nie tylko żebracy, którzy znali ją wszyscy, lecz również i najwytworniejsza młodzież, w długim szeregu powozów. Gdy już grób był poświęcony, wszczął się ruch w tłumie i ze stu ust odezwało się wołanie: markiz! Był to on rzeczywiście, bez kapelusza na głowie, w zupełnie zaniedbanym stroju; na twarzy rysowały się ślady szaleństwa. Przystąpił do otwartego grobu, wyciągnął ramiona i zawołał:

— Teraz będziesz miała spokój, więdmo, i nikogo więcej nie będziesz doprowadzała do szaleństwa. Dobranoc — dobranoc!

A potem z dzikim śmiechem:

— Widzisz, że stać się musi to, co ja chcę? Leżysz teraz w łóżku; czy słuchasz, jak do drzwi puka ten drugi? On nie przyjdzie! On wie, że śmierć stoi na twym progu. Szkoda! Wołałbym, by się było stało inaczej, ale nade wszystko sprawiedliwość!

Wyrzucił wciąż z siebie potok bezsensownych słów, aż otaczający opamiętali się i poczęli gwałtem go usuwać. On jednak opierał się; wskoczył wreszcie do grobu, wołając, by go razem ze zmarłą zasypano ziemią, gdyż nie może patrzeć w słońce, które jest tak czerwone jak rana na szyi kochanki.

Musiano go związać i w ten sposób odprowadzić, po czym grób pokryto wieńcami i kwiatami.

Ja zaś byłem wolny!

Jak zdołałem przeżyć następny okres... nie wiem. Jedynej pociechy, którą byłbym miał, pozbawił mnie los. Chciałem bowiem zobaczyć dziecko, przycisnąć do serca biedną sierotkę i stale się nią zaopiekować. Mimo mego ubóstwa mogłem się przecież podjąć być ojcem i opiekunem Bicetty. Nie chciałem jej pozostawić u złej staruchy; zamierzałem zabrać ją z sobą i wychować razem z moimi siostrami. Z Kurtem poszedłem do domu, którego widok przypomniiał mi całą groźbę ostatnich przeżyć. Gdy przechodziłem obok drzwi Girolama, wyszła jego żona i zalkała głośno na mój widok. Zapytałem o dziecko. Przed kilku dniami starucha znikła, na próżno wszędzie czyniono poszukiwania. I ja też poruszyłem niebo i ziemię. Lecz wobec ówczesnych fatalnych stosunków w rzymskiej

Pogrzeb, Szaleniec,  
Szaleństwo

policii poszukiwania nie dały żadnych wyników. Wszelkie ślady przepadły, jakby staruchę z dzieckiem ziemia pochłonęła.

## Andrzej Ingram

W parne południe wrześniego dnia siedział młody chłopak w bujnie rozrosłym lesie winnych latorośli, pokrywającym południowe stoki Küchelbergu<sup>295</sup>, tuż obok miasta Meranu<sup>296</sup>. Ocienione chodniki były tego roku tak przeładowane owocem i listowiem, iż długie, ciche drożyny tonęły w ciemnozielonym półmroku. Dokoła panował żar, zapierający dech i powodujący wielkie zgnuśnienie; żaden przewiew nie rzeźwił w tej spiekocie. Tylko w miejscach, gdzie między poszczególnymi winnicami piętrzyły się stromo małe kamienne schody, można było odetchnąć nieco świeżym powietrzem. Rzadko spotykało się tu człowieka. Tylko niezliczone jaszczurki przebiegały po schodach i szeleściły w krzewach bluszczu, pnących się obficie wzdłuż kamiennych parkanów pól winnych. Ciemnogrnatowe grona o wielkich, grubych łupinach zwisały gęsto ze sklepień altan, a w głębokiej ciszy południa słyszeć się dawał niekiedy dziwny, perlący się ton, jak gdyby ucho łowiło krążenie soków i wrzenie szlachetnego owocu w skwarze słonecznym.

Chłopak jednak, siedzący na stoku góry pod winoroślami, zdawał się być głuchy na te tajemnicze głosy przyrody; pogrążony był we własnych, ponurych myślach. Nosił stary strój dozorców winnic, skórzaną kurtkę bez rękawów, z szerokimi naramiennikami, do których były przytwierdzone wąskimi rzemieniami lub srebrnymi łańcuszkami skórzane szelki; spodnie do kolan, opasane szerokim, grubym pasem, na którym widniało, białą nicią haftowane, imię właściciela; jasne pończochy, podwiązane pod kolanami; dokoła szyi łańcuszek z przedziwnymi ozdobami, zębami odyńców<sup>297</sup> i świstaków. Ale główne akcesoria służbowego stroju leżały obok w trawie: wysoki, trójganiasty kapelusz, oblamowany kogucimi i pawimi piórami, liśćmi i wiewiórczymi ogonkami, jako też długa, ciężka halabarda, za pomocą której dozorca przydawał swej groźnej postaci powagi, jeśli kto niepowołany wtargnął do winnicy, a nie chciał dobrowolnie zapłacić okupu lub dać zastawu.

Dniem i nocą, bez zlurowania, bez odpoczynku niedzielnego i możliwości pójścia do kościoła, za marną zapłatę, tkwiąc te „żywe strachy na wróble” w wyznaczonych rewirach, od połowy lipca, gdy pierwsze grona nabierają słodkości, aż póty ostatnie dostaną się do tłoczni<sup>298</sup>. Ciężka ich służba, wykonywana w skwarze i deszczu, w winnicy, niemającej innych zabudowań prócz nędznego malutkiego schronu z kukurydzianych liści — jest jednak urzędem zaszczytnym, na który wybierani bywają tylko najbardziej zaufania godni młodzieńcy. Właściciele winnic starają się też o sowite zaopatrzenie swych dozorców w jadło i wino, by ich utrzymać w zdrowiu i w dobrym humorze.

Lecz sposób ten widocznie u ponurego chłopaka nie odnosił skutku. Obok niego na płaskim kamieniu, zastępującym stół, stał nietknięty dzban pełen czerwonego wina, nienapoczęty bochen chleba i wielki kawał wędzonego mięsa; właśnie przed chwilą przyniósł mu to ze wsi mały chłopak. Rzeźbiona fajeczka ze srebrnym łańcuszkiem dawno już przestała dymić; trzymał ją w ustach i wgryzał zęby w miękkie drzewo. Liczył około dwudziestu trzech lat, na twarzy i brodzie kędzierzawił się krótki zarost, ostre rysy twarzy wykazywały ślady przedwczesnych ciężkich przeżyć; czoło było przesłonięte włosami, które, we wczesnej młodości przycinane tuż nad brwiami, ułożyły się z czasem w loki, opadając również i dokoła całej głowy na kark. To dodawało jego postaci uroku młodości mimo ponurych cieni, zasnuwających oczy, i ostrych rysów twarzy.

Powolne kroki, zbliżające się w dole na ścieżce, spowodowały, że nagle otrząsnął się z zamyślenia, włożył kapelusz i chwycił halabardę w dłoń. Można było teraz dostrzec, że wzrost miał pokaźny, postać jego zwracała od razu uwagę piękną symetrią atletycznego

Lato, Wino

Strój

Praca, Wino, Wieś

<sup>295</sup> Küchelberg a. Monte di Merano — wzgórze nad Merano. [przypis edytorski]

<sup>296</sup> Meran a. Merano — włoskie miasto w autonomicznej prowincji Bolzano, w regionie Trydent-Górna Adyga. [przypis edytorski]

<sup>297</sup> odyńiec — samiec dzika. [przypis edytorski]

<sup>298</sup> tłocznia — prasa do wylączania soku. [przypis edytorski]

torsu i mocnych ud. Tylko głowę miał dziwnie małą, a ręce i nogi delikatne jakby u kobiety. Posuwał się elastycznie, bez szmeru, pod sklepieniem prętów pokrytych winoroślami, nie dotykając ani jednego grona, i wychylił się poprzez najbliższą wyrwę w kamiennym murze, by zobaczyć, kto idzie drogą.

Chuda czarna postać w szerokim, wyszarzałym kapeluszu pilśniowym kroczyła drogą między winnicą a łąką, w cieniu wierzb, trzymając w ręce książkę, a spoglądając z wyrazem zadowolenia i zupełnie niepożądliwie w stronę pięknych winogron. Również i bez długiego surduta, sięgającego do kostek i zakrywającego czarne pończochy, każdy poznałby w tym wędrowcu osobę duchowną, a to przede wszystkim z kilku bardzo miłych rysów, właściwych zawodowi kapłańskiemu w tej okolicy. Nierzadko spotyka się tu u księży twarze skromne; przebija z nich wyraźnie pewne zakłopotanie wobec wielkiej godności, jaką reprezentują, stała troska, by zarówno nie uronić nic z majestatu boskiego, którego są wyrazicielami, jak również wobec swych parafian i owieczek nie okazać zbytnej niedostępności i dumy.

Księżulo w wyszarzałym kapeluszu był wikarym<sup>299</sup> kościoła parafialnego w Meranie; jego obowiązkiem było co dzień o godzinie dwunastej odprawić mszę, za co prócz izdebki na plebanii i kilku innych pomniejszych świadczeń otrzymywał dziennie jednego guldena<sup>300</sup>. Lud, który go z powodu łagodnego usposobienia bardzo cenił i z wielkim zaufaniem się doń odnosił, zwał go „księdzem z dwunastówki” i objawiał mu w różny sposób swą życzliwość. Nie było w okolicy domu, w którym za jego pojawieniem się nie postawiono by na stół dzbana i przekąsek, tak iż dzielny ten człowiek z biegiem czasu powagą swej postaci podniósł wydatnie wcale pokąznym brzuszkiem. Do skromnego wyrazu twarzy dopasował się i ten, wystający spoza cienkiego surduta, ciężar, toteż żadnej z jego owieczek nie przychodziło na myśl kpić z tego naddatku natury. Ogólnie ubiegano się, by go ugaszczą najlepszymi produktami winnic, przyczyniała się do tego również i ta okoliczność, że wokół nie było lepszego języka, świeckiego czy duchownego, który by tak dobrze znał się na dobroci wina, umiał określić jego trwałość; również w wypadkach, gdy należało zbiory jakimś środkiem udoskonalić i uszlachetnić, umiał podać najwłaściwszy sposób. „Mieć język jak ksiądz z dwunastówki” — było przez pewien czas najzaszczytniejszym określeniem, przyznawanym znawcy wina.

Spośród różnych cnót, jakie posiadał, odwaga nie była najsilniejszą. Mimo że pochodził z chłopskiej rodziny, mogącej za czasów Andrzeja Hofera<sup>301</sup> pochłubić się niejednym dzielnym strzelcem, nerwy zawodziły go podczas niespodzianych wstrząsów duchowych, chyba że chodziło o wyratowanie jakiejś duszy lub o spełnienie ważnego obowiązku sumienia. Ale wówczas zwykł był swe siły moralne wzmacniać fizycznym pokrzepieniem i stale się starał o to, by w piwnicy zamieszkiwanego przez siebie domu nigdy nie widać było dna beczułki białego wina, któremu przypisywał krzepiące właściwości. Dziś oto, wracając z odwiedzin chorego we wsi Algund<sup>302</sup> bez pokrzepienia, nie miał dość sił psychicznych, toteż bardzo się przestraszył, gdy nagle tuż obok niego z muru winnicy zeskoczyła ciemna postać i, przepadając doń, ujęła go za rękę.

— Niech będzie pochwalony!... — zawołał, drżąc na całym ciecie.

— Na wieki! — odpowiedział chłopak.

— Ach to ty, Andrzeju? Myślałem, że na szyję rzucił mi się szatan, błakający się po winnicy Pańskiej i wypatrujący, kogo ma połknąć. Gdy tak człowiek idzie, pogrążony w myślach i medytacjach, może się przytrafić, iż twój kapelusz wyda się rogatym łbem jego diabelskiej mości. Więc tu bawisz? Zapewne to twoje pole, którego pilnujesz, a właściwie posiadłość twojej matki?

Oczy chłopca pociemniały, krew nabiegła mu do twarzy.

— Niech Bóg broni — odpowiedział — bym nogą przestąpił posiadłości mojej matki. Odkąd mi dała w twarz, myśląc, że to ja podpaliłem stajnię, nie jestem jej synem i nie przekroczę nigdy progu jej domu.

<sup>299</sup>wikary a. wikariusz — ksiądz, będący pomocnikiem proboszcza. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>gulden — moneta, używana w krajach germańskich od XIV wieku. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>Hofér, Andreas (1767–1810) — bohater narodowy Tyrolu, dowódca powstania przeciw Francuzom (1809). [przypis redakcyjny]

<sup>302</sup>Algund a. Lagundo — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

Ksiądz pojął dopiero teraz, że dotknął rany. Potrząsnął litościwie głową i rzekł:

— Ej, Andrzeju, takie słowa nie przystoją dobremu chrześcijaninowi. Czyż Pan nasz na krzyżu nie wybaczył swym wrogom? Czyż syn ma mieć za złe matce, jeśli go skarciła, choćby nie miała racji? Wiem, że to dla ciebie bardzo przykre i że nie po raz pierwszy ci się to od matki przytrafiło. Ale siedemdziesiąt siedem razy mamy wybaczać, Andrzeju. Czy zapomniałeś już, o czym cię w dzieciństwie pouczałem?

— Nie, księżę dobrodzieju — odpowiedział młodzieniec. — Ślubowałem nie myśleć o tym i udaje mi się to, dopóki jestem z dala od domu. Lecz gdybym wrócił, matka sama przypominałaby mi to, bo mnie nienawidzi i wciąż myśli, jak by mnie męczyć i upokarzać. Ona mnie również pozbawi testamentem dziedzictwa, wiem o tym, ale o to nie dbam. Nie zmarnięję i tak i chętnie wszystko pozostawię siostrze. Ale rozeszliśmy się na zawsze; tego nikt już nie zmieni. Wynająłem się za parobka, tam za górą, w Gratsch<sup>303</sup>, i tego lata jestem stróżem w winnicy, mam swe utrzymanie i nie potrzebuję z domu ani cencika. Gdyby matka posłała siedmiu gońców po mnie i chciała mnie sprowadzić w dom czwórka koni — nie poszedłbym. Wszystko ma wreszcie swój koniec!

Ksiądz słuchał uważnie i doszedł widocznie do przekonania, że bardziej jest wskazane pozostawić sprawę swemu biegowi, niż nadal wkraczać morałami i upomnieniami. Oglądał wzrokiem fachowca winnicę i rzekł:

— Twój chlebowódca dobrze zrobił, że zamiast gatunków, które przedtem tu były, latoś<sup>304</sup> zasadził inne. Są one jeszcze młode, ale za rok przyniosą podwójną ilość owoców. Ile hektolitrow spodziewacie się mniej więcej?

— Zawszeć będzie sto czterdzieści do stu siedemdziesięciu.

— Jak ci się tu wiedzie, Andrzeju? Takie stróżowanie uprzykrza się wreszcie.

— Ha, być musi, księżę. Jeszcze kości zdzierzą trudom.

— Czy musisz pilnować i nocą?

— Ma się rozumieć. Mam jednak tylko dwoje oczu, a trzeba by ich mieć choćby z tuzin, by wszędy równocześnie wypatrywać. Żołnierze znowu poczynają krążyć nocą: winogrona są już tak słodkie, że dobrze nimi zwilżyć komiśny chleb<sup>305</sup>. Przychodzi ich od razu moc, a gdy jednego chwycimy, tymczasem inni robią swoje. Nie ma na to rady, bo u kapitana nie sposób uzyskać sprawiedliwości.

— Miasto powinno pójść na skargę.

— Ba, miasto! Trzeba by mieć świadków i dowody. A kto przysięgnie, że to tylko żołnierze byli, jeśli rankiem zastajemy wyboje, szabliskami w pnączach wyrąbane, podeptane latorośle, pokradzione winogrona? A jeśli kogo chwycimy za kark, to udaje niewiniątka i wie tyle o gronach, co dziecko w łonie matki. Nie pozostaje więc nic innego, jak na własną rękę sprawę załatwić i tak go zbić, by mu się odechciało przyjść na drugi raz. Ale powiedziałem sobie: następnego, którego przychwycę, powieszę, dalipan<sup>306</sup>, za nogi! Niech do jasnego ranka w powietrzu bałamka<sup>307</sup>!

— To biedacy, Andrzeju, a pokusa jest zbyt wielka. Powinniście dla nich być wyrozumiali.

— A czy oni nie postępują jak bestie? Proszę spojrzeć, księżę, oto na przykład latorośl gładko w połowie przecięta, listowie żółtkłe i poczyna opadać; serce się krwawi, gdy się widzi tak zniszczoną, i to dla psoty, ze złości, zdrową, spokojną roślinę, która po to tylko jest na świecie, by nam napępiała beczki boskim trunkiem. Gdy takiego kiedy przychwycę, niech go Bóg ma w swej opiece!

Potrząsnął groźnie halabardą w kierunku miasta i wetknął ją gwałtownym ruchem w piasek.

Ksiądz nieco się przestraszył, jednak nie zapomniał o swej godności i rzekł:

— Pomówię jeszcze dziś z kapitanem, żeby dopilnował, by po capstrzyku<sup>308</sup> nikt nie opuszczał koszar. Ale ty poskrom swą gorączkę i zważ, żeś tu jest w służbie. Władzy

Matka, Rodzina, Konflikt,  
Syn, Nienawiść

Wino, Praca

Żołnierz, Konflikt, Kradzież

<sup>303</sup>Gratsch a. Quarazze — obecnie dzielnica Merano. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>latoś (daw.) — w tym roku. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>komiśny chleb a. komiśniak (niem. *Kommisbrot*) — ciemny, razowy chleb z mąki żytniej. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>dalipan (daw.) — doprawdy, daję słowo. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>bałamkać (się) — chwiać się (w gwarze lwowskiej); tu: dyndać. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>capstrzyk — sygnał trąbki, oznaczający koniec zajęć dziennych w wojsku. [przypis edytorski]



natomiast pozostaw sądenie. Bóg z tobą, Andrzeju! Idę dziś do Hirzera. Czy mam co powiedzieć Frankowi albo Róży? Może pozdrowienia?

— Nie, księżu. Między mną a Hirzerem wszystko po staremu. On nie chce nas znać, więc i ja nie mam mu nic do powiedzenia. Dzieci ma przyzwoite, ale nie chcę im szkodzić u ojca, gdybym im posłał pozdrowienia. Ale jeśli ksiądz spotka moją siostrę — nie, i tej też proszę nic nie mówić; tak sobie tylko pomyślałem...

Szybko, jak by chcąc ukryć zakłopotanie, pochylił się ku ręce księdza, ucałował ją z szacunkiem i, wetknąwszy drzewce halabardy mocno w ziemię, wskoczył na mur, po czym natychmiast zniknął w gęstych winoroślach.

Ksiądz udał się w dalszą drogę; rozmowa z młodzieńcem zaprzętała długo jeszcze jego czuły na dolę ludzką umysł. Lecz długotrwała, codzienna praktyka i obowiązek duchowny uciszania oliwą cierpliwości własnych i cudzych burz stępiły już nieco jego wrażliwość. Nie przeczuwał nawet, co się działo teraz w umyśle młodzieńca, leżącego tam w górze w szalasię z przytuloną do skały twarzą, jakby się chciał ukryć w łonie matki ziemi, by w niej znaleźć schronienie przed nadmierną troską.

Przeleżał tam co najmniej z godzinę, wyzwolony wreszcie od naporu myśli litościwym pólsem, gdy go nagle zbudził głośny śmiech, rozlegający się w dole na drodze. Przez chwilę leżał cicho, jakby namyślając się, czy nie śni. Lecz wciąż dolatywał go śmiech, niewinny, czysty śmiech dziewczęcy, z daleka wywołujący wrażenie trelowania i gruchania ptaka. Natychmiast podskoczył i pobiegł do wyrwy w murze, skąd roztaczał się widok w dół. Tą samą drogą między wierzbami, którą przedtem kroczył ksiądz, szła od strony miasta dziewczyna, licząca nie więcej jak siedemnaście lat, blondynka, raczej niska niż wysoka. Ruchy jej uroczej postaci, mimo że szła powoli i swobodnie, były tak lekkie i pełne gracji, że każdy mimo woli musiał się za nią obejrzeć. Ręce złożyła dłonią w dłoń, jak to tutejsze dziewczęta zwykle czynią, gdy nic nie niosą. Okrągła jej głowa jednak ani na chwilę nie pozostawała w spokoju, lecz wciąż się obracała to w jedną, to w drugą stronę, najczęściej, oczywiście, w stronę swego towarzysza, który jej widocznie mówił bardzo pocieszne rzeczy, bo wciąż wybuchała głośnym, jasnym śmiechem. Obok niej szedł ruchliwy, zgrabny drągał, wcale dobrze się prezentujący w płóciennej bluzie żołnierskiej, wąskich, niebieskich spodniach i niebieskiej czapce, włożonej na bakier. Ciemna jego twarz i czarne oczy zdradzały włoską krew. Z trudem tylko porozumiewał się z dziewczyną łamaną niemiecką. Lecz właśnie dźwięki jego dziwnie z włoską brzmiących słów bawiły ją niezmiernie. Żołnierz rzucił kilkakrotnie badawcze spojrzenia wokoło. Chłopa, pędzącego przy pomocy psa cielę do najbliższej wsi, przepuścił umyślnie, zwalniając kroku, a gdy znikł mu z oczu za zakrętem drogi, począł bardziej natarczywie zalecać się do dziewczyny. Nagle wzrok jego spotkał się z groźną postacią dozorcę, który wyszedł spoza murów winnicy i zbliżył się z podniesioną halabardą.

Włoch stanął niezdecydowany. Również i dziewczyna zatrzymała się.

— Dzień dobry, Andrzeju! — zawołała bez wszelkiego zakłopotania. — To mój brat — dodała, zwracając się do żołnierza — idźcie sobie; on nie zna żartów.

Żołnierz widocznie uznał to za dobrą radę, lecz na razie czuł się jeszcze bezpieczny wobec dość znacznego oddalenia od wroga.

— Nie bać się, panienko — powiedział — dam mu centa *a comprar tabacco*<sup>309</sup>, będzie cicho.

Włożył rękę do kieszeni, by wyjąć monetę, gdy usłyszał grzmiący głos dozorcę:

— Precz, żołdaku<sup>310</sup>, bo ci pike<sup>311</sup> wrażeń w łeb, że ci się raz na zawsze odechce tu przychodzić!

Włoch spojrział na dozorcę wściekłym wzrokiem.

— *Maledetto*<sup>312</sup> — mruknął.

Lecz jeszcze nie mógł się zdecydować na odwrót, hańbiący go w oczach pięknej dziewczyny. Bawiąc się doskonale jego zakłopotaniem, stała spokojnie obok niego i nie-miłosiernie się zeń wyśmiewała. Lecz całe zajście widocznie dozorcę nie wydało się tak śmieszne, bo szybko podszedł i wlepił błyszczące oczy w przybladłą twarz żołnierza.

<sup>309</sup>*a comprar tabacco* (wł.) — na tytoń. [przypis redakcyjny]

<sup>310</sup>*żoldak* (pogard.) — żołnierz. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>*pika* — broń, składająca się z długiego drzewca i grotu, używana przez piechotę. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>*maledetto* (wł.) — przeklęty. [przypis redakcyjny]

Śmiech

Żołnierz

Spotkanie, Brat, Siostra,  
Żołnierz, Konflikt, Przemoc

— Słyszysz? — krzyknął gniewnie. — Czy nie wiesz, że ta droga jest dla was wzbrowiona? Czy mam ci zedrzyć z pleców bluzę i zatrzymać ją jako zastaw? Zapewne w nocy zapomniałeś winogron i teraz w południe po nie przychodzisz! Natychmiast wynoś się, bo...

— Precz z ręką! — krzyknął Włoch, widząc, że go tamten zamierza ująć — gdybym miał moją *sdegena*<sup>313</sup>...

— Robaku! Przynies na drugi raz twą szablę i karabin też. To byłby dobry zastaw. A teraz marsz, bo naszpikuję cię jak żabę i cisnę na podwórze koszarowe, że nie zdołasz pacierza dopowiedzieć do końca!

Odepchnął drągala, aż ten kilka kroków się potoczył i, potknąwszy się o kamień, przyklął. Wstał jednak natychmiast i, wymachując obiema rękami i wykrzykując przekleństwa i obelgi, cofnął się przed siłą. Kuśtykając i wciąż się w tył oglądając, poszedł pod osłoną wierzb w stronę pobliskiej bramy miejskiej.

— Chwacko<sup>314</sup> się z nim obszedłeś, Andrzeju — rzekła blondynka, patrząc zupełnie obojętnie za pobitym elegantem — mówił mi tak dowcipne rzeczy, że wciąż musiałam się śmiać. Dlaczego stałeś się od razu taki dziki?

Brat nie odpowiedział. Myśli jego krążyły dokoła pobitego.

— To jeszcze nie koniec między nami! — rzekł — on jeszcze przyjdzie, dobrze, niech i tak będzie! Marysiu — rzekł nagle, zwracając się do dziewczyny — a ty... zawsze to samo... kto mi zagra, z tym tańcz! Czy nie wstydzisz się z takim diabłem wdawać się w rozmowy i spacerować z nim? Jeśli ci miły jest każdy, kto cię pobudza do śmiechu, stroń ode mnie. Wiesz przecież, że u mnie śmiech jest tak rzadki jak śnieg w Zielone Świąta<sup>315</sup>.

Dziewczyna ucichła i spoglądała wokoło niepewnym wzrokiem. Przyglądała, obie rękami włosy, zaczesane gładko w tył i przytwierdzone nad szyją wielkim okrągłym grzebieniem, a jej twarz zaróżowiła się z zakłopotania.

— Andrzeju — rzekła wreszcie, nie patrząc nań — czy mam odejść?...

— Nie, zostań! — odpowiedział krótko — czy dla mnie przyszedłeś?

— Naturalnie! — powiedziała skwapliwie i dopiero teraz odważyła się spojrzeć mu w twarz. — Już minął tydzień, a nie mogłam oddalić się z domu. Ciebie nigdzie nie widać. Matka zasnęła, było tak gorąco w kuchni, pomyślałam więc: pobiegnę i zobaczę, jak ci się powodzi. Masz, przyniosłam ci bułkę. Franek Hirzer mi ją kupił wczoraj, w niedzielę, po kościele. Sama nie będę jadła, jest za słodka.

— Franek? A cóż ten ci ma do darowania? Gdyby się jego ojciec dowiedział, byłoby krzyku co niemiara. Czy i on też cię pobudzał do śmiechu?

— On? Temu się tylko śmieje kieszeń, zapelniona guldenami. Wiesz, matka była przy tym, a gdy ona na kogo spojrzy, temu się odechciewa żartów, jak myszom, gdy poczują kota. Zmarniałabym, gdybym się czasem nie naśmiała do syta, bo mi tak smutno i ponuro z nią tam w górze, w chacie... samej...

Przez chwilę milczeli.

— Nie chcesz bułki? Kładę ją tu na ławce, zawsze się komu przyda. A tu mam kilka fig z naszego drzewa, dojrzałe. Zerwałam je dla ciebie. Masz, są dobre w tej spiekocie!

— Dziękuję ci, Maryś. Chodź, zjemy je wspólnie, tam w cieniu.

Poszedł przodem po schodach kamiennych, a ona za nim kroczyła, szczebiocząc. Na żadne z jej słów nie odpowiadał. Pod sklepieniem, utworzonym z winnych latorośli, położył się na ziemię, a ona przysiadła obok niego na szerokim kamieniu i skłoniła go, by skosztował figi. Z wolna się uspokajał. Lekki wietrzyk począł przewiewać, a wraz z nim doleciały turkoty dalekiego młyna nad Adygą<sup>316</sup>, szum rzeki Passer<sup>317</sup> i od czasu do czasu odgłosy ze strzelnicy, w której strzelano do tarczy. Czas wcale im się nie dłużył. Ugościł ją winem, co przywróciło jej natychmiast dobry humor. Nie spuszczał z niej oka... Włożyła

Przebranie

<sup>313</sup>*Degen* (niem.) — szpada. *Sdegena* jest prawdopodobnie nieużywaną już formą dialektową. [przypis redakcyjny]

<sup>314</sup>*chwacko* (daw.) — energicznie, śmiało. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>*Zielone Świąta* a. *Zielone Świątki* — potoczna nazwa święta Zesłania Ducha Świętego; święto ruchome (maj, czerwiec). [przypis edytorski]

<sup>316</sup>*Adyga* — rzeka w płn. Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>*Passer* a. *Passirio* — rzeka, przepływająca przez Merano. [przypis edytorski]

sobie na głowę jego ciężki, zdobny w pióra kapelusz, wzięła halabardę w ręce i poczęła ze śmieszną powagą i figlarnym błyskiem oczu kroczyć tam i z powrotem wzdłuż drożyn winnicy.

— Andrzeju, mnie się zdaje, że przede mną mieliby stracha, gdybym przychodziła co nocy do ciebie i stróżowała, ty zaś przespiałbyś kilka godzin. Przede mną mieliby respekt ci hultaje, prawda?

Chłopak zaśmiał się po raz pierwszy. Gdy spostrzegła, że lody topnieją, podbiegła do niego, odrzuciła kapelusz i halabardę i, przykucnąwszy w trawie tuż obok, rzekła:

— Tysiąc razy jesteś piękniejszy, Andrzeju, kiedy się śmiejesz, niż inni chłopcy, zamiast stale marszczyć czoło i patrzeć jak nasz Pan na krzyżu. Czyż nie jesteś młodym, dzielnym chłopcem, który nie ma powodu chować się przed kimkolwiek w myśią dziurę? Z matką... tak, to inna sprawa, ale ty przecież nie jesteś winien, o tym wiedzą wszyscy, a o mnie nie potrzebujesz się martwić, przyjdę do ciebie, ilekroć tylko się zdarzy sposobność, a przede mną matka nie odważy się coś złego o tobie powiedzieć, bo wie, że poszłabym sobie. Więc dlaczego zawsze zwieszasz głowę, a na mnie tak ponuro patrzysz, jak bym nie była twą ukochaną siostrą, lecz wrogiem? A jeśli mi jakiś chłopak powie słówko, od razu płoniesz jak słoma na dachu. Powiedz, czy chciałbyś ze mnie zrobić zakonnice? A może mam u matki przez całe życie służyć jak dziewczka i zostać starą panną?

Podczas tych słów przysunęła się całkiem blisko i położyła lekko ramię na jego plecy. Ale on wstrząsnął się, jakby się go dotknął upiór, i odsunął się przed pieszczotą. Piersi jego ciężko pracowały.

— Daj mi pokój, nie dotykaj mnie, nie pytaj o nic, odejdz ode mnie, jak daleko możesz, i nie przychodź nigdy więcej!

Podskoczył, jakby chciał uciec, nie mógł jednak postąpić kroku. Musiał na nią spoglądać. Klęczała, jakby skamieniała, w trawie, z rękami złożonymi na łonie i patrzyła nań wzrokiem, który mu serce rozdzierał. Jej oczy rozszerzyły się; w na pół otwartych ustach ugrzązł bolesny krzyk; nozdrza drżały. Nie po raz pierwszy przerażał go ten wyraz twarzy dziewczyny. Czasem w trakcie dzieciennego śmiechu ogarniał ją nagle jakiś dziwny przestach i traciła na pewien czas przytomność; twarz wykrzywiała jej się w kurczach, które potem ustępowały w mniej lub więcej gwałtowny sposób. Sam nigdy dotychczas nie mógł sobie zarzucić, że wywołał taki atak. Przeciwnie, zawsze go wzywano, by odegnał złego ducha, co mu się też bez trudu udawało. Gdy jednak teraz ujrzał popadającą w omdlenie, i to z jego winy, przerażenie przez chwilę pozbawiło go spokoju i równowagi.

Lecz wkrótce się opamiętał; pochylił się nad nią, ujął zlodowaciałe dłonie, spoglądał jej w oczy.

— To ja, Mario! — szeptał — ja, Andrzeju, spójrz na mnie, słuchaj, wybacz, jestem szalony; minęło już jednak, bądź dobra, wybacz, nie wiesz, co się we mnie dzieje, miałabyś litość nade mną...

Gorącymi rękami ścisnął jej dłonie i, klęcząc tuż nad nią, czekał ze strachem, aż w jej rysach zatli się z powrotem życie. Lecz wciąż jeszcze leżała skostniała, rzęsy jej ani drgnęły, zdawała się nie oddychać, szeroko otwarte oczy patrzyły weń jakby w pustą przestrzeń. Wtem odezwały się głębokie dźwięki dzwonów kościoła parafialnego, wzywające na nie-szpory<sup>318</sup>, i omdlenie poczęło z wolna ustępować. Westchnęła ciężko; powieki najpierw się zamknęły, gdy zaś potem je otworzyła i, budząc się, uprzytomniła sobie to, co zaszło, wytrysnęły z jej oczu rzęsiste łzy. Oparta o jego pierś, płakała, nie mogąc wydobyć słowa ze ściśniętego gardła.

On również nie wyrzekł słowa, jeno<sup>319</sup> ją tulił do siebie i słuchał falujących dźwięków dzwonu, w myśli powtarzając słowa modlitwy. Gdy dzwony umilkły, ujął dzban i podał go jej. Zbliżyła wargi jak chora, nie zdobywając się jeszcze na ujęcie naczynia w dłonie, i długo piła. Potem zamknęła oczy i zasnęła obok niego.

Gdy po chwili usłyszał, że spokojnie oddycha, unosił jej głowę, podłożył swój surdut i ułożył jej ciało wygodnie na trawie. Sam, rzuciwszy wzrokiem na swój rewir, przysiadł obok niej, oparł głowę o dłonie i spoglądał w uśpioną twarz, uśmiechającą się teraz po-

Brat, Siostra, Zazdrość

Choroba, Strach

Sen

<sup>318</sup>nieszpory (rel.) — śpiewane nabożeństwo wieczorne. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

godnie jakby w miłych snach. Gdy liść się poruszył i światło przelotem dotknęło jej czoła, cichutko jęknęła. Lecz widocznie czuła się teraz zupełnie dobrze. Nim jednak szarpał ból i każde spojrzenie w tę spokojną już twarz wzmagało jego męki...

Co za tajemnicze losy otaczały to rodzeństwo?

By to wyjaśnić, musimy się cofnąć wiele lat wstecz, w czasy, w których matka, tak wrogo dzieląca obecnie rodzeństwo, nie była wiele starsza niż jasnowłose dziecko, śpiące tu w winnicy pod krzewami. Dziadkowie jasnej Marysi posiadali na Küchelbergu skromną posiadłość chłopską, przepięknie położoną i na wsze strony w doliny spoglądającą: na lewo w dolinę rzeki Passer, na prawo w Vinschgau<sup>320</sup>, a na wprost poprzez miasto Meran w szeroką nizinę Adygi aż po góry Bolzano<sup>321</sup>. Stary Ingram odziedziczył osiedle po swych ojcach; uroczę położenie mniej ceniał niż obszerne winnice, na wszystkie strony się rozpościerające, a tak intratne, iż mógł wyżywić swoje liczne potomstwo. Najwięcej trosk przysparzała mu najmłodsza Maria; o innych jego dzieciach nie można było powiedzieć nic dobrego ani złego. Ta najmłodsza była nie tylko brzydka i raczej podobna do wiedźmy niż do dziewczyny z Meranu, gdzie, jak wiadomo, są piękne i kształtne panny, lecz również od małości tak niesforna, że matka ją zawsze biła, a ojciec się jej wstydził. Z czasem jednak przestano ją bić, gdyż widoczne było, iż ta metoda wychowawcza potęguje tylko zło, a ponadto nawet dla chłopskich oczu stało się jasne, że w tej biednej głowce nie wszystko jest w porządku. Proboszcz ją dokładnie zbadał i doszedł do przekonania, że jej przywary są przejawem zdziczałych popędów słabego i próżnego serca; i rzeczywiście rozum jej przy bliższej obserwacji nie wykazywał wcale nienormalności; gdy ją egzaminowano, umiała mądrze odpowiadać i upiększać dziwactwa, które popełniała. Najbardziej rażąca u niej była zupełnie niewłaściwa i godna politowania żądza strojenia się, ściągająca tym bardziej oczy wszystkich na jej niezwykle brzydotę. Toteż przydano jej mnóstwo przydomków, z których najłagodniejsze były „czarny paw” lub „dzika Marysia”; bracia zwali ją krótko „Czarna”, gdyż miała nie tylko ciemną cerę i gęste krzaczaste brwi, lecz czarne jej włosy kędzierzawiły się jak u Murzynek i opierały się uporczywie grzebieniom i wstążkom. Czy to dziwactwo natury miał na sumieniu król murzyński na obrazie, który matka jej raz pewnego ujrzała w Bolzano, jak niektórzy sądzili — pozostaje nierozstrzygnięte. Faktem jednak było, że „dzika Marysia” zamiast pogodzić się ze swym losem używała śmiesznych środków, by zaradzić złemu, i starała się upiększyć swą osobę przeróżnymi ozdóbkami i błyskotkami, obwieszając się nimi wbrew zwyczajowi. Gdzie tylko mogła dopaść grosza — a czyniła to nie zawsze w uczciwy sposób — kupowała sobie pstre wstążki lub sztuczne kwiaty, wplatała je w czarne włosy, a nawet, ku zgorszeniu ludzi starszych i na pośmiewisko młodszych, pojawiała się w takim stroju w kościele; matka zakazywała jej tego, zdierała ozdoby i karała biciem i głodem.

Ta smutna skłonność ustąpiła dopiero, gdy weszła w dojrzały wiek i zaostrzył się jej krytycyzm wobec kpín młodzieży. Lecz na nieszczęście skłonność tę zastąpiła inna, fatalniejsza, której zupełnie uległa. Oto spomiędzy wielu chłopców, którzy obcowali z jej braćmi, upatrzyła sobie właśnie najprzystojniejszego, i to takiego, który odnosił się do niej z wyraźną niechęcią. Był to chłopak ciałem i duszą przypominający dawny typ ludzi z Meranu, umysł nieco gnuśny w silnym, wspaniale rozwiniętym ciele, gorliwy katolik, doświadczony rolnik, używający niewiele słów, myślący tylko o potrzebach domowych, mało czasu poświęcający na niepotrzebne amory, gdyż w tych romantycznych dolinach ludzie miłością i małżeństwem zajmują się przeważnie z większym spokojem i zimniejszą krwią, niżby się to mogło wydawać przelotnym podróżnym. Wówczas gdy się w nim zadurzyła czarna Marysia, żył jeszcze jego ojciec, Alojzy Hirzer, który od zadłużonego właściciela dóbr rycerskich zakupił prastary zamek, położony na wzgórzu nad miastem, by tam pośrodku feudalnych zabytków założyć duże chłopskie gospodarstwo. Prócz syna Józefa miał starszą córkę, która w Innsbrucku<sup>322</sup> kształciła się na nauczycielkę. Po nagłym zgonie ojca brat sprowadził ją z powrotem do domu, by mu pomogła w urządzeniu gospodarstwa. Było to łagodne, blade, pięknookie dziewczę. Koledzy Józefa, z których niejeden miał wielką chętkę przez ożenek otrzymać piękną poleć ziemi, nie śmieli się

Rodzina, Wspomnienia,  
Natura, Góry, Wieś,  
Przemoc, Krzywda, Obcy,  
Piętno

Brat, Siostra

<sup>320</sup>Vinschgau a. Val Venosta — dolina w Alpach, w północnych Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>Bolzano a. Bozen — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>Innsbruck — miasto w Austrii, stolica kraju związkowego Tyrol. [przypis edytorski]

zbliżyć do Anny. Była zbyt delikatna i cicha. Wkrótce poczęła ją opromieniać aureola świętobliwości, gdyż zawsze można ją było zastać w kościele lub w chałupach, w których leżeli chorzy; nie przeszła nigdy mimo dziecka, by nie wziąć go na rękę, nie obdarować obrazkiem i nie odmówić z nim pacierza. Brat był bardzo kontent, gdyż utrzymywała w porządku sale pałacu, w których można było jeszcze zamieszkać. Był on człowiekiem trzeźwym, niełatwo dającym się porwać sercowym sentymentom; toteż bardzo mu dogadzało, że siostra pozostała niezamężna. Gdy stał na balkonie, przylepionym do murów zamkowych jakby gniazdo jaskółcze, i spoglądał w dal w swym stroju chłopskim, wełnianej kurtce z czerwonym oblamowaniem, szerokim kapeluszu z barwnym sznurem — wzrok jego spotykał z zadowoleniem wieże klasztorne, których krzyże tu i ówdzie unosiły się na widnokręgu; myślał wtedy, że dawni szlacheccy panowie zamkowi tam umieszcza-  
li swe niezamężne córki. Nie miałby też nic przeciw temu, by i siostra jego tam szukała schronienia przed niebezpieczeństwami i pokusami świata. Ponieważ jednak na razie nie okazywała ku temu zbyt obojętnej ochoty, ponadto zaś jeszcze była potrzebna w domu, kontentował się odblaskiem jej świętobliwości, której promienie i na niego padały, i był wielce dumny, gdy osoby duchowne przybywały do Goyen<sup>323</sup> i przy szklance czerwonego wina omawiały sprawy kościoła.

O swej własnej przyszłości myślał tylko wówczas, gdy mowa była o jakiejś bogatej dziedzicze; uważał, iż ciąży na nim obowiązek powiększenia ojcowizny o piękny nabytek. A że był jednym z najpostawniejszych i najprzystojniejszych chłopców w okolicy, miał pewność, że niedługo będzie szukał, jeśli kiedyś na serio przystąpi do rzeczy. Z początku traktował też nieukrywane wcale zalecanki czarnej Marysi z pełnym godności lekceważeniem. Potem jednak, gdy plotki stały się częstsze i bardziej uprzykrzone, gdy na każdym jarmarku, odpuszcie i w ogóle na publicznych zebraniach pokpiwano z tego powodu, rozgniewał się naprawdę i drwinami, obrażającymi dziewczynę, starał się odwrócić od siebie podejrzenie.

Inny byłby może litościwszy, gdyż zalecanki Marysi wyrażały się tylko w uporczywej wytrwałości, z jaką wlepiła weń oczy, gdy go tylko zobaczyła; wzrok jej, jakby urzeczony, ścigał go, mimo że na twarzy jego pojawiał się wtedy wyraz gniewu i rysy groźnie się chmurzyły. Nawet w kościele zwracała w jego stronę pół twarzy i wpatrywała się z takim podziwem, jakby zupełnie zapomniała, co się wokół dzieje. Kto zna prosty, trzeźwy obyczaj ludu i przyzwitołą obojętność, cechującą obcowanie obojga płci ze sobą, pojmie, jakie zgorznienie wywoływało jej zachowanie się. Większość była przekonana, że Marysia jest niespełna rozumu i że trzeba jej na wszystko zezwalać, gdyż nie można jej przecież powstrzymać od uczęszczania do kościoła, jeśli złe duchy nie mają silniej jeszcze jej opanować. Młodzi chłopcy byli jednak mniej łaskawi i zwali ją po prostu oszalałą babą, a że również i dziewczęta zupełnie się od niej odsunęły — szła zawsze samotnie z Küchelbergu na mszę, wypatrując już z daleka przenikliwymi oczyma między zebranymi przed kościołem ludźmi swego wybrańca.

Zupełnie była niewrażliwa, gdy bracia ostro wypominali jej zachowanie; nie odpowiadała wcale i nie zmieniała swego postępowania; nawet surowe upomnienie proboszcza nie pomogło, jak nic nie pomogły żelaza, gdy się doń zbliży magnes.

Wreszcie jedna z litościwszych dziewcząt postanowiła wyprowadzić Marysię z błędu. Powtórzyła jej, co Sepp Hirzer powiedział: „Gdyby mu na tym zależało, by mieć w kołyszce czarnego pudła, ożeniłby się z Marysią”.

To poskutkowało. Od tego dnia „Czarna” była jakby przeobrażona; nigdzie jej nie było widać, przed wschodem słońca zakradała się na pierwszą mszę, przykłękała w najciemniejszym kącie kościoła, a gdy w drodze w góry spotkał ją jakiś chłopak, odwracała głowę i nie odpowiadała na żadne powitanie. Żądza strojenia się znikła zupełnie. Nosila najchętniej grube, proste suknie; kręte włosy, tygodniami nieczesane, opadały na czoło; sprawiała niesamowite wrażenie i każdy od niej stronił.

Poza tym bez szemrania wykonywała swą ciężką pracę, toteż rodzice byli z niej zadowoleni i nie krępowali jej w niczym. Tak minęła zima. Gdy na wiosnę zazieleniały łąki,

Miłość niespełniona,  
Obowiązek, Dziedzictwo,  
Obyczaje

Przemiana, Dziecko,  
Hańba, Przemoc, Kara

<sup>323</sup> Goyen — prawdopodobnie chodzi o Castel Gaiano (niem. Schloss Goyen), zamek we włoskiej miejscowości Scena (niem. Schenna), położonej regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

zwróciła się do ojca z prośbą, by jej wolno było udać się na połoniny. Wybrała najwyższe i najsamotniejsze. Na całe lato czarna Marysia znikła z oczu ludzkich.

Tym bardziej zadziwił się świat, gdy jesienią, po powrocie trzód z gór, rozeszła się wieść: córka starego Ingrama przyniosła ze sobą chłopaka, śliczne, bielutkie, różowe dzieciątko, mające czarne, ale wcale nie murzyńskie włoski, przepyszny okaz niemowlęcia. Mimo hańby Marysia jest bardzo rada; bez skargi zniosła bicie, którym ją matka przywitała, a ojcu, gdy nalegał, by wszystko wyznała, nie chciała nic powiedzieć. W szopie, dokąd ją matka wyгнаła, by nie widzieć wciąż hańby, urządziła dla dziecka wygodny, ciepły kącik; dniem i nocą nie ruszała się z miejsca.

Wieść ta, zwłaszcza o piękności dziecka, wydała się ludziom zgoła nieprawdopodobna; lecz następnej niedzieli wszyscy mieli sposobność przekonać się o jej prawdziwości. W jasny dzień czarna Marysia zeszła z Küchelbergu, niosąc na ręku jakby w triumfie dziecko, zawinięte w najdelikatniejsze płótna i najpiękniejszą chustkę, i podała je z wyrazem wyzywającej dumy macierzyńskiej do chrztu. Gdy kto się zbliżył, by popatrzeć na mały ten dziw natury, natychmiast nakrywała śpiącą główkę welonem i mówiła kpiąco: — Ha, chcielibyście zobaczyć czarnego pudła? — i śmiała się z widocznym ukontentowaniem.

Rzadko chrzest w Meranie odbywał się wobec takiego tłoku świadków. Gdy jednak ksiądz zapytał o rodziców chrzestnych, okazało się, że Marysia o tym zupełnie zapomniała. Nikt nie zgłosił się na pytanie, kto z parafian zechce wyświadczyć dziecku tę przysługę; nikt nie miał zamiaru wchodzić w bliższą komitywę z matką, zaś dziadkowie, by uniknąć hańby, tej niedzieli udali się do kościoła w Lana<sup>324</sup>. Wtedy zbliżyła się, gotowa do każdego miłosiernego uczynku, córka starego Hirzera, klęcząca dotychczas w przedniej ławce, i wzięła Marysi dziecko z rąk. Wszyscy uznali to za najprostsze rozwiązanie sprawy, gdy Anna Hirzerówna, wzór cnoty i miłosierdzia, udzieliła pomocy biednej grzeszniczcy. W ten sposób chłopak został ochrzczony. A że zakrystian<sup>325</sup> zgodził się, by dać swoje imię, nazwano dziecię Andrzejem. Promieniejąc szczęściem, niosła Marysia swego chłopaka przez miasto i wróciła do nędznej szopy, gdzie w pobliżu zwierząt domowych jej syn miał stawiać pierwsze kroki na świecie.

Wkrótce zapomniano o tych zdarzeniach, tym bardziej że Marysi wcale nie widywano, żyła tylko dla dziecka; wszystkie jej uczucia stopiły się w bezgranicznej miłości ku niemu. Jak dawniej siebie, tak obecnie stroiła małego Andrusia we wszystko, co tylko dało się użyć do ozdobienia dziecka. Można ją było widzieć siedzącą godzinami w cieniu, wijącą wieniec dla dziecka i zszywającą z pstrych jedwabnych szmatek dziwaczne sukienki, którymi ozdabiała chłopczyka jak lalkę i z dumą pokazywała przechodniom.

W rok potem jej dawny wybraniec poślubił bogatą dziewczynę z Algundu. Gdy się o tym dowiedziała, nie okazała najmniejszego zmartwienia. Cała przeszłość, aż do chwili gdy dziecko przyszło ma świat, była jakby wytarta z jej pamięci; także o tajemniczym ojcu dziecka nigdy nie wspomniała i nie czyniła żadnych prób, by mu dać znać o sobie i synu.

I oto stało się, że w przeciągu jednego roku zaraza, która w tych dolinach porwała wiele ofiar, pozbawiła życia jej rodziców, a potem po kolei jej braci. Los czarnej Marysi zmienił się gruntownie. Bo jeśli już za życia rodzeństwa nie potrzebowała się lękać ubóstwa, to teraz stała się jedyną właścicielką domu i wielkich winnic i bogatą partią; szkoda tylko, że jej ciemna skóra i jeszcze ciemniejsza pamięć pierwszego stosunku miłosnego, którego owocem było dziecko, odstraszała niejednego kandydata do jej ręki.

Lecz praktyczność tamtejszego ludu wyszła jej na dobre. Nie potrzebowała nawet patrzeć przez palce, gdy jej wreszcie wyswatano męża. Był to wcale przystojny chłopak ze wsi Tyrol<sup>326</sup>, leżącej obok słynnego zamku tej samej nazwy. Ojciec go namówił, a choć chłopak niezbyt prędko umiał myśleć, to jednak w kilku słowach załatwiono sprawę.

Tak samo było z Marysią. I ona uważała, że wszystko jest w porządku, jeśli teraz mimo przeszłości kolej i na nią przychodzi. Podczas omawiania sprawy bawiła się z małym Andrusiem, liczącym już czwarty rok życia; spoglądał on na obcego człowieka ze strachem i złością. Gdy ten jednak wyciągnął z kieszeni wielką torbę z cukierkami i podał ją dzie-

Chrzest, Samotność,  
Grzech

Matka, Syn, Dzieciństwo,  
Nienawiść, Przemiana,  
Miłość, Córka

<sup>324</sup>Lana — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>zakrystian — osoba nadzorująca zakrystię. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>Tyrol a. Tirolo, a. Dorf Tirol — miejscowość w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Bolzano. [przypis edytorski]

ku, ostatnie skrupuły Marysi rozwiały się. W porównaniu z Józkiem Hirzerem Franek Wolfhart niezbyt chwacko się przedstawiał. Jego płaska, okrągła, zadowolona twarz, okolona jasnymi włosami, przypominała szablonowe obrazki, spotykane często na domach, bramach, a nawet w kościołach. Ale Marysia sama posiadała dość czerni, by ocenić nadmierną jasność swego przysłego męża, a ponadto schlebiali jej to, że młody chłopak mimo wszystko ubiega się o nią. Toteż dzięki szybkości, z jaką się w tamtych okolicach załatwia tego rodzaju sprawy, Franek jako młody małżonek zajął po czterech tygodniach miejsce w domu na Küchelbergu, a tym samym po raz wtóry umilkły plotki i gadanina na temat czarnej Marysi.

Lecz nie na długo. Po roku wydała na świat dziecko, o którym sąsiedzi mówili nie mniej niż ongi<sup>327</sup> o Andrusiu. Było ono zupełnie podobne do ojca, bielutkie, jasnowłose, wcale nieprzypominające wyglądem swym matki, chyba tylko tym, że już od wczesnej młodości przejawiały się w dziewczynce jakieś rysy fantastyczne, niezwykła siła wyobraźni i kobiecej próżności, bardzo niebezpiecznej u dziecka, niekierowanego silną dłońią, która by poskramiała pociąg ku lekkomyślności i z młodej duszy wyrwała z korzeniami osty.

Bowiem mała Maria owładnęła sercem matki tak dalece, że pozbawiła brata nawet obowiązkowej części czułości. Dotychczas ulubieniec matki, stał się jej teraz zupełnie obojętny, ba, z biegiem lat obojętność przeobraziła się w zdecydowaną niechęć, spotęgowaną wreszcie do jawnej nienawiści. Niewiele pomagało, że dobroduszny ojczym ujmował się za chłopcem. A gdy mała siostrzyczka podrosła i z wielką serdecznością lgnęła ku bratu, nie mogła nawet ona, która wszystko u matki umiała uzyskać, zmienić jej nienawiści do syna. Przeciwnie, jej słowa wzmagaly tylko tę nienaturalną nienawiść, do której dołączyła się zazdrość, gdyż dziewczynka darzyła swego brata wielką czułością.

Tyle tylko mała Maria mogła biednemu chłopcu dopomóc, że chroniła go przed cielesnym znieważaniem. Gdyż tylko raz jeden zwyrodniała matka czynnie skarciła swego dawnego ulubieńca. Wtedy to dziewczynka po raz pierwszy doznała wstrząsu nerwowego, o którym opowiedzieliśmy na początku niniejszej opowieści. Na szczęście ojciec był w domu i mógł zapobiec głupim próbom ratowniczym przestraszonej matki. Dopiero bratu udało się lekkim głaskaniem drżącą dłońią opanować atak, aż lękające dziecko rzuciło mu się na szyję i dało się zanieść do łóżka, w którym potem długo spało.

Od tego wypadku omdlenia, który częściej się potem powtarzał, ilekroć ktoś dziewczynę nagle przeraził — matka nie podnosiła ręki na syna, aż do fatalnego dnia rozstania. Lecz jej niechęć tym bardziej rosła, iż nie mogła się przejawić w rękoczynach. Syn przestał po prostu dla niej istnieć: zajmowała się tylko dziewczynką. Niemordowana była w staraniach o jej zdrowie, sprowadzała lekarzy i znachorów, pielgrzymowała do przeróżnych miejsc odpustowych, dawała wciąż na mszę, a przede wszystkim okazywała dziewczynie we wszystkim ustepliwość, by uniknąć każdej pobudki, mogącej spowodować atak nerwowy. Słaby i łagodny ojciec godził się na wszystko. Nie było mu dobrze we własnym domu. Miasto było tak blisko, że widać było zielone krzewy przed drzwiami szynków<sup>328</sup>. Więc obchodził solennie wszystkie chłopskie święta, od których czerwieni się obficie kalendarz tyrolski, i opowiadał każdemu z dumą i spokojem, że w ostatnich pięćdziesięciu latach trzech z jego rodziny zmarło na *delirium*<sup>329</sup>, co zaprawdę nie jest najgorszym rodzajem śmierci.

Swjej żonie stał się od dawna obojętny. Nie kochała na świecie nikogo prócz córki. Również sąsiedzi i krewni stronili coraz bardziej od niej, gdyż wybryki jej budziły w nich zgrozę. Dom stał samotnie na skale, z dala od drogi, wijącej się dokoła Küchelbergu, do wsi Tyrol. Nikt tu nie wstępował; do nikogo nie przychodziła; w kościele, do którego szła nad ranem, miejsce obok niej pozostawało zawsze puste.

Toteż w tych okolicznościach nie dziwota, że Józef Hirzer unikał wszelkiego zbliżenia; zabronił stanowczo swej siostrze zajmować się chrześniakiem, zakazał swym dzieciom, które Andrusia i jasną Marysię spotykały w szkole, wspominać o nich w domu. On sam stawał się coraz zamożniejszy, uchodził za tęgiego gospodarza, doskonałego hodowcę winorośli i ze wszech miar poważanego obywatela, zaś siostra jego w równej mierze zy-

<sup>327</sup> *ongi* (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>328</sup> *szynk* a. *szynkownia* — gospoda, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> *delirium*, właśc. *delirium tremens* (łac.) — ostra psychoza, występująca u alkoholików w czasie abstynencji. [przypis edytorski]

Choroba, Pijaństwo, Ojciec

Dzieciństwo, Szkoła,  
Zabawa

skiwala sobie laskę u Boga i ludzi, zwłaszcza gdy cały swój majątek testamentem zapisała kościołom i klasztorom, za co jej księża przyobiecali, że z pewnością pójdzie wprost do nieba. Brat nie mógł temu przeszkodzić. Syn jego i trzy córki były i bez spadku po ciotce dostatecznie zaopatrzone — rodzice posiadali kwitnące, obszerne dobra. A gdy ich matka przedwcześnie umarła, zastąpiła ją ciotka Anna i tak się dziećmi zaopiekowała, że również i bez brzęczących dowodów miłości zachować ją miano po najdłuższym życiu w dobrej pamięci.

Jednak dzieci, mimo że bały się ojca, nie słuchały go ślepo i wcale nie unikały w szkole w Meranie Andrzeja i jego siostry. Mając łagodne, pogodne usposobienie, Marysia zbliżała się do nich zupełnie swobodnie, jak w ogóle do każdego, kto był dla niej uprzejmy; Andrzej mniej był przystępny, jednak dosyć się z nimi zgadzał, gdyż wiedział, że matka chrzestna, ciotka Anna, tylko ze względu na jego matkę tak mało się o niego troszczy. Był to zresztą cichy, zamyślony chłopak, najchętniej niewdający się z nikim w zbytnią zażyłość; od wczesnej młodości przejawiał dziwną zazdrość wobec wszystkich, którzy się zbliżali do siostry. Najmilej mu było w niedzielę, gdy hen, w górze, bez obcych dzieci przez cały dzień pozostawali razem, a mała dla nikogo się nie stroiła, jak tylko dla niego jednego. Urządzili sobie pod wystającą skałą, pokrytą gęsto bluszczem, schronisko z wieloma pilnie strzeżonymi, a tylko przez jaszczurki nawiedzanymi, schowkami. Latem, gdy winorośle sięgały do stóp ich schroniska, siedzieli tam całymi dniami, a dziewczynka niżała niezmordowanie ostrą szpilką błyszczące, żółte ziarna kukurydziane na długie nici, z czego powstawały przepiękne sznury. Gdy łańcuszki były gotowe, brat przyklękał przed Marysią i zdobił jej czoło, szyję, ramiona w kunsztownie wijące się pierścienie. Przy tym wyobrażnia ich ulatywała w wyśnzione krainy, a dziewczynka odczuwała tajemną rozkosz, że jest przedmiotem podziwu i uwielbienia. Zdało się jej, jakoby odbłask świętości opromieniał jej naiwną główkę. Chłopak był jeszcze uroczystszy; biada temu, kto by w tej chwili nadszedł i przeszkodził mu w jego hołdach. Miał też za złe siostrze, jeśli nagle zaczynała się śmiać i z przekory czy nudów rozrywała żółte łańcuszki, a ziarenka staczały się szybko z góry.

Przez pierwsze lata matka nie przeszkadzała im w samotnych zabawach i znikaniu w kryjówkach i schowkach. Lecz gdy Andrzej stawał się starszy i z coraz silniejszym wyrzutem w twarzy i ostrym wzrokiem spotykał przejawy nienawiści matki, starała się go wobec dziewczynki zozydzić różnymi podejrzeniami i złymi słowami, korzystała z widoczną satysfakcją z każdej sposobności, by dzieci poróżnić. Skłoniła nawet męża, by nieużytego chłopca, niemającego ochoty do pracy, oddać do „księdza z dwunastówki”; niech się tam uczy i zostanie księdzem. Więc Andrzej opuścił dom matki. Był bardzo cichy i smutny przy pożegnaniu z małą, która się śmiała i nie rozumiała, co to rozłąka. Wikary mieszkał w Meranie przy ulicy otoczonej dwoma rzędami kamiennych arkad, poprzez które słońce nie ma przystępu. Wąskie domy z ciasnymi podwórkami i ponurymi schodami są prastare i przeważnie brudne, do suterren przylegają od północy dalekie winnice, sięgające aż do podnóży Küchelbergu, od południa roztacza się widok na mury miejskie. Tu są jaśniejsze izby, a z okien wzrok sięga poprzez mur i rzekę w dolinę Adygi. Skromna kwatera wikarego położona była w tej stronie. Lecz chłopcu, przyzwyczajonemu do rześkiego powietrza w górach, wydała się jakby więzieniem. Chętnie zamieniłby swą słoneczną izdebkę na poddaszu na ciemne okienko od strony północnej, z którego mógłby spoglądać na górę i małą skalną jaskinię tam ponad ostatnimi winoroślami, miejsce swych zabaw dziecięcych. Stał się jeszcze bardziej milczący mimo łagodności swego nauczyciela. Nauka mu obrzydła, jadł mało, nie mógł sypiać, w ciągu czterech tygodni przybladł i zmizerniał. Pewnego dnia stanął przed nauczycielem i powiedział, że umrze, jeśli będzie dłużej w mieście. Nigdy nie wymieniał imienia swej siostry. Ale litościwy opiekun zrozumiał od razu, że trawi go nieposkromiona tęsknota za siostrą, więc podjął się przekonać matkę o konieczności powrotu do domu. Stara pomstowała, nie chcąc ani słyszeć o tym. Jednak z wieczora chłopak zapukał do drzwi chaty; po burzliwej scenie, zakończonej znowu nerwowym atakiem dziewczynki, matka zgodziła się wreszcie na powrót syna, ale pod warunkiem, że będzie spełniał roboty parobka, a łoże swe miał w kącie szopy za domem.

Mała była bardzo szczęśliwa, że go znowu ma przy sobie; on sam za tę cenę nie unikał żadnych robót i nie lękał się niedostatku. Wykonywał wszystko, co mu ojczym

Rozstanie, Ksiądz, Smutek,  
Miasto



zlecał, pracował w winnicy, chętnie szedł z posyłkami, a matkę widywał tylko przy jedzeniu; nigdy ani słowa do siebie nie przemówili. Ponieważ nie otrzymywał pieniędzy i miał marne ubranie, stronił od chłopców swego wieku, szynków, kręgielni. W święta przesiadywał jak ongi z siostrą, a mimo że oboje podrośli, on był silnym młodzieńcem, zaś ona przedmiotem pożądlivych spojrzeń i zalecanek niejednego chłopca — obcowali ze sobą jak dzieci, rozmawiali swobodnie i niewymuszenie. Ona ze wszech sił starała się ulżyć mu w ciężkim życiu, przynosiła najlepsze kęski, które otrzymywała od matki lub kupowała w mieście. Nigdy nie chciał brać matczynych darów, natomiast widoczną radość mu sprawiało, gdy go obdarowała czymś zakupionym. Często po ciężkim dniu pracy, zwłaszcza w czasie zbiorów, zakradała się do niego i siedziała w ciemności obok jego posłania, składającego się z wiązki siana i nędznej derki<sup>330</sup>. Bawiło ją to, gdy w ciemności nie rozpoznawał, kto jest przy nim i na wpół jeszcze śpiący odsuwał jej rękę, bawiącą się jego włosami, jak gdyby odpędzał od siebie mysz polną. Gdy się budził i słyszał jej jasny śmiech, udawał, że śpi dalej, by dłużej z nim figlować. Zawsze ją odprowadzał do kościoła, tu jednak zazdrość zżerała jego serce, gdy zbliżali się do niej chłopcy, zaś ona wcale się przed nimi nie opędzała. Spotykał też tu swą chrestną matkę, ciotkę Annę; chętnie zbliżyłby się do niej, gdyż witała go zawsze dobrym i serdecznym spojrzeniem, lecz zawsze stał, jakby na warcie, Józef Hirzer i groźnym wzrokiem dawał do poznania, że nie życzy sobie żadnego zbliżenia. Toteż witano się z daleka oziębło, choć Marysia często opowiadała bratu, że Różyczka, najmłodsza córka Hirzera, pozostała po zamążpójściu obu swych starszych sióstr sama w domu, niejednokrotnie długo nań spogląda i z pewnością jest w nim zakochana.

Brat, Siostra, Zazdrość

Ilekróć o tym wspomiano lub czyjeś wesele było przedmiotem rozmów, Andrzej popadał w zamyślenie i przerywał dalszą rozmowę. Miał wyraźny wstręt do mówienia o tych sprawach. Nie można było też zgadnąć, czy w ogóle myśli kiedy o założeniu własnego ogniska domowego. Ale z dziwnym wyrazem strachu patrzył w twarz siostry, gdy zajmowała się swą przyszłością i mowa była o możliwości rozstania się.

— Dzieckiem jesteś! — mawiał wtedy. — Wszyscy mężczyźni są źli, małżeństwo to niedola. Zostaniesz ze mną, będę dla ciebie pracował i zapewnię ci życie bez trosk. Po co ci inni? Prędzej rzeka popłynie w górę, zanim się trafi taki, co by był dla ciebie odpowiedni.

Śmiała się wtedy, gdyż jej takie słowa schlebiali. Lekkomysłna z natury, nie skłaniała się też dotychczas poważniej ku żadnemu z zalotników. Zresztą i matka przyczyniała się do tego, by odstraszyć poważniejszych konkurentów. Toteż przez szereg lat w zagrodzie na Küchelbergu żyła ta gromadka ludzi obok siebie i nie zanosilo się na żadne zmiany.

Wreszcie pewnego dnia głowa rodziny uległa wpływowi tej gwiazdy, która już godnym jego przodkom oświetlała drogę do grobu. Umarł na obłęd opilczy<sup>331</sup>. Od tego czasu wszelkie starania wdowy zmierzały do tego, by pozbyć się syna z domu. Darujmy sobie dokładny opis dzikiego zajścia, które jej dopomogło do osiągnięcia tego celu. Rodzeństwo rozstało się; jasna Marysia nie miała odwagi namawiać brata, by się narażał na dalsze znieważania.

Ojciec, Pijaństwo, Śmierć

Rozstanie, Tęsknota,  
Wygnanie, Zazdrość,  
Przecucie, Strach

— Idź! — rzekła. — Tak będzie lepiej. Ja cię nie opuszczę. Wiesz przecież, że ja z nią robię, co tylko zechcę, a gdyby mnie nie puszczala i drzwi zamknęła, wyskoczę oknem i pobiegnę do ciebie.

Dotrzymywała też słowa. Ale nie wystarczyło mu, że w ciągu tygodnia go odwiedzała, nie licząc niedziel, które zawsze ze sobą spędzali. Był przyzwyczajony codziennie, wciąż ją widywać. Ta sama dziecinna tęsknota, która go ongi zmusiła do opuszczenia izdebki u księdza, trawiła go i teraz, gdy po ciężkiej pracy siedział pod gałęzmi drzewa kasztanowego; pędem wybiegał na stromy stok góry, by tylko przed ułożeniem się do snu ujrzeć dach zagrody lub też może jakąś postać, z dala podobną do dziewczyny. Zdarzało się często, zwłaszcza w dni świąteczne, gdy nie przybywała na wyznaczone miejsce spotkania, że pełen żrącej zazdrości warował przy drodze do domu, czy też jej nie wstrzymały jakieś odwiedziny. Gdy przechodził jakiś chłopak, udawał, że śpi, by z wyrazu jego twarzy wyspiegować, czy nie idzie do Marysi. Czuł się przy tym bardzo nieszczęśliwy. Budziły

<sup>330</sup>derka — gruby, zniszczony koc. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>obłęd opilczy a. Zespół Otella, a. obłęd alkoholowy — ostra psychoza, występująca u alkoholików. [przypis edytorski]

się w nim jakieś straszne podejrzenia. Dlaczego nie zezwalał swej siostrze na to, co było wszystkim dziewczętom dozwolone, to jest: swobodnie myśleć i czuć? Ze strachem odpędzał te myśli od siebie, myśli, które coraz natrętniej wracały. Ojciec jej nie był, co prawda, jego ojcem. Ale przecież byli mimo to rodzeństwem!

Często przychodziło mu na myśl, że lepiej by mu się zrobiło na sercu, gdyby sobie poszedł precz. Co mu przeszkadzało? Co wstrzymywało? Wszak tam, na świecie, nie musiałby z większym trudem niż tu przedzierać się przez życie. Kto wie, może by się natknął na ojca... Byłoby najkorzystniej zmienić powietrze. Gdyby tylko się mógł zdobyć na pierwszy krok!

Znowu myśli te tłoczyły się w jego głowie, gdy siedział dziś pod winoroślami obok śpiącej i przyglądał się igraniu promieni słonecznych na jej czole. Atak nerwowy, po którym teraz wypoczywała, przeraził go; widok niewinnego spokoju, w jakim przed nim leżała, pomnażał jego zmieszanie. Silił się na odwagę, by uczynić teraz uroczysty ślub wyrwania się stąd na zawsze. Gdy była obok niego, czuł zawsze wyraźnie, jak konieczne jest, by uciekł. Gdy jednak potem pozostawał sam, wiedział, że to niemożliwe.

Nie dotykał śpiącej; od lat dziecięcych nie odważył się więcej całować jej czerwonych, roześmianych ust. Trwożliwość jednak, z jaką w nią się wpatrywał, była zmieszana z głuchą, namiętą męką; jej oddech, owiewający twarz jego, pobudzał krew do szybszego krążenia.

Zapadał mrok. Śpiąca obudziła się, podniosła głowę i rozejrzała się. Gdy zobaczyła obok siebie brata, uśmiechnęła się serdecznie.

— Jak długo spałam? — zapytała zdziwiona. — Jak to się stało, że się tu położyłam?

— Było gorąco. Teraz idź do domu, Maryś. Ja muszę obejść rejon i przekonać się, czy wszystko w porządku.

Wstała i podała mu rękę.

— Dobranoc, Andrzeju — powiedziała szybko, a w świadomości jej błysło niejasne wspomnienie tego, co zaszło przed zaśnięciem. — Pojutrze niedziela. Przyjdiesz do kościoła?

— Nie, Maryś, wiesz przecież, że muszę tu zostać na posterunku, dopóki się nie skończy okres stróżowania.

— Tak, to prawda — odpowiedziała w zamyśleniu — przyjdę znowu do ciebie. Dobranoc!

Walczył ze sobą, by jej powiedzieć, aby więcej nie przychodziła. Lecz zanim się zdecydował, odeszła. Stał u wylotu ocienionej drożyny i spoglądał, jak wstępowała szybko na strome schodki kamienne. Jej sukienka poruszała się zgrabnie dokoła kolan, za każdym krokiem fałdując się i rozchodząc wachlarzowato. Na zakręcie skinęła ku niemu raz jeszcze ręką. Nie pozdrowił jej; poręcz, o którą się opierał, drżała; długo powstrzymywane westchnienie nie przyniosło mu ulgi, czuł ucisk w piersiach.

W tej chwili usłyszał szybkie kroki z dołu i poznał jednego z kolegów, brodatego, silnego draba, również w strojnym stróżowskim kapeluszu; zamiast halabardy miał w dłoni olbrzymią świerkową pałkę, którą wesoło potrząsał.

— Andrzeju! Co z nocą? Czy mam z tobą czuwać? Miałeś zajście z Włochem, widziałem to. Bądź pewien, że ci tego nie daruje i sprowadzi innych na kark. Patrz, mam tu coś takiego, co pokrzyżuje plany tym zbójom!

Wyciągnął z kieszeni skórzanej kurtki mały pistolet.

— Dziękuję ci, Jasiu — odpowiedział Andrzej. — To tchórz. Sam nie przyjdzie, a jeśli ich będzie chmara, to we dwójkę nie damy rady. Dam ci wtedy znak, a ty zawiadomisz naszych, żeby się mieli na baczności. To zaś — wskazał na kieszonkowy pistolet — zostaw w spokoju. W ciemności jest nieprzydatny. Gdy kogo z nich schwytały, uczciwa porcja kijów przyda się więcej niż dziura w ciebie, która potem będzie świadczyła przeciw nam w sądzie.

— Jak chcesz. To na wszelki wypadek. Chciałbym, by przyszli. Mam z nimi na pieńku, a Kuba też jest rozwścieczony na tych łotrów. Raz wreszcie musimy się z nimi rozprawić.

Andrzej milczał, brodacze poszedł sobie... Wszyscy znali bowiem Andrzeja jako dziwaka i samotnika i nie narzucali mu się.

Słońce zaszło już za górami, lecz noc nie zawładnęła jeszcze światem całkowicie. Sply-

Erotyzm

Konflikt wewnętrzny

Broń

Góry, Natura

wając poprzez pasma górskie, docierała jeszcze jasność dzienna, nad rzeką unosiły się niebieskawe opary, gdzieniegdzie przetykane smugą słoneczną, zakradającą się w doliny spoza ścian górskich. Pasterze spędzali w dole na łąkach swe trzody, a wszystkie drogi ku wsiom pełne były krów, które przez dzień pasły się nad strumieniami. Od południa Góry Trentyńskie<sup>332</sup> i śmiało w niebo wystrzelający szczyt góry Mendel<sup>333</sup> zasnuły były wilgotną mgłą. Potem ukazała się wąska smuga księżycy, który, rzuciwszy niepewne spojrzenie w cichą głębię, znikł wkrótce w ciężkiej wilgoci, leniwie posuwającej się nad górami. Przebrzmiały ostatnie szmery w mieście, ostatnie głosy dzwonów na wieżach. Huczały tylko chyże<sup>334</sup> wody górskie, z dala szemrał wiatr południowy, unosił kurz na drogach i szeleścił w zeschniętym zeszłorocznym listowiu. Około jedenastej i te szmery zamilkły, dokoła rozpostarła się nieruchoma, czarna noc, bezgwiezdna, bezgłówna, wilgotna a ciepła...

W takie noce dozorczy w winnicach czuwają bez chwili snu. Wiedzą dlaczego. Gdyż w takie bezksiężycowe noce najłatwiej wdrzeć się w winnicę i wyrządzić wielką szkodę.

Pod szopą krytą liśćmi kukurydzianymi siedział Andrzej, pykał z małej fajeczki i często sięgał w ciemności do dzbanka, który z nastaniem mroku mu przyniesiono. Ciężkie krople deszczu, kapiące poprzez liściasty dach, nie przeszkadzały mu i nie raziły. Wytężał słuch w stronę miasta, a gdy wybiła jedenasta godzina, podniósł się cicho i zakradł ku miejscu obok drogi, gdzie w wylocie skalnym, zakrytym wielkimi liśćmi dyni, miał wyborny punkt obserwacyjny. Tu przysiadł za kamieniami, oparł wygodnie halabardę, by ją mieć stale pod ręką, i zapalił fajeczkę. Czuł się teraz o wiele spokojniejszy niż za dnia. Rad był, że jego wewnętrzny niepokój znajdzie ujście w niebezpiecznym spotkaniu. Był bowiem pewien, że żołnierz zechce się tej nocy zemścić.

Lecz wróg nie kwapił się; widocznie zamierzał uspić jego czujność. Z wieży doleciały już dźwięki dwunastu uderzeń, północ minęła, a na drodze nic się nie ruszyło. Jeden z dozorców, stróżujących w pobliskiej posiadłości, dotarł w swym ronczie<sup>335</sup> do Andrzeja.

— Dziś nie przyjdą — szepnął. — Idę w górę do chaty. Gdy się coś zdarzy, zagwizdaj.

— Dobranoc! — mruknął Andrzej.

Był kontent, że tamten sobie poszedł. Najchętniej sam jeden rozprawiłby się z Włochem.

Znów upłynęło pół godziny. Nagle począł nasłuchiwać...

Niedaleko, tam gdzie sadyba<sup>336</sup> chłopska opierała się o górę, między winnicami, rozległ się gwałtowny ryk i wkrótce wśród łomotu trzaskających desek oparkania<sup>337</sup> potoczyła się ciemna masa, niepodobna do ludzkiego tworzywa. Andrzej podskoczył, serce mu biło, zrobił znak krzyża. Stał nad wyrwą w murze, ujął silnie w dłoń halabardę i starał się wzrokiem przebić ciemności, ściągające się nad miejscem, z którego dolatywał hałas. Ryk zbliżał się, zdawało mu się, jakby ku niemu przewalało się postrzelone dzikie zwierzę, szukając w swej wściekłości myśliwego. I oto teraz dopadło muru, kamienie potoczyły się po krzewach nad murem; zagadkowe cielsko trzasnęło z taką siłą o ziemię, że mur, do którego Andrzej był przyparty, zatrzęsł się.

Zapanowała nagle cisza, tylko głuche jęki dolatywały z miejsca, w którym legła czarna masa. Andrzej nie miał więcej żadnych wątpliwości, że leży tam jedna z krów sąsiada, którego stajnia graniczyła z winnicą. Obudziły się w nim straszne podejrzenia. Gwizdnął, pobiegł po schodkach w dół i dopadł drogi.

Zwierzę leżało na skraju drogi, wciśnięte w kamienie, biło nogami i ryło rogami ziemię. Lecz widocznie ból, który je wprzód pędził w dal, ustąpił, czasem tylko głucho ryknęło, jakby chciało wołać o pomoc.

Z różnych stron podeszło obecnie kilku chłopaków i poczęło krowę podnosić i stawiać na nogi. Andrzej milczał, tylko uważnie szukał czegoś na ziemi. Ostrzem halabardy podniósł coś tłące się.

<sup>332</sup>*Góry Trentyńskie* — część Alp, położona we Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Trydent. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>*Mendel* a. *Mendola* — góra we włoskich Alpach, w regionie Trydent-Górna Adyga, w prowincji Trydent. [przypis edytorski]

<sup>334</sup>*chyży* (daw.) — szybki. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>*ront* (daw.) — obchód terenu. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>*sadyba* (daw.) — siedziba, osiedle. [przypis edytorski]

<sup>337</sup>*oparkanie* — ogrodzenie, parkan. [przypis edytorski]

— Tak jest! Od razu sobie pomyślałem. Nosem wyczułem, gdy tu podszedłem. To jeden z ich łotrowskich kawałów. Patrzcie!

Pokazał im kawał lontu, tłący się jeszcze mimo wilgoci.

— Łajdaki! Wsadzili go do ucha niewinnego bydlęcia. Gdyby krowa nie była tu runęła, lont przepaliłby jej łeb do mózgu i bydlę poszłoby na marne. Padając, krowa wytrząsnęła z siebie lont. Chłop ma szczęście. Ale gdybym tu miał łotra, Boże święty!...

Jaś odwiódł kurek<sup>338</sup> swego pistoletu.

— Pójdiesz ze mną, Andrzej?

— Nie. Zostaw w spokoju ten kawał żelaza. Postawcie krowę na nogi i zabierzcie ją do obory. Sam pójdę.

Skoczył wielkimi krokami poprzez brzozy na łąkę. Żądza walki oładnęła nim i ostrzyła zmysły. Deszcz padał teraz silnie, wiatr szumiał. Mimo to Andrzej, zbliżywszy się do bramy miejskiej, usłyszał kroki w oddali i ujrzał przed sobą dwie uciekające postaci, w których po białych kurtkach poznał swych znienawidzonych wrogów. Jeszcze sto kroków, a dopadną murów miasta. Lecz poruszali się widocznie bardzo powoli. Jeden z nich — a można było już dokładnie rozemnać — kulał, oparty o ramię swego towarzysza. Widocznie bydlę broniło się rogami. Szli, rozmawiając o swym bezecnym czynie, kulejący śmiał się głosem, w którym mściciel poznał żołnierza, spacerującego rankiem poprzedniego dnia z Marysią. Lecz śmiech ten nagle zamienił się w okrzyk przerażenia. Rażony pchnięciem halabardy, żołnierz padł na kolana i wykrztusił jedno tylko słowo: *pardon*<sup>339</sup>. Nowy cios zwałił go na ziemię. Towarzysza, szykującego się do pomocy, chwyciły dwa stalowe ramiona i poczęło się w ciemności straszne mocowanie; żaden nie rzekł ani słowa; zgrzytały tylko zęby obu wrogów; oczy ich wpatrywały się w siebie z nietajoną wściekłością. Wtem udało się żołnierzowi wypchnąć swego wroga na krawędź fosy przydrożnej: Andrzej pośliznął się i wpadł w rów. Gdy się po chwili podniósł, żołnierz zdołał już zbiec; przystąpił tedy do drugiego, leżącego nieruchomo; potrząsnął nim i chciał podnieść; bezskutecznie; nie dawał znaku życia.

— Umarł! — powiedział Andrzej głośno.

Na dźwięk własnego głosu wstrząsnął się. Nagle uprzytomnił sobie własne, nędzne życie. Sumienie jego nie było wcale tym poruszone, że zabił człowieka, który nocną porą jak rabuś zakradł się do cudzej własności, za co go spotkała słuszna kara. Gdyby tak przed nim leżał ten drugi żołnierz, nieznanemu mu zupełnie, z rozbitym łbem, w kałuży krwi — nie byłby się tym zbytnio przejął. Boć to był ten, którego znienawidził, gdyż Marysia była dlań uprzejma, Marysia, siostra jego!... Teraz nagle po raz pierwszy z nieubłaganą jasnością uświadomił sobie swój przekłety los. Przez cały dzień i pół nocy czatował z myślą o krwi i zemście. Czy chodziło mu o zemstę za kradzież winogron i męki zadane bydlęciu? Miał pomścić inne przestępstwo: ten człowiek ośmielił się wdać z dziewczyną... Marysia śmiała się, gdy do niej mówił... Marysia broniła go przed gniewem brata... To musiał odpokutować, dlatego jedynie leżał teraz w kałuży krwi, zaś nad nim stał nie stróż prawa, lecz morderca, potępiony przez własne sumienie.

Właśnie nadszedł Jaś i kroki jego przerwały ponure rozmyślenia Andrzeja. Nie rzekł ani słowa. Gestami dał swemu towarzyszowi do poznania, że należy trupa podnieść i zanieść do klasztoru kapucynów, znajdującego się tuż pod murami miasta. Dopiero pod bramą klasztorną, gdy ciało złożyli pod progiem, rzekł głucho:

— Pociągnij za dzwonek, Jasiu, i poczekaj, aż otworzą. Możesz im powiedzieć, że ja to zrobiłem. Bóg z tobą! Mnie nigdy już nie ujrzysz!

Odwrócił się i znikł w ciemnej ulicy.

Spieszno mu było bardzo, jednak kroczył powoli, ociężale. Gdy wszedł w ciemne arkady ulicy, wiodącej na plebanię, nie czuł rześkiego deszczu, od którego cały przemókł. Usiadł na kamieniu i oparł głowę o filar. Tu za dnia przesiadywała starucha, piekąca w piecyku żelaznym kasztany. Ziemia wokół była pokryta lupinami, trzeszczącymi pod podkutymi butami Andrzeja. Jakże często zaspokajał tu głód, gdy mu duma nie pozwalała prosić własną matkę o jedzenie! A tam, kilka domów dalej, był sklep cukiernika, do którego Marysia zanosila zaoszczędzone grosze. Miał teraz wyraźnie przed oczyma wielkie

<sup>338</sup>kurek — tu: część zamka broni palnej. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>pardon (fr.) — przepraszam, łaski, przebac mi. [przypis edytorski]

biskoptowe serce, pierwszą łakotkę, którą sobie kupiła. Chciała się z nim podzielić, a gdy odmówił, rzuciła biskopt do rzeki, mimo że miała wielką chętkę zjeść go; płakała, rzucając łakocie do wody. Teraz jeszcze, myśląc o tych dziecinnych łzach, odczuwał triumfującą radość, iż posiadał tyle władzy nad jej serduszkiem. Lecz w tej samej chwili przeraził się własnej radości. Zmieszany, podskoczył z kamienia i począł iść wzdłuż pustych podsieni<sup>340</sup>, aż doszedł do domu, w którym mieszkał wikary. Brama domu była otwarta, sień<sup>341</sup> ze spróchniałymi krętymi schodkami tak ciemna, że groziła każdemu, nieznanemu terenu, runięciem ze schodów i złamaniem karku. Andrzej stąpał cicho a pewnie, znał każdy stopień i każdy zakręt. Nietoperze zafurkotały, gdy dostał się na poddasze, na którym znajdowała się kwatery księdza. Przystanął pod drzwiami i nasłuchiwał, czy nie usłyszy oddychania śpiącego. Potem zdecydował się wejść.

Izba była pusta; również i w sąsiedniej komórce, w której ongi sam mieszkał, nie było nikogo. Ogarnęło go uczucie, że teraz przez wszystkich jest opuszczony, przez Boga i ludzi; siadł na łóżku i począł rozmyślać o przeszłości, o latach, które minęły...

Wielki kocur, domownik wikarego, zakradł się cicho do łóżka, poznał swego dawnego przyjaciela i począł ocierać swój miękki grzbiet o jego piersi. Andrzejowi potoczyły się łzy z oczu; zanurzył twarz w jedwabistą sierść swego starego ulubieńca. To mu sprawiło ulgę. Podniósł się potem i po omacku zszedł ze schodów. Właśnie wybiła pierwsza godzina. Musiał się spieszyć, jeśli miał wykonać to, co przedsięwziął.

Skierował się w stronę zamku, w którym mieszkał Hirzer. Wikary był tam bardzo chętnie widziany; może przeciągnęły się zbyt jego budujące dyskusje z ciotką Anną lub zasiedział się przy winie i pozostał na noc. Przeszedł więc znowu przez ulicę, ocienioną arkadami, przekradł się przez bramę miejską i wszedł na kamienną kładkę na rzece. Deszcz przestał padać, chmury zniknęły, z północnego wschodu powiał wiatr i wypogodził kawał nieba, tak że słaba poświata księżycy padała na fale, pieniające się i huczące w skalnym parowie. Oto po lewej stronie góra, kwadrans drogi, a mógłby dojrzeć okna, za którymi śpi siostra... A tu... kamienny parapet... ostatnia modlitwa i szybki skok... byłby wyzwolony z ziemskich mąk. Lecz jakby pędzony lękiem przed obiema pokusami, przyspieszył kroku, niemal biegł po kamiennych płytach mostu i otarł sobie pot z czoła, gdy wstąpił na stok góry.

Dozorcy w winnicach wołali nań, gdy przechodził po drożynach, pnących się w górę. Machał im ręką w odpowiedzi. Coraz niecierpliwiej spoglądał wwyż, ku zamkowi, czarnej, nieforemnej masie kamieni, w której szumiały wierzchołki drzew kasztanowych i dokoła której płynęły bystre potoki w nizinę. Tą drogą nie szedł Andrzej od siódmego roku swego życia, gdy raz jeden odwiedził dzieci Hirzera, zaś w głębi duszy pragnął ujrzeć swoją cichą, bladą matkę chrestną, ciotkę Annę. Wówczas chłop skrzyczał go ostrymi słowami i zakazał się pokazywać kiedykolwiek na oczy. Odszedł oburzony i żadna siła nie byłaby go skłoniła, by przestąpił próg tego złego człowieka. Lecz w swym obecnym utrapieniu zapomniał o dawnym gniewie.

Gdy się znalazł na górze, po męczącym błędzeniu w skałach, uczył wielkie zakłopotanie, gdyż nie znał rozkładu olbrzymiego zamczyska. Przystanął na chwilę bezradnie pod sklepioną bramą, wiodącą do wewnętrznego podwórza. Ujrzał wąskie drewniane schodki, przylepione pod gołym niebem do zmurszałych murów, a prowadzące do sal jeszcze zamieszkałych. Lecz gdyby obudził wrogię sobie chłopca, a nie zastał wikarego — co powie, by usprawiedliwić nocne odwiedziny? W głowie miał taką pustkę, iż z trudem o tym wszystkim myślał. Już zamierzał pójść, nie dotarwszy do celu, gdy rozległo się szczekanie psa, uwiązanego na łańcuchu we wgłębieniu muru.

Stary ten wartownik z biegiem lat stał się zbyt leniwy, by się ruszyć z miejsca, lecz w lekkim swym śnie słyszał każde stąpienie obcych nóg.

Natychmiast u wylotu drewnianych schodów otwarły się drzwi i pojawiła się kobieca postać. Andrzej słyszał, jak uspokajała psa słowami, które mogły być zwrócone i do człowieka. — Cichaj! — mówiła — masz na stare lata niespokojne sny, nie dajesz spać ciotce Annie...

— Różycko! — zawołał Andrzej.

<sup>340</sup> podsieni a. podcień — pomieszczenia w dolnej części budynku, otwarte na zewnątrz. [przypis edytorski]

<sup>341</sup> sieni — pomieszczenie prowadzące do wnętrza domu. [przypis edytorski]

Dziewczyna zdrygnęła się i cofnęła ku drzwiom. Przez chwilę nasłuchiwała. Gdy po raz wtóry usłyszała swe imię, postąpiła kilka kroków i nachyliła się nad poręczą schodów.

— Kto tam w dole? — zawołała drżącym głosem. — To ty, Andrzeju?

— Ja. Czy wikary jest w domu?

Jakby nie dosłyszawszy pytania, pobiegła z powrotem do domu. Andrzej stał na miejscu, srodze się niecierpliwiąc. Wołał jej imię głośno, aż rozbrzmiewało echem w zawiasach zamkowych. Wreszcie wyszła z powrotem; zarzuciła na siebie chustkę; szybko zbiegła po stromych schodach.

— Andrzeju! Czy to możliwe? — szeptała. — Czego szukasz tu o tej porze? Czy co zaszło? A może Marysia albo...

— Szukam wikarego — przerwał. — Powiedz, czy jest tu lub gdzie go mogę zastać.

— Jest tu — odpowiedziała szybko. — Chodź! Zaprowadzę cię do niego, ojciec śpi mocno, nikt prócz ciotki nie dowie się.

— I ona też nie! Nie mam wiele czasu. Dobrze, żeś się zjawiła. Chciałem właśnie wracać.

Wyszli po schodach. Pies skomlał, lecz nie przeszkadzał w wejściu do domu.

— Śniłam o tobie, właśnie zanim przyszedłeś — rzekła dziewczyna, zapalając w kuchni lampkę. — Był to straszny sen. Leżałeś martwy na brzegu. Wyciągnęli cię z rzeki i usiłowali przywrócić do życia... Stałam obok i powtarzałam wciąż: „Dajcie mu spokój, to wszystko nie pomoże!”. Mróz szedł przez moje ciało i lękałam się własnego głosu, a jednak musiałam wciąż powtarzać: „To wszystko nie pomoże, on jest nieżywy...”. Wtem pies zaszczekał i oto stoisz żywy przede mną, Andrzeju, chwała Bogu!

— Sen może się sprawdzić — mruknął przez zęby, zaś głośno dodał: — Żyję jeszcze, Rózo, ale muszę stąd pójść, wkrótce się dowiesz, dlaczego. Tej nocy jeszcze muszę pójść, po rozmowie z księdzem.

Dziewczyna upuściła z rąk lampkę, oliwa polala się na ziemię. Jej delikatna, blada twarz zaróżowiła się, piękne piwne oczy patrzyły z przestachem, jakby zobaczyła upiora.

— Chcesz pójść precz? Czy to możliwe, Andrzeju? Opuścisz Marysię i nas wszystkich? A kiedy wrócisz? Co się stało? Czy matka znowu...

— Milcz o matce! — przerwał szybko. — Nie pytaj, wszystko się wyjawia. A teraz powiedz, gdzie ksiądz śpi. Nie mam ani chwili do stracenia.

Podniosła z podłogi lampkę i szła przodem przez korytarz, z którego białe tynkowane ściany spoglądały na nich prastare brązowe figury świętych. Wąskie kamienne schody prowadziły do górnych pięter; wszędy dolatywał zapach pięknych, dojrzałych jabłek, leżących w kącie korytarza. Stary zegar ścienny tykał twardo długim wahadłem, myszy umykały do swych dziur, spłoszone zbliżającymi się krokami.

— Tu! — powiedziała dziewczyna, wskazując na wielkie staroświeckie drzwi. Dała mu do ręki lampkę i zatrzymała się pod drzwiami, czekając, aż wejdzie. Przez chwilę brała ją pokusa, by przyłożyć ucho do dziurki od klucza. Potem potrząsnęła smutnie głową i wróciła do pustej kuchni, by tu czekać, aż powróci.

On zaś stał czas jakiś w olbrzymiej sali, wyłożonej ciemnymi drewnianymi płytkami, do której przylegała niza<sup>342</sup> z łóżkiem wikarego. Nie mógł się zdecydować na obudzenie pogrążonego w spokojnym śnie. Po raz pierwszy uczył, że drogi jego nauczyciel i duchowy opiekun nie ma tej władzy, by uśmierzyć burzę, szalejącą w jego duszy. Sprowadziła go tu żądza schronienia się ze swym ciężko grzechami objuczonym sumieniem do pewnego portu, za jaki uważał rozum i serce księdza. Lecz spokój, rozpostarty na tej cicho oddychającej, lekko zaróżowionej twarzy, zaniepokoił go. Po cóż wyznawać swą nędzę i biedę, i ból, jeśli nikt nie może dopomóc?

Zabierał się już do wyjścia z sali tak cicho, jak niepostrzeżenie wszedł, gdy śpiący, widocznie pod wpływem blasku lampki, poruszył się na łóżku i przez sen, z zamkniętymi oczyma, mówił:

— Tegoroczne wino będzie dobre, ale zeszłoroczne było lepsze. Pilnuj uważnie, Andrzeju...

Sen

Ksiądz, Nauczyciel, Grzech,  
Wina

<sup>342</sup>niza (daw.) — nisza. [przypis edytorski]

— Przewielebny księżę — powiedział chłopak podniesionym głosem — to ja tu jestem, proszę o wybaczenie, że przeszkodziłem we śnie. Ale nie chciałbym pójść w świat, nie pożegnawszy się z księdzem.

Ksiądz, przerażony, podskoczył i patrzył rozwartymi oczyma na nocnego gościa.

— Na rany boskie! — zawołał — Co się stało? Andrzeju... czy to ty naprawdę, tu na górze, na zamku Goyen, o tej porze, z twarzą raczej podobną do trupa niż do żyjącej istoty?

— Tak jest, księżę, podobnym do trupa. Muszę uciekać jak Kain<sup>343</sup>, zabiłem człowieka, nie ma dla mnie więcej spokoju na ziemi.

— Andrzeju! — krzyknął przerażony ksiądz — Ty za...

Słowo zamarło mu na ustach; siedział, drżąc, na łóżku, ręce mu opadły na czerwoną koldrę.

Andrzej począł krótkimi słowami opowiadać dzieje ostatniego dnia i nocy. O siostrze nie wspominał ani słowem.

Zakończył tym, że na razie zamierza schronić się do klasztoru i prosi księdza o list polecający, by go nie odprawiono z kwitkiem, gdy bez żadnych dokumentów zapuka do furty. Potem zamilkł i czekał niecierpliwie, co na to odpowie jego opiekun duchowny.

Lecz ten patrzył przed się, pogrążony w myślach.

— To niedobry sposób, synu — powiedział wreszcie, a twarz jego przybrała wyraz troski. — Sądy zażądają wydania ciebie, a że nie masz święceń, więc cię z pewnością tu sprowadzą. Ale cóż mogliby ci złego zrobić, gdybyś wcale teraz nie uciekał? Nie ty przecież byłeś stroną atakującą, uderzyłeś w ciemności; biedna dusza ohydneho zbója nie może cię nawet oskarżyć przed tronem Boga. Pójdiesz więc spokojnie do władz, zrobisz doniesienie i będziesz oczekiwał wyroku sądowego. Pomyśl, gdybyś uciekł z kraju, co by rozpoczęła twa siostra, która żadnej podpory nie będzie miała, gdy matka oczy zamknie.

Zar buchnął chłopcu do twarzy; odwrócił głowę.

— Nie, nie zmienię postanowienia — powiedział głucho. — Zostać tu, tłumaczyć się, ponieść karę, być przedmiotem litości! Raczej od razu do piekła... Boże, wybacz grzeszne słowa! Jeśli, przewielebny ojczy, nie raczycie mi dopomóc, powiem: z Bogiem; i pójdę swoją drogą!... Jest coś — począł, ociągając się — nie mogę księdzu powiedzieć... co mnie stąd wypędza... zdaje mi się, że udusiłbym się, gdybym dłużej żył między tymi górami... A gdyby nawet wobec władz wszystko dobrze poszło, nie pozostałbym tu, poszedłbym i tak do klasztoru, gdyż Pan Bóg zakazał kłaść kres własnemu życiu, co zresztą najchętniej zrobiłbym. Ale przecież dokądś muszę pójść, gdzie bym był dla wszystkich jak umarły i pogrzebany i też sam zapomniał, że są jeszcze ludzie na świecie.

Ksiądz zmarszczył czoło, ściągnął ku górze brwi i pokiwał głową.

— Cóż to za tajemnicze sekreta? Nawet swemu spowiednikowi ich nie wyznasz?

— Tak jest, powiem — rzekł Andrzej, czerwieniąc się coraz bardziej — ale dopiero, gdy będę w klasztorze. I dlatego błagam usilnie, księżę, dopomóż mi do odzyskania spokoju i nie odprawiaj mnie bez listu polecającego.

— Niech i tak będzie, biedny synu — rzekł ksiądz litościwie. — Onga czyniłeś wcale dobre postępy w studiach duchownych, a z łaciny coś przecież zostało w twojej pamięci. Polecę cię ojcu Benedyktowi (wymienił nazwę jednego z klasztorów kapucynów, położonego wysoko w górach i z powodu ostrości klimatu mało odwiedzanego). Pokłoń mu się ode mnie; jutro pošlę za tobą list, który wyjaśni mu twoje położenie. A teraz polecam cię świętej opiece Jezusa Pana i łask pełnej Matki Jego, zasię gdyby ci serce kazało, Andrzeju, zbądź się twych tajemnych bólów i mąk, wiesz, że mi możesz napisać i że zawsze u mnie znajdziesz chętny posłuch i współczucie. Bóg z tobą, synu!

Z widocznym wzruszeniem podał mu rękę, którą młodzieniec unosił do swych warg. Andrzej uczuł nagle wielką ulgę w sercu i powoli zamknął za sobą drzwi.

Chociaż posuwał się z wielką ostrożnością i cicho wzdłuż sklepionego korytarza i kamiennych schodów — nie chciał bowiem spotkać starego Hirzera — na dole wysłuchiwały przecież każdego jego kroku dwa bijące serca; wąska, biała ręka otworzyła drzwi izby, znajdującej się obok kuchni i przedwcześnie postarzała twarz śledziła blask światła, padającego z wąskich schodów. Ciotkę Annę przebudziły szmery w kuchni i wezwała do

Rozum

Tajemnica

Spotkanie

<sup>343</sup>Kain (rel.) — bohater biblijny, syn Adama i Ewy; zabił młodszego brata, Abła. [przypis edytorski]

siebie dziewczynę.

— Nie chce nikogo widzieć prócz księdza — powiedziała Róża.

— Muszę się z nim zobaczyć — brzmiała cicha, ale stanowcza odpowiedź.

Ciotka szybko się ubrała i, nie mówiąc więcej ani słowa, usiadła na krześle przy łóżku i czekała, aż nocny gość zejdzie ze schodów. W ciasnej izdebce nie było innego światła prócz słabego odbłasku księżyca, przenikającego przez małe szybki. Krucyfiks nad łóżkiem, klęcznik w kącie, skromne mebelki, przystające do ścian, wszystko to wionęło melancholijną tajemniczością, rozpościerającą się dokoła staropanieństwa, dokoła rezygnacji z wszelkich nadziei i radości życia. Ta izdebka widziała wiele łez i słyszała wiele wyszeptanych modlitw. Róża ujrzała i teraz, że ciche wargi ciotki poruszają się, i nie śmiała przerywać pobożnych myśli.

Wtem zabrzmiały na górze kroki; ciotka powstała z krzesła i podeszła do drzwi.

— Andrzeju! — zawołała w sien.

Młodzieniec przystanął na schodach niezdecydowany. Chciał bez dalszej przeszkody ruszyć w drogę, a jednak nie mógł przejść mimo, tym bardziej że nie miał więcej w życiu ujrzeć tych cichych, pełnych miłości oczu...

— Nie śpisz, matko chrzestna? — powiedział wreszcie. — Prosiłem przecież Różę...

— Sama się obudziłam. Wejdźże, Andrzeju — ujęła go za ramię i wprowadziła do izdebki. — A teraz powiedz mi, co zamierzasz, co zaszło, że o tej porze tu przybyłeś. Wszak jesteś dozorcą w winnicy, jakże mogłeś opuścić swój posterunek?

Trzymała go za rękę i mówiła prędko, jakby chciała swe wewnętrzne obawy jak najszybciej ukoić jego odpowiedzią.

Spoglądał ponuro na podłogę i zastanawiał się, ile ze swych tajemnic może jej zdradzić. Od lat wielu nie zamienił z nią słowa, lecz wiele o niej przemyślał i niejednokrotnie z utęsknieniem wyobrażał sobie, jakby to dobrze było spotkać ją kiedy samą i tak wprost od serca powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak mu źle z tym, że musi jej unikać. I teraz czuł też, że jeśli jest na świecie człowiek, któremu by mógł powierzyć swe tajemne bóle, to tym człowiekiem jest tylko ona! Ale Róża stała u okna, czas naglił, a zresztą... cóż by to pomogło? Również i ta świątobliwa osoba nie posiadała takiej władzy, która by mu przywróciła spokój duszy.

— Matko chrzestna! — rzekł — ksiądz wikary jutro ci opowie, dlaczego muszę opuścić te okolice. Od urodzenia byłem nieszczęśliwym człowiekiem, bez ojca i matki. Najlepiej, gdy umrę dla świata, zanim się stanę złym człowiekiem. Dlatego też chcę pójść do klasztoru; cieszę się, że cię przedtem mogłem jeszcze zobaczyć. Bo zawsze czułem dla ciebie miłość i szacunek; Bóg wie, że byłoby lepiej ze mną, gdybym był mógł częściej cię widzieć i mówić z tobą. Gdyż jedynie przy tobie było mi dobrze na duszy i spokojnie jak nigdzie na świecie. Dziękuję ci, matko, żeś mnie wtedy, gdym był bezradnym dzieckiem, trzymała do chrztu, i proszę cię, abyś się i w przyszłości modliła, by się Pan Bóg nade mną ulitował. Bo, zaprawdę, trzeba mi tego.

Uściskał jej ręce i chciał opuścić izbę. Lecz stara zatrzymała go.

— Do klasztoru? Nigdy cię nie ujrzę? Muszę wszystko wiedzieć, Andrzeju! Wyjdź, Różo. Przynies szklankę wina, jest bładny i zimny jak śmierć. Na rany boskie, co się stało?

— Nie wysyłaj Róży, matko chrzestna! — rzekł ze strachem w głosie; czuł bowiem, że gdyby z nią został sam, zwabiłaby mu na język wszystko, co miał ukryte w głębi serca; taki bowiem wpływ wywierała jej łagodny głos i jej boleściwie spoglądające oczy.

— Nie gniewaj się, matko chrzestna, nie możesz niczego zmienić, a gdy kiedyś pomyszę, że moimi zgrzyotami również i ciebie zmartwiłem, będę się czuł tym bardziej nieszczęśliwy. Jeśli mi chcesz wyświadczyć łaskę, to złóż mi ręce na głowę i pobłogosław mnie, bo żegnamy się na wieki.

Przyklęknął, a ona uczyniła, o co prosił. Podniosła go potem, a gdy ze łzami w oczach spojrzała w jego bladą twarz, nie mogła się powstrzymać, przycisnęła go do piersi i długo całowała w usta i oczy. Przez czas jakiś stali tak przytuleni do siebie, a w chwili błogości wzajemnego uścisku zapomniła stara panna o tym, co przyszłość przynieść miała, zaś młodzieniec o tym, co przeżył w przeszłości.

— Matko chrzestna! — rzekł wreszcie — nigdy nie zapomnę, jaka dobra dla mnie byłaś. Nie zapominaj i ty o mnie. Koguty wkrótce poczną pisać. Czas już, bym poszedł.

Błogosławieństwo



— Andrzej, moje biedne dziecko! — szepnęła stara i opadła na łóżko, kiedy przekraczał próg. Nagle podniosła się, myśl jakaś błysnęła w jej głowie, zawołała go po imieniu, jakby mu miała jeszcze coś do powiedzenia; potem wzrok jej padł na krucyfiks nad łóżkiem, potrząsnęła smutnie głową i ociężałym krokiem poszła ku oknu, by poprzez ciemności nocy wypatrywać jego kroków, jego postaci.

— Do klasztoru! — szepnęła. — Miłosierny Boże, bądź wola Twoja...

Na dworze, pod drzwiami domu stała Róża, która przedtem już wykradła się z izdebki.

— Andrzej! — powiedziała, gdy chłopak się do niej zbliżył — jesteś bez kapelusza i kurtki. Wzięłam z rzeczy brata ubranie i czapkę. Jest w Innsbrucku i nie potrzebuje tych rzeczy.

— Dziękuję ci, Różyczko. I ty jesteś dobra, jesteś jak ciotka. Myśl o mnie, gdy mnie nie będzie. Rzeczy ci kiedyś odeślę.

Dziewczyna milczała i walczyła z naporem łez.

— Czy Marysia wie o tym? — rzekła wreszcie.

— Nie. Możesz jej powiedzieć. Pozdrów ją ode mnie po raz ostatni, a potem... dobranoc na zawsze, Różyczko!

Dotknął lekko jej drżącej dłoni i zszedł po drewnianych schodach; przeszedł przez ponure podwórze i znikł w bezgłośnie nocy, rozpościerającej się nad górami i parowami. Powietrze było chłodne i czyste i zwiastowało pogodny, wesoły dzionek.

\*

Wczesnym rankiem ksiądz wracał z zamku do miasta. Obok niego szła Róża; miała ona ciotce Annie przynieść bliższe wiadomości o krwawym zajściu nocnym, zaś Marysia ostatnie pozdrowienie zbiega.

Na dole, w Meranie, wrzało. Lud gromadził się na ulicach i z nietajoną złością mówił o niecznych czynach niekarnego żołdactwa; imię Andrzeja było na ustach wszystkich. Gdzie dojrzano mundur, tam uciszały się rozmowy, lecz twarze stawały się groźniejsze, a dłonie zaciskały się kurczowo.

Wikary szedł z rosnącym niepokojem w duszy. Uspokoił się nieco, gdy dowiedział się u kapucynów, że Włoch żyje; po wielu godzinach nieprzytomności otworzył oczy i usta, zaś lekarz spodziewa się wkrótce przywrócić go do zdrowia. Również i w dowództwie otrzymał pomyślne wiadomości. Panowała tam tendencja zatajenia całej sprawy, o ile by zbieg cicho siedział w klasztorze lub zgoła przywdział habit na stałe. Obiecano stosować ostrzejszą dyscyplinę, by się podobne wykroczenia nie powtórzyły. Towarzysz zbójckiej wyprawy siedział w areszcie, chłop, któremu winnicę częściowo zniszczono, miał otrzymać odszkodowanie. Wszystko zwracało się ku dobremu, toteż zatroskany wikary mógł przesłać ciotce Annie dobre wieści, zaś do klasztoru dwa listy, jeden do swego przyjaciela, przeora, drugi do Andrzeja, w którym odwoływał się do jego sumienia, by nie zwlekał, jeśli przygniata go ciężar grzechu, wypowiadać się listownie przed duchownym opiekunem swej młodości.

List taki nie przyszedł jednak ani w najbliższym czasie, ani też po upływie tygodni i miesięcy. Przeor przysłał uprzejmą odpowiedź, że Andrzej Ingram rzeczywiście przybył do klasztoru i nosi już strój laika<sup>344</sup>, bowiem wielokrotnie już, i to bardzo stanowczo, wyraził życzenie pozostania w klasztorze do śmierci. W późniejszym liście, nadeszłym w Boże Narodzenie, przeor wspominał krótko, że nowicjusz Andrzej zachowuje się ku ogólnemu zadowoleniu, wykonuje swą służbę cicho i skromnie, w godzinach wolnych od pracy studiuje księgi klasztorne, jednak nie daje się namówić do napisania jakiego bądź listu. O tym, czy się wypowiadał z tajemnicy, nie było oczywiście w piśmie przeora ani słowa.

Ciotka Anna, otrzymawszy od wikarego pierwsze wiadomości, zamknęła się na cały dzień w swej izdebce, by bez przeszkód postem i modlitwą ubłagać niebo o łaskę dla swego chrześniaka. Różyczka chodziła po domu z zaczerwienionymi oczyma, a nawet matka, czarna Marysia, zdradzała pewne odruchy uczuć, oskarżając się wobec domowników o złość i surowość wobec biedaka, którego z domu wypędziła. Tylko siostra, która przecież

Ksiądz, List

<sup>344</sup>laik —tu: zakonnik bez święceń. [przypis edytorski]

najwięcej straciła wskutek jego zniknięcia, najmniej przejmowała się jego losem. Utrzymywała, że chce jej się śmiać; gdy sobie wyobrazi Andrzeja w sukni zakonnej, z ogolonym łbem. Nie wierzy też, by rzeczywiście był w klasztorze. Nie ma on wcale usposobienia do samotnego życia, a wszystko to wymyślono po to tylko, by zwieść sąd wojskowy. Siedzi zapewne w górach, poluje na kozice, pije wino i zjawi się pewnego pięknego dnia bez długiej kapucyńskiej brody i w świeckim stroju, w jakim sobie poszedł.

Dopiero gdy w Boże Narodzenie nadszedł list od przeora, zaniepokoiła się. Przez trzy dni ani razu się nie zaśmiała, potem zaś zasiadła, by napisać list do brata, pełen żartobliwych słów, zakończony jednak poważnym upomnieniem, by wkrótce wrócił, gdyż „bardzo go potrzebuje”. Pokazała list Róży, z którą teraz się częściej spotykała; odkąd bowiem Andrzej poszedł do klasztoru, chłop na Goyen nie miał nic przeciw obcowaniu swych dzieci z samotną dziewczyną. Róża przeczytała list w milczeniu. Wydawał się jej niezbyt serdeczny.

— Jeśli na taki list nie wróci — rzekła Marysia — to ma kochankę gdzieś tam w górach.

— Co pleciesz? — odpowiedziała Róża. — Posłaniec z Algundu widział go w sukience zakonnej.

Marysia zbladła.

— Gdyby to było prawdą, zagryzłabym się na śmierć.

Chciała powiedzieć: nikt temu nie jest winien, tylko — matka; lecz nie powiedziała. Usłyszała bowiem w drugiej izbie kaszel i jęki matki, która zimą pośliznęła się na lodzie i odtąd leżała chora. Noc w noc trawiła ją gorączka, wyrывała z niej jakieś dzikie i dziwaczne słowa; na szczęście córka zasypiała i nie słyszała ich. Wikary pilnie przychodził, ciotka Anna była także kilkakrotnie na Küchelbergu, gdy się już miało ku wiosnie, a stan czarnej Marysi coraz bardziej się pogarszał.

Z ciotką przychodził zawsze Franek Hirzer, który już wrócił z Innsbrucku. Podczas gdy obie staruszki były w izbie, rozmawiał przed chałupą z jasną Marysią; stale się śmiała, aczkolwiek mówił zawsze bardzo serio.

— Marysiu — zapytała pewnego dnia Różyczka — czy to prawda, że z Frankiem doszliście do porozumienia? On tak mówi, życzyłabym sobie tego, ale jakoś nie chce mi się wierzyć.

— Dlaczego nie? — powiedziała Marysia i pogładziła sobie z obojętną miną włosy. — Kogoś przecież muszę wreszcie wziąć, a Franek jest taki dobry jak każdy inny. Jednak to jeszcze nie ostatnie słowo, wiesz przecież, Rózo, że nie mogę opuścić matki. Nie spieszo mi też. Jest tak nudno na świecie, odkąd Andrzej poszedł, a gdy Franek przychodzi i powiada mi coś ciekawego, i siedzi na ławce, i patrzy na mnie tak zakochany, iż sobie końca nosa omal nie spali fajeczką, mogę się przynajmniej porządnie uśmieć.

Róża przysłuchiwała się w milczeniu. Nie pojmowała, jak miłość może się komu wydawać tak wesoła.

Nadeszła wiosna, łąki się zazieleniły, kasztany miały nowe pędy, rzeka toczyła olbrzymie wody i huczała pod groblą tak głośno, iż słycać było jej szum w małej osadzie na Küchelbergu, gdzie na łożu czarna Marysia spędzała ostatnie noce, a córka bezsennie czuwała przy umierającej matce. Nie doniosła wcale bratu, że z matką jest tak źle. Wiedziała, że nie przybędzie, a też i matka nie okazywała najmniejszej ochoty ujrzeć go przed śmiercią, choć w gorączce wielokrotnie wspominała jego imię. Ostatnie słowo z jej ust, gdy w burzliwą noc kwietniową kończyła życie, brzmiało: Andrzej...

Drżąc ze strachu, córka pozostała z umarłą matką w izbie. Zamknęła jej oczy, odmówiła kilka pacierzy i wyszła z bijącym sercem w noc wiosenną. Stała sama na górze, spoglądała w daleką dolinę Anizy<sup>345</sup> i czuła się tak biedna i samotna, że zaczęła rzewnie płakać. Ogarnął ją nagły gniew, gdy pomyślała o Andrzeju. Sam siedzi bezpiecznie w celi klasztornej, a bezradną siostrę, która nikogo na świecie tak nie kocha jak jego, zostawia w udręce i mękach! Deszcz padał coraz mocniej, zimny wiatr objął się o stoki gór. Drżąc, poszła sierota w stronę szopy, w której chłopiec miał ongi swe legowisko. W ciemności położyła się na to samo miejsce i, myśląc o tym, głośno płakała. Była głodna i odczuwała

<sup>345</sup>Aniza — rzeka w Austrii. [przypis edytorski]

List

Matka, Choroba

Śmiech, Miłość

Matka, Śmierć, Strach,  
Samotność, Gniew

zabobonny lęk w obecności trupa matki. Wreszcie zasnęła na barłogu z kukurydzianej słomy...

Gdy obudziła się późnym rankiem, groza ostatniej nocy uleciała zupełnie z jej pamięci; musiała sobie dopiero przypomnieć, że matka naprawdę umarła. Mimo że się przymuszała, nie czuła prawdziwej żaloby; tylko jakieś niesamowite uczucie wstrzymywało ją od przekroczenia progu domu. Lecz wreszcie przemogła się i weszła. Obecny był ksiądz wikary i przyjaciółka jej, Róża; była rada, że zbywa się dalszych trosk i trudów. — Następnego dnia po pogrzebie siedziała znów w słońcu na ławce przed domem i śmiała się, patrząc na figle młodych kotków, igrających na ziemi z badylem kukurydzianym. W czternaście dni potem siedziała na lekkim wózku obok Różyczki; Franek zajmował przednie siedzenie i powoził; jechali drogą wiodącą do Vinschgau, a każdy przechodzień oglądał się za piękną, jasną dziewczyną, przybraną w strój żałobny, jednak wesołymi oczyma rozglądającą się w przepychu młodej, bujnej wiosny.

Podróż

Dopiero gdy ujrzała w górze klasztor, na gołym, ciemnym złomie granitowym, otoczonym mizernym kosodrzewem, stała się cicha i poważna i nie odezwała się ani słowem więcej do Róży, która również w milczeniu spoglądała na ponurą wieżę, zasnutą u wierzchu zwałami chmur. U stóp góry znajdowała się nędzna wioszczyna, nieotoczona wcale szlachetnym kasztanem, winoroślą i figowym drzewem, jak wesołe wioski dokoła Meranu. Na ten widok ścisnęło się serce Marysi. Nigdy nie była dalej niż na odległość jednego dnia jazdy, wyobrażała sobie zawsze, że im dalej, tym świat jest wspanialszy. Mocno zasmucona, zsiadła z wozu, gdy zatrzymali się przed drzwiami mizernej szynkowni. Nie chciała wejść do środka; nakłaniała Różę, by natychmiast poszła z nią drożyną, pnącą się w górę do klasztoru. Koniecznie bowiem chciała rozmówić się z bratem, zanim noc zapadnie. Franek pozostał przy koniach. Już dawniej niezbyt chętnie szukał jego towarzystwa; lepiej żeby mu się Franek nie pokazywał teraz na oczy.

Więc dziewczęta poszły same, równym, pewnym krokiem chłopskim, trzymając się za ręce i nie mówiąc ani słowa. Dopiero gdy zbliżyły się do szarego prastarego klasztoru i mogły już dostrzec trawę, rosnącą na dachu, Marysia przystanęła, spojrzała wzrokiem zalekniionego dziecka na mury i, głęboko oddychając, rzekła:

— Czy mogłabyś tu mieszkać, Różyczko?

Przyjaciółka potrząsnęła tylko głową.

— Serce pękłoby mi tutaj — mówiła dalej Marysia — nie ma zieloności ani winnic, ani pól uprawnych. Zobaczysz, nie jest prawdą, że tu był przez zimę. Nie zastaniemy go wcale. Kto wie, gdzie przebywa na dalekim świecie!

I na to Róża nie odpowiedziała. Wiedziała dobrze, że go tu zastaną, i lękała się, nie wiedząc, dlaczego. Gdy pociągnęły za dzwonek u bramy klasztornej i zapytały furtiana<sup>346</sup> o Andrzeja Ingrama, staruszek spojrzał badawczo na piękne dzieci.

— Proszę mu powiedzieć, by wyszedł — rzekła szybko Marysia — przyszedł ktoś z Meranu, ale proszę nie mówić mu, ojcie, kto.

Usiadły na kamiennej ławce obok bramy i czekały.

— Więc to prawda, Różyczko, że on jest tu?! Ale jak mógł tu wytrzymać!

Ręką posuwała po gorącym czole i zaczęła potem porządkować na sobie sukienkę, by ukryć niepokój. Róża siedziała oparta o mur, ręce złożyła na kolanach, oczy przymrużyła, jakby oślepiła ją blask zachodzącego słońca.

Nagle zadzwieczało u bramy i z okrzykiem: Andrzeju! To ja! — Marysia rzuciła się na szyję wychodzącego. W tej chwili cofnęła się przerażona. On to czy nie on? W ciągu jednej zimy zestarzał się o lat dziesięć... Stał przed nią w milczeniu i spoglądał wzrokiem ponurym, zalekniionym, jakby wyczekującym, czy się ta zjawia rozplynie w nicość czy też on sam przebudzi się ze snu... Zawsze myślała, jakie to będzie śmieszne, gdy go ujrzy w zakonnym habicie. Teraz jednak była bliższa płaczu niż śmiechu.

Spotkanie, Przemiana

— Andrzeju — rzekła wreszcie — patrzysz na mnie tak dziko... Czy źle zrobiłam, że przyszłam do ciebie? Jest tu też Różyczka. Nie witasz się z nią? Franek nas przywiózł; jutro chcemy wrócić, tu tak pusto i smutno; jak mogłeś tu wytrzymać? Widać, że ci tu źle było, jesteś błydy i chudy, jak byś wyszedł z grobu. Ale to się zmieni! Tu powietrze takie

<sup>346</sup>furtian — odźwierny klasztoru. [przypis edytorski]

surowe, musisz wrócić do Meranu, wikary napisze do przeora, rok jeszcze nie upłynął, a potem zamieszkaż w naszej chatce; czy wiesz, Andrzeju, że matka umarła?

Gdy mówiła, ustępowało jej zakłopotanie, rysy wygładziły się i poweselały, tak że ostatnie słowa, wiadomość o śmierci, wypowiedziała niemal pogodnym tonem. On również zdołał się uspokoić i powiedział swym zwykłym, tak dobrze jej znanym głosem:

— Dziękuję ci, Marysiu, że przybyłaś, i tobie, Rózo. Że matka zmarła, to nie zmienia położenia; o tym, by wrócić i znów żyć w Meranie, nie ma mowy; raczej pójdę stąd dalej, do klasztoru we Włoszech, a może nawet we Francji. Masz rację, tutejsze powietrze nie służy mi.

Spoglądał ponuro na szare skały.

— Andrzeju — zaczęła znowu — nie wolno ci tak mówić, jeśli nie chcesz, bym była smutna i zła. Bez ciebie nie było dla mnie radości przez całą zimę, a teraz, gdy tylko mogłam, wszystko zostawiłam i przyjechałam do ciebie, a ty mówisz o wyjeździe do obcych krajów, jak bym cię wcale nie obchodziła. Gdy słyszę to, myślę sobie, że matka miała może rację, jeśli stała powtarzała w gorączce, że nie jesteś wcale jej dzieckiem, że zabrała cię innej kobiecie, by się pochwalić pięknym chłopcem, gdy sama była taka brzydka. O tym godzinami całymi majaczyła, a gdy teraz widzę, jak miało o mnie dbasz, zaczynam się naprawdę lękać, że nie jesteś moim bratem, jeśli możesz być dla mnie taki zimny, bez serca.

Mimo woli cofnął się o krok i wybałuszył na nią oczy.

— Marysiu! — wyjąkał — czy to prawda? Czy możesz przysiąc, że tak istotnie matka mówiła?

Chciała go ująć za rękę i posmutniała, gdy szybko cofnął swą dłoń. Spojrzał na Różę, która pozostała na ławeczce, by im nie przeszkadzać w rozmowie. Potem popatrzył na Marysię takim wzrokiem, że zadrżała.

— Rózo, mam z Marysią coś do omówienia, wkrótce wrócimy.

Skinął na siostrę, by szła z nim, i szybko poszedł wzdłuż muru klasztorowego; otworzył furtkę do ogrodu, w którym jeden ze służebnych braci sadził warzywa. Zupełnie się teraz zmienił, twarz jego płonęła, odmłodził znowu o dziesięć lat, kroczył żwawo jak wówczas, gdy stróżował w winnicy.

Gdy weszli głębiej w ogródek, zwrócił się ku niej.

— Marysiu — rzekł drżącym głosem — powiedz raz jeszcze, co słyszałaś od matki, wszystko, i jeśli życzysz sobie zbawienia swej duszy, nie dodawaj nic ani nie ujmuj jednego słowa. Życie i śmierć od tego zależą.

Ujął ją za rękę i przyciskał gorączkowo.

— Nie wiem, dlaczego tak dziwnie mówisz — rzekła spokojnie. — Więc i cóż, jeśli tak powiedziała. A powiedziała tak, słowo w słowo, i to nie raz. Ale wiesz przecież, że cię nienawidziła. Może tak mówiła po to tylko, byś nie dostał części spadku, który chciała w całości dla mnie przeznaczyć. A może dlatego, że żalowała krzywd, które ci stałe wyrządzała. Chciała wmówić w siebie, żeś nie jej dziecko, gdyż zawsze przecież obchodziła się z tobą jak z cudzym. Ale cóż ci na tym tak zależy?

— Przypomnij sobie — nalegał — czy nie powiedziała, kto jej oddał dziecko? Czy nie było kogo przy tym, gdy mówiła? Czy zawsze mówiła tylko w gorączce czy też, gdy budziła się w nocy i myślała, że śpisz; wszak często mówiła do siebie, gdy ojciec jeszcze żył.

— Kto jej oddał dziecko? Nie, o tym nigdy nie mówiła — rzekła dziewczyna i widoczne było, że bardzo się wysiła, by sobie wszystko dokładnie przypomnieć. — Czekaj, oto wpada mi na myśl, że wikary siedział raz obok jej łóżka, gdy właśnie znowu tak majaczyła, wyskoczyła wtedy z łóżka i zażądała sukien, powiedziała, że chce pójść do dziekana<sup>347</sup>, do sądu, do cesarza dotrze, by wszędzie ogłoszono, że nie jesteś jej synem. Przybiegłam z kuchni i widziałam, że ksiądz stał obok niej, wielce przestraszony, i powstrzymywał ją, a gdy ujrzał mnie, pochylił się nad nią i mówił jej długo coś do ucha, czego nie mogłam dosłyszeć; potem uspokoiła się i leżała cicho. Czy to mówiła w gorączce czy też sobie tak tylko wmawiała, cóż to cię może obchodzić, Andrzeju? A gdyby tak było naprawdę, czyż miałbyś powód mniej mnie kochać? Czyż nie byliśmy bratem i siostrą, odkąd

<sup>347</sup> dziekan — tu: duchowny zarządzający dekanatem lub stojący na czele ciała kolegijskiego. [przypis edytorski]

pamięć nasza sięga, i czy to od razu miałyby się zmienić? Andrzeju, ja się nie zmienię. A choćby nawet sam cesarz ogłosił, jak to matka chciała, pozostałbyś i nadal dla mnie bratem i twoja byłaby osada i winnica, i wszystko. A zresztą, ja tam przecież nie pozosta-  
nę. Musisz wiedzieć, że zmówiłam się z Frankiem, w jesieni będzie wesele i zamieszka-  
m potem w Goyen. Nie jesteś przecież zły, że cię wprzód nie zapytałam?

Zaręczyny

Nie śmiała nań spojrzeć, gdy to mówiła, nie wiedziała sama, dlaczego, lecz wydało się jej teraz wielkim grzechem, że dała słowo Frankowi, i w tej chwili chętnie byłaby je cofnęła; wiedziała bowiem, że nie był przyjaźnie usposobiony do brata. Stała drżąca i pokorna jak dziecko, oczekujące bury. Lecz on uporczywie milczał. Było jej coraz smutniej na duszy. Wolalaby, by ją skrzyczał, wytłumaczyłaby się i byłoby potem znów dobrze. Lecz ta śmiertelna cisza między nimi była straszna. Wielkie krople łez pojawiły się w jej oczach i potoczyły po młodej twarzy. Wtedy przerwał milczenie.

Milczenie

— Marysiu, czy uczyniłaś to chętnie czy też namawiano cię tak długo, byś go wzięła, aż wreszcie powiedziałaś: tak?

Patrzała nań nieśmiało i wciąż jeszcze ze łzami w oczach.

— Andrzeju, wybac mi. Sama nie wiem, jak to się stało. Wzięli mnie do Goyen, gdy matka umarła, spałam z Różą, obchodzili się ze mną jak z rodzonym dzieckiem. I ciotka Anna też powiedziała, że Franek jest dobrym chłopcem i gdybym go wzięła, byłoby to najlepiej dla wszystkich. On był taki we mnie zadurzony, a ciebie nie było, bym się mogła zapytać i poradzić.

— A gdybym był powiedział: nie, czy bardzo martwiłabyś się? — zapytał szybko.

Położyła obie ręce na jego szyi i spojrzała nań z tkliwą miłością.

— Ja go przecież tak nie kocham jak ciebie, chętniej uczynię to, co ty mi powiesz, niż to, czego on żąda. Ale stało się, Andrzeju, i obraziłabym go śmiertelnie, gdybym teraz wróciła i powiedziała: nie chcę cię. Bądź zatem dobry i wróć z nami, ciotka Anna kazała cię pięknie pozdrowić, mówiła, byś przyszedł, ma ci wiele do powiedzenia, a mnie się zdaje, że choć jest taka pobożna i święta, byłaby rada, gdybyś zrzucił habit i znów był pięknym, smukłym Andrusiem, jak dawniej. Zrób to dla mnie, nigdy nie zaznam chwili radości, gdy pomyślę, że żyjesz tu tak smutnie, a gdy ci się co przytrafi, choroba lub cośkolwiek, mnie nie będzie, nie będę się przy tobie krzątała i tobą opiekowała. Przrzeknij mi, Andrzeju, że co najmniej na wesele przyjdiesz i z ciotką wszystko wtedy omówisz.

Mówiąc to, głaskała go po twarzy, a on stał z przymrużonymi oczyma; lekkie drganie jego ust zdradzało wewnętrzną walkę.

— Teraz ani słowa więcej! — rzekł wreszcie, głęboko oddychając. — Jutro rano przyjdę do gospody, by cię jeszcze raz zobaczyć. Wtedy powiem ci, co się ma stać. Bądź dobrej myśli, Marysiu! Stanie się, jak Bóg każe. Dobranoc!

Nie spojrział więcej na nią, przeszedł przez ogród, potem wzdłuż muru i zniknął w bramie klasztornej, nie obróciwszy się ani razu. Ona spoglądała za nim i w głowie jej toczyły się ciężkie myśli; rozpamiętywała jego słowa i usiłowała odgadnąć, jak się zapatruje, co zamierza. W wielkim strapieniu opuściła wreszcie ogród i zbliżyła się do Róży, która na jej widok uczuła bolesne ukłucie w sercu. Więc Andrzej nawet nie pomyślał, że i jej należy się dobre słówko, kilka słów powitania?

— Nie wiem, co on myśli — rzekła Marysia. — Zdaje mi się, iż nie bardzo jest kontent<sup>348</sup>, że biorę Franka. Ale co mam zrobić? Jutro rano przyjdzie i powie mi swoje zdanie. Nawet na mnie nie spojrział, a o powrocie do domu nie chce słyszeć. Ale dlaczegoż miałabym się tym tak przejmować? Niech robi, co chce, a ja tak samo. A jednak od maleńkości przywykłam go słuchać; był zawsze dla mnie taki dobry. Ach, dlaczego do tego wszystkiego doszło!

Zeszły z góry klasztornej i spędziły resztę dnia w milczeniu i zakłopotaniu. Franek nigdy nie był zbyt rozmowny, dalsze zaś losy Andrzeja obchodziły go bardzo mało. Pił z kilku chłopcami w szynkowni, gdy dziewczęta dawno już leżały w łóżkach.

Spała tylko — Marysia. Róża przez całą noc nie zmrużyła oka.

Zanim dzień zaświtał, usłyszała kroki na podwórzu, zbliżające się do okna izdebki, w której spały. Psy zaszczeły, jednak wkrótce się uspokoiły. Serce jej biło, szybko wyskoczyła z łóżka. Marysia spała spokojnie.

<sup>348</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

Kroki zbliżyły się do samego okna i ktoś zapukał cicho w szybę. — Maryś! — zawołał znany jej głos.

— Nie śpię, Andrzeju — szepnęła Róża. — Marysia śpi. Czy mam ją obudzić?

— Tak, Różyczko. Niech się prędko ubierze i wyjdzie; mam jej wiele do powiedzenia, zanim odjedziecie z powrotem do domu.

Minął kwadrans, potem cicho otwarły się drzwi, wiodące z oberży na podwórko, i wyszła Marysia; twarz jej wyrażała zarówno lęk, jak i ciekawość.

— Aleś wcześniej przyszedł! Dzień dobry. Jeśli przychodzisz z dobrą nowiną, Andrzeju, będę bardzo rada.

— Zapnij szalenie płaszcz. Jest chłodno, a ty nie jesteś przyzwyczajona do tutejszego powietrza. Chodźmy stąd.

Uśluhała i pokazała mu roześmianą twarz, wyzierającą spod ciepłej chustki. Milczenie dokoła, obcość krajobrazu, pustka w górach i brat obok niej w kapucyńskim habicie — wszystko to wydało się jej jakby pocieszną awanturą i pobudzało do śmiechu.

Lecz on ujął ją poważnie za rękę i poprowadził w milczeniu przez podwórze. Ze stajni dobiegały już odgłosy koni, szarpających łańcuchy, drób otrząsał pierze z nocnego zniechęcenia, kogut okrzykiwał przedwcześnie rano. Lecz ludzie w niskich chałupach spali jeszcze. Wszyscy — prócz młodej, biednej dziewczyny, która boleśnie spoglądała na podwórze przez zabrudzoną szybę, a potem, dygocąc z zimna, a mimo to płonąć wewnętrznym żarem, położyła się do łóżka, by przeleżeć wśród rozmyślań do rana.

Słońce było już wysoko, a rodzeństwo nie wracało. Franek siedział w szynkowni. Na stole stała butelka, z której co chwila nalewał do szklanki. Czoło miał nachmurzone. Co pewien czas wybiegał na drogę i spozierał, czy nie ujrzy narzeczonej. Wreszcie poszedł do stajni, wyprowadził konie i zaprzął, klnąc Andrzeja w duchu i na głos. Róża milczała, było jej na sercu smutno i ciężko; niech się stanie, co się ma stać, dla niej skończyły się wszelkie nadzieje...

Wreszcie, około dziesiątej, braciszek klasztorny przyniósł list, który Andrzej jeszcze w nocy napisał do Róży. Pisał w nim, że ślubował pielgrzymkę do świętego obrazu, by modlić się za duszę matki. Marysia będzie mu towarzyszyła; niech nie oczekują jej powrotu, tylko wrócą do domu. Marysia sama przybędzie do Meranu.

Gdy Franek przeczytał list, uderzył pięścią w stół, aż szklanki zadźwięczały, i w porwywie pierwszego gniewu chciał gonić za Andrzejem. Lecz w liście nie była wymieniona nazwa kościoła, do którego Andrzej pielgrzymował, a braciszek klasztorny wiedział tylko tyle, że przeor dał bratu Andrzejewi urlop. Zatem nic innego Frankowi na razie nie pozostawało, jak pocieszyć się tym, że innym razem i przy najbliższej sposobności wywrze swą złość na Andrzeju.

Była to smutna droga powrotna, którą Róża przebywała, siedząc obok rozwścieczonego brata, wciąż od nowa pomstującego ohydnyimi wyrazami na Andrzeja i kilkakrotnie powtarzającego przysięgę, że po ślubie z Marysią zatrzśnie przed nim drzwi, jak to zresztą przez długie lata robił ojciec. Od samego początku był przeciwny tej podróży do nicponia, znajdy, którego sobie nawet wyobrazić nie może jako szwagra. Ale kobiety ubrały to sobie, a zwłaszcza ciotka Anna. Niech tylko Marysia wróci, a powie jej też kilka słówek! Ciotce zaś nie daruje tego nigdy! Przede wszystkim jednak winna jest Róża. Nie powinna była z rana pozwolić, by Marysia z nim poszła.

Róża słuchała tego wszystkiego, ale niezbyt się tym przejmowała. Bo o wiele dokuczliwsza troska uciskała jej serce.

\*

Przyszło lato, winorośle na Küchelbergu dawno już przekwitły, grona pęczniały i czerwieniły się, pierwszy zbiór fig skończył się — a wciąż nie było śladu po obu pielgrzymach. Gdy zaś minęło winobranie i nie wrócili, poczęto po kątach szeptać, że nigdy już para zbiegów się nie pojawi. Z biegiem czasu przestano się nimi zajmować. Z początku, oczywista, stanowili przedmiot ożywionych dyskusji. Dziwne bowiem było nie to, że rzekomo

List, Pielgrzym, Gniew,  
Rozczarowanie

Lato, Wino, Ucieczka,  
Wieś, Góry

udali się na pielgrzymkę, gdyż pątnicy<sup>349</sup> wśród Tyrolczyków<sup>350</sup> są bardzo liczni i ludek ten chętnie pielgrzymuje do miejsc świętych, lecz fakt, że tuż za klasztorem wszelki ślad po nich ginął. Pasterz kóz z wioszczyzny u stóp klasztoru widział, jak wspinali się powoli po ścieżce wiodącej w góry. Para ta wydała mu się bardzo dziwna: mnich rozmawiał żywo z piękną blondynką i oboje szli coraz wyżej skalną drożyną. Gdy po kilku tygodniach na żądanie wikarego czyniono poszukiwania we wszystkich okolicznych wioskach, nie mógł sobie żaden góral i żaden oberżysta przypomnieć, by taka para zapukała kiedykolwiek do drzwi. Zażądano pomocy policji, również z nielepszym skutkiem. Rodzeństwo znikło, jak by góra się rozwarła i pochłonęła ich.

Gdy wikary opowiadał o tym na zamku Goyen, słowa jego wzbudzały sprzeczne uczucia. Stary Hirzer pił spokojnie wino i rzekł, że właściwie jest bardzo kontent, gdyż zapewne już nigdy nie będzie kłopotu z tymi Ingramami! Gdyby ta lekkomyślna dziewczka, ta Marysia, kiedykolwiek jeszcze ośmieliła się przekroczyć jego próg, wtedy — zaklął tak szpetnie, jak się dotąd nigdy nie odważył w obecności księdza. Synowi nakazał, by zaraz następnego dnia przybrał się paradnie, udał do pobliskiej wsi i prosił o rękę bogatej młodej wdowy, której włości bardzo wygodnie są położone i poważnie zwiększyłyby ich majątek. Lecz Franek nie traktował sprawy z taką zimną krwią. Zadurzył się naprawdę w Marysi; jedynie myśl o niej zdołała leniwą jego naturę rozruszać. Ciotka Anna znikła na szereg dni w swej izdebce, przywdziała strój żałobny, gdyż była przekonana, że przytrafiło się im w górach nieszczęście, a może też popełnili samobójstwo. Płakała całymi dniami i nie chciała nikogo widzieć prócz księdza i Róży. Z nią spędzała bezsenne noce, niszając różaniec między bladymi palcami, spędzając czas to na modlitwie, to na długich rozmowach z dziewczyną. Ta natomiast stanowczo utrzymywała, że oboje żyją, i starała się przekonać o tym ciotkę. Że jednak kiedykolwiek wrócą, w to nie wierzyła...

Najspokojniejszy był wikary. Ba, zdawać by się mogło, że przez ucieczkę Andrzeja spadł mu ciężar z piersi. Przychodził pilnie do zamku, wysłuchiwał życzliwie i dobrodusznie zdania każdej z osób i skierowywał prędko rozmowę na tegoroczne zbiory i wyjątkową dobroć wina — temat, który doskonale opanował i któremu stanowczo dawał pierwszeństwo nawet przed teologicznymi dyskursami z ciotką.

Przyszły dni listopadowe, pusty domek na Küchelbergu przybrał szatę zimową wśród ogołoconych z zieleni winnic, w mieście było huczno i gwarno, gdyż był to właśnie dzień jarmarku na bydło. Zbliżał się sobotni wieczór, a wikary, postanowiwszy więcej nie wychodzić z domu, zdjął ze ściany swe stare skrzypce, by w mroku coś rzewnego zagrać, zanim służąca wraz z wieczerzą wniesie do pokoju lampkę. Kocur leżał w fotelu i mruczał z ukontentowania; w piecu trzeszczał ogień, gdyż zapowiadała się zimna noc; od kwiatów na oknie płynął słodki zapach, który nos duchownego z rozkoszą wchłaniał. Wyczarowując ze swych skrzypiec najdelikatniejsze, flażoletowe<sup>351</sup> tony i krocząc do taktu między czterema ścianami swej izby, przemyślał, że przecież do pełni szczęśliwości niczego mu nie brak, tym bardziej że jeden z kolegów w Sankt Valentin<sup>352</sup> przysłał mu próbkę szlachetnego czerwonego wina, jakie bogobojni bracia uprawiają w słonecznej dolinie u stóp góry Ifinger<sup>353</sup>, buteleczkę, która dziś wieczorem miała uświetnić jego skromną wieczerzę.

Wtem usłyszał pukanie do drzwi; przekonany, że to służąca z miłym gościem z Sankt Valentin, zawołał: „Wejść!” i nie przerywał dalszej gry. Ale smyczek wypadł mu z ręki, gdy drzwi się rozwarły i jak cień z innego świata stanął przed nim Andrzej.

— Proszę się nie bać, księżo, to ja — rzekł młodzieniec, wchodząc do pokoju. — Proszę patrzeć, kot mnie poznaje, nasrożyłby się, gdybym był widziadłem. Byłbym księdza uprzedził, ale nie ma poczty tam, skąd przybywamy...

Zima, Muzyka, Wino,  
Ksiądz

Spotkanie, Wino, Prawda

<sup>349</sup>pątnik — pielgrzym. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>Tyrolczycy — mieszkańcy regionu Tyrol w Alpach Wschodnich, w dolinie górnego Innu, górnej Adygi oraz górnej Drawy. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>flażoletowy — od: flażolet, delikatny dźwięk wydobywany na instrumentach smyczkowych i szarpanych. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>Sankt Valentin a. St. Valentin, a. San Valentino — miasto w kraju związkowym Dolna Austria w powiecie Amstetten lub włoska miejscowość nad jeziorem Garda. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>Ifinger a. Punta Ivigna — szczyt w Sarntaler Alpen w północnych Włoszech, w regionie Trydent-Górna Adyga, w Południowym Tyrolu. [przypis edytorski]

Pochylił się nad kotem, by ukryć wzruszenie. Z całej jego postaci promieniowała łagodność, która zmieniła go do niepoznaki.

Ksiądz przystanął na środku pokoju. Był wzburzony do najwyższego stopnia. Zdołał tylko powiedzieć:

— A Marysia?

— Ona też tu jest. Ksiądz się o wszystkim dowie, nie mam nikogo na świecie, a jeśli ty, przewielebny ojcze, nie zdołasz mi poradzić, to przepadłem na tym i tamtym świecie.

Wtem zabrzmiały na schodach kroki służącej. Ujrawszy Andrzeja, przeraziła się, lecz wkrótce poczęła radośnie wykrzykiwać, co jej zresztą nie przeszkadzało w szykowaniu stołu do kolacji i ustawianiu butelki i szklanek. Przez ten czas obaj mężczyźni mieli możliwość zebrać swe myśli i przygotować się do rozmowy, która miała nastąpić. Wreszcie służąca wyszła. Chętnie byłaby wysłuchiwała odpowiedzi na mnóstwo pytań. Lecz ułękła się niezwykle uroczystej miny swego pana, który zajął miejsce za stołem, kilkakrotnie otarł sobie czoło kraciatą chustką i w milczeniu nalał pierwszą szklankę czerwonego walentynera, nie wychylając atoli<sup>354</sup> jeszcze ani kropli wina. Na języku bowiem czuł gorzki przedsmak słów, które niebawem miały paść.

Andrzej przerwał wreszcie milczenie.

— Proszę, pozwolić mi usiąść, przewielebny ojcze. Dziś szliśmy przez góry czternaście godzin, a trapił mnie strach o biedną kobietę i głód, i zgryzoty... kolana się podę mną uginają. Gdyby ksiądz wiedział, cośmy przeszli, nie patrzyłby tak surowo na mnie. Zawsze byłeś, księżu, pełen miłosierdzia i nigdy nie odprawiałeś pokutującego grzesznika bez pocieszenia i pokrzepienia.

Słowa te, pełne pokory, wywarły na wikarym głębokie wrażenie. Podniósł szklankę, spojrzął na czerwień wina poprzez światło lampy, wypił powoli a niewiele i podał szklankę swemu wychowankowi, po raz pierwszy patrząc mu wprost w twarz.

— Wypij, Andrzeju, zrobi ci dobrze. Jest to winko walentyńskie; dopiero przed czterema tygodniami wyszło spod tłoczni; dziś właśnie je otrzymałem.

Andrzej wziął szklankę, skłonił się z uszanowaniem przed księdzem i wypił duszkiem. Potem rzekł:

— Dziękuję, księżu dobrodzieju. Przyszedłem zapytać... a ksiądz musi mi dać odpowiedź: czy jestem synem Marii Ingram, niech ją Bóg przyjmie do swej łaski, czy nie jestem jej synem?

Po czym wstał. Oparł zaciśnięte pięści o stół i skierował wzrok na swego duchownego przyjaciela.

— Synu, jeśli mi przyrzekniesz, że nie będziesz więcej zadawał pytań, odpowiem ci na twe pytanie. Twoja matka wydała na świat tylko jedno dziecko, Marysię. Gdy więc to już wiesz, ukontentuj się tą wiadomością i nie pytaj dalej, gdyż więcej powiedzieć zabrania mi obowiązek posłuszeństwa, a zresztą gdybyś więcej wiedział, na nic by ci się przydało.

Napięcie na twarzy młodego człowieka nagle zelżało, rysy jego powlokły się teraz wyrazem beznadziejnego smutku.

— Dziękuję, księżu — rzekł — to mi nie na wiele jest przydatne, gdyż o tym wiedziałem. Gdyby mi nawet nikt tego nie był powiedział — ona moją matką nie była! Ja zadowolilibym się tym, boć przecież, jeśli moi rodzice mogli się beze mnie obejść, to i ja muszę sobie sam dawać radę. A zresztą zawsze to czyniłem. Ale biedna Marysia, księżu, nie ma ni za dnia, ni w nocy spokoju, gdyż jej się wciąż zdaje, że wszyscy ją okłamali; matka, gdyż mnie znenawidziła, ja, gdyż pokochałem ją innym niż braterskim uczuciem... nie, księżu, tu pomoc może tylko rzetelne świadectwo i pieczętka, w przeciwnym bowiem razie lękam się, że ta biedna istota długo nie pociągnie... strach patrzeć, jak sobie to wzięła do serca, jak się jej mózg wysila i męczy, a ksiądz wie przecież, że ma ona w głowie jakiś słaby punkt, z którym nie poradzi...

Usiadł znowu z wyrazem wielkiego zmęczenia. Wikary jadł i pił mechanicznie, raczej jakby chciał ukryć zmieszanie, niż by mu smakowały potrawy.

— Powiedz, jak do tego doszło. Potem obmyślimy, co się da zrobić. Gdzie tkwiłeś przez tyle miesięcy, gdyż nagle znikł jak kamień w wodzie?

— Nie w habicie! — rzekł chłopak, a twarz jego nieco poweselała na wspomnienie

Ucieczka, Podstęp, Grzech,  
Miłość

<sup>354</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]



niebezpiecznych przejść i podstępów, którym wszystkich przechytrzył. — Otóż, księżo, gdy mi Marysia powiedziała, że jej matka przyniosła mnie z połonin czy Bóg wie skąd, jako znajcę, miałem uczucie, że opadają ze mnie rozżarzone łańcuchy, które stale za sobą wlokłem, a które mnie również i w klasztorze nie opuszczały. Gdyż nawet przy świętej spowiedzi nie mogło mi przejść przez usta, co przez lata całe przecierpiałem z powodu Marysi i że nie przeżyłbym tego, gdyby ją inny był poślubił. Wiedziałem przecież, że jest to grzech śmiertelny, gdybym naprawdę był synem jej matki, ale nie mogłem się z tego otrząsnąć, bo było to silniejsze niż odrobina mego rozumu, niż wiara, niż wszystko, czego się u księdza nauczyłem i w świętych księgach wyczytałem. Gdy zaś teraz stało się oczywiste, że przez długie lata niepotrzebnie się dręczyłem, że wcale nie ma grzechu w tym, jeśli dziewczynę kocham ponad własne życie, od razu poweselałem i powiedziałem sobie: musi być moja, choćby sam cesarz nas chciał rozerwać!...

...Tego wieczora nie dałem jeszcze nic po sobie poznać, siedziałem w celi, a z trudem wstrzymywałem się, by nie krzyknąć z radości i śpiewać tak głośno, by słyhać było aż w Meranie! Musiałem jednak załatwić jeszcze mnóstwo spraw i napisać list do Róży, więc tak zesła noc. A potem, jeszcze przed świtem, byłem przed karczmą i zabrałem ją, niemającą najmniejszego pojęcia, co się ma stać. Zachowywałem się też z początku zupełnie spokojnie i rozsądnie, aż uszliśmy spory kawał drogi; mówiłem tylko o pielgrzymce, a ona nie była wcale zła, że ją ze sobą zabrałem. Bardzo była rada, że ujrzy szmat kraju. Gdy jednak znaleźliśmy się wysoko w górach, a ona z coraz większą ciekawością pytała, dokąd idziemy, kazałem jej na chwilę usiąść, poszedłem za skałę i wkrótce wróciłem, ale już nie jako mnich, lecz w kurtce, spodniach i wszystkim, co nosiłem tej nocy, gdy z Goyen uciekałem; bowiem rzeczy należących do Franka wcale nie odesłałem. Wówczas głośno się zaśmiała i powiedziała, że podobam jej się tak o wiele lepiej niż w długiej sukni zakonnej. Potem zjedliśmy zapasy, które wziąłem ze sobą na drogę. Nagle stała się cicha i smutna, widocznie wszystko to wydało jej się jakieś dziwne, gdyż poczęła się natarczywie dopytywać, a gdy nareszcie otwarłem przed nią moje serce i powiedziałem, że nigdy więcej nie włożę habitu, że wcale nie jesteśmy pątnikami, idącymi do świętego obrazu, że prowadzę ją w daleki świat jako moją kobietę — przeraziła się i poczęła łkać. Ja wtedy mówiłem do niej bardzo łagodnie, by tylko nie dostała znowu ataku nerwowego; zaś gdy jej łzy zaczęły coraz wolniej spływać, tłumaczyłem jej, że nie ma sensu wracać do Meranu i każdego z osobna zapytywać, czy nie ma nic przeciw temu. Ludzie mieliby wtedy więcej do gadania, niż gdybyśmy wcale nie wrócili, zaś gdybyśmy kiedyś zatęsknili za naszym domkiem i zjawili się jako mąż i żona, wszyscy musieliby się z tym faktem pogodzić. Niechże pomyśli o starym Hirzerze i o Franku; co by to był za krzyk, gdybym nagle przed nimi stanął i powiedział: Marysia jest moja i nie dam jej nikomu! A ciotka Anna, a ksiądz dziekan, a całe miasto, które nas znało od urodzenia jako brata i siostrę, a pisanina i gadanina w sądzie i u wszystkich diabłów! Wreszcie rzekłem: Jeśli ci jednak Franek jest miłszy niż ja, powiedz śmiało, jeszcze czas wrócić i pożegnać się na wieki...

... Wtedy rzuciła mi się, płacząc i śmiejąc się, na szyję i powiedziała, że moja wola jest i jej wolą. I sama mi pomogła potoczyć ciężkie kamienie na suknię zakonną, by jej nikt nie znalazł i nie wyszpiegował kierunku naszego marszu. Tego samego dnia uszliśmy przez wiele godzin olbrzymi kawał drogi, zawsze zupełnie samotni; czasem spoglądaliśmy w tył, w okolicę, w której się znajduje Meran, i żartowaliśmy z Franka, jadącego teraz bez narzeczonych do domu, gdzie zeń zapewne wszyscy będą kpili. Myślałem też o tobie, księżo, że pewnie weźmiesz mi to za złe; i o mojej chrestnej matce, i o Róży, która była zawsze dla mnie taka dobra. Ale to niedługo trwało. Gdy spojrzałem na Marysię obok siebie, którą wolno mi było teraz pieścić i całować do woli, a która cierpliwie się temu poddawała — tak, księżo, ty oczywiście nie wiesz, co się w człowieku dzieje, gdy tak sam jest pod niebem ze swą ukochaną... ale wiem na pewno, że nie uważałbyś tego za ciężki grzech i życzyłbyś nam tej odrobiny szczęścia, które niestety trwało tak krótko...

Zamilkł i patrzył przed się w głębokim smutku. Wikary odsunął talerz, westchnął z całego serca i, napełniwszy szklankę, podał ją spowiadającemu się. Chłopak wypił, westchnął również i począł cichym, miarowym głosem:

— Pierwszą noc przespaliśmy w szałasie na połoninie; pasterz nakarmił nas i nie pytał o nic, łatwo mógł przecież odgadnąć, co nas ze sobą łączy. Obiecał nam następnego ranka, że nikomu nie powie, iż ugościł nas w swym schronisku; byliśmy więc dobrej myśli

Góry, Ucieczka

i jeszcze szczęśliwsi i bardziej zakochani niż dnia poprzedniego. Okolica była mi zupełnie obca; wiedziałem, że, wędrując zawsze na zachód, dojdziemy wreszcie do Szwajcarii, gdzie ludzie mają wolność i mogą żyć, jak chcą, i nie ma też policji. Chciałem tam na razie pozostać; również nie lękałem się, by na granicy zapytano nas o paszport, gdyż tu, gdzie szliśmy, hen, w górach, od szalasu do szalasu, nie docierają strażnicy graniczni. Toteż ani razu nas nie zatrzymano. Muszę zaś jeszcze wspomnieć, że drugiego dnia przyszliśmy na miejsce, na którym wznosi się stromy grzbiet, o wiele wyższy niż Mutspitze<sup>355</sup> lub Ifinger. Namawiałem Marysię, by ze mną wyszła i z góry oglądała olbrzymią połąć świata. Miałem zupełnie inny zamiar; bo zaprawdę nie o to mi chodziło, by widziała lodowce. Na wierzchołku stoi bowiem krzyż, a na nim Chrystus Pan, z gruba rzeźbiony kozikiem przez jakiegoś pasterza. Gdy znaleźliśmy się na szczycie, a Marysia spoglądała cicho i zadowolona dokoła, ująłem ją lekko za rękę i przykląknę z nią pod krzyżem. Najpierw pomodliliśmy się... Chciała powstać. Wtedy powiedziałem: Zostań na klęczkach, Marysiu, to jeszcze nie koniec... I po łacinie powiedziałem wszystko, czego trzeba, by zawrzeć rzetelne małżeństwo; zdjąłem jej z ręki srebrny pierścionek i dałem jej swój, i położyłem swoje ręce na jej głowie, a jej ręce na swojej i wyrzekłem słowa błogosławieństwa; myślałem, że trzeba sobie umieć radzić; jeśli jest dopuszczalny chrzest z konieczności niepoświęconą wodą, to niechże raz będzie i ślub taki, kiedyś to się dodatkowo zrobi porządnie i przepisowo. I ona sobie to pewnie myślała, bo pozwoliła mi robić, co chciałem, i klęczała pobożnie pod krzyżem. Gdy skończyłem swą łacinę, ucałowałem ją serdecznie i powiedziałem: Oto jestem teraz twym mężem, a ty moją żoną, i tylko śmierć może nas rozdzielić!... Skinęła głową i w oczach jej ukazał się błysk radości i szczęścia... Powstaaliśmy i jeszcze przez chwilę staliśmy cicho na szczycie, i było nam tak cudnie na duszy w tej wielkiej ciszy i tajemniczości, gdyśmy spoglądali poprzez dziesiątki mil w kraje, osady, rzeki, a nikt nie był przy nas, jak tylko nasz Pan Bóg, w którego obliczu ślubowaliśmy sobie wierność do śmierci...

Ślub

Znacie przecież, księżu dobrodzieju, Marysię; zawsze chętniej się śmieje, niż płacze, a głowy jej stale czepiają się zbytki. Ale przez cały nasz dzień ślubu nie śmialiśmy się ani razu, and też nie mówiliśmy wiele ze sobą; szliśmy tak uroczyście, jakby góry te były wielkim kościołem. Po drodze Marysia zrywała kwiaty i przypięła mi do kurtki weselny bukiet, po czym uplotła z nich wianuszek i położyła sobie na głowę. Mieliśmy też jeszcze pieniądze, toteż kazaliśmy sobie w najbliższym szalasiu podać, co tylko pasterz chciał wydać ze swych zapasów. Było to więc wcale zacne wesele i ani ona, ani ja nie myśleliśmy o przeszłości ni też o tym, co przyjsć miało.

Dopiero gdy się skończyły pieniądze, musieliśmy o tym pomyśleć; minął już co najmniej tydzień, Szwajcaria była jeszcze daleko, gdyż nie trzymaliśmy się jednej drogi, tylko szliśmy, gdzie się nam spodobało. Pierwszego wieczora, gdyśmy stwierdzili, że kieszenie nasze są puste, a chciałem właśnie z Marysią schronić się na noc w stogu siana, dojrzałem samotną sadybę i pomyślałem: może tu spróbujemy przenocować. I rzeczywiście dostaliśmy tu schronienie, jeno że z jednej nocy zrobiło się pół roku. Osada należała do pewnej wdowy; miała właśnie poślubić swego pierwszego parobka, gdy go na śmierć przywaliła sosna, którą nieostrożnie w lesie podcinał; wdowa nosiła po nim żałobę jak po swym pierwszym mężu. Gdy jej opowiedziałem, że musiałem uciekać, gdyż zabiłem żołnierza, zaś siostra moja — podałem ją za siostrę, gdyż wdowa nie byłaby się zgodziła na przyjęcie do służby pary małżeńskiej — zatem siostra moja nie chciała mnie samego puścić w drogę, a teraz jesteśmy bez grajcara<sup>356</sup> przy duszy, zaofiarowała mi służbę u siebie, przy czym i dla siostry znajdzie się robota. Naturalnie ucieszyło nas to bardzo, tylko Marysia czyniła mi potem wyrzuty, że nie przedstawiłem jej jako żonę, i długo musiałem jej perswadować, zanim się pogodziła. Zostaliśmy więc; lato minęło i nie mogliśmy się na nic uskarżać. Bo że wpadłem właścicielce w oko i zrobiła mnie pierwszym parobkiem, zapewne, by mnie potem i wyżej awansować, to mnie mało obchodziło; wszak mogłem zawsze powiedzieć: nie...

Wdowa, Praca

Nagle stało się coś, co mnie zupełnie pozbawiło spokoju. Było to przed tygodniem, kosilem na górnej łące trawę i ujrzałem wdrapującą się w górę Marysię. Przeraziłem się

Grzech, Dziecko, Strach

<sup>355</sup>Mutspitze a. Monte Muta — szczyt alpejski na północ od Merano. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>grajcar — dawna drobna moneta austriacka. [przypis edytorski]

wyrazu jej twarzy... Pada przede mną i zaklina mnie, ręce podnosząc do góry, bym się nad nią ulitował i zabił ją, gdyż żyć nie może, mając taki grzech na sumieniu; nosi pod sercem dziecko, a w nocy pojawiła się jej matka i szepnęła: „Andrzej jest jednak moim synem, a twoje i jego dziecko będzie przeklęte na wieki...”.

Proszę sobie wyobrazić, księżo, jak się przeraziłem; powtarzała to z uporem, więc wreszcie i ja się ulakłem, boć przecie nie mam żadnych pewnych i niezbitych dowodów, że tak jest, jak przypuszczamy. Boże! Pomyślałem, gdyby to było prawdą! Mróz mnie obleciał i przez chwilę naprawdę myślałem, widząc u mych stóp tę biedną, załamującą ręce, kobietę: a może lepiej byłoby pójść z nią i, stanąwszy gdzieś nad głęboką przepaścią, zamknąć oczy i wskoczyć z nią wprost do piekła!... Ta desperacka myśl opuściła mnie oczywiście wkrótce; uspokoiłem się, jeszcze raz wszystko rozważyłem i wreszcie powiedziałem sobie stanowczo: to niemożliwe! Ale biedna kobieta nie dała się pocieszyć. Już nie pragnęła śmierci, gdyż byłoby to podwójnym grzechem, ze względu na dziecko, zażądała tylko, byśmy wrócili do Meranu, bo tu wszystko się musi rozstrzygnąć. Myśl o tym była mi bardzo przykra; wiedziałem przecie, że w domu nie obejdzie się bez krzyku i awantur. Ale Marysia była coraz bardziej markotna i patrzyła jej z oczu tak strasznie, a ponadto właścicielka osady coś wymiarkowała i zaproponowała mi, bym sam został, zaś siostrę odesłał — więc nie pozostało nic innego, jak spakować manatki i rozpocząć ciężką, twardą drogę pokuty...

Nie chcę, księżo, nużyć cię opowieścią, jak nędznie się czułem, gdy przybywaliśmy na miejsca, w których przed sześciu miesiącami zażyliśmy szczęścia i rozkoszy, zaś obecnie biedna kobieta w każdym poszumie wiatru słyszała głosy oskarżenia i potępienia. Jeśli grzeszyliśmy, ruszając w świat jako mąż i żona bez pytania kogokolwiek i bez błogosławieństwa kościoła, to stokrotnie odpokutowaliśmy to w drodze powrotnej...

...Proszę pomyśleć: gdyśmy znowu przybyli na szczyt, na którym z wiosną ślubowaliśmy sobie, nie było już krzyża... Pewnie wiatry go zerwały i strąciły w przepaść. Ale Marysia srodze się tym przejęła, gdyż sądziła, że wówczas był to majak szatański, który nas skusił do grzesznego ślubu; padła mi zemdlona w ramiona i przez godzinę musiałem ją cucić...

Zamilkł i cały się zatrzęsł na wspomnienie przeżytych cierpień.

Wikary wstał i zaczął długimi krokami przemierzać izbę, od czasu do czasu wyjmując niuch tabaki z brzoźowego pudełka. Ostatnią szczyptę trzymał długo w palcach i przystanął przed wielkim sztychem<sup>357</sup>, wyobrażającym Magdalenę na pustyni, jedyną ozdobę pustych ścian jego pokoju. Nie miał odwagi spojrzeć spowiadającemu się w twarz, gdyż miał mało nadziei, by wszystko szczęśliwie załatwić.

— A gdzie ona teraz? — zapytał wreszcie.

— Na górze, w naszej chatce na Küchelbergu. Przed kilku godzinami przybyliśmy, przez wieś Tyrol, ludzie poznawali nas i wskazywali palcami; gdy szedłem tu ulicą, widocznie wszyscy już wiedzieli, bo mnie omijali, jak bym był tknięty zarazą. Tam na górze biedna kobieta siedzi i czeka, bym cię, księżo, sprowadził; a jeśli nie znajdziesz dla niej pociechy, to marny będzie jej koniec. Bo z oczu jej patrzy rozpacz i szal; rozum jej jakby wisiał na cienkiej nitce. Jeszcze jedno szarpnięcie, a zleci w otchłań...

Powstał również, jak by chciał przez to pobudzić milczącego księdza do powzięcia decyzji. Lecz ten stał wciąż przed sztychem, mimo że przecie nie mógł rozeznąć w cieniu, padającym na ścianę, ani jednej kreski na obrazku. Dopiero gdy dzwon na wieży wydzwonił godzinę ósmą, poruszył się. Odwrócił się od ściany, kazał Andrzejowi poczekać i, zabrawszy lampę ze stołu, zaczął schodzić ze schodów, coraz niżej i niżej, aż znikł ostatni blask światła.

Nie minął pacierz, a światło znowu pojawiło się na schodach; wikary wszedł z wielką flachą, napełnioną złotawym winem; niósł je na ramieniu jak niemowlę. Za nim szła służąca z czystymi szklankami.

— Patrz, oto prawdziwy pocieszyciel; zanim innych pocieszymy, należy wzmocnić własnego ducha. Pij, biedaku! Poznajesz je przecie. Wino to stało się wytrawniejsze w tych dziesięciu latach, dojrzałsze, patrz, jakie klarowne.

<sup>357</sup>sztych — rycina wykonana dowolną techniką rytowniczą. [przypis edytorski]

Grzech, Kara

Piętno

Wino

Spojrzał najpierw w czyste złoto poprzez światło, a potem trącił się szklanką ze strapionym młodym przyjacielem.

— Spodziewam się, że wszystko będzie dobrze — rzekł, gdyż sama bliskość szlachetnego napoju przepajała go optymizmem — *Gaudete in Domino semper*<sup>358</sup>, napisane, toteż pij, synu, a potem napełnimy flaszkę dla biednej pokutnicy, bo i jej się to przyda.

Nie mówili do siebie ani słowa więcej; wikary chodził po pokoju tam i z powrotem jak generał, obmyślający w swym namiocie plan bitwy; od czasu do czasu popijał wielkimi haustami i za każdym razem mocno stawiał szklankę na stole. Gdy butelka była do połowy wypróżniona, zdjął szybkim ruchem ze ściany skrzypce i począł, wciąż krocząc tam i z powrotem po pokoju, wygrywać starą włoską kantatę<sup>359</sup>, upstrzoną wieloma trudnymi fioriturami<sup>360</sup>. Pieśń tę grał zwykle w ważne i uroczyste dni, była to zresztą również ulubiona pieśń kocura, który, radośnie mruczając, skoczył na stół, okrążył lampę i zielonymi oczyma patrzył na Andrzeja, jakby wzywał go, by również był dobrej myśli. Lecz ten wielce się niecierpliwił; tylko uszanowanie wobec księdza i poczucie własnej winy wstrzymywało go, by nie przerwać koncertu przypomnieniem, że Marysia liczy tam minuty i czeka na pociechę.

Wreszcie ksiądz odłożył skrzypce, wytarł czoło połą wyszarzałego surduta i prędko ubrał się w swą czarną suknię. Służąca weszła, wlała resztę wina do flaszkę, którą Andrzej włożył do kieszeni, przyniosła swemu panu kapelusz i ujęła ręką lampę, by poświecić, gdy szli schodami w dół.

W podsieniach na ulicy było już cicho, tylko z szynków dolatywały śmiechy i śpiewy włoskich mularzy<sup>361</sup> i robotników; wartownicy siedzieli przed budami i szykowali się na noc, zapowiadając się mroźnie.

Gdy przybyli na plac kościelny, wikary zatrzymał się i rzekł:

— Idź przodem, synu. Muszę najpierw pójść do księdza dziekana. Za pół godziny będę u was. A powiedz tymczasem Marysi, że ja mówię: wszystko będzie dobrze!

Podał Andrzejowi rękę, którą ten ucałował, i zatrzymał się przez chwilę u bramy domu, zanim się zdecydował wejść.

Co tam tego wieczora powiedział i co mu odpowiedziano, nie chciał nikomu zdradzić. Gdy jednak po kwadransie wyszedł, malowało się na jego twarzy głębokie przygnębienie. Wzdychał często, idąc w górę drożyną na Küchelberg, a gdy wreszcie ujrzał domek, z którego małych okien błyskało blade światelko, westchnął jeszcze głębiej; na chwilę przemknęło mu przez głowę, czy też raczej nie należałoby się cofnąć. Ale jeśli nie mógł pomóc, to przynajmniej nie zostawi biedaków samych w nieszczęściu...

Więc, nie pukając, otworzył drzwi i wszedł.

Zastał młodą parę w kuchni. Andrzej stał przy piecu i dmuchał w ogień, by ugotować polentę<sup>362</sup>. Marysia siedziała cicho i obojętnie na łóżku pod ścianą, jeszcze owinięta w płaszcz, w którym odbyła daleką drogę, jakby nie była wcale w swoim domu i nigdy już nie miała zaznać szczęścia przebywania przy ognisku domowym. Gdy ksiądz wszedł, mówiąc „dobry wieczór”, zadrżała, uczyniła ruch, jakby chciała wstać, lecz opadła z powrotem na łóżko i siedziała skulona, rękami zakrywając twarz i nie mówiąc ani słowa.

— Marysiu, czy mnie nie poznajesz?

Skinęła szybko głowę.

— Czy nie chcesz mi spojrzeć w twarz? Nie masz zaufania do mnie?

— Nie odpowiadała. Drżała na całym ciele. Ksiądz potrząsnął smutnie głową.

— Andrzeju, wyjdź tymczasem do drugiej izby. Zostaw mnie z Marysią sam na sam. Mam z nią do pomówienia.

Chłopak natychmiast usłuchał, lecz nie wszedł do izby, tylko wyszedł na dwór; było mu za duszno w domu, w którym zaznał tyle zlego.

— A teraz, dziecko moje, wysłuchaj, co ci powiem. Zgrzeszyliście co prawda bardzo, a jeśli wam teraz źle i ciężko, macie to uważać za słuszną karę i pokutę. Ale grzech wasz nie jest tak wielki, izby się nie dało wszystkiego naprawić, zaś od tego, co ci najbardziej

<sup>358</sup> *Gaudete in Domino semper* (łac.) — Radujcie się zawsze w Panu. [przypis redakcyjny]

<sup>359</sup> *kantata* — uroczysty utwór wokalnie-instrumentalny. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *fioritura* — ozdóbka muzyczna. [przypis edytorski]

<sup>361</sup> *mularz* (daw.) — górnik albo poganiacz mułów. [przypis edytorski]

<sup>362</sup> *polenta* — potrawa włoska z mąki kukurydzianej. [przypis edytorski]

dokucza i obciąża twe sumienie, mogę, Bogu dzięki, zwolnić cię, gdyż powiadam i zaświadczam: Andrzej nie jest synem twojej matki, a błogosławieństwo kościoła może z was uczynić chrześcijańskie małżeństwo. Więc pociesz się, podnieś twarz do góry i nie martw mnie i Andrzeja urojeniami, które tylko zło zwiększają, a złego ducha zachęcają, by tym silniej psował duszę twoją.

Spodziewał się, że po tych słowach kobieta uspokoi się i zacznie wreszcie mówić. Lecz siedziała nieruchomo, jakby jego słowa nie odnosiły się do niej. Przybliżył się jeszcze bardziej i oderwał od jej twarzy zimne i wilgotne ręce. Ujrzał, że jej miękkie, niemal dziecięce rysy w tych kilku miesiącach wielce się zmieniły. Miała oczy mocno zamknięte, brwi zmarszczone, usta na wpół otwarte, zaś blade policzki nagle zalała mocna czerwień, gdy ksiądz oderwał od twarzy ręce.

Patrzył na nią z głęboką litością.

— Rzeknij słowo — powiedział z naciskiem. — Nie mogę ci pomóc, gdy nie wiem, co ci dolega. Czy ci nie wystarcza, jeśli cię zapewniam, że Andrzej nie jest twoim bratem?

Potrząsnęła silnie głową i otworzyła oczy. Miały one tak dziki wyraz, że przeraził się.

— Wiem to lepiej — rzekła głucho. — Matka mi powiedziała, że ocyganiła wszystkich, księży, urzędy, wszystkich. Ale Pana Boga nikt nie może ocyganić. Gdzie jest matka Andrzeja, dlaczego mu nie pomaga teraz, gdy się znalazł w takim położeniu? Ja wiem lepiej! Nikt nam nie pomoże, nikt nas nie połączy, tylko śmierć, a teraz idźcie, księżo, i zostawcie mnie samą. Muszę, co prawda, najpierw dziecko...

Zatrzymała się; znowu zadrżała na całym ciele i zamknęła oczy; nagle uspokoiła się, jakby nad czymś przemyśliwała.

— Więc to prawda? Mam pójść z nim do kościoła, a wy, księżo, dacie nam błogosławieństwo? Tak, gdyby to było możliwe, byłoby to bardzo pięknie. Ale ja wiem lepiej, wy wszyscy jesteście ocyganieni, bo gdyby nadeszła ta chwila, w której zapytają, czy protestuje kto przeciw temu, by Andrzej i Marysia połączyli się ślubem małżeńskim — wtedy z pewnością świętej pamięci matka moja pojawiłaby się u ołtarza i rzekłaby ze śmiechem, że was wszystkich ocyganiła i że księdzu nie wolno udzielić błogosławieństwa. Tak się stanie. Ja wiem lepiej!

— Maryś — rzekł wikary głośno — jesteś poczciwą kobietą, ale cała twoja gadanina jest omamieniem złego ducha, by cię skusić do jeszcze większych grzechów. Czy ci nie wystarcza, jeśli ci powiem, że wiem, kto jest ojcem i matką Andrzeja, zaś nie wolno mi tego wyjawiać, bo mi zakazali ci, którym winien jestem posłuszeństwo?

Spojrzała nań nagle wielkimi oczyma, nie mówiąc ani słowa. Ale w jej twarzy był taki ból, że wstrząsnął nim głęboko: musiał się odwrócić, by się opanować. Nagle poczęła śmiać się cicho a ironicznie.

— Tak jest, ksiądz nie śmie mi spojrzeć w twarz, wszystko to jest wymyślone, bym znowu stała się spokojna i wesoła; Andrzej prosił księdza o to, jemu to tak uciska serce... Ale czy można nam w ogóle pomóc? Gdyby ksiądz znał naprawdę jego rodziców, poszedłby do nich i powiedział: wytykają palcami Marysię i Andrzeja, bo ludzie utrzymują, że są bratem i siostrą, a będą mieli dziecko... Ale wy, księżo, nie możecie tego powiedzieć rodzicom Andrzeja, bo gdzie oni są? Matkę znam, powiedziała mi to we śnie, mnie nikt nie ocygani, ja wiem to lepiej...

Ksiądz nie mógł się dłużej powstrzymać.

— Słuchaj! — rzekł i przystąpił do łóżka. — Nie mogę zmieścić tych biednych słów, zatem powiem ci, co wiem, a co jest tak prawdziwe, jak prawdą jest, że w niebie mieszka miłosierny Bóg. Ale ślubuj mi wprzód na twą biedną duszę, że nigdy nie powiesz nikomu, a zwłaszcza Andrzejowi, tego, co ci powierzę wbrew memu obowiązkowi i posłuszeństwu. Czy ślubujesz, że zatrzymasz przy sobie wszystko?

Skinęła trzy razy głową, a w oczach jej przez chwilę błysnęła iskierka nadziei.

— Widzisz, dziecko — zaczął ksiądz — Andrzejowi to jest niepotrzebne; on nie ma wątpliwości, sumienie go nie dręczy i bez lęku zaprowadziłby cię do kościoła. Myślę też, że wtedy siedziałaby w gronie innych parafian i jego matka i po cichu modliłaby się o błogosławieństwo dla was, lecz nie byłby to duch Marii Ingram, twojej biednej matki, lecz... zbliżył swe usta do jej ucha — byłaby to ciotka Róży, Anna Hirzer, która go do chrztu trzymała...

Prawda, Matka, Tajemnica

Wypowiedział te słowa szeptem, szybko i jakby przerażony tym, co powiedział, rozejrzał się po izbie, czy też kto trzeci tego nie słyszał. Młoda kobieta siedziała cicho i apatycznie, jak by wyjawienie tej tajemnicy żadnego wrażenia na niej nie wywarło.

— A teraz, gdy wiesz tyle, dowiedz się, jak to wszystko się stało, gdyż inaczej sądziłabyś, że i to jest ułudą. Wiesz przecież, że twoja matka przyniosła małego Andrzeja z polonin. Tam go urodziła Anna Hirzer. Rok przedtem przybył z Niemiec do Innsbrucku obcy oficer; odbył on kampanię przeciw Napoleonowi<sup>363</sup>, a gdy rany jego się wygoiły, posłali go lekarze do Tyrolu, gdyż powietrze mu w jego ojczyźnie nie służyło i potrzebował dłuższego, krzepiącego wypoczynku. Razu pewnego ujrzał w Innsbrucku na ulicy Annę Hirzer; wkrótce się zaznajomili i pokochali; on był szlacheckim i rycerskim człowiekiem, a przy tym upartym; co sobie postanowił, to musiało się stać. Pamiętasz, że i Andrzej od małości był taki uparciuch? Ale sprawa ta nie była wcale łatwa... Bo oficer ten... Czy ty słuchasz, Marysiu, co ja mówię?

Skinęła głową i podniosła do góry ręce, jakby prosząc go, by się nie dziwił jej wyrazowi twarzy, lecz dalej opowiadał.

— Uważasz więc, oficer ten był dzielnym człowiekiem, szlacheckiego stanu, bogaty. Chciał też Annę poślubić. Lecz był to luteranin i nie chciał uznać naszego świętego Kościoła. Anna płakała dniami i nocami, widząc, że jest potępiony, a nie można mu pomóc. A gdy spostrzegła, że jej prośby i modły nie pomagają, poszła do swego spowiednika; ten poradził jej, by ofiarowała swe serce Bogu i uciekła przed tym, który ją kusi. A że była wielce pobożna, usłuchała; tajemnie opuściła Innsbruck, tak że narzeczony dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy już wróciła do Goyen, do brata. Ten ją bardzo pochwalił, że raczej uciekła, niż przyczyniła się do zgorzenia; boć przecie wiesz, że Kirzerowie zawsze byli gorliwymi katolikami, a Józef mawiał, że raczej wolałby stracić prawą rękę niż postradać dla tych kacerzy<sup>364</sup> i antychrystów kogoś z rodziny. Anna jednak nie mogła przeboleć utraty kochanka, po krótkim czasie przybladła i zmizerniała, przestała się odżywiać; miałem wrażenie, że zgaśnie jak lampa, do której się nie dolewa oliwy. Zbyt pokochała obcego i Bóg wie, co bym był dał, gdybym ich mógł połączyć. Wtedy też wiele o tym wypadku rozprawiałem z księdzem dziekanem, ale zawsze rozбивało się o to, że przecie i ich dzieci byłyby potępione, a tego nie chciałyby też i Anna. Minęło kilka dni, gdy pewnego ranka przychodzi do mnie Józef Hirzer i mówi mi, czerwony ze złości i zmartwienia, że narzeczony przyjechał w nasze okolice i mieszka na zamku Trautmannsdorf<sup>365</sup>, gdyż jest przyjacielem hrabiego. Cóż więc czynić?... Idę znowu do dziekana i znowu otrzymuję tę samą odpowiedź; idę potem do Anny, a wreszcie do cudzoziemca — do końca życia będę o tym pamiętał, ile mnie to potu i mordęgi kosztowało! Ale gdy się tak trudziłem i byłem niemal przekonany, że ten oficer, który zresztą zachowywał się wobec mnie z wielką czolobitnością i uprzejmością, stanie się wreszcie wiernym synem naszego Kościoła — dowiaduję się, że śmiały ten człowiek nocną porą zakrada się do zamku Hirzerów i mimo czujności Józefa widuje się ze swą ukochaną. Przez cztery tygodnie trwały te nocne schadzki. Lecz pewnego razu o świcie, gdy opuszczał izdebkę swej kochanki oknem — obok rosła wysoka sosna, po której się zawsze wdrapywał i zląził — ujrzał go przypadkowo Józef, który tego ranka wcześniej niż zwykle wstał. Zaczęła się dzika walka między nimi, a Anna widziała z okien, jak brat wreszcie zmógł jej kochanka i deptał nogami. Obcy runął o skałę i zranił się tak ciężko, że leżał najpierw nieruchomo przez dłuższy czas, a potem z trudem dowlókl się do Trautmannsdorf. Hrabia kazał go odwieźć do Wenecji<sup>366</sup>, a po trzech tygodniach nadeszła wiadomość, że umarł...

Wikary zamilkł na chwilę, wyjął z puszeki brzozonej szczyptę tabaki i mówił dalej:

— Pokój jego duszy! Był to wytworny i szlachezny kawaler, a postać miał wysoką i piękną. Andrzej jest do niego zupełnie podobny, tylko że jest niższy i ma oczy matki. Przemysliwałem tedy długo, dlaczego też między ludźmi mają być różne wiary i dlaczego jeden ma żyć w potępieniu, a drugi w oświeceniu i łasce. Ale Bóg tak ustanowił, a my,

Miłość, Śmierć, Kochanek,  
Religia, Walka

<sup>363</sup>*Bonaparte, Napoleon* (1769–1821) — francuski mąż stanu, dowódca wojskowy i przywódca polityczny. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>*kacierz* (daw.) — heretyk. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>*Trautmannsdorf* — zamek w Merano. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>*Wenecja* — miasto i gmina na północy Włoch nad Adriatykiem, stolica regionu Wenecja Euganejska. [przypis edytorski]

krótkowzroczni ludzie, musimy się z tym pogodzić... Ja sam musiałem powiedzieć Annie o smutnej wiadomości z Wenecji. To była ciężka droga, córko moja! Lecz potem u Hirzerów było cicho i spokojnie. Józef i Anna nie powiedzieli złego słowa, gdyż oboje mieli sobie wiele do wybaczenia. A gdy przyszło lato, Anna wyjechała rzekomo do Bolzano, naprawdę zaś udała się na połoniny do twej matki, gdyż prócz nas pięciorga nikt nie był wtajemniczony. Nawet na zamku w Trautmannsdorf nie wiadano, do kogo oficer nocą chodził w odwiedziny. A gdy potem było po wszystkim, a matka twoja z połonin sprowadziła w dom chłopaka, Anna sporządziła testament i połowę swego majątku zapisała kościołowi w Meranie, drugą połowę kościołowi w Innsbrucku, w którym to mieście poznała swego narzeczonego, i ufundowała pewną ilość mszy rocznie za duszę zmarłego, by się Pan Bóg nad nim ulitował i przyjął go do łaski swej. Tak więc to się wszystko stało i nie da się więcej zmienić, i lepiej jest nie tykać tego, niech spoczywają te dawne zajścia w pyłe zapomnienia. Również nie wypada, by Andrzej kwestionował testament i chciał pozbawiać duszę swego ojca łaski Kościoła. Jest więc dla niego lepiej, jeśli się nigdy nie dowie o swym ojcu i matce, tym bardziej że wcale nie pożąda tego. Ty jednak, córo moja, pamiętać będziesz, coś mi ślubowała, a wtedy Matka Boska wstawi się za tobą, by wam grzechy były darowane i byście wiedli spokojne, bogobojne życie po tylu ciężkich próbach. Amen.

Ostatnie słowa wypowiedział uroczystym, podniesionym głosem. Czekał teraz, czy zapyta go lub będzie miała jeszcze jakie zastrzeżenie. Lecz Marysia siedziała na łóżku cicho, z zamkniętymi oczyma, głowę oparła o ścianę, a ręce złożyła na kolanach. Z twarzy jej znikł wyraz lęku, czoło wygładziło się, pierś falowała spokojnie. Po chwili głowa jej opadła na ramię. Opowiadanie wikarego ukołysało ją jak piosnka matczyna, śpiewana niemowlęciu; po mękach i trudach ostatnich dni po raz pierwszy zapadła w głęboki sen...

Wikary powstał, a na twarzy jego malowało się zakłopotanie; nie spodziewał się takiego skutku swej przemowy! Teraz dopiero poczuł pewne wątpliwości, czy właściwe było powierzać tajemnicę tej biednej, widocznie nie całkiem za swe myśli odpowiedzialnej istocie. Tym bardziej że nie złożyła nawet ślubowania, iż wszystko zachowa przy sobie; na wszystko przytakiwała tylko głową, a ani słowa nie rzekła. Ale co się stało, to się odstać nie może — pomyślał ksiądz — a zyskał przynajmniej to, że zasnęła i na razie nic jej nie grozi. Zaś jutro się zobaczy, co dalej...

Cicho odstąpił od łóżka i wyszedł z izby. Andrzej siedział jeszcze na ławce, lecz nie wstał na widok księdza. Również i on, wiedząc, że biedna jego żona jest tam pod opieką wikarego, przemęczony, zasnął.

O tej samej godzinie na zamku Goyen nikt nie myślał o śnie. Późnym wieczorem przybył ze wsi Tyrol chłopak do Franka i powiedział mu nowinę o powrocie obojga zbiegów i o tym, w jakim stanie Marysia się znajduje... Ludzie — opowiadał — są oburzeni, powszechnie mówią, że tego przecież ścierpieć nie wolno, duchowieństwo winno wkroczyć, takie bezeczeństwo powinno ogniem i mieczem być wytępione, by po wieki dać wszystkim odstraszący przykład.

Franek był w bardzo kiepskim humorze, gdy go doszła ta nowina. Właśnie wrócił do domu po gwałtownej sprzeczce z młodą wdową, a swoją przyszłą żoną; a że mu zawsze w takich wypadkach schodzone z drogi, chętnie uczeplił się nowej okazji, by wyładować swą złość. Wszedł do pokoju, w którym ojciec siedział przy butelce, trzymając starą gazetę w rękach, a ciotka i Róża przędły na kołowrotku, i począł najordynarniejszymi wyrazami opowiadać o powrocie tych dwojga włóczęgów, przynoszących wstyd całej okolicy. Nikt nie odpowiedział mu ani słowem. Z wielką satysfakcją dostrzegł, że ciotka nagle zbladła i padła w ramiona Róży. „Zawsze — pomyślał — ujmowałaś się za Andrzejem, a teraz dożyjesz tego, że marnie zginie!” Powiedział szyderczo „dobranoc” i wyszedł z pokoju. Natychmiast pobiegł do miasta, by tam w szynku pić całą noc.

W sali pałacowej przez kwadrans panowało milczenie. Ciotka modliła się. Róża siedziała w głębokim zamyśleniu, ojciec patrzył wciąż w jedno miejsce na gazecie i puszczał z fajki gęste kłęby dymu. Wreszcie wstał, kilkakrotnie stuknął drewnianą fajeczką o podszewkę buta i zbadał, czy po usunięciu popiołu fajka przepuszcza powietrze.

Grzech, Hańba, Gniew,  
Zemsta

— Idź, Rózo, spać! — rzekł wreszcie.

Gdy pozostał w pokoju tylko z Anną, przystąpił do niej i rzekł:

— Daj pokój tym modłom! Modlitwami nie można usunąć, co komu diabeł naniósł! Słyszałaś, że ten włóczęga wrócił. Może wpadł na ślad, w jaki sposób przyszedł na świat, i chce narobić krzyku, by się wylabudać<sup>367</sup> z biedy, w którą popadł z Marysią. Ale ja ci powiadam: progu mego nie wolno mu przekroczyć, ani jemu, ani tej dziewczce. Nie po to przez czterdzieści lat pilnowałem honoru naszego rodu, by taki luterański znalazł wcisnął się do nas i rodzoną siostrę Józefa Hirzera na stare lata zniesławił. Jeśli wszystkie twoje modlitwy po to tylko służyły, by cię po dwudziestu latach wystawić na pośmiewisko ludzi, to raczej wolałbym, byś...

Przełknął przekleństwo, które już miał na języku. Spojrzała mu bowiem prosto w twarz, a oczy jej miały taki wyraz powagi i dumy, że się pohamował.

— No, dobrze już — mówił łagodniejszym tonem — nie potrzebujemy wiele słów tracić, sama wiesz, co by się stało, gdybyś nie postępowała teraz rozsądnie. Każę jutro rano zaprząć i zawiozę cię do naszych krewnych w Lana; tam pozostaniesz, aż się tu wszystko załatwi. Myślę, że to długo nie potrwa. Sięgnę do kieszeni i zaproponuję mu odstępnę, jeśli się zobowiąże pójść w świat i nigdy nie wrócić. Można by też odkupić od niego domek z całym dobytkiem i dodać mu dziewczkę, w ten sposób pozbylibyśmy się ich obojga. Zastanowię się jeszcze, czasu jest dość, odwiozę cię, lecz jutro w południe wrócę i porozumiem się z wikarym; ten ma największy wpływ na tego szaleńca. Ale jeśli, siostró, postąpisz wbrew mej woli, powiadam ci: wszystko zrobię, by nie wypłacić ani centa, choćbym się miał procesować do samej śmierci. A teraz wiesz, bądź zatem mądra, nie wtrącaj się do niczego i nie szukaj żadnych wybiegów. Bo to wszystko nadaremne. Na to mogę ci przysiąc!

Wyszedł z pokoju, nie czekając odpowiedzi, i poszedł do piwnicy, by wziąć jakiś mocny środek nasenny, którego zaprawdę mimo twardego i pewnego tonu swych słów bardzo potrzebował.

Róża weszła z powrotem do pokoju i spojrzała na ciotkę zaleknionymi, zapłakanymi oczyma.

— Chodź — rzekła stara — pójdziemy do mojej izby. Mam ci coś do powiedzenia.

Wstała spokojnie, a ręka jej, trzymająca świecę, nie drżała. Gdy brat wyjawiał jej swoje zamiary, również i w niej dojrzał nieubłagany i niezmienny zamiar. I ona pochodziła z Hirzerów! Brat o tym dobrze wiedział... Toteż mimo pewności, jaką na zewnątrz objawiał, przeczuwał, że tak łatwo sprawa nie pójdzie. Tak spojrzała nań tylko raz w życiu: wtedy mianowicie, gdy spotkał ją po nocnej walce z jej kochankiem...

Środek nasenny, którego zażył obficie, działał wybornie. Gdy w Meranie dzwony wydzwaniały mszę poranną, pan zamku Goyen leżał jeszcze w głębokim śnie; nie słyszał też, gdy pies podwórzowy radośnie zaszczekał i szarpnął swe łańcuchy. Również i Franek nie mógł tego słyszeć, spędził noc na pijatyce w Meranie. Zatem obie kobiety niepostrzeżenie zeszły w ciemnych strojach niedzielnych po drewnianych schodach i w milczeniu poszły ku miastu w mglisty poranek zimowy.

Nie spały przez całą noc. Stara opowiedziała Róży wszystko, co ta dotychczas tylko niejasno przeczuwała lub sobie wykombinować mogła z podchwyconych odezwań i słów ojca, zwłaszcza gdy był pijany. Anna otworzyła skrytkę w wielkiej szafie ściennej; po raz pierwszy stare listy i mały portrecik zmarłego dotarły do innych oczu prócz jej jednej, która przez dziesiątki lat nie przestawała nad tymi pamiątkami płakać. Tylko tej nocy nie padła ani jedna łza; oczy te błyszczały teraz odwagą, twarz dziwnie odmłodziła, policzki zakraśniały; chód Anny stał się żwawy i elastyczny, tak że Róża musiała przyspieszać kroku, by zrównać się z ciotką.

Mgły snuły się po górach. Obie kobiety kroczyły przez nie i widziały tylko wyblaskujący szczyt Küchelbergu i ruiny starego zamku Zeno<sup>368</sup>. Wciąż jeszcze dźwięczały dzwony kościelne, zaś dźwięki te mieszały się z poszumem rzeki; z prawej i lewej strony na ścieżynach słyhać było rozmowy ludzi, spieszących do kościoła, a niewidocznych we mgle; wciąż w rozmowach tych powtarzały się dwa nazwiska... Na dole, na kamiennym moście,

<sup>367</sup>wylabudać się (daw.) — wydostać się, wyzwolić się. [przypis edytorski]

<sup>368</sup>Zeno a. Castel San Zeno, a. Zenoburg — zamek w Merano. [przypis edytorski]

Szantaż

Matka, Prawda, Odwaga



moc było mężczyzn i kobiet; wszyscy kłaniali się z głębokim szacunkiem, gdy z niezwykłym pośpiechem przechodziła Anna Hirzer. Wszyscy też mocno się zdziwili, gdy nie poszła jak zwykle na lewo przez bramę miejską w stronę kościoła, lecz skierowała się na prawo na stromą drożynę, pnącą się ku Küchelbergowi. Wielu poszło za nią, jakby tam w górze szykowało się jakieś widowisko. Wszak szła tam osoba święta, Anna Hirzer, matka chrzestna Andrzeja... Co ona ma do powiedzenia tej zbłąkanej parze, która w hańbie i grzechu wróciła? Czy chce swą świętobliwością obronić grzeszników przed duchownym i świeckim sądem czy też sama wyrzec nad nimi słowo potępienia?

Tak szeptali mężczyźni i kobiety. Lecz Anna nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo, odpowiadała na powitania zaledwie lekkim skinieniem głowy, szła kamienistą drogą w górę, jakby była już sama duchem, nieczującym ziemskich dolegliwości i niezważającym na słowa ludzkie. Tuż za nią szła Róża z cichą i smutną twarzą, do której wszyscy już przywykli. Tylko dziś twarz ta była blada, tak że kobiety pokazywały ją sobie, kiwając z litością głową. Natomiast twarz starej była dziś dziwnie świeża i zaróżowiona. Anna nie przysiadła się też w połowie drogi na ławce, znajdującej się tam gwoli wypoczynku dla zmęczonych wędrowców. Jakby gnało ją przecucie, że ani minuty nie ma do stracenia.

I rzeczywiście nad ranem zebrały się chmury nad małym domkiem na Küchelbergu. Około północy Andrzej obudził się na ławce pod drzwiami; ziąb go przebudził. Zakradł się cichaczem do izby i, ujrawszy swą biedną żonę, spokojnie śpiącą na łóżku, położył się koło pieca, by wypocząć kilka godzin. Gdy z ciężkich snów obudziły go bladawe mgły poranne, zacierające przez okna, usłyszał głosy ze dworu i ujrzał postaci, zaglądale przez szyby do izdebki. Zza drzwi, które na szczęście w nocy zarygłował, doleciały go pojedyncze wyrazy, niepozostawiające żadnych wątpliwości co do zamiarów tych ludzi. Gdyby zaś był mógł poprzez mgłę dojrzeć, co się działo na drogach i w ogrodach, włosy zjeżyłyby mu się na głowie.

Tam bowiem zebrała się niemal połowa mieszkańców okolicznych wsi, Tyrolu, Gratsch, Algundu, którymi dnia poprzedniego z Marysą przechodził. Czego tu szukali i dlaczego stali, gapiąc się na dom, nikt właściwie nie wiedział. Wszyscy mieli niejasne przecucie, że coś niezwykłego stać się musi z tym dwojgiem ludzi, którzy dopuścili się tak niesłychanego grzechu; niektórych sprowadziła tu ciekawość, jak się też zachowają władze wobec takiej zbrodni; tylko bardzo niewielu było takich, którzy tu przyszli, powodowani litością.

Toteż słyhać było między zgromadzonym tłumem tylko ponure słowa i widać było surowe twarze. Z Meranu przybyło wielu mieszczan, a także pokaźna liczba żołnierzy, którzy nie zapomnieli awantury Andrzeja z ich włoskim kolegą. Im dłużej dzwony kościelne rozbrzmiewały, tym liczniejsze rzesze ludu płynęły ku chatce Andrzeja. Bo w tych okolicach niejedna krwawa zbrodnia i występki okropny z biegiem lat się przydarzyły, lecz nikt sobie nie mógł przypomnieć, by kiedykolwiek popełniono taki grzech śmiertelny i to w dodatku tak jawnie i bezczelnie okazywany wszem wobec.

Gdy pomruk ludu stale rósł i nikt nie wiedział jeszcze, co się tu niebawem stanie, usłyszano nagle ostry głos:

— Wyłamać drzwi! Rękami go wywlokę, łajdaka! Rozerwę w kawałki nędznika! Szczepnąć musi, przysięgam, jakem Franek Hirzer, czterema końmi go trzeba rozerwać i każdą ćwiartkę z osobna rzucić do rzeki! To mu się należy, temu pomiotowi szatańskiemu, a kto się sprzeciwia, będzie miał ze mną do czynienia.

Głęboka cisza zaległa wśród zebranych. Wszyscy skierowali zaciekawione oczy na drogę, którą szedł Franek w towarzystwie dwóch kompanów całonocnej pijatyki. Był bez kapelusza, twarz miał mocno zaczerwienioną, ale w chodzie i postawie nie było znać pijaństwa. Nienawiść i poczucie, że przemawia w imieniu wielkiego tłumu, że jest mścicielem zbrodni — otrzeźwiły go.

Andrzej słyszał te słowa, a po chwili burzliwe, namiętne ryki z tysiąca piersi, nawoływania i przekleństwa, mające być zachętą dla wykonawcy samosądu. Słyszał, że fala tłumu zbliża się coraz bardziej, i ogarnął go strach śmiertelny. Własne życie byłby poświęcił; świat był dlań przecież wrogi od dzieciństwa. Ale ta biedna, młoda istota, wypoczywająca tu po tyłu mękach i nieprzezwyciężająca nic złego — jakże ma ją ratować, jak przeszkodzić, by nie poniosła z jego winy męczeńskiej śmierci? Czy wyjść, poświęcić się, wziąć całą winę na siebie? Ale kto go zechce wysłuchać, kto uwierzy, choćby się powołał na świa-

dectwo swego duchownego opiekuna? Musi jednak spróbować na wszelki wypadek, gdyż zgiełk na dworze rósł z każdą chwilą. Słyszał teraz, że dawny jego kolega, Jaś, przemawia do tłumu i usiłuje osłabić wrażenie słów Franka. Należy czekać — mówił — aż władze coś postanowią, trzeba wezwać księdza dziekana lub wikarego, który był spowiednikiem czarnej Marysi, bo coś tu jest nie w porządku, a sądy to wykażą... A potem słychać było znowu głośne krzyki Franka i ryki włoskich żołnierzy, i wołania starszyny o spokój, i głośne biadania kobiet, i hen, w głąb, pomruk oburzonego tłumu, miotanego ślepią namiętnością.

Andrzej zrozumiał, że jest stracony. Pomyślał, czy nie należałoby obudzić Marysi, zdjęć ze ściany sztucer i zastrzelić ją i siebie, by ją uchronić przed okrutniejszą śmiercią...

Nagle na dworze ucichło. Słyszał kilka głosów, nawołujących do milczenia. Tylko Franek jeszcze krzyczał. Lecz i jego głos nagle zamilkł i Andrzej usłyszał łagodny, lecz stanowczy głos ciotki Anny, rozbrzmiewający w odległości kilku kroków od chaty.

— Wstydz się, Franku, w świętą niedzielę tu się awanturujesz i klniesz, i podżegasz ludzi, którzy sami nie wiedzą, czego chcą. Idź natychmiast do domu i przebierz się w niedzielny strój, a potem zejdź do kościoła i módl się na klęczkach, by ci Pan nasz grzechów twych ciężej nie policzył niż Andrzejowi i Marysi tam w izbie, których, nędzna istoto, chcesz karać, jak gdybyś ty był sędzią, a nie takim samym grzesznym, niedoskonałym człowiekiem jak my wszyscy. Ustąp mi z drogi! — rzekła podniesionym głosem — a wy wszyscy idźcie sobie swoją drogą! Bo tylko ja mam prawo zapukać do drzwi tego domu, w którym znajduje się *mój* syn, którego wśród boleści urodziłam i do którego przez długie lata się nie przyznawałam, bo byłam słabą kobietą i lękałam się hańby przed światem. Teraz jednak powiadam i zaświadczam przed obliczem Boga Ojca i Syna, i Ducha Świętego, i wobec wszystkich, którzy tu są zebrani: Mój on jest, a kto go chce oskarżać lub zhańbić, niech mnie oskarża, bo ja zawiniłam, jeśli popadł w niedolę; bo ja nie dopilnowałam go, jak matka pilnować winna swego dziecka, lecz oddałam obcej kobiecie, która go kochać nie mogła! Teraz wiecie wszystko, więc zejdźcie do kościoła i módlcie się za mnie, wielką grzesznicę, którą uważaliście za bogobojną i uczciwą, a która spomiędzy wszystkich kobiet będzie najnędzniejszą i godną największej pogardy, jeśli się Bóg nie ulituje i nie objawi swej łaski wobec mojej skruchy i cierpienia.

Gdy to wypowiedziała, zapanowała dokoła cisza, nikt nie ruszył się z miejsca z wyjątkiem Franka, który cofnął się zmieszany i znikł w tłumie.

Anna zapukała do drzwi domu, które się natychmiast otworzyły. Na progu stał Andrzej. Ujrzał oczy matki, skierowane w niego, ujrzał łzy w tych oczach, ujrzał, że się pod nią kolana ugięły, gdy chciała postąpić o krok; byłaby przed nim upadła, gdyby jej nie otoczył swymi ramionami i mocno nie przytrzymał, tak iż mogła na jego piersi się wypłakać...

Teraz tłum się ruszył; szepcząc, starsi gospodarze poczuli zwracać swe kroki w stronę drogi, kobiety przyciskały chustki do oczu. Wielu pozostało i wpatrywało się w otwarte drzwi, za którymi znikła matka z synem.

Niedługo trwało, a znowu stanęli we drzwiach, matka w środku, Andrzej po prawicy, Marysia po lewej stronie. Trzymali się za ręce, nie mówili ze sobą, spoglądali jeno milcząco przed siebie. Gdy Marysia ujrzała na dworze Różę, puściła rękę matki i rzuciła się na szyję swej przyjaciółki. Potem we czworo poszli drogą, wiodącą do miasta. Milczący tłum ruszył za nimi.

Na dole, przed kościołem, rozstąpiły się przed nimi tłumy. Już wieść dotarła do miasta. Wszędzie, przed drzwiami, w oknach, stali ludzie, by ujrzeć Annę Hirzer, bogobojną pannę, która prowadziła swego syna, by go pokazać całemu miastu, jako grzesznica wielka, dopraszająca się miłosierdzia boskiego w większym stopniu niż niejedna kobieta, która ją uważała za świątobliwą istotę.

W godzinę potem, gdy wydzwoniono na dwunastówkę, klęczała matka z obojgiem dzieci całkiem na przodzie, na zimnej posadzce. Wikary z ołtarza widział ją dobrze. Głos jego drżał, gdy mówił pierwsze słowa. Głos ten dźwięczał coraz pełniej i radośniej; a gdy organy zagrały, spojrzął w górę, jak by błagał o łaskę nieba dla pochylonej na kamiennej posadzce siwej głowy i obu młodych postaci po jej bokach.

# Wdowa z Pizy

— Zdaje mi się, że pan zbyt pochlebnie ocenia kobiety włoskie.

— Jak to? — spytałem.

— Czytałem kilka nowel pańskich. Przyzna pan, że nie ma tyle Arrabbiat<sup>369</sup> i Gemm<sup>370</sup> na Południu, jak to pan usiłuje wmówić w uległego czytelnika. Prawdę powiedziawszy, są to twory pańskiej fantazji i studia na temat rzeczywistości.

— Na temat stworzeń boskich, a wątpię, czy Bóg jest zadowolony z mego opracowania swych tematów.

— Mniejsza z tym! Nie zaprzeczy pan jednak, że wyszukujesz z rozmysłem najlepsze egzemplarze i dlatego nie wolno panu żalić się, gdy zwą pana idealistą.

— Żalić się? Skądże? Towarzystwo to jest tak doborowe, że radując się, gdy mnie w nim tolerują. Zwierzę się panu w zaufaniu, drogi sąsiedzie, że szkicować mogę tylko te postacie, które mnie czymś pociągają, zwłaszcza muszę być trochę zakochany w kobiecie, którą przedstawiam. Po cóż miałbym zresztą zajmować się w poezji tematem, który mnie odręca w powszednim życiu lub jest mi obojętny? Mnóstwo pisarzy maluje zło i brzydotę. Każdy robi to, co mu odpowiada.

— Piękne to, a nawet może słuszne. Nie znam się na tych sprawach. Słyszałem, że poezja ma odzwierciedlać życie, a życie ma przecież swą stronę odwrotną. Prawda wymaga światła i cienia. Czyż nie jest przeto obowiązkiem pańskim malować w imię prawdy również i mniej dodatnie postacie, których pełno w pięknej Italii?

— Oczywiście, wówczas gdy mi wypadnie pisać książkę o charakterze narodowym Włochów. Ale ja spisuję tylko opowieści. Jeśli wybieram strony świetlane, to wprowadzam tylko w błąd ludzi, którzy tego chcą. Zwróciłeś mi pan uwagę na sławetną odwrotną stronę, cóż tedy rozumiesz pan przez to miano?

— Hm... trudno to określić. Jeśli się nie mylę, pociąga pana u tych kobiet naturalna bezpośredniość, niesfalszowana pensjonarskim wychowaniem i nie hamowana szablonem, słowem, pierwotność, rdzenność charakteru.

— Tak jest! — dorzuciłem. — Przy tym szlachetność rasy i bogactwo jej podłoża, które sprawia, że można natury tak silne spokojnie pozostawić samym sobie niż zasadniczo słabsze i uboższe organizacje.

— Zgoda! Przyznam też, że namiętności posiadają tu pewien podniosły styl i najszańsze objawiają się w formie szlachetnej, tak że namiętność główna, a więc płciowa, nielicząca się z położeniem geograficznym, wypowiada się tutaj, przy całym swym komizmie, z pewnym patosem.

— Namiętność główna?

— Oczywiście! Mam na myśli gwałtowne pożądanie zdobycia mężczyzny! Śmieje się pan? Zaręczam, że przestałem się śmiać, od kiedy poczyniłem na ten temat głębsze studia.

— Rad bym posłyszeć!

— Opowiem panu tę przygodę, mimo że nie jest ona materiałem dla idealisty. Muszę tylko poprosić woźnicy naszego o ogień. *Un poco di fuoco, s'il vous plaît, monsieur!*<sup>371</sup>

Rozmowę powyższą wiedliśmy pewnej pogodnej nocy letniej, siedząc w wielkim dyliżansie francuskim, ciągnionym po szerokiej drodze na Mont-Cenis<sup>372</sup> przez parę koni oraz czternaście mułów, biegnących drobnym truchtem. Chociaż niebo było wygwieżdzone, lekka tylko poświata stała się po dolinach, widnych z obu stron gościńca, obsadzonych wyniosłymi kasztanami, tak gęstymi, że musieliśmy zrezygnować z podziwiania krajobrazu. Nie sposób też było zasnąć na dobre, bo poganiacze mułów, biegnący obok zwierząt, strzelali z batów i pokrzykiwali ciągle, a niezliczone dzwonki brzęczały rozgłośnie.

<sup>369</sup>*Arrabbiata* — tytułowa bohaterka noweli, zawartej w tomie *Wesele na Capri. Nowele włoskie*. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>*Gemma* — bohaterka noweli *Wiedźma z korsa*, zawartej w tomie *Wesele na Capri. Nowele włoskie*. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>*Un poco di fuoco, s'il vous plaît, monsieur!* (wł.,fr.) — Proszę pana o ogień, jeśli łaska! [przypis redakcyjny]

<sup>372</sup>*Mont-Cenis* — przełęcz w głównym grzbiecie wododziałowym Alp Zachodnich, w Masywie Mont-Cenis. [przypis edytorski]

Kobieta, Poezja

Podróż, Góry

Niemiecki powieściopisarz był rad z posiadania za towarzysza podróży na wysokości trzech tysięcy stóp nad morzem dobrotliwego krytyka, mimo że różnił się on odeń zapatrywaniem na sztukę. Przebyliśmy już razem spory szmat drogi z Turynu<sup>373</sup> do gór, ale milczeliśmy, każdy w swój kąt wciśnięty. Dopiero gdy wymieniono nazwiska przy obsadzaniu miejsc, przekonaliśmy się, że nie jesteśmy sobie całkiem obcy, i to nas zbliżyło.

— Czy zna pan Pizę<sup>374</sup>? — spytał sąsiad, zatliwszy cygaro od fajki Francuza.

Odrzekłem, że właśnie spędziłem niedawno w tym najcichszym ze wszystkich miast uniwersyteckich dwa tygodnie na studiach.

— A więc musi pan chyba znać osobiście lub ze słyszenia moją wdowę. Przechodziłaś pan zapewne nieraz szeroką ulicą, zwaną Borgo, i widziałeś dom o zielonych żaluzjach, a w takim razie słyszał pan na pewno dolatujący z pierwszego piętra donośny sopran, śpiewający duet z *Normy*<sup>375</sup>: *Ab sin' all'ore, all'ore estreme!*<sup>376</sup>

Zaprzeczyłem.

— Złóż pan gorące dzięki Stwórcy! — powiedział z głębokim westchnieniem, dobywającym się z uciśnionej piersi. — Wiedz pan, że głos ten stał się zgubą moją! Jestem, niestety, zgoła niemuzyczny, inaczej byłby mnie on odstraszył, miast przywabić. Nałaziłem się po rozmaitych brudnych mieszkaniach studenckich, szukając stancji<sup>377</sup>, i nie mogłem nic znaleźć, bo semestr się dawno zaczął i co lepsze było już wynajęte. Nagle ujrzałem na porządnym domu ogłoszenie i usłyszałem głos kobiecy, nucący na pierwszym piętrze. Pojmiesz pan, że nawet lepszemu ode mnie muzykusowi<sup>378</sup> wydałby się on głosem nieba. Ale muszę objaśnić, co mnie przywiodło do Pizy. Otóż, jak pan wie, jestem architektem. Mieszkam w małym, ciasnym reakcyjnym państewku i kocham z obowiązku tę ściślejszą ojczyznę swoją, a w stolicy posiadam, bez przechwałek, sławę jedyne go człowieka, umiejącego zbudować coś poza chlewem na ludzką trzodę lub wielopiętrowym kojcem. Może pan kiedy będzie w N. i zobaczy arsenał, który postawiłem. Siedzą tam pod kluczem nasze rodzime armaty, z paszczami zaszpunktowanymi<sup>379</sup>, by nie mogły strzelać poprzez granicę. Zjednało mi to wdzięczność rodaków, a nawet uznanie dostojnego naszego Serenissimusa<sup>380</sup> i jeśli mu wpadło do głowy otoczyć swe państwo murem podobnym do chińskiego, pewny być mogę, że poleci mi go wykonać. Na razie okazał mi w skromniejszych rozmiarach swą łaskę, wysyłając w naukowej misji do Italii. Trzeba panu wiedzieć, że pośrodku parku naszej stolicy stoi pochyla wieża, będąca wielką atrakcją miasta. Złośliwi twierdzą, że się sama pochylała, gdy staw na karpie, przytykający do zwyczajnej zrazu wieżyczki strażniczej, podmulił grunt. Opinia ta dotknęła srodze naszego władcę. Spytał mnie o zdanie, a ja okazałem się dyplomatą i odparłem, że nie mogę zdecydować i, nie znając Włoch, nie jestem w stanie ocenić, w jakim historycznym związku pozostaje nasza pochyla wieża do podobnych wież Pizy, Modeny<sup>381</sup>, Bolonii<sup>382</sup> i innych. Materiał dla należytej oceny naszego zabytku monumentalnej romantyki dać by mogło jedynie źródłowe zbadanie całej średniowiecznej architektury pochylej. Słowa moje odniosły skutek. Zaraz nazajutrz otrzymałem z kancelarii dworskiej polecenie odbycia naukowej wycieczki do Włoch celem napisania obszernego dzieła na temat pochylej wieży Italii i Niemiec. Przystałem ochoczo, bo podróżować miałem na koszt państwa, a przy tym dopiero co zaręczyłem się i z trudnością by mi przyszło bez takiego rozkazu wyrwać się do ziemi obiecanej, którą poznać winien każdy artysta.

— Daruj pan — wtrąciłem — ale po tym wstępie pańskie argumenty, skierowane przeciw Włoszkom, straciły w mych oczach siłę dowodową. Niemiec, narzeczony, musi zajmować się tylko tym, co koślawe...

— I to z najwyższego rozkazu! — zawołał, wpadając mi w słowo. — Wyobraź pan sobie, upłynął rok, a to czas nie lada, przeto zarówno władca kraju, jak i władczyni mego

<sup>373</sup> *Turyn* — miasto w pln.-zach. Włoszech, stolica regionu Piemont. [przypis edytorski]

<sup>374</sup> *Piza* — miasto we Włoszech, w Toskanii. [przypis edytorski]

<sup>375</sup> *Norma* — dwuaktowa opera tragiczna Vincenza Belliniego (1801–1835). [przypis edytorski]

<sup>376</sup> *Ab sin' all'ore, all'ore estreme!* (wł.) — Ach, aż do końca, do chwili ostatniej! [przypis redakcyjny]

<sup>377</sup> *stancja* — mieszkanie, odnajmowane uczniom lub studentom. [przypis edytorski]

<sup>378</sup> *muzykus* (żart.) — muzyk. [przypis edytorski]

<sup>379</sup> *zaszpunktować* — zatkać wylot. [przypis edytorski]

<sup>380</sup> *Serenissimus* (wł.) — Najjaśniejszy. [przypis edytorski]

<sup>381</sup> *Modena* — miasto i gmina w pln. Włoszech, w regionie Emilia-Romania. [przypis edytorski]

<sup>382</sup> *Bolonia* — miasto w pln. Włoszech, stolica regionu Emilia-Romania. [przypis edytorski]

serca musieli pogodzić się z tym, że w chwilach wolnych zajmują się także czymś, co piękne i proste zarazem. Ale proszę posłuchać, co mi się przydarzyło w Pizie. To miasto zachowałem sobie na koniec. Kampanilę<sup>383</sup> tumu<sup>384</sup> pizańskiego kazałem

schować aż na wety<sup>385</sup>,  
Gdy zjem już talerz zupy i oba kotlety!

Zamierzałem posiedzieć w Pizie ze cztery tygodnie i po sporządzeniu pomiarów napisać kilka rozdziałów dzieła, by prócz cyfr i szkiców móc przedstawić coś do czytania memu pocziwemu Serenissimusowi. Niestety, jak się rzekło, straciłem już nadzieję znalezienia przyzwoitego mieszkania, ale właśnie, gdy m znużony straszliwie pewnego upalnego dnia wałęsał się po Borgo, zobaczyłem kartkę z ogłoszeniem tuż pod oknem, skąd dolatywał śpiew niewieści.

Jak powiadają utalentowani pisarze, tygrysim skokiem rzuciłem się na schody, zapukałem i wyjawilem zasmolonemu kopcuszkowi w kuchni moje rozpaczliwe położenie. Kucharka zmierzyła mnie spojrzeniem od kapelusza do trzewików, potem zaś roześmiała się, potrząsając głową: — Nie... nie! — powiedziała. — Nie ma pokoju! — Jak to? — wrzasnałem. — Wszakże kartka wyraźnie powiada, że na pierwszym piętrze! — Tak, ale nie *per gli uomini*<sup>386</sup> — zawyrokowała, zabierając się do zamykania drzwi. — Co? — zdziwiłem się. — Nie dla ludzi? Czyż cierpliwy Niemiec musi się dopiero zamienić w zwierzę, by dostać w Pizie pokój? — Cha, cha, cha — wybuchnęła śmiechem tak szczerym, że aż się chwiała na nogach. — To nie oznacza zwierzęcia. To znaczy, że nie wynajmuje się pokoju ludziom rodzaju męskiego! — Dodała, że pani jej jest nader obyczajną wdową i przyjmuje tylko kobiety. Zdecydowała się zresztą spytać i pozwoliła mi wejść. Przeprowadziła mnie, śmiejąc się ciągle, przez kuchnię do bardzo czystej komnaty, gdzie stało ogromne, czteroosobowe łóżko z baldachimem, stara komoda i kilka wyplatanych krzesel. Oczy moje spoczęły jednak z największym upodobaniem na wielkim kwadratowym stole pośrodku pokoju, jakby stworzonym właśnie dla rysownika celem rozkładania rysownic i papierów. „Tu musisz zostać! — krzyknęło coś we mnie — choćbyś miał wyprzeć się swej płci i prząść len dla tej Omfali<sup>387</sup>”. Tymczasem umilkła muzyka i śpiew w sąsiednim pokoju, usłyszałem natomiast, że kucharka, chichocząc ciągle, opowiada sprawę swej pani. Zaledwo miałem czas skomponować wzruszającą przemowę, otworzyły się drzwi i stanęła w nich moja wdowa w niezbyt czystym, ale obyczajnie aż pod uszy zapiętym szlafrocisku. Czarne włosy skręcone były w papiloty, a z miny jej wynioskowałem zaraz, że wie już, o co chodzi. Nie mogę zaprzeczyć, że posiadała pewien wdzięk. Co prawda przejawiała niejaką skłonność do tuszy, nos miała wedle mnie nieco za krótki i perkaty, także cera utraciła dużo świeżości, ale jak na wdowę wydała się doskonale zakonserwowana, a oczy jej czarne i duże... no, znajdzie pan sam porównanie, bo wszakże jesteś poetą!

Jednakże wszystkie jej powaby, choćby mogły być uwiecznione na tytułowej karcie mego dzieła, nie tyle mnie pociągały, ile precudny ów stół, toteż nigdy w życiu nie byłem chyba tak wymowny i nigdy tak gorąco nie zwalczałem skrupułów niewieści skromności. Oświadczyłem, że wprawdzie jestem niestety mężczyzną (*persona maschia*<sup>388</sup>... co za trafne wyrażenie, prawda?), ale posiadam w sobie tyle instynktów kobiecych, żem się w wieku chłopięcym uczył robić siatkę, a mistrzynią mą była pewna uroczą damą. Zaręczyłem, że nikt mnie w całej dzielnicy nie zobaczy pijanym, nie będę nawiązywał nieobyczajnych znajomości, a nawet, jeśli tego zażąda, wyrzeknę się palenia. Poza tym zapewniłem, że zapłacę z góry każdą cenę wynajmu.

Słuchała spokojnie, a wzruszające zakłęcia moje zdawały się czynić na niej wrażenie. Odrzekła po chwili, że osobiście nie ma nic przeciw temu, ale jest młodą wdową, a wuj, będący opiekunem jej dzieci, nie życzy sobie, by narażała swą sławę, wynajmując

<sup>383</sup> *kampanila* (archit.) — dzwonnica w formie wysmukłej wieży. [przypis edytorski]

<sup>384</sup> *tum* (archit.) — średniowieczna nazwa katedry lub kolegiaty. [przypis edytorski]

<sup>385</sup> *wety* (daw.) — słodki deser. [przypis edytorski]

<sup>386</sup> *per gli uomini* (wł.) — tu: dla mężczyzn; po włosku *uomo* oznacza również człowieka, stąd nieporozumienie. [przypis edytorski]

<sup>387</sup> *Omfala* a. *Omfale* (mit. gr.) — królowa Lidii, która występuje w mitach o Heraklesie; na jej rozkaz Herakles musiał nosić kobiece stroje i prząść. [przypis edytorski]

<sup>388</sup> *persona maschia* (wł.) — osoba męska; *maschio* po włosku oznacza męczyznę. [przypis edytorski]

niezamieszkałe pokoje panom. Spytałem zaraz o adres owego mądrego starca, ale dowiedziałem się z przerażeniem, że wyjechał właśnie do Florencji<sup>389</sup>, przeto nie sposób wypróbować na nim mej sztuki przekonywania. — Przepadła tedy wszelka nadzieja? — zawołałem z tak szczerą rozpaczą (zerknąwszy przedtem na stół), że serce wdowy, niezbyt zresztą kamienne, zaczęło po trochu topnieć. Kazała mi zjawić się po południu, obiecując, że sprawę rozważy, i poleciła służącej Erminii, by mnie wyprowadziła. Potem skłoniła mi się jak księżna, odprawiająca łaskawie po audiencji ambasadora.

Nietrudno sobie wyobrazić, że z wielkim niepokojem wchłaniałem risotto w owej wzorowej *trattoria*<sup>390</sup> na Lungarno<sup>391</sup>, zwanej „Nettuno”, oraz że wypił dwa razy tyle wina co zazwyczaj. Musiałem nabrać sił, by znieść to, o czym ze strachem tylko myślałem, mianowicie, że mimo tak wspianego stołu w Pizie mógłbym być zmuszony posługiwać się dalej nędznym rusztowaniem z krzesel, kijów i parasola.

Serce biło mi mocno, gdy wstępowałem około trzeciej ponownie po kamiennych stopniach, jak by nie szło o stół, rzecz martwą, ale o samą jego właścicielkę. Ukazała mi się ubrana w czarną suknię, z włosami pięknie ułożonymi i z dosyć uprzejmą miną. Nabrałem niejakię otuchy, toteż przeraziłem się potem niemało, gdy powiedziała, że wobec nieobecności wuja zasięgnęła porady ciotki, która to dama nie mogła zdecydować się na odpowiedzialność za krok tego rodzaju.

Młoda wdowa — powiedziała, spuszczając bardzo umiejętnie swe czarne oczy — w dodatku artystka, w latach kiedy nie można się wyrzec jeszcze szczęścia... Pojmiesz pan, są pewne względy, są obowiązki wobec rodziny... przy tym wuj mój pragnie, bym powtórnie wyszła za mąż... *Galantuomo*<sup>392</sup>, jakim pan jesteś, nie zechcę przecież nastawać na szczęście samotnej niewiasty...

— Przeciwnie! — zawołałem żywo, poglądając na uwodzicielski stół. — Przeciwnie, zachwycony cnotą i zaletami, rad bym dowieść, jak bardzo cenię jej skromność, jak podziwiam i czczę wszystko, co zdobi duszę pani! Tak, ma pani słuszność, zarówno jak czcigodny wujaszek i cioteczka. Istota taka jak pani posiada prawo do szczęścia. Ach, jakże współczuję z mężem, który taki skarb utracił. Jak dawno zmarł?

— Przed dziesięciu miesiącami! — odparła bez wielkiego wzruszenia — udał się do Neapolu<sup>393</sup>, wpadł w ręce brygantów<sup>394</sup> i nie wrócił już. Pokażę panu jego fotografię.

Poprzedzając mnie, poszła do sąsiedniego pokoju, nieco wystawniej urządzonego i będącego czymś niby salon. Był tu fortepian, eleganckie biurko, z pułapu zwisały pstro malowane klatki z ptakami, na ścianach widniały portrety znanych aktorów. W skromnych ramach, otoczony zakurzonym wieńcem wawrzynu, wisiał wizerunek poważnego mężczyzny w średnich latach, którego mi przedstawiła jako zmarłego męża. I tym razem nie wyczytałem w jej twarzy śladu wzruszenia. Kanarki darły się straszliwie, spod sofy wylały mały szpic i zaczął piskliwie szczekać, spoza drzwi dolatywał chichot kucharki, a nadobna dama mówiła przy tym całym rozgwarze o możliwości nowego szczęścia miłosnego. Usiedliśmy na sofie.

Wyraziłem zdumienie, że trwa przez całe dziesięć miesięcy we wdowieństwie, gdy winna by być otoczona konkurentami.

— Jestem wybredna! — odparła. — Zbyt wiele zaznałam szczęścia z mym Carlem, by się narażać na zawód. Miałam kilku konkurentów, nie dalej jak przedwczoraj pewnego hrabiego, ale za młody jest dla mnie, bo liczy dopiero dziesięćnaście lat, gdy ja mam dwadzieścia trzy. Żal mi go było, co prawda, ale nie można przecież wychodzić za każdego, kto oszaleje z miłości!

— Oczywiście! — powiedziałem. — Cóż by pani zresztą poczęła z takim młokosem? Tylko człowiek dojrzały, znający życie, może ocenić panią i zastąpić jej poniekąd poniesioną stratę.

Mężczyzna, Kobieta, Miłość

<sup>389</sup> *Florencja* — miasto w środkowych Włoszech, stolica Toskanii i prowincji Florencja. [przypis edytorski]

<sup>390</sup> *trattoria* (wł.) — restauracja lub gospoda. [przypis edytorski]

<sup>391</sup> *Lungarno* — ulice wzdłuż rzeki Arno. [przypis edytorski]

<sup>392</sup> *galantuomo* (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, dżentelmen. [przypis edytorski]

<sup>393</sup> *Neapol* — miasto w płd. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

<sup>394</sup> *brygant* (z wł. *brigante*) — rozbójnik, bandyta. [przypis edytorski]

— Ach, ci mężczyźni! — westchnęła. — Wszyscy są egoistami. Młodzi tylko zdolni są podziwiać piękno i pożądać go. Starsi są oziębli i niezdolni dać szczęścia!

— Należałoby uczynić próbę! — rzekłem na poły naiwnie, na poły kusząco, bo zmiarkowałem już, jak sprawa stoi, i nabrałem pewności, że pod pewnymi warunkami ciocia cofnęłaby swe weto. Sytuacja wydała mi się komiczna, a poczułem ochotę, by grać dalej rozpoczętą farsę.

— Jakież jest imię twoje, piękna pani? — spytałem.

— Lukrecja! — rzekła, badając mnie oczyma.

— Nadobna Lukrecjo! — zawołałem — może jest to zrządzenie Opatrzności, że znalazłem się właśnie ja na tej kanapie! Włóczyłem się dużo (miałem na myśli wędrówkę po Pizie za mieszkaniem, ona zaś sądziła, że mówię o świecie), ale nie znalazłem nigdzie tego, czego szukałem. Dopiero w tym domu (tu zerknąłem znowu przez otwarte drzwi ku stołowi), tak, nadobna Lukrecjo, dopiero tu uczułem pragnienie, by zostać i podjąć rzecz poważną. Nie znamy się dotąd wzajemnie i nie sposób dziś zaraz decydować o przyszłości! *Chi va piano, va sano.*<sup>395</sup>

— Ale też *lontano*.<sup>396</sup> — dorzuciła. — Pan niebawem wyjedzie zapewne.

— Od pani wyłącznie zależy, jak długo będę oddychał powietrzem Pizy! — powiedziałem z bezczelną dwuznacznością i równie zdradziecko załatwiłem pytanie, czy jestem żonaty, odpowiedzią, że nie, ale najwyżej pół roku jeszcze mam zamiar trwać w stanie kawalerskim. Wówczas przyznała mi się otwarcie, że ma czworo dzieci, para młodszych spędza zazwyczaj cały dzień u ciotki, zaś starsze mieszkają we Florencji, u matki nieboszczyka męża.

— Doskonale! — odrzekłem. — Mam nadzieję, że poznam niebawem te aniołki, a lubię ponad wszystko zwierzęta domowe, dzieci, psy i kanarki.

— Jest pan prawdziwym wyjątkiem! — zauważyła. — Mój Carlo omal nie wyskakiwał ze skóry na krzyk dzieci z towarzyszeniem ćwierkania ptaków oraz ćwiczeniem *solfeggiów*<sup>397</sup>, których nie zaniedbuję. Jest pan zapewne Anglikiem, bo upodobania pańskie są tak oryginalne.

— Jestem tylko Niemcem — powiedziałem — ale i u nas jest sporo ludzi pomyłonych lub takich, którzy gotowi są nimi zostać pod wpływem pięknych oczu kobiecych. Więc mogę chyba, łaskawa pani, dać polecenie, by przyniesiono moje rzeczy z hotelu?

Pytaniu temu towarzyszył pełen czci pocałunek, złożony na rękę pięknej wdowy, po czym wstałem i pożegnałem się tak prędko, jak to było możliwe bez narażenia się na katastrofę. Bowiem gdyby mi przedłożyła kontrakt najmu z warunkiem małżeństwa w pierwszym paragrafie, w proch by się rozpadły wszystkie moje fortele. Wetknąłem kucharce w rękę kilka franków, a w godzinę potem wkroczyłem wraz z całym mym dobytkiem triumfalnie do zdobytej fortecy.

W ciągu kilku pierwszych dni nie doznawałem żadnych skutków podstępów wojennego, nikt mi nie przeszkadzał, a sumienie nie wyrzucało mi niczego. Piękny wróg, wpędzony w pułapkę, poprzestawał na obserwowaniu z daleka. Musiała się przekonać, czy nie zrobiła złego interesu, i rozemnać, kim jest właściwie ów zgoła nieznany przyszły mąż. Niestety, śledztwo wypadło z dniem każdym bardziej na moją korzyść. Starłem się nawet o to. Nie mogła sobie piękna wdowa życzyć cichszego, cierpliwszego i pilniejszego następcy-małżonka, a chociaż były pewne niedomagania odnośnie czułości, to szły one na karb rycerskiej dyskrecji, narzucanej tak bliskim sąsiedztwem. Wróciwszy z pomiarów kampanili, stawałem u wiadomego stołu, wnosząc na mój rysunek uzyskane rezultaty. Ona tymczasem wykrzykiwała swe: *Ab sin' all'ore, all'ore estreme* lub inną wzruszającą arię, powtarzając ją bez końca. Po raz pierwszy w życiu dziękowałem Bogu za niewrażliwe na muzykę uszy, gdyż chroniło mnie to od wszelakich pokus. Parę razy wpuściła do pokoju dzieci, które straszliwie pomieszały me rysunki, ale i tę próbę przetrwałem mężnie, okupując się intruzom pomarańczami i cukierkami. Ile razy udałem się na przechadzkę po Lungarno, wmieszany w tłum studentów, obywateli pizańskich z rodzinami oraz modnisiów miejscowych, zawsze spotykałem tam moją piękną gospozię, kroczącą obok przyjaciółki swej, obyczajną, poważną i zawołowaną, mimo że, jak zauważyłem, miała

<sup>395</sup> *Chi va piano, va sano!* (wł.) — Powoli, ale bezpiecznie! [przypis redakcyjny]

<sup>396</sup> *lontano* (wł.) — daleko, długo. [przypis redakcyjny]

<sup>397</sup> *solfeggio* a. *solfèż* — nauka i metoda czytania nut glosem. [przypis edytorski]

Kłamstwo

Nuda

sporo wielbicieli. Niejeden z nich pozazdrościłby mi pewnie na wieść, jak się wygodnie urządziłem. Kłaniałem jej się tylko z daleka i wracałem do domu dopiero w porze, kiedy już spała. Kładła się zresztą wcześniej, gdyż cierpiała na nieustanną nudę. Jak większość Włoszek, nie posiadała żadnego wykształcenia i zdobyć się mogła co najwyżej na przeczytanie francuskiego romansu w przekładzie, toteż wszystko ustawało dla niej z chwilą, gdy nastął mrok, nie mogła siedzieć w oknie i dać się podziwiać.

Tydzień cały trwał ten stan tak bardzo odpowiadający moim pragnieniom, ów żywot rajski, gdzie wilk i jagnię trwali w iście anielskiej niewinności. Potem spostrzegłem, że jagnię dziwuje się mocno łagodności wilka, co więcej, zaczyna czuć obrazę z powodu, iż nie zostało dotąd pożarte mimo swej apetyczności. Odwrócił się też zaraz przyrodzony tok rzeczy i niewinny baranek wziął się do ataku na wilka. Przez kilka dni zadowalała się stawianiem bukietów na stole, potem znalazłem w miejscu mych mocno zdezelowanych pantofli przepyszne, ciepłe, tureckie, prawie nowe baćkory<sup>398</sup>, będące snadź dawniej własnością nieboszczyka, czyli pierwszego wilka. W południe zmuszony byłem zjawić się u stołu celem skosztowania frykanda z karczochów<sup>399</sup> i kompotu z dyni, rzekomo własnoręcznie przez *madonnę*<sup>400</sup> Lukrecję sporządzonych, oraz wypić z nią szklanek *chianti*<sup>401</sup>. Erminia jadła razem ze swą panią, karmiąc również dzieci. Raz po raz chichotała wesoło, a tylko piesek mruczał nieprzyjaźnie, uważając mnie widocznie za intruza, który zmniejsza ilość przeznaczonych dlań kasków. Przy stole wiedliśmy górnolotne rozmowy na temat tokańskiej i niemieckiej sztuki kulinarnej, ja zaś posunąłem się aż do renegacji<sup>402</sup> kwaśnej kapusty na korzyść włoskich karczochów. To dało mej gospozi *asumpt*<sup>403</sup> do żywszego jeszcze ataku. Wyobraź sobie pan, co jej wpadło do głowy! Jednego ranka pracowałem na mej pochyłej wieży, na najwyższym już piętrze, nie przypuszczając nic złego, gdy nagle usłyszałem znane dobrze: *Ah sin' all'ore, all'ore estreme*. Gospodyni moja szła mężnie po niezliczonych stopniach, śpiewając pełną piersią. Mowy nie było o ucieczce ani o ukryciu się za filarami. Do dziś nie wiem, co wówczas zamierzała.

Trudno przypuścić, by jako nader praktyczna Włoszka, przebac pan, że ranię pański idealizm, chciała rzucić się z wieży sama lub wraz ze mną w razie odmowy formalnego przyrzeczenia małżeństwa. Może uczyniła to z nudów. Oczywiście, przybrałem wielce uradowaną minę, zacząłem robić honory wieży, że zaś byliśmy sami, uznałem za konieczne pocałować ją raz czy dwa razy w rękę. Wyglądała wcale dobrze, blada jej twarz zarumieniła się nieco ze zmęczenia, a czarne oczy lśniły żywym blaskiem, gdy spoglądała z wyżu na tum, baptysterium<sup>404</sup>, miasto i dalekie góry. Była naprawdę ponętym kąskiem, zwłaszcza dla Włocha, niemającego żadnych duchowych aspiracji. Powiedziałem jej mnóstwo pochlebnych słówek, które przyjęła z prawdziwą lubością po długim obojętnym traktowaniu z mej strony. Naturalnie zostałem nagrodzony kilku czułymi aluzjami i wielce obiecującymi spojrzeniami. Nie byłem jednak zmuszony wzywać dobrego ducha przez pocieranie mego zaręczynowego pierścionka, wiedziałem bowiem dobrze, że mimo przeróżnych miłosnych manewrów jestem jej tak obojętny jak marmurowy podest schodów, na którym stoi. Toteż po godzinie znaleźliśmy się oboje w najlepszym stanie na dole, na placu przed tumem.

Musiła uznać, że żelazo rozgrzało się już należycie, gdyż zaczęła je kuć niezwłocznie. Tegoż jeszcze wieczoru zawlokła mnie ze sobą do jednego z teatrów, zda mi się, do tak zwanego „Politeama”<sup>405</sup>, pan go sobie pewnie przypomina. Daremnie się wzbraniałem z uwagi na kompromitację wobec ludzi, którzy by mogli coś podejrzewać, widząc nas we dwoje na publicznym widowisku.

— Sprawa posunęła się już tak daleko — odparła — że mnie pan już bardziej niż dotąd skompromitować nie może. A przecież i tak niedługo musi spaść zasłona.

Teatr, Muzyka

<sup>398</sup>*baćkory* (z węg.) — papucie. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*frykando z karczochów* (wł. *fricandò di carciofi*) — włoska potrawa. [przypis edytorski]

<sup>400</sup>*madonna* (wł.) — tu: pani, kobieta, moja pani. [przypis edytorski]

<sup>401</sup>*chianti* — rodzaj włoskiego wina czerwonego, produkowanego w Toskanii. [przypis edytorski]

<sup>402</sup>*renegacja* (daw.) — wyparcie się. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>*asumpt* (daw.) — powód, zachęta. [przypis edytorski]

<sup>404</sup>*baptysterium* (archit.) — chrzcielnica, budowla przeznaczona do wykonywania obrzędu chrztu. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>*Politeama Nazionale* — sławny, historyczny teatr w Pizie. [przypis edytorski]



„O tak! — rzekłem do siebie z westchnieniem. — Niebawem spadnie bielmo z oczu twoich. Biedne jagnię!” — po czym w heroicznym nastroju ruszyłem do teatru.

Pewny byłem, że zaaranżowała to z rozmysłem, chcąc mnie wobec ludzi skompromitować i przez to związać moralnie. Miała jednak jeszcze cel uboczny. Współczesna tragedia, jaką dawano, była dość nudna; w międzyaktach<sup>406</sup>, podczas których dama moja chrupała kandyzowane owoce, występował śpiewak, którego niezwykła postać zwróciła już dawniej na ulicy moją uwagę. Wałęsał się ciągle, przebrany w małowniczą, brunatną bluzę, bufiaste spodnie tejże barwy i szerokoskrzydły kapelusz, wciśnięty na czarne kędzierzawe włosy. Chodził uśmiechnięty na poły dobrodusznie, na poły ironicznie, w towarzystwie swej małej, szczupłej żony, której twarz miała wyraz skamieniałego cierpienia. Powiedziano mi, że jest to słynny niegdyś śpiewak Tobia Seresi, pyszny baryton<sup>407</sup>, który jednak zwariował i nie można go użyć w zespole operowym, gdyż miewa ataki szału, a te uśmierzyć potrafi tylko żona, kochająca go bardzo. Śpiewał po teatrach dla zarobku w międzyaktach, a żona czuwała stale za kulisami, bacząc pilnie na każdy jego gest czy minę.

Szaleniec, Szaleństwo

Ów Tobia Seresi śpiewał właśnie tegoż wieczoru i z jego to powodu Lukrecja zawiodła mnie do teatru. Ledwo przebrzmiały pierwsze takty arii, zwróciła się do mnie, siedzącego w głębi łoża, i opowiedziała szczegółowo, że ona to właśnie jest powodem nieszczęścia. Szał go ogarnął podczas miłosego duetu, który śpiewała wraz z nim przed sześciu laty w jakiejś operze, której tytułu zapomniała. Przycisnął ją mocno do siebie, jak wypadło z roli, i, przewracając oczyma, szepnął, że jeśli mu się nie odda, to siebie i ją otruje przyprawioną odpowiednio sałatką z ziemniaków. Ile było prawdy w tych bredniach, nie wiem, ale opowiadała jeszcze mnóstwo podobnych awantur, chcąc mi pokazać, jak niebezpieczną osobą była swego czasu. Słuchałem niezbyt uważnie, bacząc na śpiew, który, mimo że była sama artystką, na niej nie czynił jakoś żadnego wrażenia. Gdy skończył, rzuciła na scenę bukiet i zaczęła ostentacyjnie klaskać. Kilku amatorów przecisnęło się z parteru i podali Seresiemu ogromny jak koło wozu snop kwiatów. Przyjął go z ironicznym uśmiechem, a sala rozbrzmiała hucznym aplauzem. Publiczność lubiła bardzo biednego szaleńca i słyszałem na prawo i lewo wyrazy szczerego żalu i współczucia dla niego. Tylko moja wdowa lornetowała nieszczęśnika z zimną krwią, wachlowała się nieustannie, a potem zaczęła na nowo pogryzać cukrowane płatki pomarańczy.

Wyznam panu, że uczułem dreszcz wobec tego mego zwycięstwa nad rywalem i rad byłem, że niebawem wstała i przyjęła me ramię. W drodze do domu miałem uczucie, że źle się dzieje ze mną, że moje położenie jest nader niepewne i że przewróciłbym się niechybnie, gdybym był pochyłą wieżą, nie zaś odpornym człowiekiem z krwi i kości. Nigdy nie zapomnę tego dnia! Wyobraź pan sobie, nie skończyło się na tym. Lukrecja postanowiła najwyraźniej doprowadzić wszystko między nami do końca i sprawę sfinalizować, wtajemniczyła mnie w swe stosunki majątkowe, wcale zresztą pomyslnie, oraz opowiedziała przeróżne szczegóły szczęśliwego pożycia z pierwszym mężem, który ją zabrał ze sceny, porwany jej pięknnością, mimo że sam był kompozytorem i cenił wysoko jej głos. Czulem ucisk w sercu przez cały czas, toteż chcąc sobie ulżyć, zauważyłem żartobliwie, że ta okoliczność może stanowić przeszkodę, albowiem ustawiczne zawieje śnieżne w Niemczech niweczą głos południowców. Oświadczyła, że i tę ofiarę gotowa ponieść, dodając, że przecież małżeństwo jest to nieustanne ofiarowywanie się na ołtarzu miłości.

— Czyż jednak dziateczki pani zniosą surowy klimat? — spytałem.

Matka

I to jej nie sprawiało troski. Zarządziła, co trzeba. Młodsze wziąć miała do siebie ciotka, starsze zaś postanowiła zostawić we Florencji.

— A to ślicznie! — zawołałem, dodając w duchu: „O ty, wyrodna matko!”

Uśmiechała się tak triumfująco, że nie sposób mi było gniewać się, i nabrałem przekonania, iż zdecydowana jest na wszelką ostateczność, nawet na podanie zatrutej sałatki z ziemniaków, gdyby się dowiedziała o mych rzeczywistych planach.

W tej chwili udręki ducha zstąpiło na mnie objawienie zbawcze, jak mi się wydało.

— Piękna pani! — powiedziałem. — Rad bym wyświetlić pewien nader ważny punkt. Mąż pani dostał się w ręce brygantów i nie wrócił, prawda? Ale skądże pewność, że nie

<sup>406</sup>międzyakt (daw.) — przerwa między aktami sztuki. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>baryton — męski głos pośredni między tenorem a basem. [przypis edytorski]

żyje? Cóż by się stało, gdyby pewnego dnia przybył z powrotem i zażądał swej własności lub skrzył mi po prostu kark w podzięcie za tak troskliwe opiekowanie się panią?

Tak rzekłem, siedząc wraz z nią na sofie w salonie pod portretem zmarłego kompozytora. Dodałem poza tym kilka trafnych uwag o niezbędności urzędowych dowodów śmierci oraz potworności dwużeństwa.

— Zaczekaj pan chwilę! — powiedziała spokojnie, wstała i wysunąwszy szufladę biurka dobyte z niej coś. Cóż to było? Nie uwierzysz pan chyba, a jednak mówię szczerą prawdę. Pokazała mi dwa dobrze zakorkowane słoiki, powleczone z wierzchu świńskim pęcherzem. W każdym mieściło się ucho ludzkie, odcięte czysto i umiejętnie od głowy ręką fachowca i zanurzone w spirytusie.

— *Ecco!*<sup>408</sup> — zawołała, podając mi te przedmioty, których ująć drżącą ręką nie miałem odwagi. — To lepsze nad zwyczajne świadectwo skonu! Są to uszy mego Carla, poznałam je zaraz. Naprzód przysłał mi prawe ucho jeden jego przyjaciel z Neapolu, a ja musiałam wypłacić pięć tysięcy lirów<sup>409</sup> okupu. Niebawem otrzymałam drugie ucho i drugi list z wiadomością, że rozbójnicy wzięli wprawdzie pieniądze, ale tytułem pokwitowania wydali tylko drugie ucho. Co się stało z człowiekiem, który owe uszy nosił za życia, na razie nie wiadomo i muszę poczekać na skutki dalszych badań. Ładna propozycja? Nie, za nic nie mogłam czekać, nabrałam pewności, że mój drogi Carlo nie żyje. Miał uszy tak wrażliwe, że żadną miarą nie przeżyłby ich straty. Raczej dałby sobie odciąć nogi i ręce i żyłby dalej, ale uszy... o, nigdy! Carlo bez uszu to coś niepojętego!

— Musi to pani wiedzieć najlepiej — przyznałem — a jeśli te uszy są naprawdę własnością męża, to sądzę...

— To są jego uszy, równie pewnie, jak ten palec jest mój! — zapewniła, patrząc na słoiki z powagą uczonego, klasyfikującego naukowo nowy gatunek płazów, przysłany w spirytusie.

Ciarki mnie przeszły, ale powiedziałem w desperackiej obronie:

— Ta spuścizna nie wystarczy jednak sądom, które stanowczo domagają się ścisłych dowodów, zanim wykreślą kogoś z listy żyjących.

— W tym właśnie celu pojechał wuj do Florencji! — oświadczyła. — Zna kilku ministrów i ma nadzieję uzyskać legalne świadectwo. Mąż mój był osobistością dosyć znaną, a nagle jego zniknięcie wywołało sensację. Prawda musi wkrótce wyjść na wierzch.

Rzekłszy to, schowała do biurka cenne relikwie i usiadła do fortepianu, by oddziałać jeszcze na mnie czarem tonów. Nie mogłem znieść dłuższej tortury. Wydało mi się, że mam przy sobie figurę woskową z automatem muzycznym ukrytym we wnętrzu. Włosy mi się zjeżyły na głowie, a gdy zaczęła swe okropne: *Ab sin' all'ore...* powiedziałem, że mam migrenę, i wybiegłem na ulicę jak oszalały.

Schroniłem się do mego kochanego „*Nettuno*”, ale nie mogłem nic przełknąć z wyciekającym winem, które nie zdołało jednak wywołać u mnie stanu błogiej nieświadomości. Ciągle widziałem te dwa okropne słoiki, te czarne, zimne, skierowane na mnie oczy, i słyszałem dźwięki, dobywające się z wydrążonej piersi automatu. Uczulem, że nie sposób wytrzymać dłużej w tym domu. Ale jakież miałem szanse ucieczki? Wszakże ta straszna baba poruszyłaby niebo i ziemię celem wydobycia mnie z każdej kryjówki w mieście. Jaka szkoda, że w Toskanii<sup>410</sup> nie ma Abruzzów<sup>411</sup>! Jakże chętnie oddałbym się w ręce brygantów pod warunkiem niewydania mnie za żaden okup!

Na koniec wyśmienite czerwone wino wywołało skutek. Uświadomiłem sobie, że muszę nie tylko uciec z domu, ale z miasta, mimo że moje studia kampanili domagały się jeszcze pewnej rewizji. Wielką trudność stanowiło przewiezienie mych rzeczy na kolej bez wzbudzenia podejrzeń. Rozpacz nasunęła mi pomysł, który panu zalecam na wypadek podobnej konieczności, a może go pan także zużytkować w którejś ze swych nowel

Ucieczka

<sup>408</sup>*ecco* (wł.) — proszę, oto. [przypis edytorski]

<sup>409</sup>*lir*, właśc. *lira* (wł.) — dawna waluta włoska. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>*Toskania* — kraina historyczna i region administracyjny w środkowych Włoszech, położony w Apeninach Północnych. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>*Abruzzi*, właśc. *Abruzzo* (wł.) a. *Abruzja* — górzysty region, leżący w centralnej części Półwyspu Apenińskiego, nad Morzem Adriatyckim. Tu prawdopodobnie metonimia dzikiego terenu, w którym grasują zbójcy. [przypis edytorski]

lub komedii. Oto niezwłocznie kupiłem kufer i powierzyłem go opiece zacnego kelnera w „Nettuno”. Nazajutrz miał nastąpić ciąg dalszy kampanii.

Przedtem jednak narażony zostałem w nocy na nowe, groźne niebezpieczeństwo. Położyłem się, nie życząc wcale Lukrecji miłych snów, i zasnąłem, kołysany nadzieją bliskiego ocalenia. Nagle zbudziło mnie około północy szczekanie pieska i błysk światła. Zerwałem się i ujrzałem stojącą przy łóżku nadobną wdowę moją w odzieży przyzwoitej, co prawda, ale niezmiernie przypominającej koszulę lub podobny strój z *Lunaticzek*<sup>412</sup> czy *Fra Diavolo*<sup>413</sup>, w których to operach musiała występować. Włosy oblewały falą piękne jej ramiona, a twarz była wykrzywiona tragicznie.

— Cóż się stało, na Boga? — krzyknąłem.

— Ukazał mi się, jakim był za życia! — odparła. — Stoi jeszcze przy moim łóżku, tak że na poły martwa ze strachu nie mam odwagi wracać.

— Brednie! — powiedziałem ze złością. — Przyśniło się pani. Proszę iść spać i zostawić mnie w spokoju!

— Nie, nie — zawołała — musi pan sam zobaczyć! Przekona się pan, że to nie sen!

Chwyliła mnie za rękę i zaczęła błagać, brakło tylko tego, by śpiewała jak na scenie.

Dość miałem awantury, więc oświadczyłem:

— Dobrze! Wstanę i pójdę. Jeśli stoi naprawdę jako duch przy łóżku, jeśli go zobaczę, to z obowiązku rycerskiego zabronię mu imieniem pani wszelkich bezcelowych i niemiłych wizyt po nocy. Jeśli jednak ducha nie będzie, wówczas przykro mi bardzo, ale muszę zrezygnować z ręki pani, Lukrecjo, gdyż mam wrodzony wstręt do lunaticzek i wiołę do śmierci zostać bezzennym, niż pojąć somnambuliczkę!

Powiedziawszy to, uczyniłem gest wstania. Ale nie czekała na to. Potrząsnęła przecząco głową, pięknym ramieniem skinęła na dobranoc i bez dalszych wyjaśnień wyszła z pokoju.

Mimo złości zaśmiałem się głośno, potem zaś zasnąłem spokojnie i do rana nie doznałem przeszkody. Przygoda owa utwierdziła mnie oczywiście tym bardziej w postanowieniu wymknięcia się po cichu z domu wdowy, zwłaszcza że lada dzień miał wrócić wuj, a nie wiedziałem, czy mu o mnie nie pisała i czy ów czcigodny mąż nie zna, iżem strasznie skompromitował jego piękną siostrzenicę. Gdy dzień nastał, nie zdradzając się niczym rysowałem zrazu trochę, potem zaś, gdy się ulice ożywiły, wyszedłem jak zwykle z niewielką paczką pod pachą, niebudzącą podejrzeń, a zawierającą część bielizny. Zaniósłem to do „Nettuno”, gdzie nocował mój nowy kufer. W ten sposób przetransportowałem w ciągu ranka wszystkie rzeczy wraz z rysunkami i papierami, zamkniętymi w wielkim cylindrze z blachy. Pokój wyglądał jak zawsze, stał w nim pusty kufer, leżało trochę szkiców, parę pustych tek oraz drobne przybory na umywalni, które musiałem nieprzyjacielowi zostawić tytułem łupu wojennego. Przy łóżku stały również z najniewinniejszą miną tureckie pantofle nieboszczyka, a czynsz zapłacony był za miesiąc z góry.

Może sobie pan wyobrazić, z jakim upojeniem, z jakim poczuciem odzyskanej swobody pędziłem w kierunku La Spezia<sup>414</sup>, podobny zbrodniarzowi, skazanemu na dożywotnie męki słuchania *Ab sin' all'ore, all'ore estreme*, któremu udało się zemknąć szczęśliwie. Wsiadłem do wagonu i chociaż w innych warunkach nie byłbym w stanie przebiegać tak szybko przez urocze okolice tej części Italii, teraz jednak mknąłem z radością, pamiętny, że uciekając przed romansową wdową muszę się spieszyć. Późnym wieczorem znalazłem się w Specji i stanąłem w hotelu „Croce di Malta”. Czulem się bezpieczny, podjadłem tedy, popiłem i położyłem się spać z lekkim sercem. W pokoiku moim stał maleńki stolik, ale to właśnie pociągało mnie i nie mogłem bez drżenia wspomnieć o olbrzymie, który mnie zwabił w zdradną sieć mej Armidy<sup>415</sup>. Od kilku tygodni nie zbudziłem się tak wesoły jak tego ranka, że zaś pogoda była cudna, lśniło czerwone słońce, a morze leżało cicho niby zwierciadło, postanowiłem odbyć wycieczkę do Portovenere<sup>416</sup>, zapadłego osiedla rybacko-pirackiego, o którym nasłuchiwałem się różnych rzeczy w Rzymie<sup>417</sup>. Wiatr

<sup>412</sup>*Lunaticzka* — opera Vincenza Belliniego (1801–1835). [przypis edytorski]

<sup>413</sup>*Fra Diavolo* — opera Daniela Aubera (1782–1871). [przypis edytorski]

<sup>414</sup>*La Spezia* — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Liguria. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>*Armida* — piękna, lecz niebezpieczna czarodziejka z *Jerozolimy wyzwolonej* Torquata Tassa (1544–1595). [przypis redakcyjny]

<sup>416</sup>*Portovenere* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Liguria. [przypis edytorski]

<sup>417</sup>*Rzym* — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

Duch

Natura, Morze, Wyspa,  
Brud, Bieda, Raj

był słaby, ale przeciwny, przeto stary wioślarz napracował się tego przez dwie godziny, zanim okrążyliśmy skalisty przylądek i ujrzeli przed sobą grupę na poły rozwalonych domostw, malowniczy kościółek i opromienioną słońcem wyspę Palmaria<sup>418</sup>. Zwiedził pan zapewne ów precudny zakątek. W istocie doznaje się tu wrażenia, iż znajdujemy się znacznie dalej na południu, gdzieś pod Palermo<sup>419</sup>, pośród skalistych osiedli potomków kolonistów greckich, żyjących tu jak za czasów homeryckich<sup>420</sup> w szczęsnej beztrosce. Takie same postacie ludzi, taka sama przedpotopowa kuchnia oraz prastary brud, skamieniały, zda się, i niebosiężny. Oczom własnym wierzyć nie chciałem, wlokąc się pod górę jedyną ulicą wioski i mijając szeregi kobiet w koszulach tylko niemal, siedzących pod domami, zajętych przedzeniem, śpiewem lub paplaniną. Patrzyły na mnie jak na dziwotwora, wyrzuconego przez fale morskie. Panoszyła się tu przedziwna roślinność, słynne aloesy obsiadły rozpadliny murów fortecznych, a wszędzie pełno było kaktusów, winorośli, oliwek, zaś z położonych poza domami ogrodów wychylały się korony figowców, przeciążonych owocem. Po miesięcznym pobycie w schłodnej Toskanii doskonale robi powrót do tego raj, gdzie nie powstała nigdy miotła czcigodnej policji. Z rozkoszą włóczyłem się wszędzie, patrzyłem na puste łuki okienne starego kościoła, stojącego na cyplu skalnym, oplukiwanym fałą, kładłem się w zeschłej trawie w cieniu murów i siałem spojrzenie w dal ponad białe dachy na zatokę, gdzie ustawicznie krążyły okręty. Wszystko pozostało tu takie jak przed tysiącem lat, z wyjątkiem dymu parowców, bijącego w niebo, a wrażenie było tak silne, iż zapomniałem o terażniejszości, cała moja przygoda wydała mi się czymś niezmiernie dawnym, a chwilami nie mogłem sobie nawet przypomnieć imienia mej wdowy.

Wreszcie poczułem głód i zawróciłem do wioski, a pochodziwszy tam i z powrotem przed dwoma domami, na których widniał napis: *Albergo*<sup>421</sup> *e*<sup>422</sup> *trattoria*, zdecydowałem się wejść do jednego, pod którym piemontczy<sup>423</sup> żołnierze pili lemoniadę i grali w karty. Wnętrze miało wygląd istic cygański, ale uprzejma gospodyni wskazała mi schody do salonu i obiecała podać za pięć minut jedzenie. Czekaając, oglądałem wiszące na ścianach obrazy, podczas gdy młoda, milcząca dziewczyna nakrywała stół. Było tu kilka francuskich sztychów z *Paula i Wirginii*<sup>424</sup>, Madonna z naklejonym sercem ze złoczonego papieru oraz włoscy narodowi święci, Cavour<sup>425</sup>, Garibaldi<sup>426</sup> i król Galantuomo<sup>427</sup>. Salka miała z lewej strony drzwi. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robię, ująłem klamkę, ale gospodyni, która weszła w tej chwili, uczyniła gest ostrzegawczy, a wyraz jej twarzy zdradzał jednocześnie przerażenie i niechęć. Usprawiedliwiłem się chęcią zobaczenia, czy nie ma tam pokoju, w którym bym mógł przenocować, ale odrzekła żywo, że inne pokoje są zamieszkane. Nie zmartwiło mnie to wcale, gdyż myśl nocowania w tej brudnej oberży nie była ponętna. Siadłem do stołu i przekonałem się, że jedzenie było znośniejsze, niż sądziłem, z wyjątkiem skamieniałego wprost kotleta i zjełczanego oleju, którym oblała groch. Ale dostałem kilka smakowitych smażonych rybek oraz wcale dobre wino, którym uraczyłem się po znojnym dniu, zasypiając na krześle, zanim jeszcze przyniesiono mi na deser suche figi i twarde jak kość biszkopty.

Jedzenie

Drzemałem dobre parę godzin w cichej stancji, gdy nagle zbudziło mnie dziwne brzęczenie w pobliżu. Otworzyłem oczy, nie ruszając się, i słuchałem. Było to granie na starym klawicymbale<sup>428</sup>, a dochodziło z pokoju, dokąd mi gospodyni zabroniła wstępu.

Trudno mi chyba wziąć za złe, że rozciekawiony zbliżyłem się na palcach i spojrze-

Spotkanie

<sup>418</sup> *Palmaria* — włoska wyspa leżąca na Morzu Liguryjskim. [przypis edytorski]

<sup>419</sup> *Palermo* — miasto i gmina we Włoszech, stolica regionu Sycylia. [przypis edytorski]

<sup>420</sup> *Homer* — starogrecki pieśniarz wędrowny, śpiewak i recytator, uważany za ojca poezji epickiej. [przypis edytorski]

<sup>421</sup> *albergo* (wł.) — hotel. [przypis edytorski]

<sup>422</sup> *e* (wł.) — i. [przypis edytorski]

<sup>423</sup> *Piemont* — kraina historyczna i region administracyjny w płn.-zach. Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>424</sup> *Paula i Wirginia* — utwór Jacques'a-Henriego Bernardina de Saint-Pierre (1737–1814), opublikowany w 1788 roku. [przypis edytorski]

<sup>425</sup> *Cavour, Camillo di* (1810–1861) — włoski polityk, premier Sardynii i Włoch oraz minister spraw zagranicznych Włoch. [przypis edytorski]

<sup>426</sup> *Garibaldi, Giuseppe* (1807–1882) — włoski rewolucjonista, żołnierz i polityk, działacz i bojownik na rzecz zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

<sup>427</sup> *król Galantuomo* — król włoski Wiktor Emanuel II (1820–1878). [przypis redakcyjny]

<sup>428</sup> *klawicymbal* (daw.) — klawesyn. [przypis edytorski]

łem przez dziurkę od klucza. Prawo to przysługuje nie tylko wam, nowelistom, ale i nam, porządnym ludziom, którzy by inaczej nie mieli powodu podróżować. Jakże dobrze uczyłem podglądając. Z muzyki nic się nie dowiedziałem. Zachrypyły męski głos nucił różne fragmenty tekstu operowego, z których rozumiałem tylko często stosowane okrzyki: *Deh perfida! Ah barbaro! Come? Tiranna! O dio! Strappami il cuor dal seno...*<sup>429</sup> i tak dalej. Prastary instrument stał przy przeciwległej ścianie, tak że śpiewak obrócony był tyłem. Po chwili jednak zaczął szukać czegoś w stosie nut, leżącym na łóżku, i ujrzałem jego profil. Zgadnij pan, kto to był?

— Chyba nie szalony baryton Tobia Seresi? — rzekłem.

— Ktoś jeszcze szaleńszy! Poznałem człowieka, w którego obecność nie uwierzyłbym, gdybym go nie widział na własne oczy. Był to *signor*<sup>430</sup> Carlo, mąż mojej wdowy!

— Niepodobna! — powiedziałem. — Wino Portovenere musiało wywołać ową wizję lub może wszystko było snem nocy letniej.

— Myli się pan! — zaręczył. — Proszę słuchać dalej. Sam myślałem zrazu, że się ludzę. Ale, badając szczegółowo, rozpoznałem najwyraźniej rysy mężczyzny z portretu nad sofą Lukrecji.

— A uszy? — spytałem.

— Uszu nie było widać. Włosy miał snadź<sup>431</sup> od całych miesięcy niestrzyżone, zwisały mu bowiem aż na ramiona. Musiałem trącić drzwi, gdyż nagle obrócił się ku mnie i spytał:

— Czy to pani, Beatrycze?

Tak było na imię gospodyni.

Wobec tego, żem się zdradził, postanowiłem do reszty sprawę wyświecić i krzyknąłem przez dziurkę, że nie jestem Beatryczą, ale przyjacielem, który pragnie z nim zamienić kilka słów. Wymieniłem jego imię i nazwisko i zauważyłem, że się przeraził i dumał przez chwilę, czy ma się przyznać do swej identyczności. Nie było jednak rady, gdyż wykryto jego leże, przeto wstał i otworzył. Nie zapomnę spojrzenia, jakim mnie zmierzył. Tak patrzeć musiał Łazarz<sup>432</sup>, wstawszy z grobu.

— Drogi *sor*<sup>433</sup> Carlo! — rzekłem. — Cóż pan wyrabiasz? Czemu udajesz zmarłego i kryjesz się żywcem w tej norze, podczas gdy cała Piza rozbija się za panem, a nieszczęsna wdowa desperuje po dniach i nocach, przemyślując nad tym, jak by...

Tu wpadł mi na szczęście w słowo, gdyż inaczej byłbym przedstawił Lukrecję w zgoła fałszywym świetle.

— Jaka wdowa? — spytał. — Czy żona moja nie wie, gdzie jestem?

Opowiedziałem mu, nie wspominając oczywiście ani słowem o moich czułych stonkach z Lukrecją, wszystko, co się przydarzyło w Pizie. Wyznałem, żem mieszkał w jego domu i byłem świadkiem desperacji nieszczęsnej opuszczonej kobiety. Gdy posłyszał o dwu fatalnych słoikach z relikwiami, popadł w straszliwe wzburzenie.

— To coś strasznego! — wrzasnął, targając się za włosy, przy czym zobaczyłem, że posiada nienaruszone uszy. — Zostałem haniebnie oszukany! Odegrałem fatalną rolę w farsie, co mnie ośmieszy na zawsze!

Krzyczał, miotał się po stancyjce i długo trwało, zanim uspokoił się na tyle, by mógł sięść na łóżku i opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Uważając mnie za przyjaciela domu — nie byłem nim, na szczęście, w tym najzuchwalszym znaczeniu, nie ukrywał niczego i wkrótce poznałem całą historię jego miłości, małżeństwa i cierpienia. Poznał swą żonę na scenie i zakochał się w jej piękności, nienawidząc jednocześnie jej głosu. Śpiewała bowiem tak strasznie fałszywie, że dręczyła tym jego uszy, rozkoszując jednocześnie swą postacią oczy. Oświadczył nawet, że biedny Tobia Seresi dlatego oszalał, iż musiał przez cały sezon zimowy śpiewać z nią duety. W tych warunkach *sor* Carlo nie miał innej rady, jak tylko ożenić się i zabrać Lukrecję ze sceny. Ale przeraźliwego upodobania w śpiewie nie zatraciła nawet zostawszy gospodynią domu i matką. Lubowała się ponadto w hałaśliwych zwierzętach domowych, wrzasku

Miłość, Muzyka, Podstęp

<sup>429</sup>*Deh perfida! Ah barbaro! Come? Tiranna! O dio! Strappami il cuor dal seno...* (wł.) — O nikczemna! Ach barbarzyńco! Jak to? Okrutnica! O Boże! Wyrwij mi serce z piersi... [przypis edytorski]

<sup>430</sup>*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>431</sup>*snadź* (daw.) — zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>432</sup>*Łazarz* (rel.) — bohater biblijny, wskrzeszony przez Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>433</sup>*sor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

dzieci, rozgwarze ulicznym, słowem, we wszelakim tumultcie, toteż nerwy biednego męża roztrzęły się niebawem tak, że nie mogło być mowy o komponowaniu. Starał się być dobry i wyrozumiały, ale słuch jego stał się do tego stopnia przewrażliwiony, że nawet kichanie żony wydawało mu się fałszywe, a trzewiki jej skrzypiały jakby o ćwierć tonu za wysoko. Postanowił wyjechać do Neapolu na wypoczynek i tutaj przyszedł rychło do siebie. Mieszkał w domu swego przyjaciela, lekarza, i oddawał się ulubionym zajęciom. Zdarzyło się też, że pewien młody poeta napisał tekst operowy po jego myśli i zaświatała mu nadzieja, że po kilku miesiącach pracy dokona dzieła, które go uczyni od razu sławnym w całej Italii. Zaczęły jednak nadchodzić coraz to gwałtowniejsze listy. Lukrecja zapewniała, że porzuci wszystko, dom i dzieci, i przybędzie do swego umiłowanego Carla. Wyznał z westchnieniem, że było to całkiem możliwe, gdyż zazdrość stanowiła uzupełnienie rozlicznych jej zalet duchowych. W tej opresji zasięgnął rady przyjaciela, któremu bardzo leżała na sercu sława jego, a ten wziął sprawę w swe ręce, zaręczając, że będzie miał spokój aż do końca zamierzonej pracy. Musiał przyobiecać, że nie napisze do niej ani nie pokaże się komuś, kto by mógł ją o nim ustnie zawiadomić. Przyjacielska rada wydała się kompozytorowi wysmienita, oddał się więc pracy, wiedząc zresztą, że rodzinie jego dobrze się powodzi. Zimę spędził w cichym domku pod Amalfi<sup>434</sup> i tam ukończył szkic opery. Przyjaciel lekarz zaopatrywał go w pieniądze i donosił co miesiąc, że żona i dzieci mają się dobrze i zasyłają pozdrowienia. Gdy jednak przyszło pisać partyturę, nie mógł się obejść bez fortepianu, wyjechał więc z Amalfi i po krótkim pobycie w Neapolu ruszył do Portovenere, dokąd mu przywieziono stary klawicymbał ze Specji. Tutaj pracuje spokojnie od pięciu miesięcy. Tydzień jeszcze, a ukończylby instrumentację ostatniego aktu, aż tu nagle dowiaduje się, że przyjaciel w najnikczemniejszy sposób zdradził jego zaufanie, inscenizując farsę, która uczyni zeń niewątpliwie pośmiewisko całej Italii, i to w chwili, kiedy staje u progu sławy.

— Niech się pan uspokoi! — powiedziałem, tłumiąc z trudem śmiech. — Nic jeszcze nie jest stracone. Mało kto wie dotąd o owych nieszczęsnych uszach, które przyjaciel pański musiał obciąć zapewne jakimś nieboszczykowi podczas sekcji, bowiem niepo cieszona wdowa pańska pokazywała je tylko zaufanym. Cóż w tym zresztą śmiesznego, że szczęśliwy ojciec rodziny usuwa się przed krzykiem dzieci i zwierząt domowych w ciche ustronie celem dokonania wielkiego dzieła? Co prawda, czas już najwyższy wracać, gdyż koło pięknej żony pańskiej kręcą się liczni wielbiciele, niby wokoło śp. Penelopy<sup>435</sup>, i jeśli pan będziesz dłużej nieboszczykiem...

— Panie! — krzyknął, chwytając mą dłoń. — Co pan masz na myśli?

— Nic złego, nic, co by dotyczyło honoru pańskiego. Cała Piza wielbi zachowanie się pańskiej żony i nie krąży o niej ani jedna pogłoska, a przypadkowe wynajęcie mi pokoju w niczym nie narusza jej uczciwości. Mam w Niemczech narzeczoną i zapewniam najświęciej, że nic mi w Pizie nie było obojętniejsze nad kobiety.

Spojrzał na mnie przenikliwie, tak że nabrałem pewności, iż nie wygasła w nim dotąd namiętność dla pięknej Lukrecji. Gdy mu w końcu opowiedział o mym dziele na temat architektury pochyłej, uspokoił się do reszty, przekonany, że jestem ostatecznym głupcem.

— Wierzę panu! — rzekł. — Ale cóż mam uczynić? Poradz mi pan! Przez całe życie byłem niepraktyczny i żyłem tylko moją sztuką.

— Wie pan co? — odparłem. — Najlepiej będzie, jeśli wrócę do Pizy i przysposobię pańską żonę, inaczej bowiem pańskie niespodziewane zjawienie się mogłoby przyprawić o śmierć ze strachu jej wrażliwą duszę. Dostałaby co najmniej gorączki nerwowej. Pan tymczasem zapakuje swą operę i przyjedzie nazajutrz rano.

Rada ta wydała się najlepsza pocziwcowi, który siedział zupełnie oszołomiony na łóżku. Rozstaliśmy się, zapłaciłem obiad i ruszyłem na dół wąską, ciemną już uliczką. Teraz dopiero mogłem uśmieć się do woli i nacieszyć głęboką treścią tej dziecinnej farsy. Im dłużej rozmyślałem, tym lepiej pojmowałem znawstwo ludzi owego neapolitańczyka. Wiedział on, podobnie jak i ja, że żaden łagodniejszy środek nie byłby zmusił nadobnej Lukrecji do czekania na swego Carla przez ciąg dziesięciu miesięcy. Delektowałem się

<sup>434</sup>Amalfi — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>Penelopa (mit. gr.) — żona Odyseusza, matka Telemacha, wzór wiernej żony. [przypis edytorski]

też z góry myślą, że wrócę do mego pokoju w Pizie jako człowiek wolny, nieobawiający się, że go *Sin' all'ore, all'ore estreme* w cieniu pochylej wieży zmusi do stworzenia uroczej gospodyni „nowego szczęścia”.

Ale cóż się stało! Minąłem właśnie rozwaloną bramę i miałem skrócić ku przystani celem odszukania mego starego przewoźnika, gdy nagle zobaczyłem zawołaną damę, zbliżającą się ku mnie szybko z okrzykiem na ustach. Nie zważyłem na to, mając głowę czym innym nabitą, i minąłem ją szybko. Nagle dama chwyciła me ramię, odsłoniła welon i zawołała tonem oburzenia moralnego:

— Ha, zdrajco! Czyż i teraz chcesz uciec przede mną?

Pojmie pan, jak się przeraziłem.

— Lukrecjo! — wykrzyknąłem, nie mogąc rzec nic ponadto, i uświadomiłem sobie, jak dalece pogorszyła swą sytuację niespodziewanym przybyciem. Pomyśl pan tylko, szalona niewiasta ruszyła za mną w pogoń, chcąc przychwycić żywego czy martwego, na lądzie lub morzu. — Na miłość boską! — zawołałem po chwili. — Co czynisz, Lukrecjo?

— O Fernando! — odparła z dostojnym gestem. — Chronię się do ciebie przed ludzkim prześladowaniem. Wuj wrócił z Florencji i wpadł w taką złość, że poprzysiągł uśmiercić cię za to, żeś się wśliznął do mego domu, oczywiście, o ile nie oczyścisz mego honoru w sposób przystojny i należyty. Daremnie go ciotka uspokajała, chciał cię ści-gać, żądać zadośćuczynienia albo zastrzelić jak zbója czy mordercę. Cóż miałam czynić, nieszczęsna? Łzami i zakłęciami wyblągałam trzydniową zwłokę, a głos wewnętrzny powiedział mi, że pana odnajdę i zapobiegnę złemu. Dowiedziałam się w „Nettuno”, że pan wyjechał do Specji, tam zaś widziano, jak płynąłeś do Portovenere.

— Przybywasz pani w sam czas! — odparłem. — Oszczędza mi to drogi, bo właśnie miałem wracać celem zawiadomienia, że wdowieństwo pani skończone!

— Doprawdy? Tedy wszystko dobrze i możemy siadać zaraz do łódki! Wiedziałam dobrze, że nie zechce pan tak strasznie kompromitować samotnej kobiety.

— Za pozwoleniem — rzekłem. — Nie skończyłem jeszcze. Oto zmarli wstają czasem z grobu. Nieboszczyk mąż siedzi tam oto w gospodzie i zasyła przeze mnie pozdrowienia. Jest zdrow i cały, posiada też swe uszy, które pani pewnie odtąd nieco łagodniej raczysz traktować.

Teraz ona zdębiała. Patrzyła na mnie, jak bym jej opowiadał baśń z *Tysiąca i jednej nocy*<sup>436</sup>, ja zaś zawiadomiłem ją o wszystkim pokrótce.

— Dla przekonania pani — dodałem w końcu — że mam dobre zamiary, dam pani radę, która wszystko świetnie wyrówna. Musi pani udać się zaraz do swego nieboszczyka i powiedzieć, że pani przybyła skutkiem pogłoski o jego pobycie w Portovenere. Zaczny człek, który, mimo pewnych mankamentów, kocha panią, Lukrecjo, ślepo, nie będzie zbyt ściśle badał sprawy, a kilka słów skierowanych do wuja doprowadzi tego męża do równowagi. Jeśli boi się pani plotek sąsiadów, to możecie z mężem odbyć małą wycieczkę po Riwierze<sup>437</sup> i wrócić, gdy wszystko umilknie. Oczywiście mojej dyskrecji może pani być pewna, gdyż zachowam dozągonną wdzięczność za to, żeś mnie raczyła uznać godnym stworzenia „drugiego szczęścia” swego.

Przez cały ciąg tej długiej mowy bawiłem się wrażeniami, jakie malowały się na jej twarzy, najcięższy jednak był lodowaty chłód, okazany mi w chwili, gdy pojęła, że trafna rada moja zwalnia ją z obawy o skutki całej przygody.

— *Va bene!*<sup>438</sup> — rzuciła półgłosem. — Życzę panu szczęśliwej podróży!

Skinęła głową na pożegnanie łaskawie, niby nieznanemu przechodniowi, którego pytała o drogę, i, nasunawszy welon, ruszyła majestatycznie ulicą pod górę celem czulego powitania męża. Nie wątpię, że scena ta wypaść musiała wspaniale i że go okłamała z zupełną swobodą i ukontentowaniem. Ach, te kobiety! Nigdy nie są mądrzejsze, straszliwsze, bardziej pomysłowe i ponętne, niż wówczas, gdy mają coś na sumieniu!

— Oto moja przygoda z wdową z Pizy! — zamknął swą opowieść sąsiad i zapalił świeże cygaro. — Cóż pan na to? Czy nie zrobisz z tego noweli?

<sup>436</sup>*Tysiąc i jedna noc* a. *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* — zbiór baśni, podań, legend, anegdot i opowieści, spisanych w języku średnioarabskim, pochodzących z IX–X wieku. [przypis edytorski]

<sup>437</sup>*Riwiera Włoska* — wybrzeże Morza Liguryjskiego we Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>438</sup>*va bene* (wł.) — dobrze, zgoda. [przypis redakcyjny]

— Broń Boże! — wykrzyknąłem. — Okropnie bym się skompromitował! Któż spośród czytelników niemieckich dałby wiarę tym szaleństwom?

— To prawda! — odparł. — Aleś pan sam temu winien, bo szerzysz opinię, że kobiety spoza Alp<sup>439</sup> (przebyliśmy właśnie grzbiet Cenis i zjeżdżaliśmy ku Sabaudii<sup>440</sup>) ulepione są ze zgoła innego materiału i różnią się wielce od pięknych cór niemieckiej ojczyzny. Czyż historia ta nie mogłaby się zdarzyć również w Niemczech?

— Co? — zawołałem zdumiony. — Czy myśli pan to na serio?

— Tak jest! — powiedział z powagą. — Oczywiście, z wyjątkiem epizodu o obciętych uszach. Żyjemy, Bogu dzięki, w państwie prawno-policyjnym, a rzezimieszki nasze obcinają co najwyżej mieszki i warkocz. Co się jednak tyczy wdów, to sędzę...

W tej chwili dylżans stanął przed budynkiem stacyjnym, a filiżanka kawy przeszkodziła dalszej rozmowie, która zaczęła właśnie zbaczać na tory wielce nieprzystojne.

## Nino i Maso

OPOWIADANIE WEDŁUG KRONIKI MIASTA SIENY

...W tym to czasie — a było to z początkiem XV stulecia — zdarzył się w naszym mieście dziwny i wstrząsający wypadek, zasługujący, by o nim wspomniano na tym miejscu między wybitniejszymi publicznymi zdarzeniami i politycznymi sprawami, by go wyrwano z toni zapomnienia, gdyż poruszał on umysły wówczas, gdy zaszedł, i przez szereg miesięcy potem z nie mniejszą siłą jak godne pamięci wypadki wojenne lub wielkie klęski i przypadłości.

Bowiem obaj młodzieńcy, których dotyczy to smutne wydarzenie, nie tylko byli w całej Sienie<sup>441</sup> znani i lubiani, lecz również łącząca ich silna i niewzruszona przyjaźń opromieniała ich w oczach współczesnych blaskiem i niemal nieziemską chwałą, jakby byli ludźmi z zamierzchłych czasów; mówiono o nich tak jak w starożytności o Damonie i Pitiasie<sup>442</sup>, Oreście<sup>443</sup> i Piladesie<sup>444</sup>, a współobywatele chlubili się posiadaniem pary przyjaciół, którzy w niczym nie ustępowali opiewanym przez poetów bohaterom, przeciwnie, wspólnym zgonem nawet ich przewyższyli.

Byli dziećmi sąsiadów, wyrosli jednak wśród różnych warstw społecznych. Antonio del Garbo był synem jednego z najwpływowszych i najbogatszych obywateli miasta, który nawet przez kilka lat sprawował urząd gonfaloniera<sup>445</sup>, aż go ciężka rana, odniesiona w walkach z Florencją<sup>446</sup>, zmusiła do zrzeczenia się godności oraz zajmowania się sprawami publicznymi. Żył on odtąd tylko myślą o wychowaniu jedyne go syna, którego z początku sam wtajemniczał w tajniki wiedzy, równocześnie najlepszym nauczycielom powierzając pieczę nad hartem fizycznym i rozwojem zmysłu artystycznego syna. Nino był nie tylko zdolnym, a przy tym poważnym chłopcem, lecz odziedziczył po matce, z domu Calandrini, wielką urodę. Miał on ambicję, by we wszystkich rycerskich kunsztach dorównać swemu ojcu. Toteż wyrósł na wzorowego młodzieńca, po którym miasto ojczyste mogło się wiele w przyszłości spodziewać.

W domu naprzeciw, niewytrzymującym oczywiście porównania z *casa*<sup>447</sup> del Garbo ani co do piękności, ani bogactwa, żył skromny złotnik, majster Buonfigli, któremu

Przyjaźń, Pozycja społeczna,  
Sąsiad, Miasto

<sup>439</sup> *Alpy* — najwyższy łańcuch górski Europy, ciągnący się od Morza Śródziemnego w okolicy Savony po dolinę Dunaju w okolicach Wiednia. [przypis edytorski]

<sup>440</sup> *Sabaudia* — kraina historyczna w pld.-wsch. Francji, we francuskich Alpach, przy granicy ze Szwajcarią i Włochami. [przypis edytorski]

<sup>441</sup> *Siena* — miasto i gmina we Włoszech, w Toskanii, w prowincji Siena. [przypis edytorski]

<sup>442</sup> *Damon i Pitias* a. *Pytiasz* — filozofowie greccy, żyjący rzekomo około V wieku p.n.e., sławni z powodu łączącej ich przyjaźni i wzajemnej lojalności. [przypis edytorski]

<sup>443</sup> *Orest* a. *Orestes* (mit. gr.) — syn Agamemnona i Klitajmestry, który pomścił ojca, zabijając matkę (jego morderczynię) i jej kochankę. [przypis edytorski]

<sup>444</sup> *Pilades* a. *Pylades* (mit. gr.) — syn władcy Fokidy, Strofiosa, i Anaksibii, kuzyn i przyjaciel Orestesa. [przypis edytorski]

<sup>445</sup> *gonfalonier* — w średniowiecznych republikach włoskich wysoki urzędnik, sprawujący naczelną władzę w mieście. [przypis edytorski]

<sup>446</sup> *Florencja* — miasto w środkowych Włoszech, stolica Toskanii i prowincji Florencja. [przypis edytorski]

<sup>447</sup> *casa* (wł.) — dom. [przypis redakcyjny]



przedwcześnie zmarła żona pozostawiła dwoje dzieci; zwały się Tommaso albo Maso i Lisabetta. Uroczą dziewczynka wzrastała pod opieką starej krewnej, zwanej w domu ciotką Brygidą, syn zaś już od wczesnej młodości musiał pomagać w warsztacie ojca i troszczyć się własnymi siłami o zdobycie szerszego wykształcenia. Udało mu się to, gdyż natura nie obdarzyła go wprawdzie pięknnością, ale za to parą jasnych oczu i dobrych uszu, tak iż nikt nie mógł zauważyć, że na ławie szkolnej przesiedział tylko krótki czas. Gdyby nawet ojciec mógł się obywać bez jego pomocy przy piecu lutniczym i stole czelatorskim, nie miał środków, by opłacać drogich nauczycieli. Rzemiosło bowiem, które mistrzowsko opanował, przynosiło mu tylko tyle, by utrzymać dom na przyzwoitej stopie i rodzinę zaopatrzyć w najniezbędniejsze środki. Miał on bowiem wadę, iż posiadał zbyt pobudliwe i byle czym niekontentujące się usposobienie; nie wypuszczał z rąk roboty, dopóki nie była wykonana po mistrzowsku; najmniejsze przeoczenie któregoś z czeladników powodowało, że raczej wykończoną robotę rzucał z powrotem do tygla i poczynał od nowa. Oczywiście, w tych warunkach nie dochodzi się do bogactwa. Lecz tym się nie przejmował ani on, ani syn, który wprawdzie nie odziedziczył skrupulatności ojca, natomiast jego pogodny pogląd na świat; co dnia witał życie radośnie i z nowymi nadziejami, aczkolwiek niewiele jego fantastycznych marzeń spełniało się. Przede wszystkim jednak uszczęśliwiała go miłość ku sąsiadowi, młodemu Nino del Garbo. Nie mijał dzień, by obaj po ukończeniu pracy czy studiów nie spotykali się, zwykle na wałach, okalających miasto, lub też w lesistych dolinach za bramami; zdawało się, że chyba o zbawieniu świata radzą, gdyż rozmowy ich nie miały końca. Od rówieśników zupełnie stronili. Ojcowie godzili się na to; każdy z nich przypatrzył się dokładnie synowi drugiego, by się przekonać, czy zasługuje na zaufanie; uważali oni przyjaźń obu chłopców za mniej niebezpieczną niż wdawanie się z gromadą nicponiów i urwisów, dorastających równocześnie w mieście.

Praca

Gdy obaj chłopcy dorosli, prorokowali kpiarze, którzy przydali im różne przezwiska, jak „para miłosna”, „prawa i lewa ręka”, „dwa gołębie”: teraz zakończy się ta nierozzerwalna przyjaźń, rozdzieli ich kobiety, które, jak wiadomo, zawsze są kością niezgody między mężczyznami lub też opanowują z taką wyłącznością zmysły i umysł młodzieńczy, iż nie ma więcej miejsca dla trzeciej osoby, choćby nią był najlepszy towarzysz i przyjaciel.

Plotka

Mądrale ci przekonali się jednak wkrótce ku swemu wielkiemu zdumieniu, że ich proctwa nie ziściły się. Ani Nino, ani Maso nie zauważyli, że u młodych kobiet i dziewcząt swego miasta są zapisani na liście tych, od których należałoby się spodziewać hołdów lub nawet poważniejszych starań. Nie dziwiło to bynajmniej u pięknego Nina, który uchodził za młodego filozofa i ascetycznego dziwaka, natomiast wielce się dziwiono chłodowi jego przyjaciela, który wprawdzie nie unikał spojrzeń pięknych oczu i wszystko, co na świecie piękne, obserwował z widoczną radością, jednak zdawał się nie czynić różnicy między błyszczącym klejnotem lub kwitnącym drzewem granatu a młodą kobietą, kroczącą w pełni kraszy i młodości. Zainteresowanie jego dla ludzi, jako dzieł ważniejszych i rozkoszniejszych od innych tworów przyrody, rozpoczynało i kończyło się na przyjacielu; z płci pięknej zdawała się istnieć dlań tylko Lisabetta, która była o wiele lat młodsza od niego i której strzegł jak oczka w głowie z troskliwością niemal macierzyńską.

Rozstanie

Ojciec Nina uznał wreszcie, że nadszedł czas, by syn udał się na studia prawnicze na uniwersytecie w Bolonii<sup>448</sup>. To pierwsze rozstanie sprawiło obu przyjaciołom takie zmartwienie, jakie odczuwają kochankowie zmuszeni do rozłąki. Lecz zbyt byli dumni, by kogokolwiek zrobić świadkiem swego bólu. Noc przed wyjazdem Nina spędzili bezsennie w skromnej izdebce Masa. Gdy wczesnym rankiem młody student, odprowadzany przez rodzinę i licznych znajomych, opuszczał miasto, nie było widać Masa. Siedział w warsztacie i pracował nad zdobną rękojęścią sztyletu, który zamierzał przesłać swemu przyjacielowi.

Gdy po miesiącu był gotów z tą robotą, znikł pewnego dnia; nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Ojcu pozostawił kartkę z wiadomością, że za tydzień powróci. Potem dowiedziano się, że piechotą przebył daleką drogę do Bolonii po to tylko, by dzień jeden spędzić z przyjacielem. Ojciec nie czynił mu wyrzutów, tylko Lisabetta była nadąsana, gdyż nie przywiózł jej od Nina nic prócz pozdrowienia.

Muzyka

Piękne dziewczęta, które po wyjeździe Nina spodziewały się, że młody samotnik będzie teraz łaskawszy i że uda im się zdobyć jego serce, srodze się rozczarowały. W go-

<sup>448</sup> *Bolonia* — miasto w północnych Włoszech, stolica regionu Emilia-Romania. [przypis edytorski]

dzinach, które zwykle dzielił z przyjacielem, oddawał się teraz grze na lutni; wkrótce doprowadził kunszt ten do mistrzostwa. Pisał również piękne pieśni i *rispetti*<sup>449</sup>, które śpiewał w pogodne noce w ogródku za domem. Lecz żadna z pięknych dam miasta, które podczas przelotnych spotkań na ulicy lub w kościele zachęcały chłopca powłóczytymi spojrzzeniami, nie mogła się pochlubić, że młody lutnista sztuką swą popisował się nocą przed jej oknami.

Wkrótce nadeszły dlań czasy, gdy ani myśleć nie można było o grze i śpiewie. Stary majster Buonfigli zmarł nagle i pozostawił synowi troskę o dom i młodą siostrę, liczącą wówczas dopiero piętnasty rok życia. Śmiech znikł z jasnej, dobroduszej twarzy osieroconego syna; silną dłonią ujął ster gospodarstwa domowego. Dotychczas zajmował się swym rzemiosłem bez zbytniego przejęcia. Obecnie poświęcił się mu ciałem i duszą, gdyż postanowił zebrać dla Lisabettucci okazały posąg, o co nieboszczyk ojciec nigdy zbytnio się nie troszczył.

Od wczesnego ranka do późnego wieczora przesiadywał przy robocie, a często po północy sporządzał rysunki i wzory dla czeladników<sup>450</sup>, których przyjął; toteż zamożność jego wzrastała ciągle, a także i znaczenie jego w cechu<sup>451</sup>; miał ponadto zawsze tyle czasu, by się spotykać ze swym przyjacielem młodości, który również czasu nie zmarnował i, zdobywszy dyplom doktorski, powrócił po kilku latach do miasta rodzinnego. Również i jego rodzice pomarli w tym czasie, toteż powszechnie sądzono, że młody pan doktor po upływie roku żałoby pocznie się ubiegać zarówno o rękę córki jednego z najbogatszych obywateli, jak też o wpływe i honorowe stanowisko w zarządzie miejskim. Sądzono bowiem, że miłość i poufałość z synem sąsiada należy do przeszłości, że przyjaźń ich wygasła, gdy tyle lat rozłąki ich dzieliło.

Ku wielkiemu zdumieniu dowiedziano się jednak, że młody del Garbo zgłosił prośbę o przyjęcie do korporacji adwokatów i tego samego dnia zaręczył się z siostrą przyjaciela. Przez pewien czas krążyły na ten temat liczne kpiny i docinki, gdyż ostre języki w Sienie, podobnie jak i we Florencji, nie tak łatwo się uspokajają, gdy mogą żerować kosztem swych bliźnich. Lecz z czasem i nad tym niespodzianym wypadkiem przeszło się do porządku, zwłaszcza że przyjaciele, obecnie w trójkę, a raczej, jeśli się wliczy ciotkę Brygidę, we czworo, mało się pokazywali; w cichym ogródku przy blasku gwiazd i księżycy Maso grał na lutni, a cienki głosik młodej narzeczonej mu wtórował; Nino zajmował się swymi interesami, z nikim bliżej się nie zadając; toteż ludzie przestali się nimi zajmować, a znajdowali się nawet tacy, którzy utrzymywali, że tak stać się musiało, że tak, a nie inaczej być powinno.

Wesele wyznaczono za pół roku, gdyż Lisabetta musiała sama sporządzić sobie wyprawę, do czego zabrała się z całą gorliwością przy pomocy Brygidy. Wprawdzie nie był to dostateczny powód do tak długiej zwłoki dla narzeczonego, który mógł i bez tylu przygotowań wprowadzić wybraną swego serca w swój zamożny dom — ale Nino, aczkolwiek dawał do poznania, że urocze dziewczę uważa za perłę drogocenną, nie okazywał wcale pośpiechu. Zwróciło to uwagę dziewczęcia, które ze łzami w oczach uskarżało się wobec starej piastunki na obojętność swego narzeczonego. Zdawało jej się, że nigdy nie byłby jej wybrał, gdyby nie była siostrą Masa, który jest jedyną jego miłością. Stara, mimo że i ją raziło postępowanie Nina, pocieszała, jak mogła, swą ulubienicę, postanowiła jednak dyskretnie wy badać oziębłego narzeczonego, czy też nie jest rybą, jeśli w ogniu tak czułych młodych oczu nie potrafi się rozgrzać. Gdy wieczorami przychodził i z właściwą mu marzycielską pogodnością rozmawiał z Lisabettuccią uprzejmie, ale tak spokojnie jak z siostrą, nie zdobywała się na odwagę, by wyrazić swą tajoną złość; myślała, że to przecież kiedyś się zmieni, gdy płomień własnego ogniska domowego stopi lody.

Zdarzyło się w onczas<sup>452</sup> podczas karnawału, iż pewien wytworny i bardzo zamożny szlachcic wezwał Masa do Wenecji<sup>453</sup>, by zasięgnąć jego porady i pomocy w sporządzeniu biżuterii dla swej córki, którą zaręczył z francuskim księciem. Kosztowności, które od stuleci przechodziły w rodzinie z matki na córkę, należało świeżo oprawić i uzupełnić naj-

<sup>449</sup>*rispetto* (wł.) — tu: forma metryczna, przeważnie używana w poematach miłosnych. [przypis redakcyjny]

<sup>450</sup>*czeladnik* — wykwalifikowany rzemieślnik, pracujący pod kierunkiem majstra. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>*cech* — zrzeszenie rzemieślników jednej lub kilku zbliżonych specjalności. [przypis edytorski]

<sup>452</sup>*wonczas* (daw.) — wtedy. [przypis edytorski]

<sup>453</sup>*Wenecja* — miasto i gmina na północy Włoch, stolica regionu Wenecja Euganejska. [przypis edytorski]

Praca, Obowiązek, Siostra

Zaręczyny, Plotka

Klejnot, Podróż

piękniejszymi kamieniami, sprowadzonymi z Lewantu<sup>454</sup>. Maso obliczył, że w przeciągu trzech tygodni upora się z zaszczynnym zleceniem. Lecz tydzień za tygodniem mijał, a wciąż miał zajęcie, musiał sporządzać coraz to nowe wzory i pouczać robotników, jak je mają wykonywać, toteż zlorzeczył wielokrotnie, że się wdał w tę pracę.

Gdy wreszcie minął marzec, a nie widać było końca zajęciom w Wenecji, napisał do domu, by w imię boże szykowano się do ślubu, dano na zapowiedzi, zaś jego uwiadomiono o dniu wesela; przyjedzie, choćby go złotymi łańcuchami chciano przykuć do kampanili<sup>455</sup> Świętego Marka<sup>456</sup>.

Na to przez pełnych czternaście dni nie było odpowiedzi, tak iż, dręczony niepokojem i niecierpliwością, posłał zaufanego służącego jako kuriera do Sieny i polecił mu natychmiast powrócić do Wenecji, skoro tylko otrzyma odpowiedź. Posłaniec nie mógł jeszcze dotrzeć do Florencji, gdy młody złotnik otrzymał tak niecierpliwie oczekiwany list. Nie pochodził on z ręki Nina, który już przedtem doniósł, że z powodu przeciążenia pracą zawodową nie może się zdobyć na utrzymywanie stałej korespondencji, ani z ręki Lisabetty. Pisała go niezdatnymi literami, dowodzącymi wzburzenia umysłu, stara Brygida:

Najdroższy bratanku! Kochany Maso!

Odkąd wyjechałeś z domu, zapanował w nim smutek, a jeśli Pan Bóg i łask pełna Matka Boża nie zwróci wszystkiego ku dobremu, śmiech i radość zniknie po wieki z naszego domu, a ostatnie dni twej starej Brygidy upłyną wśród trosk i zgryzot. Ponieważ wiem, że sprawca tych nieszczęść i zmartwień jest ci droższy niż światło twych oczu, długo zwlekałam, by ci o tym pisać, gdyż zdaję sobie sprawę, kochany mój Maso, że dla dokończenia pracy na obczyźnie potrzebujesz swobody umysłu i dobrego humoru, byś nadal zyskiwał uznanie i zawstydział tych, którzy ci zazdroszą. Jednak drugiej osobie, którą po swym przyjacielu najbardziej miłujesz, jestem winna tyle miłości, iż muszę wreszcie przerwać milczenie, abyś, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, jakie jej grozi, mógł coś przedsięwziąć, co by powstrzymało katastrofę, a może z powrotem sprowadziło spokój i szczęście.

Muszę ci mianowicie donieść, najdroższy synu, że serce twego przyjaciela odwróciło się od narzeczonej, twej niewinnej siostry; od trzech tygodni unika jej widoku i nie uważa za wskazane przysłać wyjaśnienia, które by usprawiedliwiło jego nieobecność. Wkrótce po twym wyjeździe przybyła do naszego miasta z Empoli<sup>457</sup>, jak mówią, młoda wdowa, *madonna*<sup>458</sup> Violanta, szwagrowa naszego podesty<sup>459</sup>, *messer*<sup>460</sup> Vitellego, którego brata przed kilku laty podczas tegoż handlowych podróży poznała i poślubiła. Gdy wkrótce potem zmarł i, nie spodziewając się tak rychłej śmierci, nie zostawił testamentu, postanowili tutejsi krewni młodej wdowy, niezazwyczaj zresztą zbyt dobrej reputacji, zbyć ją niewielką sumą jako odczepnym. By się przeciw temu obronić, a też by wziąć w posiadanie majątek ziemski swego nieboszczyka męża, znajdujący się w pobliżu miasta, pani Violanta udała się do Sieny, a gdy krewni podesty pokazali jej drzwi, zwróciła się do sądu i poczęła szukać najuczestszego i najwpływowszego adwokata. Opinia publiczna wskazała jej twego przyjaciela, Nina.

Z początku zajął się on tą sprawą z całą sumiennością, gdyż, przychodząc jeszcze codziennie do naszego ogródka na godzinkę rozmowy z Lisabettuccią, mówił o procesie i pięknej oskarżycielce tak bezstronnie, jakby

<sup>454</sup>*Lewant* — pochodzące z języka wł. określenie państw leżących na wschodnim, azjatyckim wybrzeżu Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

<sup>455</sup>*kampanila* (archit.) — dzwonnica w formie wysmukłej wieży. [przypis edytorski]

<sup>456</sup>*Święty Marek* (rel.) — autor Ewangelii, kuzyn św. Barnaby, towarzysz św. Pawła, a później św. Piotra, apostoł z grona siedemdziesięciu dwóch. [przypis edytorski]

<sup>457</sup>*Empoli* — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Toskania, w prowincji Florencja. [przypis edytorski]

<sup>458</sup>*madonna* (wł.) — tu: kobieta, moja pani. [przypis edytorski]

<sup>459</sup>*podesta* — w niektórych średniowiecznych włoskich republikach miejskich najwyższy urzędnik o uprawnień sądowniczych i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>460</sup>*messer* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

to wszystko odczytywał z drukowanej książki. Po kilku tygodniach jednak począł unikać tego tematu, był zakłopotany i skoro nasze dziecko żartem o procesie wspomniało, czerwieniał i mieszał się; wreszcie począł naszą Lisabettę gryźć jad zazdrości; pewnego dnia rzuciła mu się na szyję i ze łzami w oczach prosiła, by ten brzydki proces odstąpił jednemu z kolegów, gdyż pozbawia go wesołości, a ją miłości; wtedy uściskał ją, wyjąkał kilka zakłopotanych słów, uwolnił się z jej objęcia i opuścił, jakby ścigany przez złe duchy.

Od tego czasu nie pojawił się więcej pod naszym dachem mimo sąsiedztwa naszych domów i zbliżającego się terminu ślubu. Posyłałam mu list z listem; wreszcie udałam się do jego mieszkania, by mu powiedzieć w twarz, że łamie swym zachowaniem się młode serce, które mu tak bardzo ulega, i że bierze na swe sumienie grzech śmiertelny; jednak jeden z pisarzy odprawił mnie słowami, że pan doktor jest chory i nie może nikogo przyjąć.

Oczywista, drogi synu, nie wierzyłam wcale tej wymówce. Mam na świecie tylko was dwoje; sercem moim oświadczyłam oburzenie i lęk; przyczaiłam się i jeszcze tego samego wieczora wykryłam, co to wszystko ma oznaczać. Otóż twój przyjaciel, gdy wszyscy uczciwi chrześcijanie udają się na spoczynek, wykrada się z domu, w płaszcz szczelnie i do niepoznaki otulony. Mimo mego oburzenia i chłodu nocy czuwałam w oknie, aż wreszcie około czwartej nad ranem ujrzałam go wracającego. Zaledwo mogłam się powstrzymać, by głośno nie zawołać, za co go uważam, i że sprawiedliwość nieba go dosięgnie.

Lecz zacisnęłam wargi, by się w sąsiedztwie nie dowiedziano o hańbie, której nam przysparza, tym bardziej, że pomyślałam sobie, iż twoją, a niczyją inną jest rzeczą stanąć w obronie honoru i szczęścia siostry. Wobec niej jednak milczałam o tym, co widziałam w nocy, mimo że i następnych nocy to samo się powtórzyło; gdyby biedaczka zrozumiała, że niegodny jest jej miłości, byłaby może w świadomości tego zdołała otrząsnąć się z uczuć, które nią władały. Jestem stara i nie wiem już, czego trzeba młodzieży i jakich sposobów użyć należy w danym wypadku; toteż wreszcie zdecydowałam się, drogi synu, wszystko ci dokładnie wyznać i pozostawić tobie decyzję i sposób postępowania, jaki uznasz za wskazany. Lecz zanim cię polecę opiece Świętej Trójcy i wszystkich świętych, kładę ci na sercu, abyś nie zwlekał z decyzją. Przerazisz się, gdy zobaczysz, jak pod wpływem utrapień sercowych zmarniała nasza ulubienica; osnuł ją niemal cień śmierci, i nawet obcy ludzie się litują, widząc, jak wesoła dotychczas narzeczona główkę swą skłania ku ziemi jak zwiędła lilia.

Zdrada, Hańba, Rozpacz

\*

List ten, który potem znaleziono w papierach Masa zmięty zupełnie, gdyż widocznie po przeczytaniu zmiażdżono go w dłoni, doręczono młodemu majstrowi na Piazza di San Marco<sup>461</sup>, właśnie gdy udawał się do domu swego szlachetnego chlebobdawcy, by odnieść mu srebrną tacę, bogato zdobioną kamieniami. Skoro tylko przeczytał list, polecił swemu służącemu, by sam udał się do pałacu i usprawiedliwił go, że ważna, niecierpiąca zwłoki sprawa odwołuje go do domu. W tej samej godzinie, nie załatwiwszy wcale swoich interesów, kazał się łódką przewieźć na *terra ferma*<sup>462</sup>, wynajął konie i popędził w dal, do miasta ojczystego, po drodze tyle tylko wypoczywając, by wrócić do domu w pełni sił, jak przystało sędziemu i mścicielowi.

Podróż

Ostatniej nocy, zanim miał przybyć do celu, nie mógł zasnąć na posłaniu; nie budząc oberżysty, wstał, sam osiodłał konia i cwałował przez mroźną noc lutową drogą do Sieny. Gdy ujrzał piękne miasto, wieże i dachy pałaców czerwieniały w blasku rannego słońca. W duszy jego była jednak ponura noc. Konia umieścił w małej gospodzie tuż obok murów;

<sup>461</sup>Piazza di San Marco — Plac św. Marka, znajdujący się w najstarszej części Wenecji; najbardziej znany plac tego miasta. [przypis edytorski]

<sup>462</sup>terra ferma (wł.) — ląd. [przypis edytorski]

sam bocznymi uliczkami zakradał się pieszo do domu. Zdawało mu się, że nie mógłby swobodnie spojrzeć ludziom w twarz; odczuwał ohydny postępек swego przyjaciela jakby własną winę i hańbę, której się należało wstydzic wobec Boga i ludzi.

Stara Brygida otwierała właśnie drzwi sklepu złotniczego, gdy stanął w nich Maso. Z głośnym krzykiem rzuciła się ku niemu, położył jej jednak rękę na ustach i nakazał milczenie. Usłuchała, drżąc na całym ciełe ze strachu, kiedy zobaczyła jego zapadłe policzki i błędny wyraz oczu. Pociągnął ją ku kuchni, znajdującej się w dolnej części domu koło ogródka, wypił duszkiem kielich wina, wziął gąbkę, zamoczył w zimnej wodzie i przycisnął kilkakrotnie do czoła, po czym zażądał, by mu opowiedziała, co zaszło w ostatnich dniach.

Nic się nie zmieniło, jeno<sup>463</sup> poczynają już w mieście o tym szeptać, ciekawe kumoszki wciąż ją nawiedzają, by się wywiedzieć, ile jest prawdy w krążących pogłoskach. Wypierała się wszystkiego i wszystkim mówiła, że Lisabettuccia jest chora, co zresztą niezbyt jest dalekie od prawdy. Gdyż niejeden, któremu szykują łoże śmierci, wygląda lepiej niż ta biedna istota.

— Czy chcesz ją zobaczyć? Leży w swej izdebce i pewnie po nocy spędzonej bezsennie wśród płaczu i westchnień zasnęła.

Maso potrząsnął silnie głową.

— Nie mam serca spojrzeć siostrze w oczy, zanim jej nie będę mógł powiedzieć, że wypełniłem mą braterską powinność. Do tego zaś zamierzam niezwłocznie przystąpić.

— O mój chłopcze! — zawołała stara i załamała ręce nad siwą głową — pilnuj zbawienia swej duszy i nie czyni żadnych gwałtownych kroków. Może jest on mniej winny, niż myślimy, może uległ szatańskiemu omamieniu. Gdyż różne osoby, które o wdowę zapytywałam, zapewniały mnie, że wcale nie jest tak piękna i urocza; kto wie, czy Nino, gdy mu przypomnisz, jak dawniej między wami było...

— Dość! — zgrzytnął Maso zębami. — Patrz, tu składam mój miecz i sztylet. Zupełnie bezbronny pójdę do niego. Dopiero, gdy me słowa nie zdołają sobie utorować drogi do jego serca, zobaczymy, co potem zrobić! Muszę się bronić przed własną zapalczywością, bym nie zrobił czegoś, czego potem musiałbym żałować. Boć to przecież Nino! Czy mimo wszystko, co zrobił, mógłbym pójść do niego uzbrojony jak do wroga?

Ujrzał na stole szkatułkę hebanową, ozdobioną perłową masą, dar Nina: na ten widok stracił pewność siebie, którą dotychczas z całych sił podtrzymywał, i rzewnie zapłakał. Lecz wkrótce opamiętał się i, podając rękę starej, rzekł:

— Ulżyło mi. Łzy zmyły mgłę, która zasnuwała me oczy. Zobaczysz, jeszcze wszystko będzie dobrze; wszyscy go krzywdzimy. Przygotuj mi śniadanie, spodziewam się bowiem, że wkrótce powrócę i przyniosę dobre wiadomości, a może przyprowadzę i jego samego.

Pewnym krokiem skierował się ku bramie *casa del Garbo*. Gdy jednak ujął za kołatkę, serce mu zadrżało. Wszedł na schody, a że jako przyjaciela pana domu nikt go nie śmiał zatrzymać, znalazł się — choć nie była to pora odwiedzin — wkrótce przed sypialnią Nina, zapukał w sposób, jaki był stale między nimi umówiony, i wszedł, nie zaczekawszy na pozwolenie.

Nino podskoczył z łóżka, w którym wypoczywał dopiero od niewielu godzin. W pierwszej chwili nie poznał wchodzącego. Gdy Maso ujrzał bladą twarz, którą przecież tak kochał, nie zdołał ani słowa wypowiedzieć, acz sobie w duchu przygotował tyle gorzkich, przykrych wyrazów. Powoli podszedł na środek pokoju, mając wciąż jeszcze kapelusz na głowie, i, zatrzymawszy się przy krześle obok łóżka, zaczął powoli zdejmować rękawiczki.

— Dzień dobry, Nino! — powiedział wreszcie niepewnym głosem. — Przychodzę wcześniej. Nie zamyślam jednak długo tu zabawić.

— Czyś to ty naprawdę, Maso! — zawołał Nino, dopiero teraz ochłonawszy z pierwszego wrażenia. — o mój Maso, dlaczego wcześniej nie przybyłeś? Dlaczego? To mogłoby nas wszystkich uratować! A jednak... jesteś wreszcie... widzę znowu twoją twarz... dziwne, długo się lękałem, że tak do mnie wejdiesz... a teraz, mimo że nie przybywasz z dobrymi zamiarami, teraz mam wrażenie, że z mej piersi zlatuje kowadło, w które dzień i noc kuły złośliwe demony. Dziękuję ci, żeś przybył!

Wyciągnął ku niemu obie ręce. Jednak chociaż Maso uciuwał wprost nieprzepatą chęć rzucenia mu się na szyję, odwrócił się, opadł na krzesło i skierował wzrok na sufit.

<sup>463</sup>jeno (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

Nie miał odwagi się odezwać w obawie, że z tą chwilą opuści go równowaga umysłu i spokój, do którego się z ogromnym wysiłkiem przymuszał.

— Masz rację — rzekł Nino — Nie możesz uścisnąć mej ręki, zanim się nie dowiesz, jak nieszczęśliwy jest ten, którego uważasz za lekkomyślnego wroga twego szczęścia i twego honoru. Wierź mi, Maso, sto razy powtarzałem sobie co dzień, że jestem nędznikiem bardziej zasługującym na karę niż morderca i rabuś, że mam przecież tylko przebyć dwadzieścia kroków, by u stóp anioła, który mi oddał swe serce, wypowiadać się i odpokutować swe winy. Ale są, Maso, demony, które kładą się przed stopami pokutnika i powstrzymują go od wejścia na drogę łaski. Dobrze więc, że przybyłeś. Tam na stole leży sztylet, który sam dla mnie zrobiłeś i ofiarowałeś w Bolonii. Weź go i skończ me męki, pomścij siostrę, a ja ostatnim tchnieniem wyznam, że postąpiłeś wobec mnie sprawiedliwie — a potem ruszę do piekieł!

Nastąpiła głęboka cisza w izbie, przerywana tylko jękami nieszczęśliwca, który rzucił się na łóżko i ustami przywarł do pościeli. Nagle uczył rękę przyjaciela, która łagodnie i drżąco ujęła jego dłoń.

— Nino — wyszeptał głosem, z którego przebijało głębokie wzruszenie — powiedz mi wszystko. Wszak powinienem być wiedzieć, że z własnej woli nie robisz mi krzywdy...

Lecz Nino nie poruszał się. Leżał przez czas jakiś jak nieprzytomny; powoli oddech jego stawał się spokojniejszy, jakby dotknięcie ręki przyjaciela łagodziło ból. Potem uniósł się z pościeli i powiedział:

— Dałem na mszę w kościele gwoli zbawienia biednej duszy z pokuszeń szatana, na kolanach modliłem się do mego patrona, który przecież więcej niż inni wie, co to pokusa<sup>464</sup> — wszystko na próżno! Ona jest diabolicą, lecz ja zatraciłem się w niej ciałem i duszą. Przed trzema laty, gdy przybyłem na uniwersytet, ostrzegła mnie wróżbiarka przed kobietami, mającymi na ciele znamię. Śmiałem się wówczas, gdyż nigdy mnie kobieta nie zdołała skusić. Teraz się przekonałem, że wiedźma prawdę wywróżyła. Widzisz, Maso, z początku, gdy do niej przychodziłem jako doradca prawny — gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że dla tej kobiety stargam wszystko, co najświętsze, obrażę śmiertelnie najdroższego przyjaciela, zgrzeszę tak ohydnie wobec najniewinniejszej istoty na ziemi — wykpiłbym go jako wariata i uważałbym się za człowieka o czystym sumieniu, bez skazy i zmyzy. A przecież doszło do tego, że uległem urokowi, który ujarzmił moją wolną wolę, upokarza moją dumę, każe mi być — i wobec samego siebie — niemym lotrem, niezasługującym na łaskę i litość, zbyt nędznym, by uciec przed tym, czym sam pogardza, i chwycić za rękę, która by go mogła uratować przed wiecznym potępieniem.

Nakrył twarz rękoma i znowu cisza zapanowała w izbie.

Maso wstał i począł długimi krokami przemierzać sypialnię. Wreszcie przystanął tuż obok łóżka:

— Czy zamierzasz ją poślubić?

— Niech Madonna i wszyscy święci strzegą mnie przed takim szaleństwem! — zawołał nieszczęśliwiec. — Mówię ci przecież, Maso, ta kobieta nie ma duszy, a kto się jej oddał, popadł w wieczne potępienie. Ona mnie zresztą nie kocha, aczkolwiek czasem udaje miłość. Ona niczego nie kocha na świecie prócz swej władzy nad biednymi głupcami; wiem dobrze, iż mogłaby mnie widzieć wijącego się u swych stóp w śmiertelnej męce, a serce jej nie zadrgałoby ani razu. Wszystko to powiedziałem sobie niezliczone razy; gdy jestem z dala od niej, lżę ją najobraźliwymi, najgorszymi przezwiskami. Lecz gdy dzień ma się ku końcowi i dokoła mnie staje się cicho, słyszę wyraźnie jej kuszący głos, łagodny jak szczebiot dziecka — i od razu zatracą się mój upór, moja złość, moje poczucie męskości, muszę iść do niej...

Maso nic nie odpowiedział. Długo spoglądał w wysokie białe czoło przyjaciela, z którego zwisały czarne kędziory zwichrzonych włosów. Potem nagle pochylił się ku niemu, przycisnął usta do głowy przyjaciela i wypadł z pokoju.

\*

<sup>464</sup>na kolanach modliłem się do mego patrona, który przecież więcej niż inni wie, co to pokusa — patronem jest św. Antoni a. Antoni Wielki (250/251?–356), egipski pustelnik, opat i ojciec pustyni, ortodoksyjny asceta. [przypis edytorski]

Kobieta demoniczna,  
Zemsta, Sprawiedliwość,  
Pokusa, Proroctwo,  
Wyrzuty sumienia

Dopiero gdy znalazł się w sieni, uświadomił sobie, że zapomniał o coś zapytać. Jeden z pisarzy, który właśnie wchodził do biura adwokackiego, zdołał go jednak poinformować, gdzie mieszka *madonna* Violanta. Poprosił pisarczyka<sup>465</sup>, by swemu panu nie wspominał, iż go o to zapytał.

Najkrótszą drogą udał się do wskazanego domu, znajdującego się w najnowszej części miasta. Był to wcale okazały budynek, ongi<sup>466</sup> zamieszkały przez jedną z bogatszych rodzin. Po śmierci właścicieli spadkobiercy wynajmowali kamienicę każdemu, kto płacił dobry czynsz. Gdy Maso ujrzał dom, zatrzymał się. Sam nie zdawał sobie dobrze sprawy z tego, czy złe przecucie go powstrzymywało czy też chciał zebrać swe myśli przed spotkaniem, które miało zadecydować o losie ich wszystkich. Stał więc pośrodku ulicy. Ze zdziwieniem patrzyli nań przechodnie. Twarz jego była jednak tak dziwna, wyraz jej, zwykle pogodny i jasny, tak zmieniony, iż nikt nie miał odwagi, by doń przystąpić i przemówić. Wreszcie powziął widocznie decyzję, bo silnym krokiem zbliżył się do nieszczęsnego domu.

Gdy zapukał, pojawiła się służąca i zapytała, czego sobie życzy o tak wczesnej porze. Pani dopiero wstała, a nie przyjmuje odwiedzin nieznanym osobom. Chytre, świdrujące oczy młodej i wcale niebrzydkiej dziewczyny nie podobały mu się. Wcisnął jej w dłoń pieniądze i powiedział krótko, że życzy sobie widzieć panią Violantę w sprawie niecierpiącej zwłoki. Służąca odeszła, zostawiając go samego; po chwili wróciła i zapytała, jak się nazywa. Gdy jej powiedział swe nazwisko, odbił się na jej twarzy wyraz wielkiego zdumienia. Skinęła mu głową, by szedł za nią, i zaprowadziła go do dużego, pustego pokoju, w którym go zostawiła samego.

Na wielkim kominku paliły się szczapy drzewa oliwnego, na których zwiślały jeszcze kilka gałęzi, pokrytych liśćmi i zeschniętymi owocami. Blask nie padał daleko, tak iż rysunek tapet, pokrywających ściany, tylko wtedy był widoczny, gdy uderzenie wiatru, buchającego z kominka, podpychało płomienie w górę. Naprzeciw kominka stały dwa krzesła; na jednym Maso usiadł i czekał. Serce mu się ścisnęło na myśl, że niejedną noc na tym miejscu przesiedział Nino, wsłuchany w słowa, które go uwiiodły.

Wtem otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie długiej sali i weszła ciemna postać kobieca. Zbliżała się spokojnymi krokami; Maso wstał; dopiero gdy była bardzo blisko, mógł rozpoznać szczegóły postaci. W pierwszej chwili zdumiał się, iż osoba, dla której poświęcono jego siostrę, nie jest piękniejsza. Była średniego wzrostu; czarna aksamitna suknia, oblamowana delikatnym szarym futrem, raczej ukrywała niż uwydatniała jej kibić; szyję i plecy miała owinięte w długi szal, gęstą, wiotką tkaninę, poprzątkowaną złotymi niciami, w którą tuliła się przed zimnem, tak że ramiona i ręce były niewidoczne. Nad tą gęstą tkaniną unosiła się głowa, którą trzymała stale nieruchomo; tylko niebieskawe oczy poruszały się wciąż niespokojnie pod gęstymi brwiami. Obfite włosy o pięknym, ciemnobrązowym kolorze spadały, niedbale spięte, na kark; kolor tej twarzy był siny; gościa swego powitała ledwo widocznym skinieniem głowy...

„Doprawdy — pomyślał Maso — zaczynam wierzyć, że Nino ma rację, utrzymując, że tu działały jakieś czary. Bo jakżeż ta przeciętna istota mogłaby tak nim ovladnąć, gdyby to się stało w naturalny, normalny sposób!”

Nie odezwawszy się ani słowem, siadła na pustym krześle i wskazała ręką, by zajął z powrotem swoje miejsce. Ujęła żelazny ożóg<sup>467</sup>, stojący w kącie, rozgarnęła płonące drzewo i rzuciła w ogień nowe polano. Przy tym pokazała swe ręce, które wprawdzie nie były małe, ale bardzo białe i smukłe. Na środkowym palcu nosiła pierścień z krwawym kamieniem.

— *Signora*<sup>468</sup> — powiedział wreszcie, tłumiąc westchnienie — nie wiem, czy moje nazwisko jest pani znane, czy pani wie, że nosi je brat młodej dziewczyny, która za kilka tygodni, jeśli Bóg pozwoli, ma zostać żoną mego przyjaciela, Nina del Garbo. Jest zbędne tracić czas na podchwytliwe słowa i iść krytym szystem<sup>469</sup>. Gdy pani tyle powiedziałam, wie pani zapewne, co mnie tu sprowadza. Spowodowała pani, że przyjaciel mój porzucił

<sup>465</sup> *pisarczyk* (daw.) — pomocnik pisarza w urzędzie. [przypis edytorski]

<sup>466</sup> *ongi* (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>467</sup> *ożóg* (daw.) — kij do poprawiania ognia w palenisku. [przypis edytorski]

<sup>468</sup> *signora* (wł.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>469</sup> *szych* — nitka owinięta drucikiem, używana do haftowania. [przypis edytorski]

swoją narzeczoną; młode oczy mej siostry wylewają gorzkie łzy z powodu pani. Nie jest moim zamiarem robić pani z tego powodu wyrzuty, bez względu na to, czy pani wiedziała o obowiązkach Nina czy też nie. Gdyż to, co się stało, już nie może się odstać. Lecz to, co się stać ma, mądrość, stanowczość i dobra wola mogą skierować na inne tory; toteż postanowiłem panią zapytać, czy i pod jakimi warunkami byłaby pani skłonna zwrócić wolność memu przyjacielowi.

Czekał przez chwilę na odpowiedź. Lecz ona siedziała naprzeciw niego, jak by jej te słowa zupełnie nie dotyczyły, pochylona wprzód, bawiąc się wciąż płonącymi polanami, to rozsuwając je ożogiem, to znów zgarniając.

— Wiem — począł po chwili milczenia Maso — że wymagam nieprzyjemnych rzeczy. Przybyła pani do naszego miasta z powodu swego procesu i uważałaby pani to za wielkie głupstwo, gdybyś wraz z kochankiem, który cię uwielbia, straciła również i adwokata, który ma ci dopomóc w uzyskaniu sprawiedliwego wyroku. A jednak nie widzę innego wyjścia z tego tragicznego splotu jak to, byś pani możliwie najprędzej opuściła miasto i zrzekła się widzenia kiedykolwiek swego obecnego doradcy prawnego.

Błyskawica z oczu kobiety strzeliła nagle ku mówiącemu; wargi jej wykrzywiły się nieco z wyraźnym grymasem lekceważenia. Również lekka czerwień ubarwiła jej policzki, co nadało jej twarzy wyraz młodości. Przez chwilę zdawało się, że chce coś odpowiedzieć. Lecz wzruszyła tylko ramionami, otuliła się szczerzej w szary szal i poczęła znów bawić się ogniem.

— Dziękuję pani, że spokojnie mnie wysłuchujesz — mówił Maso dalej. — Ofiara, której żądam, jest olbrzymia; nie dziwiłbym się, gdyby mnie pani oddaliła jako człowieka niespełna rozumu. Lecz proszę posłuchać, co pani zamierzam ofiarować jako odszkodowanie. Jeśli się pani zgodzi opuścić miasto, skłonię Nina, by sprawę pani powierzył dwóm najwpływowszym prawnikom, którzy drogą pisemną będą się z panią porozumiewali. Równocześnie wydam pani dokument, że jeśliby pani mimo to przegrała proces, całym swym majątkiem ręczę za wszelkie straty, a gdyby to, co posiadam, nie starczyło, będę rzemiosło moje uprawiał jakby pańszczyźniany parobek, aż wszystkie obecne pretensje pani będą zaspokojone co do grosza. W ten sposób unika pani obawy, iż przez swą nieobecność zaznasz strat majątkowych. A jeśli sądzisz, że ponosisz stratę, zwracając wolność kochankowi, toć przecież jesteś pani młoda i piękna i możesz tylu mężczyzn sobie zdobyć, ilu sama zechcesz, zamiast innej zabierać to, co, świętymi ślubami poparte, było jej własnością.

Po tych słowach nastąpiła cisza. Maso z łękiem w oczach próbował z jej nieprzeniknionej twarzy wyczytać, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Pot zrosił mu czoło; przycisnął rękę do serca, by pohamować kołatanie, które mu pierś rozsadzało. Gdyż im dłużej pozostawał w jej pobliżu, tym bardziej czuł się niesamowicie; począł w duchu przyznawać, że lekko drgające jej nozdrza, małe uszy i miękka bródka z niewielkim dołkiem pośrodku są piękniejsze, niż mu się w pierwszej chwili zdawało; grzech i zaślepienie Nina nie wydawały mu się szaleństwem. Wtem otworzyła po raz pierwszy usta i usłyszał przypochlebny, dziecięcy głos, który Nina, gdy mrok zapadał, z oddali ku sobie kusił...

— Mówi pan jak rozsądny człowiek i prawdziwy druh swego przyjaciela, *signor*<sup>470</sup> Buonfigli — powiedziała spokojnie, nie patrząc wcale na niego. — Lecz cóż ja mam począć? Jeśli opuszczę miasto, zaś pański przyjaciel jest tak bardzo, jak pan utrzymuje, we mnie zakochany, czy nagle zacznie on z powrotem uwielbiać swoją narzeczoną jak ongi? Powiedzmy, że bez skrupułów powierzy mój proces innym; ale czy tak spokojnie zgodzi się na to, aby moją osobę oddać w inne ręce? Pan jest zbyt mądry, by w to uwierzyć, a jeśli pan nie zna lepszego sposobu, by utrzymać narzeczonego dla swej siostry, to źle stoi sprawa tej dobrej dziewczeczki, której szczerze żałuję, mimo że jej nie znam i mimo że po raz pierwszy od pana się dowiaduję o jej stosunku do doktora del Garbo.

Maso wstał; brzmienie jej głosu i prawda bijąca z jej słów sprawiły, że nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu. Kroczył po długiej, ciemnej sali i wyęczał swój umysł, by znaleźć trafną odpowiedź. Nagle zatrzymał się przed swym krzesłem i powiedział głuchym głosem:

— Zrozumiem pani, że nie mogę stąd odejść, aż nie załatwię sprawy pomyślnie, wy-

Ofiara, Poświęcenie

Miłość tragiczna, Kobieta demoniczna, Czary

<sup>470</sup>*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]



rywając z rąk pani honor mego przyjaciela i szczęście mej siostry. Bóg mym świadkiem: gdybym wierzył, że Nino z panią będzie szczęśliwszy niż u boku mej siostry, przeboleałbym to wszystko i nie przeszkadzałbym jego szczęściu. Lecz w to nie wierzę ani ja, ani — on sam.

Uczuł na sobie znów błyskawicę jej rozplamionych oczu. Lecz oparł się z całych sił temu spojrzaniu i mówił w dalszym ciągu:

— Nie, pani, on w to nie wierzy; sam mnie zapewnił, że ani nie wierzy w miłość pani ku sobie, ani nie uważa swych uczuć ku pani za uszczęśliwiające i mogące przetrwać całe życie. Jest on raczej mocno przekonany, że olśniłaś go magiczną sztuką, zniewoliłaś czarami, pochodzącymi nie z nieba, a — z piekła.

Zamilkł, gdy wypowiedział to słowo, które groźnie zabrzmiało w olbrzymiej sali. Lecz na kobiecie przy kominku nie wywarło ono widocznie najmniejszego wrażenia. Pochyliła się jeno nieco naprzód, by polano, które się z pieca wysunęło, wepchnąć w środek ogniska. W tej chwili jednak stało się coś wielce groźnego. Oto koniec jej szala, zwisający poprzez polana, dostał się zbyt blisko płomieni. Momentalnie uleciały ogniki wzdłuż tkaniny w górę, a że szal był niezwykle cienki, zapłonął nagle dokoła całej postaci, która przez kilka chwil stanęła jakby w kolisku czerwonych ogników. Z okrzykiem rzucił się na nią Maso. Lecz jakby miała ręce z azbestu i płomienie jej nie parzyły, zerwała z błyskawiczną szybkością ogniste strzępy z szyi i pleców, zanim ogień mógł ogarnąć suknię, i stanęła, gdy czerwone płaty padały do jej nóg, nagle przed nim z obnażonym biustem, nie zdradzając zresztą ani drgnieniem twarzy, że się przestraszyła niebezpieczeństwa, które jej przez chwilę zagrażało.

Maso, któremu serce tak biło, że nie mógł słowa wydobyć z piersi, stał bez ruchu. Zdało się, że skamieniał na widok cudownego karku i nieskazitelnie uformowanych piersi. Lecz ponadto przyprawił go niemal o utratę przytomności inny widok. Oto na lewej piersi, której biel na tle czarnego aksamitu wydała się jeszcze jaśniejsza i którą teraz blask ognia jasno oświecał, ujrzał dziwne, ciemnoniebieskie znamię, podobne do śladu, jakie zostawiają szpony małego ptaka na zamarzłym śniegu. Zdawało się, że ten delikatny znak na miękkiej skórze żyje, gdyż za każdym oddechem podnosił się i opadał: było ponad siły odwrócić wzrok, gdy się raz weń wpatrzyło... Lecz trwało to tylko kilka chwil. Zebrawszy w węzeł włosy, które podczas ognia się rozluźniły, i złożony ręce na piersi, tak że znamię stało się niedostrzegalne, raz jeszcze dziwna kobieta spojrzała na zdruzgotanego mężczyznę, na jej usta wypełził zimny, triumfujący uśmiech, po czym powolnym krokiem opuściła salę.

\*

Gdy po pewnej chwili młoda służąca weszła do sali, zastała gościa wciąż jeszcze stojącego na tym samym miejscu, z wzrokiem skierowanym ku drzwiom, za którymi znikła jej pani. Odgłos kroków służącej obudził go; podniósł szybko z podłogi płaszcz i kapelusz, które spadły z krzesła, i wypadł z izby, nie zwracając uwagi na złośliwy chichot dziewczyny.

Gdzie spędził następne godziny, tego sam sobie potem nie mógł przypomnieć. Zdaje się, że na pół przytomny wałęsał się w okolicy miasta, mając wzrok i duszę napelnioną widziadłami i majakami. Wieśniacy, idący w stronę miasta, opowiadali potem, że widzieli jakiegoś człowieka, wzrostem i strojem do niego podobnego, daleko za miastem w szczerym polu, który wykonywał dziwaczne ruchy, to wymachiwał rękoma w powietrzu, jakby broniąc się przed atakiem złego ducha, to znów rzucał się na ziemię i przyciskał twarz do twardej gleby, jak nieszczęśliwiec, proszący matkę-ziemię, by rozwarła swe łono i zrozpaczonego syna z powrotem do siebie zabrała.

Gdy mrok zapadł, przyszedł do *osterii*<sup>471</sup>, gdzie rankiem pozostawił konia, zażądał jedzenia i wypił wielkimi haustami wino, które przed nim oberżysta postawił. Twarz jego miała barwę popiołu — opowiadał potem właściciel *osterii* — czasem półgłosem mówił do siebie, czasem nagle wybuchał śmiechem; nie był to jednak wesoły śmiech, tak częsty dawniej u majstra Masa, lecz jakby zły duch ulatywał z opętańca wśród śmiechu. Potem

<sup>471</sup> *osteria* — karczma, oberża, zajazd, gospoda, gościniec. [przypis edytorski]

zażądał, by go zaprowadzono do izby noclegowej; tam w ubraniu rzucił się na łóżko i od razu zapadł w głęboki sen.

Po burzliwej poprzedniej nocy i całodziennej włóczędze spał przez kilka godzin kamiennym snem, którego widocznie żadne majaczenia nie przerywały. Gdy wczesnym rankiem przed szynk zajechał jakiś wóz i zabręczczała uprząż, obudził się. Przed jego przytomniejącymi zmysłami stanęło od razu widmo białych piersi, które go przez cały dzień poprzedni ścigało i krew w nim burzyło. Zbiegł ze schodów; przez chwilę mózg mu świrowała myśl, by osiodłać konia i pocwałować na koniec świata... Potem jednak westchnął głęboko i skierował się ku miastu.

Kroczył powoli przez puste ulice, jakby ulegając przepotężnemu przymusowi. Co go gnało, z tego sam sobie nie zdawał sprawy. Kilkakrotnie nakreślił w powietrzu znak krzyża i odmawiał szeptem modlitwy. W głowie jego szumiało i huczało, jakby się opił winem.

Ujrzał wreszcie dom pani Violanty; z jednego z górnych okien przedzierała się wąska smuga światła; zatem nie spała jeszcze. Pomyślał, czy go wpuszczą i kogo tam zastanie... Nagły ból ścisnął mu serce; musiał się zatrzymać i zebrać siły. Gdy się właśnie zastanawiał, co ma począć, usłyszał z przeciwnej strony wąskiej ulicy ciche, szybkie kroki, również zbliżające się do domu. Wiedział, kto nadchodzi. Lecz nie radował się, jak ongi, tym niespodziewanym spotkaniem. Jakby na widok znienawidzonego człowieka, z którym należy się rozprawić na śmierć i życie, pobiegł szybko naprzód, by tamten nie wszedł pierwszy w nieszczęsny dom.

Tuż przy stopniach, prowadzących do bramy, spotkali się.

— To ty, Maso?

— Ja, nikt inny, Nino!

— Przez cały dzień na próżno cię oczekiwałem, Maso. Teraz nie czas na rozmowy. Przyjdź jutro do mnie. Teraz... tu mnie oczekują.

Po tych słowach chciał wejść do domu i wyciągnął już rękę, by ująć za kołatkę. Nagle uczył, że gwałtownie oderwano jego rękę, i usłyszał chrapliwym głosem wypowiedziane słowa:

— I dziś, i zawsze będą cię tu oczekiwali na próżno. Progu tego nie przekroczysz, klnę się na Chrystusa Pana i Najświętszą Matkę Jego.

Przez chwilę Nino milczał, potem powiedział smutnym, lecz spokojnym głosem:

— O Maso, dlaczego dziś rano pod wpływem pierwszego gniewu mnie nie zabiłeś, co było i twym słusznym prawem, i zgodne z moją wolą! Nie musielibyśmy stać tu teraz naprzeciw siebie! Nie mogę ustąpić. Gdybym nawet chciał... Czary znów działają, są one silniejsze niż twe ramię, które mnie chce powstrzymać, silniejsze niż nasza stara przyjaźń, ciężąca jak ołów u moich stóp. Gdyby pode mną rozwarła się przepaść, zaś nad nią stała ta kobieta i wołała na mnie, rzuciłbym się w otchłań i nikt nie miałby mocy mnie powstrzymać. Jeśli wydaje ci się to szaleństwem, niech i tak będzie. Bądź zdrow i pozostaw szaleńca jego losowi!

— Czekaj! — zawołał Maso, z trudem tłumiąc głos. — Jeszcze słowo, zanim dojdzie do ostateczności. Wiedz, że i ja ją widziałem, że i ja jestem ogarnięty tym samym szaleństwem. Przez cały dzień na próżno szamotałem się w sieci, którą diablica rzuciła mi na głowę. Oto jestem tu, by bronić do niej wstępu każdemu, choćby był tym, kogo spośród ludzi najbardziej kochałem. Kto ośmieli się stanąć między mną a tą kobietą, jest moim śmiertelnym wrogiem, tego nienawidzę, krwi jego łaknę, własnymi rękami go...

Chwycił nagle Nina i odepchnął z taką siłą od bramy, że ten potoczył się kilka kroków. Napadnięty, wydawszy okrzyk oburzenia i wściekłości, objął swego przeciwnika i rozpoczęło się ślepe, namiętne mocowanie. W uścisku, w którym się zwarli, jakby jeden drugiego chciał udusić, twarze ich były tak blisko siebie, iż ich rozplamienione policzki dotykały się. Wtem zsunął się na ziemię sztylet, który Nino nosił za pasem, wypchnięty przy gwałtownym szamotaniu się. I oto jakby iskra przeleciała przez ich ciało i duszę, budząc z odrętwienia dawną ich miłość i wierność, obecnie tak ohydnie sponiewieraną.

Nino! — jęknął jeden; Maso! — szepnął drugi. I zanim się spostrzegli, jak się to stało, wrogie mocowanie zmieniło się w namiętny uścisk przyjacielskich ramion: lzy popłynęły z ich oczu, wargi przylgły do siebie, tłumiąc wyrazy skargi i usprawiedliwienia.

Trzymali się tak przez kilka minut w objęciach, mówiąc: O Nino, czyż to możliwe!... O Maso, czyż musiało do tego dojść!... Gdy jednak wzburzenie ich nieco opadło,

Kobieta demoniczna, Czary,  
Szaleństwo

Walka

ły w oczach obeschły i wróciła świadomość sytuacji, w jakiej się znajdują, Maso ujął przyjaciela za rękę i powiedział:

— Ślubuję tu oto i stwierdzam uściskiem dłoni, że żadna inna miłość, jak tylko ku mojemu przyjacielowi, mną władać nie będzie!

Nino powiedział:

— To samo i ja tobie, Maso, ślubuję, tak mi dopomóż Panie!

— Amen! — dodał Maso.

Dłonią osuszył czoło i oczy, spojrział ku światłu w oknie i rzekł:

— Jeśli chcemy dotrzymać przysięgi, pozostaje jeden ratunek: czarownica, która chciała się między nas wcisnąć, nie może żyć!

— Tak jest! — odpowiedział Nino. — Gdyby można myślami zabijać, byłaby teraz martwa.

— Myśl musi poprzeć ramię i wesprzeć broń. Kto z nas ma na niej wykonać wyrok?

Obaj zamilkli. Nino najpierw się opamiętał.

— Ja jestem bardziej winny i bardziej umęczony; Bóg mnie prędzej wybaczy, jeśli sprzątnę diablicę z powierzchni ziemi!

Pochylili się, by podnieść sztylet. Lecz Maso powstrzymał go.

— Losujmy! — powiedział szybko. — Na kogo wypadnie, ten i przed wiekiustym sędzią, i przed ziemską sprawiedliwością będzie się tłumaczył z krwawego czynu. Obaj równocześnie chwycimy za broń, która tu leży w ciemności, tak że jej dokładnie widzieć nie można. Kto chwyci za rękojeść, nie jest przeznaczony do wykonania czynu. Kto chwyci za ostrze, pójdzie do niej i pomści nas na tej przeklętej duszy, zanim nas znowu zamienić zdoła we wrogów!

Nigdy nie dowiedziano się, kto chwycił za rękojeść, a kto za ostrze, kto następnie pozostał sam u progu i z bijącym sercem nasłuchiwał odgłosów z wnętrza domu, zwiastujących, że straszny czyn został wykonany. W domu było jednak tak cicho, jakby się w nim właśnie spotkała para kochanków, usiłujących przytłumić odgłosy pieszczot i rozmów. Po pewnym czasie dało się słyszeć na schodach ciche stąpanie. Na progu pojawił się ten, który wyciągnął krwawy los. Był śmiertelnie blady, kolana się pod nim ugiwały.

— Stało się! — szepnął. — Niech Bóg wybaczy nam i jej! Sekunda jeszcze, a nie miałbym więcej siły... Nawet w chwili śmierci działał czar... Krew na jej piersi pokrywałem pocałunkami...

\*

Następnego dnia już wczesnym rankiem rozeszła się po mieście wieść, że *madonnę* Violantę znaleziono w jej domu zamordowaną. Na tę wieść *bargello*<sup>472</sup> wziął ze sobą osiem osób i udał się w wielkim pośpiechu na miejsce zbrodni. Z trudem i siłą przedostał się przez zbity tłum, zalegający wąską uliczkę i ciemne schody domu. W sali spoczywała zamordowana przed zagasłym kominkiem, oparta o krzesło, na którym leżała znieruchomiła głowa. Górna połowa jej ciała była obnażona; w lewej piersi, wbity pionowo, tak że dotarł do serca, tkwił sztylet z artystycznie zdobioną rękojeścią, wepchnięty z taką siłą w ciało, że z trudem udało się go wyciągnąć z rany. Znamię znikło; trójkanciasta stal wypełniała dokładnie zarys fatalnych ptasich szponów.

Ponieważ było powszechnie wiadome, kto broń tę sporządził i kto ją nosił, a ponadto młoda służąca głośno wskazywała na zaufanego bywalca w domu jako sprawcę zbrodni, *bargello* udał się natychmiast ze swą eskortą, odprowadzony przez olbrzymi tłum ludu, do *casa del Garbo*, mimo że zarówno jemu, jak i wszystkim mieszkańcom miasta dziwne się wydawało, by taki obywatel jak Nino, zażywający nieskazitelnej reputacji i sam sługa *Temidy*<sup>473</sup>, mógł być popełnić czyn tak ohydny, choćby nawet chciał pomścić zlekceważoną miłość.

Gdy wstąpili do pokoju Nina, zastali go siedzącego spokojnie wraz z przyjacielem;

Przyjaźń, Przysięga

Zemsta, Sprawiedliwość,  
Morderstwo

Morderstwo, Tajemnica

Książka, Wino, Muzyka

<sup>472</sup>*bargello* (wł.) — szef policji miejskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>473</sup>*Temida* (mit. gr.) — w mitologii greckiej jedna z tytanid, bogini prawa, praworządności, sprawiedliwości. [przypis edytorski]

na stole stał dzban wina i jedna tylko szklanka; Nino trzymał w ręce odpis *Purgatorio*<sup>474</sup> słynnego Dante Alighieri<sup>475</sup> i dźwięcznym głosem odczytywał swemu przyjacielowi, który miał na kolanach lutnię i od czasu do czasu wygrywał kilka cichych akordów. Na zapytanie, czy ten sztylet do niego należy i czy wie, w jaki sposób wdowa *madonna* Violanta postradała życie, Nino odpowiedział, nie zastanawiając się ani chwili.

— Broń ta należy do mnie. Śmierć tej kobiety obaj postanowiliśmy. Postanowienie nasze wykonaliśmy, gdyż była czarownicą i póki żyła, nie można było ująć przed jej szatańską mocą.

Nic innego nie zeznali, gdy stanęli przed sądem i gdy ich usilnie wzywano, by wyznali prawdę; bowiem sędziom wydało się nieprawdopodobne, by jeden śmiertelny cios wykonali wspólnie dwaj mordercy. Ojcowie miasta smucili się też niepomiernie, że kara za ten straszny czyn spotka dwu tak znakomitych, nieposzlakowanych dotychczas obywateli. Lecz oni wstrzymywali się od wszelkich wyjaśnień; również milczeli uporczywie, gdy ich wezwano, by wytłumaczyli magiczny kunszt zamordowanej. Tylko przed Brygidą, gdy swego nieszczęsnego bratanka i ulubieńca odwiedziła w więzieniu, odkrył on swe serce i wyjawiał, jak się wszystko stało. Lecz również i przed nią nie chciał się przyznać, kto wykonał pchnięcie śmiertelne. Polecił jej pozdrowić biedną młodą siostrę, leżącą w domu w gorączce i nieprzytomną od chwili, gdy dotarła do niej wieść o okropnym czynie. Prosił, by na razie szukała schronienia w klasztorze, aż czas uleczy rany sercu jej zadane. Nino natomiast ukląkł przed staruszką, nie wymówił ani słowa, spojrzał jednak na nią tak kornie, że mimo gniewu i bólu nie mogła się powstrzymać, by nie złożyć swych rąk na głowie sprawcy tylu nieszczęść i wśród łez nie polecić go miłosierdziu nieba.

Ósmego dnia po dokonaniu zbrodni zaprowadzono skazańców na miejsce stracenia. Kroczyli ręką w rękę w pokutniczych strojach bez przekory, ale też i bez objawów skruchy; poważnie, lekkim skinieniem witali w tłumie znajomych, żegnających się z nimi ruchem rąk. Gdy wstąpili na pokryte czarnym kirem<sup>476</sup> rusztowanie, padli sobie raz jeszcze w ramiona i długo tulili się do siebie; niejedno oko w tłumie widzów zwilżyło się na ten widok. Najpierw ukląkł Nino i głośno modlił się o zbawienie duszy swej i przyjaciela, po czym bez śladu słabości nadstawił głowę pod śmiertelny cios. Wtedy Maso zerwał płaszcz z szyi i, obnażając kark pod topór katowski, zawołał:

— Idę za tobą, najdroższa i najwierniejsza duszo, czy to na wieczną mękę czy na drogę łaski, gdyż bez ciebie nawet raj byłby dla mnie piekłem!

W kilka chwil potem również i jego okrwawiona głowa potoczyła się na rusztowanie.

Opowiadano potem, że obie głowy nawet w chwili śmierci szukały się jeszcze...

Lisabetta nigdy nie opuściła klasztoru, do którego schroniła się ze swą wierną opiekunką.

Piszący te słowa przypomina sobie, że gdy był dwunastoletnim chłopcem, pokazywano mu w święto patronki smukłą postać przeorowsy, a zarazem opowiedziano mu, jakie okoliczności spowodowały, że uciekając od życia świeckiego schroniła się w zacisze klasztorne. Jeszcze wtedy, mimo że była staruszką o zwiędłych, żółkłych rysach, bił od niej tak wielki, nieziemski prawie urok, że chłopak nie chciał wierzyć, iż za czasów jej młodości można ją było porzucić dla innej kobiety. Jednak później sam przekonał się o sztuczkach czarodziejskich, którymi niewiasty się posługują, tak iż nie wątpił o prawdziwości tego, co mu opowiadano.

<sup>474</sup>*Purgatorio* — *Czyśćciec, część Boskiej komedii*, poematu napisanego w latach 1308–1321, którego autorem jest Dante Alighieri (1265–1321). [przypis edytorski]

<sup>475</sup>*Alighieri, Dante* (1265–1321) — włoski poeta, filozof i polityk. [przypis edytorski]

<sup>476</sup>*kir* — czarny materiał, symbolizujący żalobę. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heyse-wesele-na-capri-nowele-wloskie/>

Tekst opracowany na podstawie: Paul Heyse, *Wesele na Capri. Nowele włoskie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Elżbieta Sekuła, Maria Świetlik, Paulina Chormańska, Wojciech Kotwica.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).